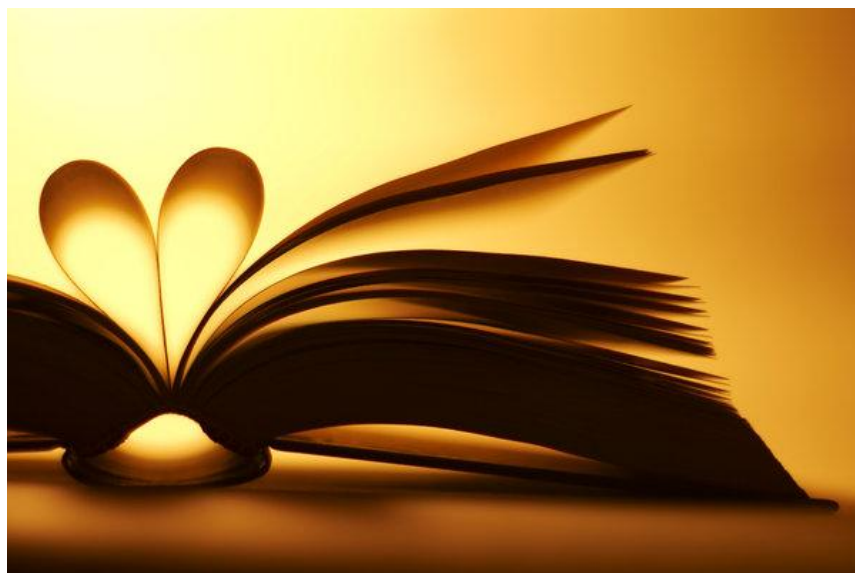




FRANCESCA CLEMENTIS



**DUŻE DZIEWCZYNKI
NIE PŁACZĄ**

Prolog

David Sandhurst obserwował swoje myszy z ojcowską czułością. Huffy i Puffy odwzajemniły beznamiętnie jego spojrzenie. Bawiło go nadawanie zwierzętom imion mających związek z lekami, jakie na nich testowano. Oczywiście, oxymetabulin jako specyfik zapobiegający atakom astmy okazał się nieprzydatny dawno temu. Jak wiele innych odkryć medycznych był to niespodziewany skutek uboczny eksperymentu, który przyniósł przełom, tak długo oczekiwany przez udziałowców Perrico Pharmaceuticals.

David otworzył klatkę i przeniósł mysz na wagę. Wiedziała, o co chodzi, i stała spokojnie, podczas gdy David robił pomiary. Uśmiechnął się, kiedy porównał wyniki. Doskonale. Dokładnie tak jak przewidywał.

Postronny obserwator zobaczyłby trzydziestoczteroletniego naukowca zbyt pochłoniętego pracą, żeby myśleć o swoim wyglądzie - biały poplamiony laboratoryjny fartuch i sprane džinsy, ciemne włosy opadające niedbale na czoło, aż na proste metalowe oprawki okularów. Za paznokciami trzytygodniowy brud nieokreślonego pochodzenia.

Postronny obserwator byłby w błędzie. Biały fartuch chronił koszulę Versacego, a džinsy miały metkę Armaniego. Trzeba było dwudziestu minut i masy pianki i lakieru, żeby osiągnąć efekt niedbale rozwichrzonych włosów. Przyglądając się uważniej, na oprawkach okularów dawało się dostrzec maleńkie, dyskretne logo YSL. Oprawki były tak malutkie, żeby nie odciągały uwagi od ciemnoniebieskich oczu. David nauczył się nawet powściągać wrodzoną schludność i przestał pielęgnować paznokcie, po tym jak pewna kobieta, jedna z nielicznych, które oparły się jego awansom, zarzuciła mu, że jest wymuskany.

Jednak próżność nie wpłynęła na jego poważny stosunek do pracy. David Sandhurst był tak ambitny, jak ambitny powinien być mężczyzna, który wydaje sto tysięcy funtów rocznie, zarabiając dwadzieścia pięć. Jak dotąd finansował swój kosztowny styl życia wyłącznie dzięki współpracy z dyrektorką pewnego banku, która chętnie zwiększała mu limit debetowy w zamian za nieszczerą obietnicę, że wkrótce, bardzo niedługo, zaprosi ją na kolację.

Ale w końcu los się do niego uśmiechnął. Badania nad oxymetabulinem zbiegły się

z amerykańskim odkryciem „tłustego” genu u myszy. Wyglądało na to, że gen ten kontroluje hormon odpowiedzialny za zwiększanie i redukcję spalania energii w ten sposób, w jaki termostat reguluje temperaturę. Jeżeli nie działał prawidłowo, mysz chudła lub tyła. W krótkim czasie amerykański zespół badawczy wyprodukował proteinę, która oddziaływała bezpośrednio na ten gen, przyspieszając spalanie tłuszczu u myszy i prowadząc do szybkiej utraty wagi.

Jeżeli twoim największym problemem była otyła mysz, mogłeś liczyć na to, że zostanie on wkrótce rozwiązany.

Niestety, powszechnie wiadomo, że mysz niewiele wnosi w wielomiliardowy przemysł dietetyczny. Nie kupuje produktów odchudzających, czasopism, książek ani kaset wideo. Jeżeli jest gruba, nie wydaje tysięcy funtów na odsysanie tłuszczu, nie chodzi do siłowni ani nie funduje sobie operacji plastycznych. Nie łyka tabletek na tony i co pół roku nie spędza w Arizonie dwóch tygodni przeznaczonych na kurację odchudzającą. Nie potrzebuje dwóch różnych zestawów ubrań na dni „chude” i „grube”. Nie płaci za iniekcję zarodków jagnięcych w płynie i rzadko oddaje dwadzieścia dziewięć funtów firmie wysyłkowej za plastikowe majtki, które mają rozpuścić tłuszcz na jej udach. Jednym słowem, jest marnym celem rynkowym dla tak rewolucyjnego odkrycia.

Ale co z ludźmi, a zwłaszcza - z kobietami? Dać im pigułkę, która pozwoli jeść, co chcą, ćwiczyć tak rzadko, jak chcą, a mimo to sprawi, że schudną bez żadnego wysiłku? Z badań przeprowadzonych przez największe czasopisma kobiece wynika, że przeszło dziewięćdziesiąt procent pań przyznało, że ich marzeniem jest utrata sześciu, siedmiu kilogramów. Wolały schudnąć, niż otrzymać w prezencie pięć tysięcy funtów. Szczupła sylwetka była dla nich bardziej pożądana niż zawrotna kariera. Cenniejsza niż bezpieczny, pewny dom. Ważniejsza niż miłość. Kobiety, te z nadwagą i te bez niej, uważały, że ich życie wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby schudły, i zrobiłyby wszystko, by to osiągnąć.

Nic dziwnego, że mysi lek zapoczątkował tak gwałtowny wyścig po jego bezpieczną, ludzką wersję.

Jak na ironię Perrico nawet nie zamierzało wziąć udziału w tym wyścigu. Firma była pionkiem na rynku farmaceutycznym, nie mogła inwestować milionów. Kontynu-

owała niskobudżetowe badania nad leczeniem astmy, które rozpoczął David zaraz po tym, jak ukończył uniwersytet. Rezultatem był oxymetabulin. Okazało się, że w leczeniu astmy ma drobny, choć istotny wkład, za to wszystkie myszy, które go zjadły, straciły na wadze. Z początku uznano to za potencjalny problem. Niewyjaśniony spadek wagi może być sygnałem poważnej choroby. I wtedy David odkrył, dlaczego lek wywiera taki efekt. Przez przypadek natknął się na związek, który podkręcał myszy metabolizm. Absolutnie nic nie wskazywało na to, że taki związek podziała na ludzki organizm. W końcu amerykańska proteina też nie miała żadnego wpływu na ludzi. Było mało prawdopodobne, że skromne odkrycie Davida wywrze większy efekt. Pracując w małym londyńskim laboratorium o ograniczonych środkach, nigdy nie miałby szans doprowadzić program do etapu, kiedy rozpoczyna się testy z ludźmi.

Rozpaczliwe pragnienie sławy i słabnący entuzjazm dyrektorki banku sprawiły, że podjął ogromne ryzyko. Wbrew wszelkim zasadom etycznym i zawodowym przyjął kontrolowaną dawkę oxymetabulinu. Uważał, że nie ma nic do stracenia a wszystko do zyskania.

Po miesiącu schudł sześć kilogramów i znalazł się w centrum zainteresowania całego świata.

Głód narastał od lunchu. Marina Riesenthal bawiła się w grę grubasów i nie objadała się publicznie. Rozgrzebując widelcem rybę z grilla i sałatę, miała nadzieję, że nowy klient Paul Jerome, uzna jej pięćdziesięciokilową nadwagę za rezultat rzadkiej choroby gruczołów.

- Masz ochotę na likier, Marino? - zapytał Paul. - Napiję się, jeśli napijesz się ze mną.

Zgodziła się chętnie i przy trzecim kieliszku cointreau zaczęli trochę świntuszyć. Paul opowiadał jej o kobietach w swoim życiu, jakby była mężczyzną, a nie bezpłciowym kompanem, za którego brali ją inni. Marina wiedziała, że o tym facecie może pomarzyć tylko szczupła kobieta. Już jako otyła nastolatka pogodziła się z myślą, że większość facetów, z wyjątkiem nieudaczników, odrażających brzydali i psychopatów, jest poza jej ligą. Kiedy kelner zabrał kieliszki, obrzuciła Paula taksującym wzrokiem. Wszystko na swoim miejscu. Ciemnobrązowe oczy pod kolor włosów i ani grama zbędnego tłuszczu. Wysportowany. Chryste, co on może myśleć o tej górze mięsa, która przed nim siedzi? Pociągał ją i starała się to ukryć, układając twarz Piggy w groteskową seksowną maskę, co rozbawiło Paula.

- Masz ochotę na cygaro, Paul? - zapytała. - Zapalę, jeśli zapalisz ze mną.

Więc zapalili.

Paul wydmuchiwał idealne kółeczka dymu.

- To był wspaniały lunch, Marino. Pierwszy z wielu, mam nadzieję.

Marina otworzyła szeroko oczy, jak onieśmielona dziewczynka.

- Pan jest klientem, panie Jerome. Jeżeli nalega pan, żebym panu towarzyszyła do tych bajecznie drogich restauracji, muszę wyrazić zgodę. Przecież jest wielu innych dyrektorów W TNSW, którzy zgodzą się na taką udrękę, jeżeli ja odmówię.

Paul się roześmiał.

- Tak, ale to sami chłopcy, prawda? A ja zawsze wolałem towarzystwo pań.

Marina była zachwycona, że zaliczono ją do kobiet. Zaciągnęła się głęboko dymem cygara - zwyczaj, który przyjęła niedawno, żeby dopasować swoją rzekomą osobowość

do rzeczywistego fizycznego rozmiaru. Siedzieli w zgodnym milczeniu. Intymność tej chwili doprowadziła ją na granicę łez. Po chwili Paul wyrwał ją z marzeń.

- Myślisz to samo co ja?

Marina wysiliła się na konspiracyjny uśmiech.

- A o czym ty myślisz? - (Bardzo wątpię, czy w ogóle zauważyłeś te dwie porcje czekoladowej śmierci, które kelner zaniósł właśnie do stolika obok. I raczej nie zastanawiałeś się, czy dałoby się przeschmuglować porcję do damskiej toalety i jeść, raz za razem spuszczać wodę, żeby nikt nie słyszał, co robisz. O tym właśnie myślałam).

Paul rozejrzał się po sali.

- Myślałem, jakie to szczęście, że możemy sobie pozwolić na takie życie. - Popatrzył na Marinę uważnie. - Wiesz, co mi się w tobie podoba?

Skuliła się wewnętrznie. Wiedziała, że to nie będą jej piękne oczy, mimo dziesięciu minut, jakie poświęciła na obrysowanie ich czarną kredką, żeby wydawały się większe. Wiedziała, że to nie będzie jej suknia, mimo że wydała przeszło sto funtów na całe metry cudownego jedwabiu udrapowanego w rzekomo „wyszczuplający, spłaszczający, kamuflujący” namiot. Wiedziała, że nie będzie to jej wzrost, metr siedemdziesiąt pięć, który u kobiety mniej rozłożystej byłby idealny przy jego metrze dziewięćdziesięciu.

- Strzelaj! - powiedziała oschle.

- Mogę z tobą naprawdę porozmawiać. Nie tylko o interesach, choć z pewnością wiesz o firmie Sparkleeze i rynku kuchennych środków czystości tyle, co i ja. Nie, z tobą mogę rozmawiać o wszystkim. Jak z przyjacielem. Albo z siostrą.

To nie była jego wina. Nie wiedział, jak bolesne może być takie siostrzano-kumpelskie porównanie dla kobiety, która pragnie być postrzegana jako uwodzicielska syrena, bezmyślna laska, obiekt seksu, wszystko byle nie przyjaciel i siostra.

Mimo to Marina była zadowolona, lunch okazał się sukcesem z zawodowego punktu widzenia. No i przyjaciół nigdy za wiele! Poza tym Paul ani razu nie spojrzał na jej wielgachny brzuch. Może nie zauważył? Cha, cha!

Oczywiście, że zauważył. Zauważył wszystko. Spodobała mu się. Rozśmieszała go, napełniała miłym ciepłem. Wywołała w nim uczucie, które poprzedza czy też początkuje pociąg fizyczny. A jednak... Na pewno nie... Nie, ta kobieta była bardzo, ale to bar-

dzo nie w jego typie. Nie była w niczym typie, więc również nie w jego. Teraz, kiedy powiedział to sobie wprost, mógł umieścić Marinę na jej właściwym miejscu - jako kumpelkę.

Tylko że ona nie zamierzała tam pozostać.

Tego wieczoru w drodze do domu ominęła sklepy ze słodyczami. Jeszcze żyła sukcesem, jakim było zdobycie trzymilionowego klienta i nawiązanie z nim przyjaznych stosunków.

Piątkowe katusze zaczęły się z chwilą, gdy włożyła do mikrofalówki niskokaloryczny kartonowy posiłek zastępczy. Ponad irytującym szumem kuchenki zadającej kołacji radioaktywną, zasłużoną śmierć, usłyszała szept: Dlaczego to jesz? Nie masz na to ochoty, nie będzie ci smakowało i wcale się tym nie najesz. Jaki to ma sens?

Próbowała ignorować ten wewnętrzny nachalny głos. Zastosowała w praktyce wszystkie triki, jakich nauczyła się w Zeszczuplec Raz a Dobrze wiele lat temu: zjadła marchewkę, a potem jeszcze pół kilo marchewek; wypila pół litra wody; pogapiła się na zdjęcie roznegliżowanej modelki anorektyczki w czasopiśmie kobiecym; wyobraziła sobie siebie w bikini, które nie wymagałoby szelek do podtrzymania mamuciego biustu; przeżuła każdy kęs lite veggio risotto dwadzieścia pięć razy; zrobiła manikiur; wzięła kąpiel z pianą (przerażona, że utknie w wannie, ostatnio korzystała wyłącznie z prysznic); nałożyła odżywkę na swoje wspaniałe kręcone włosy i maseczkę na twarz; stanęła przed lustrem i oznajmiła swojemu odbiciu: jestem piękna, z taką powagą, na jaką ją było stać.

Nie pomogło. Łaknienie przeszło w rozpaczliwe pożądanie. Nie wiadomo kiedy znalazła się w kuchni i już grzebała w szafkach, myślała, co da się zrobić z płatków kukurydzianych, torebki odłuszczonego napoju czekoladopodobnego i chudego mleka w proszku. Zebrała produkty, chwyciła butelkę wody, miskę i zaniósła wszystko do pokoju.

Wsypała płatki do miski, dodała sproszkowane mleko i napój czekoladopodobny, dolała wody. Zanurzyła w to rękę i ugniotła mieszankę w chrupką masę. Miała wrażenie, że zgniata palcami suche liście, podczas gdy ciemna papka zbijała się w grudki, które oblepiały paznokcie.

Nabrała garść i wpackowała sobie do ust. Przymknęła oczy w czekoladopodobnej ekstazie. Garść za garścią, aż całą twarz miała w brązowych tłustych smugach. Było jej

wszystko jedno. Wiedziała, jak wygląda, umazana czy umyta, wszystko jedno. Jej twarz była anonimowym krążkiem o zbyt wielu podbródkach, otłuszczonych policzkach i ciężkich powiekach. Wszystkie prerafaelowskie loki na świecie nie mogły sprawić, by nie wyglądała na kobietę w średnim wieku.

Miała dopiero trzydzieści jeden lat.

O wpół do dziewiątej wieczorem miska była pusta, wylizana do czysta, ostatnie kęsy pozostawiły w ustach mydlany smak środka do mycia naczyń. Marina nie zwróciła na to większej uwagi, czując jak narasta w niej panika. W domu nie ma jedzenia. Nie ma jedzenia w domu. Oddychała ciężko, krążąc po pokoju, i próbowała wyperswadować sobie to, co nieuniknione.

Nieuniknione wzięło górę. Chwyciła płaszcz i wypadła z domu. Nawet nie poczuła ostrego podmuchu grudniowego wiatru, była na to zbyt dobrze zbudowana. Prawie biegła, starając się nie patrzeć na swoje odbicie w ciemnych oknach wystawowych. Ze wzrokiem utkwionym w daleki neon całodobowego supermarketu w myślach planowała rajd wzdłuż półek.

Odetchnęła, kiedy podwójne automatyczne drzwi otworzyły się, wpuszczając ją do raję. Ucieszyła się, że nie utknęła w zupełnie niepotrzebnym kołowrotku, zainstalowanym niedawno, bez wątplenia po to, by ją upokorzyć.

Gdyby nappełniła wózek smakołykami, naruszyłaby swoje dziwaczne, ale niezmiennie zasady, wzięła więc koszyk. Ruszyła od razu do lodów, żeby zaczęły swój zmysłowy proces topnienia możliwie najprędzej. Przejrzała całą gablotę, zwilgotniałymi oczami smakując każdy rodzaj, zanim drżącą ręką sięgnęła po podwójne czekoladowo-karmelowe z waflem. I mrożony krem toffi. I jeszcze choc chip cappuccino.

Potem do batonów i herbatników - metodycznie wyszukiwała największe opakowania chipsów vinegar, tortilla i chrupek serowych. Nabierała rozpędu, kiedy dotarła do ulubionego działu ciast. Zmówiła w duchu modlitwę dziękczynną za Mr Kiplinga. Wybrała ciasto kakaowe, mus czekoladowy, tartę z cynamonem, pudełko babeczek wielosmakowych, i jeszcze jedno, placek wiśniowy, ciasto orzechowe...

- Mućka?

Marina wrzuciła ciasto orzechowe do koszyka i próbowała sobie przypomnieć, czy

przed wyjściem z domu zmyła z twarzy czekoladowe smugi. Odnalazła uśmiech gdzieś głęboko w otchłani pamięci i zaprezentowała go przyjaciółce.

- Susie! Co robisz w tej kniei? - Jednym spojrzeniem ogarnęła czerwoną dopasowaną garsonkę, sześćdziesięciocentymetrową talię, idealną fryzurkę na bombkę. Susie wyglądała jak dyrektor PR, za którego się podawała, choć w rzeczywistości była sekretarką. Cudowna. Marina znienawidziłaby ją, gdyby nie była jej najstarszą przyjaciółką.

Nienaganną linię jej sylwetki psuł jedynie stos toreb, które trzymała w ramionach. Susie nie wychodziła z domu bez listy zakupów dla rodziny, która zdawała się mieć niesasycone potrzeby materialne. Czy te potrzeby były określone przez rodzinę, czy samą Susie, tego Marinie nie udało się ustalić. Susie nigdy nie wychodziła tylko z jedną sprawą do załatwienia, w jednym celu. Wyjście było stratą czasu, jeżeli nie uzbierała przynajmniej czterech zadań do wykonania. Nawet godzinną przerwę na lunch w pracy przeznaczała na strategiczne zakupy. Spędzenie jej w restauracji tylko na jedzeniu byłoby karygodnym marnotrawstwem.

- Jechałam do domu, kiedy sobie przypomniałam, że skończył się chleb, więc wpadłam tutaj. - Zaciekawiona, zajrzała do koszyka Mariny. - Urządzasz przyjęcie, Mućka?

Marina usłyszała własny śmiech, zbyt głośny, zbyt ożywiony.

- Właściwie to nie jest przyjęcie. Nie, to nawet dość zabawne, no wiesz, opowiadałam ci, że mam tylu znajomych z dziećmi... nie? Widocznie mówiłam o tym komuś innemu, w każdym razie wpadną jutro po południu po prezenty gwiazdkowe, a wiesz, jakie są dzieci, strasznie wybredne, ale ciasta i chrupki są niezawodne, choć nie wiem, jakie lubią, z dziećmi nigdy nic nie wiadomo, więc pomyślałam, że najlepiej kupić wszystkiego po trochu, na wszelki wypadek. - Zabrakło jej tchu.

Susie uniosła brwi.

- Mam nadzieję, że będą głodne. Boże, spodziewasz się chyba całej rodziny von Trappów. Ci rodzice muszą być o wiele bardziej tolerancyjni ode mnie. Nie pozwalałam Alice i Frederickowi tknąć tego świństwa. Mućka, pamiętam, jaka byłaś nieszczęśliwa w dzieciństwie, taka gruba, nie zniosłabym, gdyby moje dzieci musiały przez to przechodzić.

Marina wiedziała, że niedługo te drogie bliźnięta zbuntują się przeciwko burgerom

warzywnym i paczuszkom rodzyneków i staną się doświadczonymi potajemnymi podjadaczami, jak ona w ich wieku. Nie powiedziała tego głośno.

- U ciebie wszystko w porządku, Susie?

- Miałam wczoraj powtórkę ze starego IBS. Musiałam iść do lekarza. Coś mi zapisał, ale Bóg raczy wiedzieć, czy to pomoże. Mówiłam ci, że mam te bóle głowy? Tak się zaczynają choroby mózgu, wiesz. I krwotoki. Lekarz powiedział, że to prawdopodobnie migrena. Kazał brać paracetamol. Myślę, że po prostu nie chce mnie wysłać na tomografię mózgu teraz, kiedy został udziałowcem.

Marina starała się traktować hipochondrię Susie jako wołanie o pomoc kobiety spragnionej uwagi otoczenia, biadolenie matki, która przez dwadzieścia pięć godzin na dobę zaspokaja cudze potrzeby i nie umie się zatrzymać, zastanowić, chyba że prawdziwy ból (z urojonego źródła) ją do tego zmusi. Niestety, Marinę to tylko irytowało. Hipochondria też była dla niej czymś obcym.

Pożałowała, że nie ma dość odwagi, by cierpieć na zespół jelita drażliwego i choroby mózgu zamiast bólów brzucha i głowy. Otyli ludzie nie mają po co chodzić do lekarza. Niezależnie od symptomów, wszystkiemu winna jest ich nadwaga. Skręcona kostka? Tusza sprawia, że występują zaburzenia równowagi. Zapalenie płuc? Czego się pani spodziewa, przy takim obciążeniu płuc? Paskudna wysypka? Reakcja organizmu na ten cały tłuszcz, który pani pochłania. Złamana ręka? Nie trzeba było ładować tyle na widelec, tłuszczoszko!

Susie spojrzała na zegarek, który nie miał wskazówek na tarczy, co bardzo utrudniało określenie godziny.

- To już tak późno? Lecę. Muszę przyszyć naszywki na gimnastyczne worki bliźniąt. Ach, i mają przynieść coś na „Pokaż, to zgadnę”. Chcą, żebym wymyśliła co innego dla każdego z nich. Poproszą Kena, ale on jest w tych sprawach do niczego. Wszystko zawsze spada na mnie. Ken już pewnie chodzi tam i z powrotem, znasz go. Jest jak myśliwy, który oczekuje, że nakarmią go w chwili, gdy przekroczy próg. Jeżeli obiadu nie ma na stole, staje się prawdziwym neandertalczykiem.

Marina nie wyobrażała sobie Kena bijącego się z rykiem w piersi. Miała go raczej za cichego męczennika, udręczonego całodniowymi badaniami statystycznymi. Pozwoli-

ła jednak Susie snuć fantazję, że poślubiła Conana Barbarzyńcę.

Susie szczebiotała dalej, nie zauważając roztargnienia Mariny.

- A więc, jesteśmy umówione na jutro wieczór, tak?

Sobota wieczór. Co jest w sobotę wieczór? Marina przypomniała sobie zaproszenie na kolację, które przyjęła w chwili słabości.

- Och, kolacja! Oczywiście! Nie mogę się doczekać - udała entuzjazm.

- To dobrze. Nie jesteś chyba na żadnej głupiej diecie? Bo mam znakomity przepis na cytrynowy sorbet i chcę go wypróbować. Oczywiście, z milion kalorii. Sama będę musiała przejść na dietę, jak zjem kawałek. - Niby to zawstydzona, poklepała swój nieistniejący brzuch. - Więc jak, może być?

Marina uśmiechnęła się boleściwie.

- Brzmi wspaniale.

Susie dopiero teraz przyjrzała się przyjaciółce.

- Co się stało?

Marina próbowała zebrać swoje rozproszone lęki w jedną uporządkowaną myśl. Otworzyła już usta, kiedy zauważyła, że Susie zerka na zegarek. Było to dyskretne zerknięcie, bez zamiaru urażenia jej, ale efekt był taki sam. Brutalnie uprzytomniło Marinie, że Susie ma zobowiązania, ludzi, którzy jej potrzebują że ma cel. To bolało.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Nic się nie stało. Jestem tylko trochę zmęczona. Nie będę cię zatrzymywać.

Susie zrobiła skruszoną minę. Miała skruszoną minę, ale czuła zazdrość. Zazdrościła Marinie wolności: żadnych zobowiązań, wymagającej rodziny, która zabiera cenny czas. Jedynym zmartwieniem Mariny było, jakie ciasto kupić dla cudzych dzieci - dzieci, które odeśle do domu, kiedy zrobią się nieznośne.

Uśmiechnęła się z nie mniejszym przymusem.

- Porozmawiamy jutro. Przepraszam, jeżeli cię zdenerwowałam, mówiąc o diecie. Wiem, że nie lubisz rozmawiać o... takich rzeczach. Zresztą myślałam, że jesteś zadowolona z tego, że jest, jak jest. Bo jesteś, prawda?

Ekstacycznie, pomyślała Marina.

- Wszystko w porządku, Susie, naprawdę!

- Wspaniale! Zostawiam cię z zakupami. Uważaj na siebie. Do jutra, Mućka.

Nachyliła się, żeby pocałować Marinę, jej cienkie wargi utonęły w policzku a la pudding ryżowy. Kiedy odeszła, Marina odpowiedziała sobie w duchu na wszystkie pytania, których przyjaciółka nie zadała. Tak, w pracy świetnie. Tak, zdobyłam tego klienta o którym mówiłam ci w zeszłym tygodniu. Nie, oczywiście, że się z nikim nie spotykam. Tak, zarabiam więcej niż ty i Ken razem wzięci. Tak, wyglądam kubek w kubek jak Denis Roussos - w tym obrusie, który mam na sobie. Tak, nadal siedzę w domu w sobotnie wieczory i czytam podrzędne romanse. Tak, czasem czuję, że moje życie jest kompletną porażką. I tak, przeszkadza mi, kiedy mówisz do mnie Mućka. To bolało, kiedy miałyśmy po jedenaście lat, i boli jeszcze bardziej po dwudziestu.

Wiedziała, że jest niesprawiedliwa. Susie nie chciała okazać się egoistką. Po prostu pochłaniało ją co innego. Kiedy umawiały się na babskie wieczory, Susie była uważną słuchaczką i najwrażliwszym doradcą. Ale nie potrafiła funkcjonować poza ściśle określonymi programami. W tej chwili miała funkcję domowo-matczyną i w tym programie nie mogła być szczerą przyjaciółką. To wymagałoby skoku koncentracji, na co Susie nie miała dość energii.

Marina patrzyła, jak w drodze do kasy chwyta chleb, jajka i płatki kukurydziane. Nie mogła się nadziwić jej całkowitej obojętności wobec wystawy czekoladek przed kasą. Właściwie zazdrościła każdemu, kto mógł robić zakupy bez lęku, kto mógł patrzeć na jedzenie i nie potniał z pożądania. W końcu Susie wyszła i Marina mogła wrócić do swoich zakupów.

Uporała się z ciastami i wędrowała teraz innymi alejkami sklepu, wytrawnym okiem prześlizgując się po etykietkach, wyszukując nowości i starych faworytów. Zobaczyła, jak jej ramię, kierowane własną wolą, sięga po puszkę mieszanki owocowej w syropie, gotowanej fasoli z kielbasą, ravioli, paczki ryżu i makaronu, po dużą mrożoną lasagnę, pudełko muesli. Kiedy zabrakło miejsca w koszyku, ruszyła w stronę kas, gdzie dołożyła sześć czy siedem tabliczek czekolady. Czuła się w obowiązku powiedzieć niezainteresowanej kasjerce o wymyślonym przyjęciu.

- Osobiście nie lubię tych słodkości, ale skoro dzieci tego chcą, co robić?

Dziewczyna wyglądała na znudzoną.

- Czterdzieści dwa siedemnaście.

Marina zapłaciła i z wyczekującym uśmiechem zebrała torby. Szła do domu szybkim krokiem, walcząc z pokusą, żeby odgryźć kawał ciasta orzechowego na ulicy. Tylko myśl, że Susie przyłapie ją po raz drugi, zdołała ją powstrzymać.

Wbiegła do mieszkania i wysypała zawartość toreb na podłogę w dużym pokoju. Dyszała ciężko i miała kłopoty z rozrywaniem opakowań. Dostała się do chipsów i wpakowała sobie do ust całą garść. Opadła niezdarnie na podłogę i wykończyła paczkę już spokojniej, najpierw zlizując sól i proszek vinegar, resztę rozpuszczając na języku.

Próbując wprowadzić coś w rodzaju cywilizowanego ładu w swoje obżarstwo, dzieliła je na przemienne cykle słodkie i niesłodkie. Zdecydowała, że następne będą babeczki wielosmakowe.

Kiedy miała szesnaście lat, jej matka, szczupła z natury, przyłapała ją, gdy wykończyła całe pudełko takich babeczek w swoim pokoju. Wyraz niesmaku na jej twarzy zapamiętała na zawsze. Przysięgła sobie wtedy, że gdy odejdzie z domu, będzie jadła, co chce i kiedy chce. Od tamtej pory babeczki wielosmakowe wchodziły na scenę jako jedne z pierwszych podczas typowej wyżerki.

Delikatnie zlizwała miękki różowy lukier i małym palcem wydłubała ze środka kleks bitej śmietany. Rozmazała go na podniebieniu, rozkoszując się syntetycznym smakiem. Resztę ciastka wrzuciła z powrotem do pudełka i zabrała się za babeczkę żółtą, potem czekoladową. Kiedy pozostało osiem pustych ciastek bez lukru, szybko opryskała je środkiem do czyszczenia piecyka i wrzuciła do kosza na śmieci, żeby nie mogła wrócić do nich w środku nocy. To dało jej złudzenie, że panuje nad sytuacją. W jej opinii ciasto bez dodatków było zwykłym marnotrawieniem kalorii.

Poszła do kuchni, włożyła lasagnę do mikrofalówki i nastawiła dwa rondle wody, jeden na pudding, drugi na ryż z dodatkami. Nie dbając już o kolejność potraw, napoczęła mus czekoladowy. Palcem zgarniała cukrowany wierzch, raz za razem, nie czując nawet smaku. Mikrofalówka zadzwoniła, sygnalizując, że lasagna jest gotowa. Marina postanowiła udawać, że jest normalna, przełożyła więc potrawę na talerz i zjadła ją łyżką i widelcem.

Zdjęła łyżką stopiony ser z białym sosem i wciągnęła głośno ustami. W kącikach

zebrały się drobiny tłuszczu. Zwinęła górną warstwę lasagni w grubą białą kielbasę i już bez sztuczków wepchnęła ją całą do ust. Następnie wymieszała dwie warstwy białego i mięsnego sosu i wylizała talerz do czysta.

Potem były muesli, jeden z jej ulubionych etapów wyżerki. Wysypała trochę na talerz i delikatnie wybierała orzechy i kawałki kokosów, brzoskwinie i inne owoce. Starannie wszystko przeżuła. Wyrzuciła płatki i zboża do śmieci i dosypała sobie dokładkę. Prawie dziesięć minut trwało, zanim zobaczyła dno pudełka. I było fajnie!

Teraz mogła zaatakować kubelki z lodami, które odpowiednio już stopniały. Zanurzała kawałki ciasta orzechowego w kremowej masie, rozkoszując się mieszanką lodów i maślanej masy.

Na tym etapie jej mieszkanie usiane było opakowaniami i wzgardzonymi resztkami. Marina jadła coraz szybciej, żeby wepchnąć w siebie jak najwięcej, zanim mdłości i skurcze żołądka uniemożliwią jej dokończenie uczyty.

Ryż rozgotował się w kluchę z kawałkami nieokreślonych warzyw w rozmaitych kolorach. Ta mieszanka składników E i podejrzanych konserwantów nadała im jedyny w swoim rodzaju smak stołkówkowych potraw, który wymazał wszelką pamięć o rybie i sałacie za pięćdziesiąt funtów. Fasolę i koktajl owocowy zjadła wprost z puszek.

Czas jej się kończył. Pudding z syropem był gotowy i na myśl o nim Marinie zrobiło się mdło. Odważnie otworzyła puszkę i włożyła parę łyżek do ust umazanych kremem i czekoladą. Nie zdołała dokończyć puddingu. W popłochu popatrzyła na nietknięte tabliczki czekolady. Pozostawienie czegoś w opakowaniu było wbrew regułom, musiała więc przez to przebrnąć.

Próbowała skupić się na oddychaniu, powstrzymać mdłości. Pełna pogardy dla siebie zerwała papier z czekolady i opornie podniosła ją do ust. Po trzecim kawałku dostała odruchu wymiotnego. Leżała płasko na dywanie, a ból skręcał jej żołądek. Ostatnim wysiłkiem woli wstała i sięgnęła po czasopismo, które czytała poprzedniego dnia. Otworzyło się na artykule o odchudzaniu i Marina odnalazła wzrokiem odpowiedni fragment.

Pod zdjęciem jakiejś uśmiechniętej grubej kobiety widniał napis, który przykuł jej uwagę: „5F - Fat Feminists Fighting the Flab Fascists, Grube Feministki Walczące z Faszystami Wagu Nowa antydietetyczna grupa zwalczająca stereotypy kobiecej urody pro-

pagowane przez środki masowego przekazu. 5F odnotowała już wiele sukcesów z kobietami, które prawie nie znały życia niezdominowanego przez jedzenie i kwestię wagi. Dzięki doradztwu 5F i terapii grupowej nabrały pewności siebie, mogą jeść bez poczucia winy, są szczęśliwe, tak! Szczęśliwe ze swoim życiem w rozmiarze dwadzieścia..."

Marina nie wierzyła, żeby to było możliwe, ale wykręciła numer telefonu zaufania. Czekając na połączenie, ogarnęła wzrokiem scenerię po uczcie. Okruszki ciast i chipsów tworzyły psychodeliczne wzory pośród lodowych kleksów na dywanie. Ziarenka ryżu i kawałki mięsa gryzły się z jej kwiecistą sukienką.

Ostrożnie podniosła rękę do twarzy i szybko ją cofnęła, gdy namacała kawałki lukru, które osadziły się w fałdach policzków.

Nagle wyczuła coś mokrego na wargach i przeraziła się, że to ślina. Jednak źródłem wilgoci były łzy, wyjątkowa u niej rzadkość.

Zamierzała już odłożyć słuchawkę, kiedy uzyskała połączenie. Silny, kojący kobiecie głos powiedział:

- Tu telefon zaufania 5F. Mam na imię Gail. Jak mogę ci pomóc?

Marina usłyszała dziwny, pełen rozpaczony głos, który po chwili rozpoznała jako własny.

- Po prostu pomóż mi! - krzyknęła do słuchawki. - Proszę, nich mi ktoś pomoże!

Marina dzierżyła w dłoni kieliszek szampana i starała się ignorować fakt, że w sukni za sto dziewięćdziesiąt funtów, z opuszczoną talią, jest łudząco podobna do drogiego tapicerowanego fotela. Żeby nikt na niej nie usiadł, machała bez przerwy rękami, udając, że jest pijana albo cierpi na jedną z tych modnych chorób nerwowych nazywanych od pierwszych liter.

Z trudem podtrzymywała wymuszoną rozmowę z dwojgiem ludzi w pokoju: wielką lalką Sindy, dyrektorką PR pracującą w tej samej firmie co Susie (jeszcze jedna sekretarka udająca kogoś innego), i jej mężem, który działał w branży budowlanej (sprzedawca cegieł, uznała Marina zgryźliwie). Lalkę Sindy można było pomylić z Susie. Taka sama blond fryzurka, taki sam nieścieralny makijaż podkreślający wybitnie regularne rysy na takiej samej kościstej twarzy, takie same oczy pozbawione zdradzieckich zmarszczek mimicznych, takie samo ciało złożone wyłącznie z kantów i ani jednej krągłości. Sprzedawca cegieł wyglądał jota w jotę jak Ken. Taka sama nijaka twarz, usta ściągnięte apatycznie w dół, zaokrąglone ramiona, rzadkie włosy i pierwsze oznaki zakoli. Wszyscy, co do jednego, byli szczupli.

Ukazała się Susie w małej czarnej z rękawami jak skrzydła nietoperza. Marina przyjrzała się linii sukni, szukając śladów dwójki okropnych dzieciaków, które kiedyś znalazły schronienie w tym wąskim, twardym brzuchu. Nic nie znalazła. Był raczej wklęsły niż wypukły. I cokolwiek trzymało idealny biust Susie pod właściwym kątem, na pewno nie była to, jak w przypadku Mariny, belka podporowa, bez której zamiotłaby piersiami podłogę. Susie pachniała perfumami, lakierem do włosów i nowymi ciuchami. Pachniała pewnością siebie i seksapilem. Pachniała jak najładniejsza dziewczyna w klasie.

- Mućka, chodź, poznasz kogoś. - Wyciągnęła Marinę z głębi sofy, aż obie stanęły na nogach, lekko zdyszane z wysiłku.

Marina poszła za przyjaciółką do kuchni, gdzie myśliwy Ken i jeszcze jeden mężczyzna rozmawiali o pracy.

Zapra gnęła zemdlec, umrzeć albo zniknąć. Przeznaczono jej na wieczór partnera,

który wyglądał jak gwiazdor filmowy. Już nie mogła się doczekać chwili, kiedy nieznamy ją spostrzeże i na jego twarzy ukaże się nieunikniony wyraz grozy i zażenowania, kiedy uświadomi sobie, że dostała mu się gruba baba. Dlaczego Susie jej to robi?

- Davidzie, to jest moja przyjaciółka, o której ci opowiadałam. Mućka, to jest David Sandhurst. Jest naukowcem w Perrico, tam gdzie pracuje Ken. Nie uwierzysz, ale macie mnóstwo wspólnego.

Wierzę, pomyślała Marina. Prawdopodobnie chodzimy do tej samej siłowni, uwielbiamy biegać z rana i jeść na śniadanie płatki owsiane. To się rzuca w oczy.

Uśmiechnęła się dzielnie, absolutnie przekonana, że Bóg okaże się łaskawy, żeśle jej udar albo atak serca i ocali ją od całkowitego upokorzenia. Przyjęła swój zawodowy styl bycia i wyciągnęła rękę do biedaka, który już się ku niej odwracał.

- Marina Riesenthal...

- Ale wszyscy mówią do niej Mućka! - przerwała jej Susie wesoło.

David zignorował ją.

- Miło cię poznać, Marino. Ken i Susie wiele mi o tobie opowiadali. - Ujął jej rękę i ani na sekundę nie spuścił wzroku poniżej twarzy.

Marina odzyskała trochę pewności siebie, choć była w pełni świadoma, że jej cielsko jest tak ogromne, że nawet ktoś z dużą wadą wzroku nie może go przeoczyć.

Podeksytowana Susie stała nad nimi, kiedy ściskali sobie dłonie.

- Poczekaj, aż on ci powie, nad czym pracuje, Mućka. Umrzesz!

Życząc tego samego Susie, Marina odwróciła się w ten sposób, że ona i David fizycznie wyłączyli innych z rozmowy. Susie pozostawiła ich własnemu losowi. Wykonała swoje zadanie, czekało na nią setki innych. Nigdy nie siedziała beczynnienie. Zbyt wiele miała do zrobienia. Musiała organizować ludziom życie. Przywracać porządek. Osiągnąć standardy niemożliwe do osiągnięcia.

- Obawiam się, że czasem ją trochę ponosi. - Marina przeprosiła za przyjaciółkę. David się uśmiechnął i straciła apetyt, czując motylki w żołądku.

- To nic - wyszeptał konspiracyjnie. - Znam Susie od jakiegoś czasu. Można przywyknąć. Znaie się od lat, prawda?

- Z górą dwadzieścia. Czasem trudno uwierzyć. David popatrzył na nią zagadkowo.

- Mam nadzieję, że się nie obrazisz...

Marina wciągnęła głęboko powietrze, wiedząc lepiej od innych, jak boleśnie mogą urazić słowa.

- ...ale chyba nie bardzo pasujecie do siebie z Susie. Szybko wypuściła powietrze.

- Ponieważ tak bardzo odbiegamy wyglądem?

- Och nie, chodziło mi o to, że różnicie się jako ludzie. Z tego, co słyszałem, ty zrobiłaś fantastyczną karierę, podróżujesz służbowo po całym świecie, masz urocze mieszkanie, nie wiąże cię rodzina. Tyle osiągnęłaś, podczas gdy Susie...

Susie miała raczej pracę niż karierę. Miała męża i dzieci zamiast zaburzeń odżywiania. Miała wielki, przestronny dom zamiast gustownego ciasnego pudełka w apartamentowcu. Miała życie zamiast chwili obecnej.

- Wiem, że nie powinienem tego mówić jej najbliższej przyjaciółce - ciągnął David - ale ona jest trochę, no cóż, powierzchowna.

Marina obraziła się w zastępstwie przyjaciółki.

- Więc nie znasz jej tak dobrze, jak sądzisz. Ona nie jest powierzchowna, jest... zajęta. Po prostu nie ma czasu na filozoficzne dyskusje. Jest pracującą matką. I nie tylko pracuje na pełen etat i zasiada w komitetach charytatywnych, ale również działa w stowarzyszeniach szkolnych. Co najmniej dwa razy w tygodniu wydaje proszone obiady. A widziałeś jej ogród? To wyłącznie jej dzieło.

David wydawał się przestraszony tym katalogiem szaleńczej aktywności. Marina podobnie. Dopiero teraz, kiedy podsumowała w ten sposób życie Susie, dostrzegła nić desperacji przewijającą się przez chaotyczny obraz. Nie miała czasu, by to przeanalizować, bo David pospieszył z przeprosinami.

- Nie chciałem cię obrazić, krytykując Susie. To było tylko luźne spostrzeżenie. Przepraszam.

- Nie, to ja przepraszam. Masz rację, w pewnym sensie nie pasujemy do siebie. Zaperzyłam się, bo myślałam, że... no, że masz co innego na myśli. Oczywiście, że nie jesteśmy już tymi nastolatkami, które podkradały ze sklepu lizaki z gumą do żucia i Podkochiwały się w Davidzie Cassidym. Nasze życie poszło w różnych kierunkach. Ale właśnie ta przeszłość jest tym, co zawsze będzie nas łączyć. Jeżeli to coś tłumaczy.

David zastanowił się nad tym, co powiedziała.

- Muszę przyznać, że nie rozumiem kobiecych przyjaźni. Zawsze opierają się chyba na czymś kruchym... podobnym środowisku pracy, miłości do meksykańskiej kuchni, nienawiści do mężczyzn. Przypuszczam, że jestem trochę zazdrosny. Mężczyźni rzadko tworzą związki, które trwają latami, niezależnie od zmiany statusu i okoliczności. Chyba nie mam takich przyjaciół. Mam za to kumpli do kieliszka, którzy lubią oglądać stare mecze Spursów, albo znajomych z pracy, na których też nikt nie czeka w domu.

Marina przestała wciągać brzuch i ścisnąć pośladki. Popijała też szampana bez śladu skrepowania. Była odprężona i dobrze się bawiła w towarzystwie tego mężczyzny.

Przypomniała sobie artykuły w czasopiśmie, które czytała jako nastolatka, o tym, że mężczyźni z reguły uwielbiają mówić o sobie i pochlebia im uwaga kobiety. Postanowiła posłuchać ich rady i miała nadzieję, że nie wyjdzie przy tym na idiotkę.

- Więc co to właściwie jest, nad czym pracujesz i przez co umrę?

David nie ukrywał podniecenia.

- No więc, to jeszcze bardzo wczesny etap badań, ale zdaje się, że wpadłem na lek, który powoduje utratę wagi. - Czekał niecierpliwie na reakcję Mariny.

Puf! Balon pękł. Marina była znów grubą kobietą. Zrozumiała momentalnie, że dla niego jest tylko niezbędnym podmiotem eksperymentu, kimś, kto musi się interesować wszystkim, co ma związek z kontrolą wagi. David nie zwracał uwagi na jej ciało wyłącznie dlatego, że nie musiał. Wiedział, że jest ogromne. Dowiedział się już od Susie i Kena, że zgromadziła na sobie wystarczająco dużo kilogramów, by znaleźć się w sferze jego badań.

Odchrząknęła.

- To fascynujące. Przypuszczam, że taki lek uczyniłby wynalazcę bardzo bogatym człowiekiem, zważywszy, że ponad pięćdziesiąt procent kobiet w samym Zjednoczonym Królestwie ma nadwagę.

- A drugie pięćdziesiąt procent uważa, że ją ma - zażartował David.

Marina roześmiała się uprzejmie, bez przyjemności. Zdawała sobie sprawę, że ten przystojny nieznajomy spogląda na nią z namysłem, wzrokiem, z jakim się jeszcze nie spotkała. Widywała na twarzach ludzi niezdrową ciekawość i odrazę, ale ten naukowiec

szacował ją jak... jak obiekt. Nie wiedziała, co się dzieje, i nie podobała jej się ta niepewność.

Zapadła chwila ciężkiej ciszy, kiedy oboje poprawiali na sobie ubranie albo udawali, że słuchają Phila Collinsa, którego Ken wybrał na wieczór, wyliczywszy średnią wieku gości.

Oboje podskoczyli, kiedy radosny głos Susie wezwał ich do jadalni, gdzie miał nastąpić kolejny etap koszmaru. Marina została usadzona między Davidem i Kenem. Wdzięczna choć za to, że uniknie dalszego ciągu wywodu sprzedawcy cegieł na temat braku subwencji rządowych dla przemysłu cementowego, poświęciła całą uwagę Kenowi.

- Co słyszeć w pracy, Ken?

Ken wyraźnie się przestraszył i Marina pomyślała, że pewnie krzyczy, jak zawsze po paru drinkach.

- Ee... W porządku. David chyba już ci powiedział o tym rewelacyjnym odkryciu. Jeżeli to się uda, Perrico zaistnieje na rynku.

- Tak, wspomniał coś o nowym leku.

- O odłuszczaczu. Och, przepraszam, Mućka, ale tak to właśnie nazywamy. To nie znaczy, no wiesz...

Wiedziała.

Wkroczyła Susie z talerzem surowych warzyw i dwiema miseczkami dipów.

- Smacznego, ale nie szalejcie, jest ogromne drugie danie i wyjątkowo grzeszny pudding na deser! Zostawcie sobie miejsce.

Marina umierała z głodu. Przetrwała dzień na jabłku, dwóch ryvita i valium, które pomogło jej przespać najgorsze bóle głodowe po południu. Mogłaby zjeść wszystkie przystawki razem z ceramicznym talerzem w kształcie sałaty i jeszcze wcisnęłaby wołowy udziec. Pocieszała się myślą, że grubasy mają przynajmniej prawo jeść surowiznę bez potępiających spojrzeń współbiedników.

Wszyscy zachwycali się posłusznie i udawali, że nie wiedzą, czy skusić się na kalfiorową różyczkę, czy kawałek pora. Marina patrzyła, jak Susie i lalka Sindy skubią przystawki i robiła to co one, różyczka w różyczkę. Zauważyła, że panowie raczą się go-

raćymi bułeczkami i obficie smarują je masłem. Pięćset kalorii, zanim w ogóle podnieśli widelec i wszystko im jedno, pomyślała z żalem.

Obserwowała Davida opychającego się pieczywem, jakby nie jadł od wieków. Faktycznie nie jadł od wieków, ale nikt nie zgadłby dlaczego.

Marina musiała przyznać, że dip jest pyszny. Cokolwiek by się mówiło o anorektycznym podejściu Susie do serwowanych porcji, miała rękę do sosów i dipów. Były zawsze bezwstydnie kremowe i treściwe. Susie wiedziała, że ma talent, i konsekwentnie nie chciała ujawnić swoich przepisów.

To była jej kulinarna mantra: Mam sekretny składnik - nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedziała!

Marina była z tego niemal zadowolona - jeden delikates mniej w karcie, kiedy przychodził atak obżarstwa.

Kłopot z surowymi warzywami (poza tym, że powodują wzdęcie) polega na tym, że trudno je cicho pogryźć. Marina ssła brokuły, aż robiły się na tyle papkowate, by je przegryźć bez zwracania na siebie uwagi. Wszystko to utrudniało rozmowę i słyszeć było tylko chrupanie i głos Phila Collinsa.

Susie, która oznajmiła, że „się opchała” dwoma łydkami selera, uznała, że dość jedzenia i czas na właściwą rozmowę. Proszę cię, Boże, niech nie zacznie o tabletkach odchudzających, w duchu modliła się Marina.

- Czy David powiedział wam już o swoim zdumiewającym odkryciu? - Susie zwróciła się do gości. Nikt nie odpowiedział, byli zbyt zajęci wydłubywaniem łupin kukurydzy spomiędzy zębów.

Susie mówiła dalej, nie zważając na posępny wyraz twarzy Mariny.

- Och, Davidzie, jesteś zbyt skromny! Myślałam, że już obwieściłeś to całemu światu. David wynalazł tabletkę, od której się chudnie, niezależnie od tego, co się je i ile się ćwiczy. Czy to nie fantastyczne? Namawiam go, żeby dał mi kilka, bym mogła się pozbyć swoich ogromnych ud, ale on jest nieugięty!

Zapadła niezręczna cisza; Susie wpatrywała się w Kena znacząco. Przestał dłużyć w zębach i wygłosił swoją kwestię.

- Nie masz ogromnych ud, w ogóle nic ogromnego. Jesteś szczupła jak modelka.

Susie roześmiała się niby to zaskoczona, jakby nie wytrenowała męża, żeby wypowiedział to zdanie przy niezliczonych okazjach w ciągu wielu lat.

- Tylko tak mówisz. Jestem gruba jak bela. W każdym razie David będzie bardzo sławny i zarobi dla Perrico mnóstwo pieniędzy. Nie wstydź się, Davidzie, mów! Ciekawość nas zżera!

David westchnął. Bardzo lubił być w centrum uwagi, ale wolałby, żeby się to odbyło przy pełnym żołądku, a już się domyślił, że trzeba będzie wielu bułeczek z masłem, by zrekompensować skromny posiłek.

Ale znał swoje obowiązki gościa.

- Niewiele da się powiedzieć na tym etapie. Z całą pewnością środek działa na myszy i wydaje się działać na ludzi, choć tutaj badania są jeszcze w powijakach.

Ken zakrztusił się marchewką - wiedział, że David wypróbował lek na sobie, łamiąc wszelkie zasady zawodowe i etyczne. Laleczka Sindy ożywiła się, rozważając możliwości.

- Czy to będzie działało na każdego niezależnie od wagi, czy tylko na absolutnego potwora?

Marina opróżniła jednym haustem cały kieliszek wina. Nie bawiła się dobrze. Przypuszczała, że w rozmowie padną wszystkie możliwe synonimy słowa „gruby”, od „atletyczny” po „zeppelinopodobny”.

David zastanawiał się nad odpowiedzią.

- W zasadzie powinno działać na każdego. Człowiek spala tłuszcz w określonym tempie. Jeżeli ma niedowagę, to znaczy, że spalacz jest trochę zbyt wydajny. Jeżeli ktoś ma właściwą wagę, jego termostat działa prawidłowo. W przypadku nadwagi.

Jesteś łakomym prosiakiem, który zasługuje na to, żeby wyglądać jak silos. Marina się wyłączyła. Przeczytała wszystkie książki, wszystkie artykuły. Wiedziała wszystko o spalaniu kalorii i wadliwych termostatach. I przebiegłej tarczycy. I o predyspozycjach genetycznych. I problemach hormonalnych. Wiedziała również, że podobnie jak wiele innych otyłych kobiet jest gruba, ponieważ ładuje w siebie bez opamiętania tysiące kalorii, aż do momentu, kiedy jest fizycznie zbyt słaba, by dalej jeść. Mogliby podkręcić jej termostat do poziomu fuzji nuklearnej, a ona by się nadal obżerała.

- Mućka? - Głos Susie wyrwał ją z zamyślenia.

Wszyscy się na nią gapili. Zadano jej pytanie, a ona nie słuchała. Wspaniale! To tylko utwierdzi ich w przekonaniu, że wszystkie grubasy są głupie. Potrząsnęła głową z szerokim uśmiechem, niby roztrzępane dziewczątka przyłapane na niestosownym bujaniu w obłokach.

- Przepraszam, nie słuchałam. Susie cierpliwie powtórzyła pytanie.

- Zastanawialiśmy się, co sądzisz o cudownej tabletkie Davida. Oczywiście, wzięłabyś ją, każdy by ją wziął, ale jak by to wpłynęło na twoje życie?

Marina dobrze się zastanowiła nad odpowiedzią. Czowała pięć par oczu wbitych w potwora przy stole, próbowali ją sobie wyobrazić bez pięćdziesięciu kilogramów tłuszczu. Jej odpowiedź zaskoczyła ją samą.

- Wcale nie jestem pewna, czy wszyscy chcieliby wziąć tabletkę. Nie jestem nawet pewna, czy sama chciałabym to zrobić.

Ryknęli śmiechem, ubawieni absurdalnością tego, co powiedziała. Grubaska, która mówi, że nie wzięłaby cudownej tabletki na otyłość! Zabawne! Niesłychane! Marina czytała w ich myślach: na litość boską, gdyby oni mieli podobny problem z nadwagą, wstrzyknęliby sobie toksyczne odpady, gdyby istniał choćby ułamek szansy, że to ich odchudzi, nie zabijając przy okazji. A gdyby zabiło, no cóż, lepiej być martwym niż grubym.

David pierwszy przestał się śmiać.

- Ale poważnie, Marino. Ciekawi mnie twoja opinia. Jaki, twoim zdaniem, byłby stosunek ludzi?

Marina parsknęła.

- Dobrze wiesz, jaki byłby stosunek ludzi. Trafiasz w najczulszy punkt kobiecej psychiki. Większość kobiet dałaby za to wszystko, nie zastanawiałaby się nawet nad konsekwencjami.

- A jakie byłyby to konsekwencje, poza dobrą figurą bez walki o nią? - zapytał David.

- Otóż to! - zawołała podniecona Marina. - Jeżeli nie musisz o to walczyć, to... - urwała, nie mając bladego pojęcia, dokąd zmierza.

Susie wiedziała bardzo dobrze.

- Och, Mućka, to dla ciebie takie cholernie typowe. Wszystko musi być trudne. Niczego sobie nie ułatwisz. Pamiętam, jak zdawałyśmy matematykę po podstawówce i Julia Drummond zdobyła arkusze egzaminacyjne. Byłaś jedyną osobą w klasie, która ich nie kupiła, i tylko ty nie dostałaś szóstki.

Marina doskonale pamiętała, jakim upokorzeniem była tamta czwórka.

- Co jest złego w tym, że nie chcę oszukiwać? Susie popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- To, że wszyscy oszukują, kiedy mają po temu okazję. Nie oszukując wtedy, gdy sposobność sama wchodzi ci w ręce, utrudniasz sobie życie. Kiedy istnieje łatwa droga wyjścia, dlaczego z niej nie skorzystać?

Marina nigdy nie oszukiwała. Jeżeli nie liczyć diet, kiedy potrafiła udawać, że nie było czekoladowego puddingu, który pochłonęła w try miga w drzwiach kuchni. Potrafiła też „zapomnieć” o pięciuset kaloriach prażonych orzeszków zjedzonych w samochodzie. Na wpół wierzyła nawet w zabobon, że kalorie się nie liczą, jeżeli je się na stojąco albo wtedy, gdy nikt nie widzi.

Ale największym oszustwem było kłamstwo, jakie wygłosiła przed chwilą. Pigułka, która by ją odchudziła? Kogo chciała oszukać? Oczywiście, że by ją wzięła. I nikomu o tym nie powiedziała. Mówiłaby, że chudnie, bo jest na superdiecie i w końcu wyrobiła sobie silną wolę. Ale kłamstwo zostało wypowiedziane i musiała w nim trwać.

- Po prostu uważam, że to wbrew naturze. Będzie to miało wpływ na nasze organizmy i przyszłe pokolenia, choć być może skutki uboczne nie będą natychmiastowe. Jak w przypadku talidomidu.

Laleczka Sindy dobrała się do Mariny ostro.

- Chcesz powiedzieć, że olbrzymia tusza jest czymś naturalnym? Albo zdrowym? Na pewno lepiej jest wziąć coś, co spowoduje spadek wagi, nawet jeżeli wiąże się to z jakimś ryzykiem, niż narażać się na udar i atak serca, bo masz arterie zatkane tłuszczem i organy wewnętrzne tak obciążone, że nie mogą funkcjonować.

Marina czuła, jak się czerwieni pod tym jawnym atakiem na własne ciało. Susie pospieszyła jej na pomoc.

- Myślę, że to trochę niesprawiedliwe wobec Mućki. Niektórzy ludzie nie są winni swojej tuszy. Choćby Mućka. Je tyle co ptaszek, a spójrzcie na nią. To pewnie gruczoły albo coś w tym rodzaju. Zresztą zapominacie, że niektóre grube kobiety są zadowolone ze swojej tuszy. Nie można zmuszać ludzi, żeby byli szczupli, jeżeli nie chcą. - Rzuciła porozumiewawcze, krzepiące spojrzenie w stronę Mariny, która aż się skuliła, słysząc ten naiwny wywód, i mówiła dalej: - Ale uważam, Marino, że świadomie przymykasz oczy na pewne sprawy, z góry odrzucając tę pigułkę. Zawsze ci to mówiłam. Wiem, jak świetnie ci się ułożyło w pracy, ale musiałaś harować jak wół, żeby to osiągnąć. Powtarzam tylko twoje słowa: szczupłym ładnym kobietom łatwiej osiągnąć sukces. Nie twierdzę, że z własnej winy masz nadwagę, ale nigdy nie próbowałaś rozwiązać swoich problemów. Pomyśl tylko, o ile łatwiej by ci się żyło, gdybyś podeszła do nich poważnie. - Złagodniała, czując, że Marina może być zażenowana tym publicznym rozgrzebywaniem jej spraw. - Przepraszam. Czasem mnie ponosi, bo wiem, jak ciężko walczysz o wszystko. Zasługujesz na łatwiejsze życie. I chciałabym, żebyś założyła rodzinę. Nie mogę znieść myśli, że jesteś sama.

Marina czuła w ciele każdy mięsień. Bolała ją głowa i plecy i rozpaczliwie chciała iść do toalety, ale bała się, że będą o niej mówić, jak tylko wyjdzie z pokoju. Zaczęła odychać tak, jak nauczyła ją ciężarna sekretarka w firmie, i czekała, aż napięcie zelżeje.

- Może Marinie nie potrzeba do szczęścia tyle co tobie, Susie - interweniował Ken.

Mąż i żona wymienili znaczące spojrzenia. Marina zanotowała w myślach, żeby spytać o to Susie przy następnym spotkaniu. Usta Susie utworzyły cienką czerwoną linię, ale szybko przyszła do siebie i zaczęła zbierać prawie czyste talerze.

- Przyniosę główne danie. Pomożesz mi, Ken?

Ken właściwie zinterpretował pytanie - jako jasny rozkaz, i usłuchał bez wahania. Poszedł za żoną do kuchni i po chwili zaczęły dolatywać stamtąd gniewne szepty, których nie zagłuszała senna kołysanka Chrisa De Burgha, który przejął mikrofon od Phila Collinsa.

David zaczął mówić ku irytacji Sindy (i Mariny, gdyby miała być szczerą), która próbowała usłyszeć, o co kłóca się Ken, i Susie.

- Mam nadzieję, że się nie gniewasz, Marino. Pewnie ci się wydaje, że na ciebie

naskoczyliśmy, a nie miałem takiego zamiaru. Ale powiedzmy to uczciwie, ważysz więcej, niż wynosi norma, i moja pigułka mogłaby zmienić twoje życie, sądzę, że na lepsze. Naprawdę chcę wiedzieć, co o tym myślisz.

Marina westchnęła.

- Davidzie, słyszałeś kiedyś o grupie o nazwie 5F? David był skonsternowany.

- Są na liście przebojów?

Marina roześmiała się, choć wcale nie było jej do śmiechu.

- To nie jest grupa muzyczna. To organizacja, która zrzesza kobiety o podobnych poglądach na kwestię tuszy. Protestują przeciwko społecznej presji bycia szczupłym. One... my... mamy dużą nadwagę według współczesnych norm, ale nie dbamy o to. One... my... jemy co chcemy, nigdy się nie ważymy i nie ulegamy presji wywieranej przez modę, i nie przestrzegamy zasad ustanowionych przez dyktaturę czasopism kobiecych. - Była pod wrażeniem własnej elokwencji, choć tylko recytowała, powtarzała jak papuga to, co przeczytała przed paroma dniami. Pierwsze spotkanie z 5F miała dopiero za tydzień i jak na razie nie wiedziała nawet, czy na nie pójdzie. David był zaintrygowany.

- Więc kobiety w tej grupie jedzą, co chcą? Nie przestrzegają diet? Nie mają tych dziwnych cykli objadania się i głodówek? To musi oznaczać, że ich waga nie zmienia się tak często, jak dzieje się to u kobiet stosujących diety. - W jego zimnych, niebieskich oczach pojawił się znów wyraz zamyślenia.

Marina na chwilę straciła wątek, próbując zinterpretować to dziwne spojrzenie. Odchrząknęła i odpowiedziała na pytanie.

- Tak - odparła z przekonaniem, niezupełnie pewna, czy takie są fakty, ale bardzo pragnąc, by to się sprawdziło w jej przypadku.

David się zamyślił.

- Interesujące - mruknął.

Do pokoju wkroczyła Susie, triumfalnie niosąc niewielki półmisek z jednym pieczonym kurczakiem.

- Mam nadzieję, że jesteście głodni! - zawołała radośnie.

Marina jęknęła z rozpacz, kiedy potwierdziły się jej najgorsze obawy. Kurczak

miał wystarczyć dla wszystkich. Tylko myśl, że zajedzie do McDonalda w drodze do domu, dała jej siły, by przyjąć z wdzięcznością skrzydełko, chudziutkie i samotne pośrodku talerza, na którym były trzy ziemniaki i trzydzieści siedem groszków. Wiedziała, że jest ich trzydzieści siedem, bo policzyła.

David wszedł do swojego małego mieszkania i ostrożnie włączył światło. Odechnął, pełen wdzięczności, że jeszcze nie odcięli prądu. Usiadł i wysupłał z kieszeni bułeczki, które ściągnął z kuchni, zanim wylądowały w koszu na śmieci. Było ich pięć. Przy odrobinie samozaparca powinien przeżyć na nich całą niedzielę i jeszcze zostanie coś na poniedziałkowe śniadanie.

David Sandhurst nie miał pieniędzy. Literalnie żadnych. Nie oznacza to „żadnych pieniędzy” w sensie używanym przez ludzi, którzy mogą sobie pozwolić, tylko na dwa, nie trzy tygodnie na St Lucii. Oznacza natomiast, że nie ma żadnych pieniędzy, żadnego dostępu do pieniędzy, nic do sprzedania, całkowite odcięcie wszystkich źródeł kredytów. W poniedziałek rano na jego konto bankowe wpłynie pensja i David rozpocznie od nowa daremną walkę o to, by wyżyć z niej do następnej wypłaty. Będzie omamiał kredytodawców, wymyśli taką wersję zwykłych kłamstw i usprawiedliwień, która pozwoli jeszcze trochę przesunąć ostateczny termin spłaty.

W gruncie rzeczy nie był tym zmartwiony. Zawsze mu się w życiu układało. Koniec końców.

David przyszedł na świat hojnie obdarowany przez naturę. Miał wyjątkowy intelekt. Był wyjątkowo przystojny i wyjątkowo uroczy. Jego przeznaczeniem było zmienić świat. Powinien być - byłby - wizjonerem. Ale otrzymał też w darze jeszcze coś, co okazało się czynnikiem decydującym - szczęście i lenistwo.

Być może nie występowały równocześnie, być może pierwsze było nieuniknionym prekursorem drugiego. Stałe przejawy szczęścia, nieodmiennie w najbardziej stosownych momentach w burzliwym życiu Davida, pozwalały mu ulegać syreniemu głosowi lenistwa, przez co nigdy nie poznał swoich prawdziwych możliwości.

Już w szkolnych czasach, kiedy nauka przychodziła mu łatwo i osiągał zawsze wspaniałe rezultaty przy minimalnym nakładzie pracy, uznał, że nadmierne wydatkowanie energii byłoby czystym marnotrawstwem. Jeżeli mógł zdobyć siedemdziesiąt punk-

tów i otrzymać piątkę, po co wysilać się na kolejne dwadzieścia? Nie było piątki z plusem, nic więcej do zdobycia.

Z czasem dokonał jeszcze bardziej zdumiewającego odkrycia. Nawet jeżeli pracował mniej, niż to było wymagane, rezultaty i tak były dobre. Bo miał szczęście. Jeżeli przyswoił sobie trzy z pięciu tematów, na egzaminie dostawał pytania z tych trzech, o których coś wiedział. Jeżeli nie uczył się w ogóle, zajęty nową książką, programem w telewizji, dziewczyną, wymyślał genialną chorobę, która zwalniała go z zajęć bez wzbudzenia najmniejszych podejrzeń.

Posady pojawiały się, kiedy potrzebował pieniędzy. Przyjaciele pojawiali się, kiedy znudziło go (rzadko) własne towarzystwo. Jego rodzice umarli i pozostawili mu niewielki spadek - w samą porę, by mógł wykupić mieszkanie.

Miał szczęście.

Ale fakt, że na nim polegał, oraz nieumiejętność wykorzystywania własnych zasobów w obliczu przeciwności losu, od czasu do czasu wpędzały go w kłopoty, jak choćby teraz. Po odkryciu oxymetabulinu zaplanował następnych dziesięć lat swojego życia. Zbije fortunę, absolutną fortunę, jak tylko lek wejdzie na rynek. OK, trochę to potrwa, wszystkie procedury, protokoły i cała reszta, ale lek działa i cały świat się o tym dowie.

Więc zaczął trwonić fortunę. Zanim ją zdobył.

Miał dwanaście kart kredytowych z wyczerpanym limitem kredytowym, trzy pożyczki bankowe (na nieistniejący samochód, nieistniejącą kuchnię na zamówienie i nieistniejące wakacje na Karaibach) oraz cztery pożyczki od firm, które nie zadawały tyle pytań co banki (za to liczyły sobie procent odwrotnie proporcjonalny do liczby pytań). Jeżeli chodzi o majątek, nie mógł się niczym poszczycić, z wyjątkiem pękatej garderoby markowych ubrań. Ten smutny, naiwny człowiek wydawał prawie wszystkie (pożyczkowe) pieniądze na starannie zaplanowane, spontaniczne, kosztowne, bardzo kosztowne gesty, które miały wywrzeć wrażenie na kobietach. Zabierał je samolotem na długie weekendy w Nowym Jorku, nieświadomy, że przy jego wyglądzie i uroku osobistym kobiety byłyby równie zachwycone, gdyby zabrał je do własnego mieszkania, zamówił pizzę i puścił coś na wideo.

Ktoś wspaniałomyślny mógłby uznać tę niepotrzebną ekstrawagancję za ujmujący

dowód braku pewności siebie, który podważa pierwsze wrażenie, że mamy do czynienia z najwyższą formą arogancji i egoizmu. Można by też okazać się realistą i stwierdzić, że facet jest kompletnym idiotą w dziedzinie stosunków międzyludzkich.

Zresztą wszystko to nie miało znaczenia. Wkrótce będzie mieć dość pieniędzy, żeby być tak głupi, jak mu się spodoba - Perrico obiecało mu premię w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy funtów, jak tylko badania nad oxymetabulinem zostaną pomyślnie zakończone.

A tymczasem miesiące mijały na nużącej walce. Kiedy jego pensja wpływała na konto, wpłacał minimalną kwotę wymaganą przez połowę kont kredytowych. Odblokowawszy te konta, spłacał pozostałe karty. Odblokowawszy te karty... i tak dalej, i tak dalej. Podczas tego cyklu urywał tylko po dziesięć funtów, to tu, to tam, na absolutne życiowe minimum.

Przy życiu trzymało go niekwestionowane powodzenie u kobiet. Zachęcał je, aby gotowały (bardzo obfite) posiłki i kupowały mu drobne prezenty (o dużej wartości odsprzedawczej).

Największym upokorzeniem były piątkowe wyprawy do Sainsbury's, kiedy przeceniano produkty o krótkim okresie ważności. Rozpychał się w tłumie zmordowanych, splukanych gospodyń domowych, walcząc o tanie udka kurze albo steki za połowę ceny. Zapewniał koszyk wgniecionymi konserwami i słoikami dziwacznych specjałów, które nadawały się tylko do tego, żeby je odsprzedać klientom na Finchley za jedną trzecią ceny. David nigdy nie wydał na koszulę mniej niż dziewięćdziesiąt funtów, ale nie kupił puszki zielonego groszku, jeśli jej cena nie spadła poniżej piętnastu pensów.

Ta walka zaczynała go jednak nużyć. Musiał koniecznie przyspieszyć testowanie oxymetabulinu i namówić Perrico, by mu wypłaciło niewielką zaliczkę z tytułu premii. Pojawiły się nieprzewidziane opóźnienia, ale ten dzień okazał się decydującym krokiem naprzód.

Było tak, jak myślał. Marina miała klucz. Musiała mieć, po prostu musiała.

Świąteczne dekoracje w recepcji TNSW były gustownie monochromatyczne i kosztowne. Czerwone bombki z delikatnymi znakami firmowymi klientów dyndały na potężnym świerku, który zrzucał igły za każdym razem, gdy aktówka Louisa Vuittona śmigła obok.

Andy Cline mrugnął do pięknej, wytwornej i kompletnie głupiej recepcjonistki, która miała utrzymać posadę tylko do chwili, gdy prezesowi Sparkleeze znudzi się w łóżku. Jak wiele agencji reklamowych, TNSW szczyła się pełną obsługą klienta i jeżeli ta obsługa wymagała zatrudniania kochanek klientów, firma była na to gotowa. Andy również czuł pewną skłonność ku dziewczynie, ale karierę cenił sobie wyżej niż przelotną żądę, tym bardziej że mógł ją z łatwością zaspokoić gdzie indziej. Jego dyrektorski notatnik pękał od nazwisk i numerów telefonów.

Udało mu się przejść przez budynek, nie przewracając choinki. To będzie dobry dzień, zwłaszcza że nie ma Mariny (żarty w męskiej toalecie o fundamentach firmy, które zrobiły sobie wolne). Tamten kosztowny lunch z sekretarką Mariny, sprzed paru tygodni, bardzo się opłacał, dziewczyna z radością informowała Andy'ego o planach swojej szefowej.

Najwyraźniej Marina wzięła wolne z powodów osobistych. Sekretarka zasugerowała, *sotto voce*, że musi chodzić o sprawy ginekologiczne, jedyne wytłumaczenie, dlaczego Marina robiła z tego tajemnicę. Wzmianka o ginekologu wybawiła Andy'ego z kłopotu. Skorzystał z okazji, aby zwołać zebranie grupy zajmującej się firmą Sparkleeze i zaprosić na nie Ricka Gifforda, dyrektora naczelnego, oraz podkreślić znaczenie nowego kontraktu dla świetlanej przyszłości agencji.

Zebranie zaplanowano na dziesiątą trzydzieści, miał więc trochę czasu, by przygotować się do obrad. Sprawa była niezwykle delikatna. Marina osobiście zdobyła ten kontrakt. Spotkała Paula Jerome'a na bankiecie po wręczeniu nagród i czując, że jest niezadowolony z agencji, z którą był związany, zaprosiła go do TNSW na orientacyjną prezentację. Owszem, poprowadzili ją wspólnie jako Menedżerowie Nowych Przedsięwzięć, było jednak oczywiste, że to Marina gra pierwsze skrzypce.

I tego nie potrafił zrozumieć. Znał się na kobietach, ale znał się też na mężczyznach. Paul Jerome był mężczyzną takim samym jak on, to pewne. Równie pewne było to, że powierzchowność Mariny musiała działać na niego odpychająco, jak, na każdego normalnego faceta. Tymczasem on słuchał jej uważnie, z szacunkiem. On ją nawet - o rany! - lubił.

Kontrakt został zdobyty i Rick powierzył zarządzanie nim Marinie. Andy miał pod jej kierownictwem zajmować się sprawami Sparkleeze'a, a jednocześnie zabiegać o nowy biznes, by dorównać rywalce. Rick nie musiał nawet jednym słowem szepnąć o nagrodzie. W niedalekiej przyszłości zwolni się miejsce w zarządzie, po gościu z trzydziestoletnim stażem, który przez ostatnich pięć lat pojawiał się w biurze tylko po to, by zabrać kolorowe czasopisma.

Jedno miejsce. Dla jednego członka zarządu. Albo dla Andy'ego, albo dla Mariny. Nikt nie ogłaszał, że w tym konkursie liczyć się będzie wartość pozyskanych kontraktów, ale bez wątpienia nieoczekiwane zdobycie Sparkleeze'a wzmocniło notowania Mariny. I - na miłość boską - w zeszłym tygodniu Rick zaprosił Marinę na lunch. Tylko ją!

Tak, musi działać. Nie ma możliwości, by wyszukał i zdobył nowy, porządny biznes w najbliższym czasie. Powinien znaleźć jakiś bardziej subtelny sposób. Podniósł słuchawkę telefonu, wybrał numer Sparkleeze'a i starając się, by jego głos nie zdradził żadnych złych intencji, poprosił o połączenie z Paulem Jerome'em.

Pięć minut później wszedł bez pukania do gabinetu Ricka, jak zawsze lekceważąc upodobanie szefa do przestrzegania reguł biurowego *savoir-vivre'u*. Być może nieświadomie odwoływał się w ten sposób do wspólnej przeszłości, kiedy to, między innymi, zajmowali sąsiednie, czasem nawet wspólne łóżka w szkolnym internacie. Rick podniósł głowę i odezwał się z pewnym zniecierpliwieniem, ale i wyrozumiałością:

- Wejdz!

Andy usiadł na twardym taborecie, zaprojektowanym z myślą o skróceniu czasu nasiadówek. Oparł nogi na blacie stolika, którego brzydota świadczyła o najnowszej modzie. Zachowywał się z profesjonalną, wystudiowaną swobodą.

- Właśnie zaprosiłem Paula Jerome'a, żeby wpadł dziś rano i pogadał z naszym zespołem, więc pomyślałem, że pewnie chciałbyś posiedzieć z nami.

Twarz Ricka nie zdradzała, że poznał się na tej taktyce. Bawili się w ten sposób od czasów przedszkolnych. Andy zachowywał się, jakby dorównywał intelektualnie Rickowi, ten zaś spokojnie docierał do sedna sprawy. Jego pytania mieściły się w regułach tej gry, choć były nader wymowne:

- Bez Mariny? Myślałem, że ona i Paul Jerome zostali chirurgicznie połączeni na stałe.

Andy wzruszył ramionami.

- Nie ma jej dzisiaj. Babskie sprawy czy jakieś inne podobne bzdury... A to nie może czekać.

- Co nie może czekać?

- Taki świetny pomysł na wystartowanie z kampanią Sparkleeze'a. Musimy działać szybko, jeśli coś ma z tego wyjść.

Rick przyjrzał mu się uważnie.

- Zdawało mi się, że Marina ma wpaść po południu. Na pewno nie możesz zaczekać?

- Paul Jerome ma czas tylko dziś przed południem. - Kłamstwo zabrzmiało naturalnie, chyba, i nie wzbudziło zastrzeżeń. - Później przekażę wszystko Marinie.

Przyjął milczenie Ricka za aprobatę i szybko wyszedł z gabinetu, nie chcąc czekać, aż szef wyprowadzi go z błędu.

O dziesiątej czterdzieści Andy wszedł do salki zarządu z tacą ciastek. Tani chwyt, ale niezawodny. Atmosfera natychmiast zelżała. Wspólne, mało dostojne usiłowania, by zjeść eklery, nie wyciskając śmietany z obu końców, połączyły wszystkich, z Rickiem włącznie. Z niezrozumiałych powodów zebrania prowadzone przez Marinę odbywały się w napiętej atmosferze. Nikt nie chciał patrzeć na jej ciało czy napomknąć o czymś, co kojarzyłoby się z jedzeniem. Nie dzielono się kit-katami, sekretarki nie wносиły talerzy z duńskimi ciasteczkami maślanymi, które tak lubili pracownicy. Bez względu na to, co Marina osiągnęła na polu zawodowym, jak bardzo przyczyniła się do wzbogacenia kolegów premiami za swoje sukcesy, dostrzegano w niej tylko tuszę.

Każdy dobry agent reklamowy powie, że cecha wyróżniająca nie zawsze jest pozytywna. Wszystko to, co wyróżnia produkt od konkurencji, musi wytrzymać najbardziej

skrupulatną weryfikację. Jeśli jest to nowy enzym w detergencie, który wybiela lepiej niż inne proszki, możesz wydać trzy miliony funtów, żeby pokazać pod mikroskopem, jak sok z jagód znika z tkaniny, musisz znaleźć słowo rymujące się z nazwą enzymu i zapłacić Eltonowi Johnowi za odśpiewanie hymnu na cześć twojego odkrycia, i jeszcze zaprosić dziennikarzy na ekskluzywną wycieczkę na Karaiby, żeby popatrzyli, jak pierzesz. Oto marzenie marketingowca.

Andy zaśmiał się, udając, że nie dostrzega zachmurzonego spojrzenia Ricka.

- Nie ma jej w firmie. Jakieś kobiece sprawy, tak przynajmniej mi powiedziano. Nie przejmuj się, jestem równie dobry, i dwa razy ładniejszy.

Wszyscy się roześmieli. Z wyjątkiem Paula. I Ricka. Andy ciągnął:

- Jesteśmy tu bardzo zżyтым zespołem, a ona będzie zadowolona, gdy dostanie notatkę ze szczegółowym sprawozdaniem. Znasz Marinę, niesamowicie pilnuje wszystkich papierków. Ja osobiście bardziej wolę działanie. Więc zaczynamy!

Zasiedli wokół asymetrycznego stołu, który miał tyle nóg i połączeń, że zagrażał męskości lub udom każdego, kto desperacko próbowałby wyciągnąć nogi pod matowym zielonym blatem.

Andy zgasił światła i włączył projektor.

- Tak jak powiedziałem panie młodej, gdy ją przyłapałem wychodzącą z damskiej ubikacji z oblubieńcem... - zaczął przy wtórze cichego śmiechu. - O, psia... To nie na tę okazję. - Zakaszlał i nadał twarzy poważny wyraz. - Celem naszego spotkania jest dokonanie przeglądu aktualnych propozycji dotyczących firmy Sparkleeze oraz zbadanie nowych możliwości w ramach zarówno obecnego, jak i rozszerzonego planu.

Słowa Andy'ego wywołały poruszenie. Plan został zatwierdzony już kilka tygodni temu. Marina nie wspomniała ani słowem o zmianach. W ramach obecnego, jak i rozszerzonego planu? O co tu chodzi? Od razu na wstępie zdecydowano, że kampania zostanie oparta jedynie na bezpośredniej reklamie. Drugorzędne działania, od bezpłatnych próbek po subtelne przedsięwzięcia z zakresu komunikacji społecznej, miały zostać rozważone po pierwszej fazie kampanii.

Twarz Ricka nie wyrażała niczego. Andy mówił dalej:

- Jak wszyscy wiecie, badania wykazały, że wchodzimy w czasie sprzyjającym

ofercie zarówno męskich, jak i damskich środków czyszczących: dla Pana Nadzianego i Pani Kosmopolitki. Zaplanowaliśmy dwie kampanie nastawione na tych adresatów i mamy spore nadzieje na sukces w najbliższych miesiącach.

Wszyscy poczuli, że zaraz pojawi się wielkie „ale”.

- Ale, zdałem sobie z tego sprawę wczoraj wieczorem, my nigdy tak naprawdę nie zbadaliśmy jednakowego podejścia, uwzględniającego wspólne użytkowanie produktu przez nowoczesną, parę. Jeżeli kobieta i mężczyzna wkładają finanse do wspólnej puli i sprawiedliwie dzielą się obowiązkami domowymi, dlaczego nie możemy założyć, że obie płcie jednakowo odnoszą się do prania i domowego niewolnictwa?

Nie traktujmy protekcyjnie kobiet, sugerując, że nie trzeba ich bardzo przekonywać, ponieważ mają genetyczne predyspozycje do proszków. I nie obrażajmy mężczyzn, spośród których wielu potrafi zadbać o siebie i o swoje mieszkanie, reklamami typu „Zły pan domu”.

Spójrzmy prawdzie w oczy: my wszyscy tutaj, mężczyźni i kobiety, młodzi, wolni, pozostający w jakichś związkach lub niezwiązani z nikim, mamy wspólną cechę. I cóż to jest?

- Wszyscy zastanawiamy się, dokąd cię, u licha, zaprowadzi to rozumowanie - spróbował odpowiedzieć młody pracownik, który tym pierwszym i ostatnim żartem przypieczętował swoje przejście do reklamy zatrudnienia.

Bezdźwięczny, bezlitosny śmiech Andy'ego pogiębił młodziaka, obwieszczając mu wyrok śmierci.

- Ale śmieszne! Zanim ktoś jeszcze zapragnie uszczęśliwić nas podobnym, nieudolnym wytryskiem swoich myśli, sam odpowiem na to pytanie. Seks! Oto co łączy nas wszystkich. Nieustanne myślenie o nim, poszukiwanie go i znajdywanie, jeśli mamy szczęście. - Przerwał, czekając na śmiech; kilku mężczyzn zareagowało posłusznie, ale żadna z kobiet. - Oto jest wspólny mianownik, uwzględniany od dawna przez niezliczone kategorie konsumentów. Dlaczego więc rynek powierzchniowych środków czyszczących nie dokonuje tego doniosłego skoku w nowe milenium?! Dlaczego nie nadajemy pracom domowym seksualnego wymiaru?!

Nikt nie odważył się odpowiedzieć. Nikt nie ośmielił się odgadywać, dokąd wie-

dzie to rozumowanie. Wszyscy byli świadomi walki o władzę, jaką toczą między sobą Marina" i Andy, i każdy troszczył się o to, by nie odkrywać swoich kart przed rozstrzygnięciem tej rywalizacji. Tylko dwie osoby mogły bezpiecznie włączyć się do tych rozważań: Paul Jerome, bo to był jego towar, i Rick Gilford, bo to była jego agencja. Pierwszy odpowiedział Rick:

- Już mieliśmy mężczyznę i kobietę, którzy wymieniali uwodzicielskie spojrzenia i robili niedwuznaczne aluzje nad zlewem. A co teraz?

- To nie jest prawdziwy seks - uśmiechnął się Andy. - To jest bezpieczny seks. A ja mówię o nagiej treści męskich i kobiecych fantazji. O pożądaniu. O ukrytych żądzach...

- Istnieją granice - przerwał mu Rick. - Granice tego, co możesz pokazać w scenerii domowych porządków.

Andy potrząsnął głową.

- Ja nie mówię o kuchni. Mam teraz do was wszystkich jeszcze jedno pytanie. Co najbardziej lubicie... poza seksem?

- Samochody! - wysnęło się młodzieńkowi, zanim zdążył pomyśleć. Tym razem miał szczęście, była to bowiem prawidłowa odpowiedź. Andy wyciągnął palec w jego stronę.

- No właśnie! Samochody! Kochają je nie tylko mężczyźni. W ostatnim wydaniu „Reklamy Dziś” opublikowano wyniki najnowszych badań, które niezbitnie dowodzą, że nowoczesne kobiety są tak samo zainteresowane samochodami. Samochody! Nie widziacie tego? Samochody, oto co nas łączy!

Ale nikt tego nie widział. Co łączy seks, samochody i płyn do czyszczenia okien?

Andy rzucił na ekran serię przezroczy. Był to montaż scenek z najbardziej ruchliwych skrzyżowań ulicznych Londynu. Uczestnicy zebrania byli jeszcze bardziej zdeorientowani. Oglądali najmniej seksowny, najmniej podniecający aspekt miejskiej motoryzacji - meneli z gąbkami i wiaderkami brudnej piany. Andy wyczuł niechęć filmowanych kierowców do niechcianych i podłej jakości usług świadczonych przez wykolejonych szczeniaków.

- Bardzo seksowne! - mruknął ktoś. Andy przerwał seans.

- Przepraszam, czy ktoś coś mówił?

Odpowiedzi nie było; myśl o ratach czekających na spłacenie stłumiła wszelką chęć udziału w dyskusji, której wynik był z góry przewidziany.

- Ten, kto to powiedział - uśmiechnął się Andy - miał rację. Nie ma nic seksownego w ulicznym menelu paskudzącym szyby auta parszywą ścierką i szczerzącym zęby tuż przed oczami kierowcy. Ale ja wam powiem, co jest sexy... A raczej pokażę.

Znowu uruchomił projektor i w jednej chwili temperatura w sali się podniosła. Niemal pornograficzne, umiejętnie naświetlone obrazy przykuły uwagę zebranych. Striptizerki tuliły drogocenne biusty do namydlonych szyb, odgarniały pianę, ukazując wniebowzięte oblicza kierowców. Gdy ci opuszczali boczne szyby, modelki sięgały do plecaczków i ofiarowywały szczęśliwym automobilistom darmową próbkę Sparkleeze'a. Maleńka, doskonała w kształcie buteleczka stawała się w rączkach takiej panienki seksualnym prezentem, przyjmowanym z uśmiechem na ogół niewidywanym na twarzach mężczyzn, którym właśnie wręczono płyn do mycia szyb.

Kobiety w salce zachichotały. Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki obrazy na ekranie się zmieniły. Tym razem autami kierowały kobiety, a striptizerki przemieniły się w brutali o grubo ciosanych rysach twarzy i umięśnionych torsach ze skały. Męska część zgromadzenia zareagowała śmiechem i spojrzeniami typowymi dla szkolnych świntuszków - w stronę koleżanek.

Panie zareagowały inaczej, niż Andy się spodziewał. Ich twarze przybrały wyraz wymuszonej tolerancji, jaką widuje się u matek wachających niemowlęce pieluszki. Były poirytowane. Znużone. Tylko udawały rozbawienie.

Jak wielu mężczyzn Andy widział sporo damskich imprezek z udziałem striptizerów, ale miał na ten temat zupełnie błędne pojęcie. Wyobrażał sobie naiwnie, że towarzyszące temu piski wyrażały nieopanowane pożądanie nagich męskich ciał. Nie rozumiał, że ten jazgot damskiego towarzystwa był w istocie histerycznym śmiechem. Ogłupiały go reklamy z napompowanymi, ponurymi chłopcami-mężczyznami, usiłującymi skusić urzędniczki i gospodynie domowe, by kupiły rzeczy... które już kupiły. Całkowicie zapominał o tym, że te reklamy były produkowane przez facetów i stąd zupełnie chybione.

Biedny ignorant, myślicie. Współczucie nie jest tu potrzebne, gdyż chronił go wy-

godny kokon męskiego porozumienia. Faceci w salce zarządu milcząco gratulowali Andy'emu tego błyskotliwego dowodu równego traktowania płci. Nie zauważyli reakcji koleżanek, bo byli zbyt zajęci wciąganiem brzuchów przeciwstawionych nagle agresywnym obrazom doskonałych męskich ciał. A że pod nieobecność Mariny wszyscy, którzy mieli tu coś do gadania, byli facetami, nikt w rzeczy samej nie dbał o to, co sobie myślą kobiety.

Film się skończył. Wszystkie twarze zwróciły się ku klientowi.

- Co o tym sądzisz, Paul? - spytał Andy.

Paul Jerome zamyślił się. Było jasne, że zauważył po męsku walory gwiazdeczek Sparkleeze'a, nie spieszył się jednak z pochwałami dla konceptu. Kartkował leżącą przed nim broszurkę, zatrzymał się na stronie wypełnionej cyframi.

- No tak, oczywiście, to świetny pomysł. Podoba mi się. Bardzo mi się podoba. Ty-
le że nie widzę, skąd mają być na to pieniądze. Przeglądam budżet i nie znajduję nigdzie
luźnych środków. Może weźmiemy tę koncepcję pod uwagę w następnej fazie promocji,
ale Marina ma już chyba i na to pomysł...

Andy przerwał mu zdecydowanie:

- Posłuchaj, Paul! Ja wiem, że Marina sprzedała ci już tę kampanię, ale ja oferuję ci
szansę dotarcia do mediów, wydarzenie, skutek, jakiego nie zapewni ci tysiąc stron w
„Gazecie Pani Domu” czy gdziekolwiek indziej. Musisz z tym wyjść w tym dniu, w któ-
rym rzucisz produkt na rynek, a nie po roku, kiedy okaże się to wiadomością z dnia
wczorajszego.

- Rozumiem twoje stanowisko - westchnął Paul. - Ale wracam do mojego pytania:
skąd weźmiemy na to pieniądze?

Zamiast odpowiedzi Andy puścił w obieg wokół stołu imponująco wykonane kolo-
rowe wykresy. Wyliczenia były skomplikowane, ale strategia zdawała się jasna.

- Moje „piękności ze skrzyżowań” pojawiają się na ulicach we wszystkich więk-
szych miastach za miesiąc, a ich koszty są pokryte przez redukcję budżetu kampanii re-
klamowej o osiemnaście procent.

Niechętny szmer przetoczył się wokół stołu, ale Andy się tego spodziewał.

- Owszem, wiem, wydaje się, że to bardzo dużo. Ale pomyślcie o tym: parę reklam

obciętych z każdej gazety, z każdego żurnala. Kto to w ogóle zauważy?

Rick nie mógł dłużej siedzieć i przyglądać się temu w milczeniu. Nie lubił spierać się z kolegami w obecności klientów, ale najwyraźniej nikt nie miał zamiaru polemizować z tym zdecydowanym przekreśleniem miesięcy planowania, poświęconych opracowaniu zaleceń do tej kampanii.

- Kto to w ogóle zauważy? Andy! Ty przecież dobrze wiesz, że każda, ale to każda reklama zwiększa możliwości dotarcia do naszego adresata. Nie możesz tak zwyczajnie porąbać kampanii, nie zmniejszając jej skuteczności.

Andy nie mógł ukryć irytacji wobec przyjaciela.

- Właśnie miałem powiedzieć, Rick, że rozumiem, że nie można po prostu ciąć budżetu bez opamiętania. I dlatego zapoznałem się z najnowszymi programami analizy mediów i oto rezultat!

Na ekranie zajaśniał wykres. Zebrani spoglądali na niego, nie rozumiejąc. Rick odezwał się w ich imieniu:

- Mógłbyś być tak uprzejmy i nam to zinterpretować?

Andy uśmiechnął się najbardziej czarującym ze swoich uśmiechów.

- Nie będę zanudzał was matematyką, lecz rozdram wydruki komputerowe, zawierające wszystkie dane, jakie mogą wam być potrzebne. W wielkim skrócie: jeżeli ostrożnie i wybiórczo obetniemy nadwyżki z kilku pozycji i przeznaczymy je na blitzkrieg z udziałem „piękności ze skrzyżowań” w czterdziestu ośmiu miastach, to zwiększymy, powtarzam: zwiększymy, ogólny zasięg naszej kampanii!

Zachwytów nie było.

Mól biurowy w okularach z podwójną ogniskową, pozbawiony pewności siebie, ale znający na wylot podstawy planowania, odchrząknął, wziął sprawę swojej kariery w swoje ręce i wypowiedział pogląd oczywisty dla wszystkich:

- Chodzi o to, Andy, że Marina wytargowała ceny kampanii pod warunkiem, że nie będzie żadnych cięć. Z twoich sugestii wynika, że Marina będzie musiała wrócić do każdej redakcji, każdej firmy telewizyjnej, radiowej czy ogłoszeniowej i zacząć targi od nowa.

Andy wzruszył ramionami.

- A ty uważasz, że...?

Rick interweniował, aby nie utracić kolejnego członka zespołu zabitego spojrzeniem Andy'ego.

- A ja uważam, że media w odpowiedzi na cięcia dokonane w ostatniej chwili miałyby prawo robić nam wszelkie trudności.

Andy zrobił minę zaskoczonego dziecka.

- A już myślałem, że Marina zdołała owinąć sobie wszystkie media wokół swojego małego, powinienem raczej powiedzieć: niemałego paluszka. Jestem przeświadczony, że kiedy tylko zrozumie, że nowa koncepcja jest udoskonaleniem pierwotnych założeń, zrobi wszystko, co trzeba.

Paul Jerome zastanawiał się nad leżącymi przed nim wyliczeniami.

- To trudna sprawa, muszę stwierdzić. Oczywiście, pomysł jest świetny, ale mamy plany promocyjne także na przyszłość i ja nie chciałbym ponosić odpowiedzialności za zepsucie stosunków z mediami...

Andy uniósł dłoń, aby powstrzymać klienta przed zakończeniem tego, co brzmiało groźnie jak ostateczne weto.

- Jak już powiedziałem, w pełni ufam zdolnościom Mariny do wycofania się z aktualnych ustaleń bez negatywnych konsekwencji.

Rick poczuł, że musi zadać oczywiste pytanie:

- A dlaczego nie zaczekamy na Marinę i nie zapytamy jej, co o tym myśli?

Niewinne pytanie zadało Andy'emu niewysłowiony ból.

- Chciałbym, naprawdę, ale muszę mieć decyzję jeszcze przed lunchem. Firma, z którą nawiązałem kontakt, ma innego klienta, którego propozycja wymagałaby zatrudnienia całego ich wojska młodych dziewcząt i facetów na cały sierpień, kiedy my startujemy z naszą akcją. Żądają ostatecznej odpowiedzi przed południem. Dlatego, nie zwlekając, musiałem zaprosić do nas Paula. Naprawdę nie odpowiada mi, że muszę to robić bez Mariny, ale nie mam wyboru. - Przerwał i spojrzał na swoje zaciśnięte dłonie, jakby zmagął się z własnym sumieniem. - Nie mogłem uwierzyć w swój pech, kiedy rano przyszedłem i dowiedziałem się, że wyszła w jakiejś tajemniczej sprawie i jest kompletnie nieosiągalna. Oczywiście, to musi być coś niezwykle ważnego, co spowodowało jej nie-

obecność w momencie tak istotnym dla Sparkleeze'a, choć nie rozumiem, dlaczego akurat teraz wyłączyła swoją komórkę.

Gwałtowne wciągnięcie powietrza do płuc podkreśliło znaczenie tego namacalnego dowodu wykroczenia. Jasne, już rusza jest poważnym mankamentem, ale żeby wyłączać komórkę w godzinach pracy?! Tylko mężczyzna albo naprawdę, ale to naprawdę piękna kobieta może sobie pozwolić na traktowanie niepisanych reguł menedżerskiego życia z tak kawaleryjskim lekceważeniem.

Paul Jerome niespokojnie tarł powieki.

- Zdaje się, że to ja muszę podjąć decyzję. Jestem niezadowolony, że muszę uczynić to za plecami Mariny, ale jeśli mamy absolutną pewność, że można to wszystko osiągnąć bez większego przewrotu, to... Chyba powinniśmy to zrobić.

Andy uśmiechnął się pierwszym w tym dniu szczerym uśmiechem. Czy mam pewność? - pomyślał. Ekstaza, oto co mam, oto co przeżywam.

- A więc dobrze. Postanowione. I nie martwcie się o Marinę. Wiem, że będzie tak samo podekscytowana tą zmianą jak my wszyscy.

A jeśli w chwili, gdy to mówił, jego palce się skrzyżowały, to przecież nikt tego nie zauważył. Z wyjątkiem Ricka.

Rick i Andy urodzili się tego samego dnia trzydzieści dziewięć lat temu. Stwierdzenie tego faktu w Eton przyciągnęło ich, tak różnych, do siebie. To słaba więź, aby budować na niej przyjaźń na całe życie, ale tym dwóm mężczyznom, wręcz boleśnie niezdolnym do wyrażania samych siebie, wzajemne zrozumienie swoich emocjonalnych niedostatków zapewniało łagodny i trwały spokój.

Andy cierpiał na poważną egzemę, która wystawiła go na okrucieństwo dzieci, wyśmiewających go bez litości. Rick był jedynym chłopakiem, który przyjął jego błaganie o przyjaźń, i z wdzięczności za to Andy wybaczył mu, że jest mądrzejszy. Był to jeden jedyny raz, kiedy Andy pozwolił sobie na błąd związania się z osobą, której oczywista wartość odsłaniała jego własne niedostatki.

Co zyskał Rick na związaniu się z tak nieciekawym kumplem? No więc, w dzieciństwie znalazł w nim swojego czciciela, kogoś, kto nieustannie utwierdzał go w przekonaniu o jego wartości. A w miarę jak skóra Andy'ego się oczyszczała, co pozwalało mu na-

bierać coraz większej pewności siebie, Rick zyskiwał kompana o gładkich manierach towarzyskich, w którym ujawniał się wrodzony talent do podrywania atrakcyjnych dziewcząt.

I Andy spłacał swój dług. Zawsze musiała być jakaś „przyjaciółka dla mojego przyjaciela”, zawsze podwójna randka dla nieśmiałego Ricka, który korzystał z jego lepszych ciuchów i co zabawniejszych powiedzonek. Ale żeby było śmieszniej, kiedy naprawdę było trzeba, Rick sam znalazł sobie dziewczynę. I ożenił się. I ma z nią dzieci. Bez niczyjej pomocy.

Tak więc Andy i Rick wychowywali się razem, od czasu do czasu krocząc oddzielnymi ścieżkami, zawsze jednak odnajdując się na najważniejszych etapach życia.

I jak to najczęściej bywa w takich parach, jednemu zawsze wiodło się lepiej. Tym szczęśliwszym był Rick. Nie był znacznie mądrzejszy, bardziej ambitny ani nie miał więcej szczęścia. Tak już po prostu szło. Decyzje Andy'ego wyznaczały mu bardziej krętą drogę do sukcesu zawodowego, więc kiedy go osiągał, Rick - jak zawsze - znajdował się już o szczebel wyżej.

Rick załatwił Andy'emu pracę w TNSW, gdyż ten okazał się najlepszym kandydatem na wakujące stanowisko, to po pierwsze, a po drugie - bo był jego przyjacielem. Możliwość znalezienia się w zarządzie obok Ricka i wyrównania raz na zawsze różnic w pozycji zawodowej stanowiła potężny bodziec motywujący Andy'ego do przyjęcia tej pracy.

Miał teraz trzydzieści dziewięć lat. A to oznaczało tylko jedno. Że niedługo stuknie mu czterdziestka. To straszny wiek, w którym patrzy się na pokonaną drogę i ocenia, co jeszcze zostało do osiągnięcia. Przed czterdziestką napisałem swoją pierwszą powieść, zarobiłem swój pierwszy milion, tego typu rzeczy. Andy nie miał dotychczas sprecyzowanych ambicji, niemniej brak osiągnięć na jakimkolwiek polu po prostu go załatwiał.

Nie miał żony, nie miał dzieci, wielkiego domu, wielkiego samochodu, tytułu zawodowego, który wymuszałyby pełne podziwu spojrzenia, żadnej reputacji poza ograniczonym światkiem londyńskiej reklamy. W przeciwieństwie do Ricka. Rick miał to wszystko.

Andy nie był szczęśliwy. Zostało mu jedenaście miesięcy do tej czterdziestki. W

tym czasie wszystko powinno się zmienić. Musi się zmienić, jeśli jego życie ma mieć w ogóle jakiś sens.

Nie prosił o wiele. Nie chciał zostać premierem, nie marzył o poślubieniu dziewczyny z okładki. Pragnął fotela w zarządzie i kogoś, z kim mógłby się tym cieszyć. Tak jak Rick. Nie zazdrościł Rickowi sukcesów, no, przynajmniej nie za bardzo. Chciał po prostu tego samego. Tylko to byłoby sprawiedliwe. W końcu byli tacy sami.

I tak to będzie. Jak sobie wymarzył i zaplanował. I żadna Marina mu tego nie zepsuje.

4

Dość trudno nie rzucić się w oczy, kiedy człowiek zajmuje dwa razy więcej przestrzeni niż inni ludzie. Jest łatwiej, gdy wszyscy w pokoju są równie, jeśli nie bardziej rozłożysti. Marina rozluźniła się, kiedy zobaczyła, że w żadnym razie nie jest w tym gronie największa. Przez kilka chwil stała w drzwiach, aż zauważyła ją ogromna kobieta i Pożegłowała w jej kierunku niby wagnerowska diwa.

- To pewnie ty jesteś Marina. Nazywam się Gail Bathurst. Rozmawiałyśmy przez telefon. - Chwyciła rękę Mariny i zamknęła ją w swoich ciepłych, wilgotnych dłoniach.

Dla Mariny kontakt był odrobinę zbyt bliski, musiała się opanować, żeby nie cofnąć ręki. Gail nie czekała na odpowiedź.

- Witaj w 5F. Pierwszy raz jest zawsze najtrudniejszy. Wszystkie przez to przecho-
dziłyśmy. Musisz tylko pamiętać, że tego, czego ty doświadczyłaś, doświadczyli również inni. Cokolwiek okropnego zrobiłaś, żeby stracić na wadze, zawsze znajdzie się ktoś, kto posunął się jeszcze dalej. Ale teraz wszystko będzie inaczej. Nauczymy cię, jak jeść to, na co masz ochotę, i nie czuć potem do siebie nienawiści. - Urwała dla większego efektu, po czym dała jeszcze bardziej szaloną obietnicę: - Nauczymy cię, jak jeść ciasto bez poczucia winy.

No, to już mało prawdopodobne, pomyślała Marina. Zgromiła się za przyjemność, jaką sprawił jej fakt, że Gail waży o wiele więcej od niej. A może tylko wydawała się większa z racji swojego niezwykłego wyglądu. Już same włosy dodawały jej parę kilo-

gramów wagi, nie tylko centymetrów wysokości. Co najmniej sześć odcieni czerwonego eksplodowało pośród niesfornych kosmyków, które sterczały z jej głowy niby pawi ogon. Nosila uderzający makijaż, choć ciemny, matowy podkład osadzał się w bezdennych bruzdach twarzy jak barwy wojenne u rozeźlonego Apacza.

Zanim Marina zdążyła odpowiedzieć, została zaciągnięta na środek pokoju niby maciora medalistka na pokazie żywego inwentarza. Gail klasnęła w dłonie i zaległa nabożna cisza.

- Drogie panie! Jest z nami dzisiaj nowa członkini. Ktoś, kto zrobił ten wielki krok ku wyzwoleniu z kajdan własnej wagi.

Wszystkie klaskały i wiwatowały z wyjątkiem Mariny, która zachowała awersję do publicznych występów z czasów, gdy zaciągnięto ją na scenę podczas szkolnej pantomimy. Miała jedenaście lat i już wtedy ważyła sześćdziesiąt pięć kilo.

- Powitajmy Marinę w nasz zwyczajowy sposób - ciągnęła Gail.

Zanim Marina zdążyła umknąć za drzwi, znalazła się pośród kompletnie obcych kobiet, które ścisnęły ją i obcałowywały, a z którymi nie łączyło jej nic poza pogardą dla własnej osoby i niezdrowym stosunkiem do jedzenia. Tłum w końcu odstąpił i podzielił się na mniejsze grupy. Marina tęsknym okiem spojrzała na drzwi. Gail zauważyła jej desperację i znów przytrzymała za rękę.

- Nie możesz uciec od nas teraz, kiedy znalazłaś w sobie dość odwagi, by się do nas przyłączyć. - Rozejrzała się po sali. - Teresa! - wrzasnęła w stronę o wiele mniej groźnej osoby gawędzącej swobodnie w gromadce kobiet. - Chodź i porozmawiaj z Mariną, zanim straci odwagę i porzuci sprawę!

Marina poczuła się pewniej, kiedy kobieta rzuciła Gail ukośne, krytyczne spojrzenie, jakby ją również raził ekspansywny sposób bycia przywódczyni.

- Jestem Teresa. - Wyciągnęła rękę do Mariny. - Teresa Stoddard.

Marina potrząsnęła serdecznie jej dłonią, niezmiernie wdzięczna, że obejdzie się bez uścisków.

- Marina Riesenthal.

Gail odplynęła, zadowolona z udanej, jej zdaniem, rozmowy z nową fanatyczną sprawą.

Teresa zauważyła, że Marina stara się nie patrzeć na kobiety w pokoju.

- Założę się, że nigdy nie widziałas takiego nagromadzenia grubasek. Nawet u Kontrolerek Tuszy!

Marina się zmieszała.

- Wcale o tym nie myślałam. (Oczywiście, że myślała). - Zastanawiałam się tylko, czym się zajmują, że mogą tu spędzić czwartkowy ranek. Nie pracują?

Teresa się uśmiechnęła.

- Pozwól, że tobie zadam to samo pytanie. Nie pracujesz?

- Oczywiście, że pracuję! - Marina najeżyła się, urażona. - Jestem dyrektorem w agencji reklamowej. - Skłęła się w myślach za te przechwałki. Zapomniała, że w tym środowisku gruba kobieta nie musi nic udowadniać.

- Więc co tu robisz w czwartkowy ranek? Nie masz co robić w pracy?

Marina przymknęła na sekundę oczy, starając się nie myśleć o machinacjach w TNSW podczas jej nieobecności.

- Mam mnóstwo do zrobienia. Teresa powtórzyła pytanie.

- Więc co tu robisz? Odpowiedź przyszła sama.

- To jest ważniejsze niż wszystko inne - odparła bez namysłu.

Była zaskoczona tak zdecydowaną odpowiedzią, Teresa nie. Podjęła temat i wyjaśniła:

- Właśnie dlatego Gail zwołuje zebrania w godzinach pracy, żeby poddać próbie nasze zaangażowanie, zmusić nas do ustalenia priorytetów, uświadomienia sobie, że nasze zdrowie i szczęście są najważniejsze.

Marina była pod wrażeniem, choć nadal dręczyła ją myśl, że jej własne szczęście zależy od kariery zawodowej, którą naraża na szwank, przychodząc tutaj. Ale Teresa jej się podobała. Zawsze szybko oceniała ludzi i pierwsze odczucia rzadko ją myliły. Przyjrzała się jej dyskretnie, badawczo, jak ludzie, którzy przywykli do tego, że inni się na nich gapią.

Teresa była chyba jej rówieśnicą, ale miała własny styl, który pozwalał umiejscowić ją w konkretnym przedziale wiekowym. Była średniego wzrostu, lecz przez tuszę wydawała się wyższa. Właściwie Marina nie powiedziałaaby o niej, że jest gruba. Och,

tak, była duża, ważyła około osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu kilogramów, była jednak proporcjonalnie zbudowana i wyglądała korzystnie w klasycznej, eleganckiej garsonce. Nieskazitelna linia fryzury i delikatne złociste pasemka w jasnych włosach bez ciemnych odrostów zdradzały cotygodniowe wizyty w salonie fryzjerskim. Teresa miała nawet doskonały makijaż, który dawał złudzenie kości policzkowych. Marinę niemal zaskoczyło z podziwu.

- A co ty tu robisz, Tereso? Wydajesz się taka... zrównoważona, zadowolona z siebie, pewna. Po prostu nie wyglądasz na kogoś, kto potrzebuje tej całej samopomocy, nowego początku w życiu.

Teresa wybuchnęła śmiechem.

- Zastanów się, Marino, w 5F chodzi właśnie o to, żebyśmy były zadowolone z siebie. Należę od roku. Kiedy wstąpiłam do stowarzyszenia, byłam w rozsypce. Myślisz, że nie jestem neurotyczką? Powiem ci, co mnie w końcu pchnęło do tego, żeby się zapisać. Mój mąż wyjechał w interesach na parę tygodni, więc urządziłam sobie typową głodówkę, żeby zrzucić choć z pięć kilo przed jego powrotem. Przez dziesięć dni trzymałam się metodycznie diety, a potem poszłam na lunch z klientem, to było w piątek, i zaprzepąściłam wszystko. W dwie godziny pochłonęłam przydział kalorii na trzy dni. Co było potem?

Marina odwołała się do swojego banku wspomnień po odpowiedni incydent, który mogłaby opowiedzieć obcej kobiecie.

- Pochorowałaś się? - zasugerowała. Teresa prychnęła.

- Nie zwymiotowałam, nawet gdybym wsadziła sobie parasol do gardła. Mój organizm ma wmontowany mechanizm zapobiegający wydalaniu jedzenia, dopóki ostatni gram tłuszczu nie zostanie wchłonięty i przymurowany do uda albo bioder. To by było zbyt piękne. Wróciłam do domu i postanowiłam, że skoro pochłonęłam trzydniową porcję kalorii, musi mi ona starczyć na trzy dni.

Marina wzruszyła ramionami.

- Więc głodziłaś się przez trzy dni? Już to robiłam. Teresa potrząsnęła głową.

- Broń Boże! Na to nie mam dość silnej woli. Nie, jak tylko weszłam do domu tamtego popołudnia, zażyłam tabletkę nasenną i poszłam do łóżka. Kiedy się obudziłam,

wzięłam następną i tak przetrwałam weekend, do poniedziałku. Wtedy wstałam i poszłam do pracy, z czystym sumieniem, że utrzymałam dietę.

Marina była przerażona. Choć uważała, że problemy z nadwagą zatruły jej życie, cały czas była świadoma i czegoś doświadczała (wyjawszy te dziwne godziny na valium, które nazywała popołudniową drzemką).

- Jesteś wstrząśnięta, prawda? - zapytała Teresa. Marina zapanowała nad mimiką.

- Nie, skąd! To znaczy tak, chyba tak. To przypomina tymczasową śmierć, świadome wyłączenie się z życia na jakiś czas. - Zadrżała.

Teresa skinęła głową, ale nie patrzyła już na Marinę. Oczami duszy widziała inną scenę, miejsce, o którym chciała zapomnieć.

- Z początku byłam dość zadowolona z siebie. Potem to na mnie spadło. Rano wszyscy mówili o tym, co robili przez weekend. Dla mnie weekend nie istniał. Nie był ani dobry, ani zły. Był pustką. Wpadłam w panikę. Mogłam zrobić tylko jedno, to zawsze pomagało. Wybiegłam z biura, kupiłam duże pudełko czekoladek i siedziałam w toalecie, wpychając je garściami do ust. Nagle straciłam oddech. Zaczęłam płakać i nie mogłam przestać przez dwadzieścia minut.

Na chwilę cierpienie oszpeciło jej twarz, ale opanowała się świadomym wysiłkiem woli i mięśni. Jak w popołudniowych pokazach telewizyjnych „przed i po”, zmieniała się na powrót w osobę zrównoważoną.

- To było samo dno i przypominałam sobie artykuł o 5F. W ogóle nie byłam przekonana, ale coś musiałam zrobić. A teraz proszę! Oto ja po roku. Ciągle gruba, ale z pewnością szczęśliwa... a przynajmniej szczęśliwsza.

Marina wcale nie czuła się szczęśliwa. Czuła się całkowicie pogwałcona przez te wszystkie niekontrolowane emocje. Miała dość kłopotów z opanowaniem własnych. Szukając bezpiecznego tematu rozmowy, przypominała sobie, że Teresa napomknęła o mężu. Zapytała, co on o tym wszystkim myśli. Teresa uniosła brwi z wystudiowaną ironią.

- Typowy mężczyzna, znasz ten gatunek! Twierdzi, że kocha mnie niezależnie od tego, ile ważę, ale woli, jak jestem grubsza. Oczywiście, nie wierzę mu, lecz to miło, że zachowuje takie pozory. Na szczęście, nie muszę się martwić, że zacznie biegać za

szczupłymi, ślicznymi kociakami, bo cały czas mam go na oku. Pracujemy razem.

- Co robicie? - Marina ucieszyła się, że zaczynają rozmawiać o czymś zwyczajnym.

- Mamy własną firmę. Doradztwo rynkowe. Stanowimy zgrany zespół: ja odwalam całą robotę, on załatwia wszystkie kontrakty! Odpowiada mi to, bo nie przepadam za golfem!

Marina chciała zauważyć, że taki podział pracy jest zbyt nierówny jak na feministyczny gust, kiedy Gail przywołała je do porządku. Klaskała w dłonie niby sroga dyrektorka szkoły, póki się nie uciszyły.

- Drogie panie! Podano do stołu! Proszę, abyśmy przeszły do oranżerii.

Gwar podnieconych głosów, jakim powitano wiadomość o jedzeniu, zaniepokoił Marinę. Nie cierpiała jeść publicznie nawet w normalnych warunkach, jedzenie w tym towarzystwie wydało się jej ciężką próbą.

Gail była obdarzona szóstym zmysłem, który pozwalał jej przewidzieć potencjalną drogę ucieczki nowej zdobyczy. Skoczyła ku Marinie, tworząc nieprzeniknioną, ruchomą ścianę między nią a drzwiami.

- Marino, kochanie, może pójdziesz ze mną? Zawsze z przyjemnością towarzyszę nowym dziewczętom w pierwszej uczcie. Nie masz nic przeciwko temu, Tereso, prawda?

Płynnym ruchem wyłuskała Marinę zza tarczy normalności, jaką była Teresa. Marina rzuciła ostatnie rozpaczliwe spojrzenie swojej opiekunce, która ginęła jej szybko z oczu niby ostatnia szalupa ratunkowa „Titanica”. Jako osoba towarzysząca przywódczyni grupy przeszła pierwsza przez drzwi do oranżerii. Ujrzała scenę wprost z radzieckiego filmu propagandowego z lat dwudziestych, ukazującego zachodnią dekadencję.

Stoły zsunięto pod ściany, a każdy centymetr powierzchni zajmowało jedzenie. Szef cateringu musiał pojechać do Europy, zlokalizować Górę Tuczącego Żarcia, zgarnać ją do jeżdżącej chłodni i sprowadzić do High Holborn. Ciasta piętrzyły się jak piramidy ferrero rocher, grube pajdy mięsa błyszczały od tłuszczu niby fantazja jaskiniowca, michy curry parowały złowieszczo, odbijając misterny hotelowy sufit w lustrzanych kulkach bawolego masła pulsujących na powierzchni. Góry serów i masła walczyły o miejsce na półmiskach nabiału, który prezentował dorobek życia pracowitej krowy (z kołą-

cym w oczy wyjątkiem jogurtu). Belgijskie czekoladki karygodnie wypełniały wolną przestrzeń jak znaki przestankowe, pod przykrywką bitej śmietany dawało się zauważyć puchary gorącej czekolady.

Ale to jeszcze nie koniec. Były tam również owoce: mango, winogrona i ananasy piętrzyły się w stosach, zadając kłam istnieniu grawitacji. Idealnie ugotowane warzywa na podgrzewanych talerzach, ryż i ziemniaki wypełniały powietrze swojską wonią, wędzony łosoś i grillowany kurczak oślepiały czystością linii.

Wybór mógł przerazić. Było tam wszystko. To co tuczące i nie. I wszystko wyglądało fantastycznie, bo dla Mariny jedzenie jako takie było fantastyczne. Zrobiło się jej niedobrze. Nie chciała w ten sposób wybierać. Nie mogła się zdecydować, czy to jest dzień obżarstwa, czy zdrowej żywności. Tęskniła za samotnością i głodówką. Nie chciała tu być. Nie przynależała do tych kobiet. Taka wyzerka odbywa się w samotności, kiedy nikt nie może usłyszeć potem twojego płaczu.

Ktoś włożył jej coś w rękę. Piękny talerz. Gail uśmiechnęła się zachęcająco i popchnęła ją lekko w stronę pierwszego stołu.

- Marino! Musisz tylko wybrać to, na co masz ochotę. Wszystko, na co masz ochotę. Zjedz, co chcesz, zostaw, czego nie chcesz. No dalej. Dasz radę.

Czując na sobie zachęcający wzrok dwudziestu pięciu par oczu, Marina wzięła głęboki oddech i sięgnęła po widelec. Pociły się jej dłonie, kiedy zatrzymywała się przy każdym półmisku, drżąc, wahając się między tym, co zdrowe i szkodliwe. W końcu nałożyła sobie porcję kaczki po chińsku. Nie jadła kaczki od wieków, a naprawdę za nią przepadała. Nadziała ją na widelec, uniosła jak trofeum myśliwskie i przełożyła niepewnie na talerz. Kiedy pieczone wylądowało na porcelanie, westchnienie aprobaty przebiegło przez salę jak fala.

Dodała parujący ryż i warzywa, na których zaczepnym gestem ułożyła kostkę masła. Na to miała ochotę. Zje to nie dlatego, że tego potrzebuje, ale ponieważ tego chce. Rozkoszowała się smakiem jedzenia jak jeszcze nigdy dotąd.

Rick myślał obojętnie o swoich czterdziestych urodzinach. Kamienie milowe wieku nic dla niego nie znaczyły. Miał w życiu inne. A może sam to sobie wmawiał. Może to właśnie czterdzieste urodziny koncentrowały jego myśli na porażkach.

Nie, „porażki” to nie było odpowiednie słowo. Chodziło raczej o zazdrość.

Zazdrościł Andy'emu tak bardzo, że to było nie do zniesienia. Zazdrościł z mocą, której Andy by nie pojął ani by w nią nie uwierzył.

5

Był wigilijny wieczór w rodzinnym domu Mariny. Grał telewizor, ale tak cicho, że nie można było określić, jaką radosną świąteczną piosenkę śpiewa Cliff. Marina siedziała w fotelu, który miała od dzieciństwa. Jej biodra idealnie wypełniały zaokrąglony kanion poduszki. Siedziała i patrzyła na talerz czekoladek, które matka pewnie przeliczyła przed podaniem na stół.

- Weź sobie jedną, jeżeli chcesz.

Marina podskoczyła na głos matki. Jak wiele razy przedtem w tym domu poczuła, że matka czyta w jej myślach, i była zła, że ktoś zna ją tak dobrze.

Patrząc na Nancy i Donalda Riesenthalów i na ich córkę Marinę, można było zwątpić w słuszność teorii ewolucji.

Państwo Riesenthal nie mieli nawet metra siedemdziesięciu wzrostu, a łącznie wazyli mniej niż stukilogramowa Marina. Los jest jednak sprawiedliwy i jak wszystkich szczupłych starszych ludzi pokrył ich twarze zmarszczkami, których nie powstydziliby się buldog. Oboje mieli włosy siwe i niesforne, jak brat i siostra.

Odróżniało ich światło w oczach. Oczy Donalda płonęły miłością ogrodnika, zachwytem nad nieustającymi niespodziankami i cudowną niezmiennością cykli Natury. Oczy Nancy były matowe, nie potrafiła sięgnąć wzrokiem dalej niż do najbliższej osiedlowej ulicy.

Była feministyczną tragedią. Jako czternastolatka uciekła do Hiszpanii, żeby wziąć udział w wojnie domowej, głównie dlatego, że nie cierpiała rodziców. To zapoczątkowało długi flirt z komunizmem, który zakończył się dopiero, gdy jej kochanek zrobił dziecko miejscowej bojownicze.

Nancy wróciła do domu i została nauczycielką historii. Przysięgła sobie, że już nigdy nie powierzy duszy mężczyźnie, i dotrzymała obietnicy, nawet wtedy, gdy ku wła-

snemu zaskoczeniu wyszła za mąż w wieku czterdziestu jeden lat. Poznała Donalda Riesenstala, kiedy oboje zabiegali o głosy miejscowej społeczności na rzecz Partii Pracy. Nigdy nie powiedzieli sobie „kocham cię”. Ale byli sobie nawzajem wdzięczni za towarzystwo i żadne nie chciało dłużej borykać się z samotnym życiem.

Kiedy trzy lata później Nancy zaszła w ciążę, jej przemiana została zakończona. Czowała, że przed laty - kiedy zauroczenie mężczyzną w mundurze przygasiło w niej pragnienie, by zmienić świat - poświęciła zasady. Jedną trzecią życia spędziła w zgorzknieniu. Czowała, że gdyby wcześniej znalazła towarzysza, mogliby razem zmieniać świat. A tak ona i Donald mogli już tylko pić herbatki ze śmietanką, chodzić na fety kościelne i od czasu do czasu obejrzeć film dokumentalny na BBC2.

Więc kiedy urodziła się Marina, Nancy dokonała przewartościowania. Jej córka będzie miała łatwe życie. Będzie miała męża i dzieci. Będzie zabezpieczona materialnie i możliwie najszybciej zrzuci wszystkie kobiece wędzidła. Dopiero wtedy będzie na tyle wolna, by zacząć odkrywać siebie.

Dla Nancy miało to głęboki sens, i dla nikogo innego. Marina przypisała całe to szaleństwo wyjątkowo ciężkiej menopauzie, po której matka dostała lekkiego bzika.

Rezultat był taki, że kobieta, która swego czasu podkładała ładunki wybuchowe na torach pod Barcelonę, spędzała soboty, wyglądając przez okno, z nadzieją że zobaczy ślub w kościele naprzeciwko, odbity w połyskującym szkle. I marząc.

Donalda nie było w domu, więc nie mógł uratować Mariny przed matką. Odkąd Marina sięgała pamięcią, ojciec wszystkie wolne od snu godziny spędzał w oranżerii albo ogródku warzywnym. Nancy zawsze powtarzała, że stałe zasoby świeżych warzyw, owoców i kwiatów w domu to zasługa jego umiejętności i oddania. Marina była jeszcze dzieckiem, kiedy zaczęła podejrzewać, że być może jest to zasługa Nancy, która trzymała ludzi na taką odległość, by nie dochodził do nich jej cichy, krytyczny głos.

- Słyszałaś, co powiedziałam?

Marina niechętnie oderwała się od swoich myśli i skupiła na nieuchronnej rzeczywistości, jaką była matka.

- Przepraszam, mam, co mówiłaś?

Nancy wydała swoje słynne westchnienie z „ochem”, które z reguły poprzedzało

komentarz na temat wagi córki, nieobecności męża lub upadku komedii telewizyjnych po śmierci Sida Jamesa.

- Zauważyłam, że patrzysz na czekoladki, i pomyślałam, że się wstydzisz poprosić, więc chciałam ci to ułatwić. Bóg mi świadkiem, że tylko czekolady ci trzeba, ale ostatecznie są święta. Więc weź sobie jedną, jeżeli masz ochotę.

Marina zareagowała tak, jak zwykle reagowała na częste matczyne aluzje do jej tuzszy. Miała ochotę zrobić dwie przeciwstawne rzeczy: wpychać sobie garściami zakazany owoc do ust na oczach swojego oprawcy albo podjąć stanowcze postanowienie, że się zagłodzi, dostanie anoreksji, umrze i wtedy Nancy pożałuje. Oczywiście skończyło się na tym, że wzięła czekoladkę z przepraszającym wyrazem twarzy i zjadła ją najciszej i najszybciej, jak tylko potrafiła.

Aby pozbyć się poczucia winy, że tak bardzo nienawidzi matki, zaczęła jedną z tych rozmów, za którymi Nancy przepadała.

- To jak, mam, widziałaś kogoś ostatnio?

W języku matki i córki „ktoś” oznaczał jedną z koleżanek Mariny ze szkoły podstawowej. Wszystkie one sprawiły matkom przyjemność: nie miały własnego życia. Wyszły za mąż młodo (ale nie zbyt młodo), wczesnie urodziły dzieci (ale nie za wcześnie) i już miały włosy obcięte i zaondulowane w puszystą koronę, która wprowadzi je bezpiecznie w wiek średni.

Nancy westchnęła (tym razem bez „ocha”) i rozpoczęła wyliczankę, którą przepowiadała sobie nieustannie między wizytami Mariny.

- No więc... Mówiłam ci, że Janet Griffin urodziła córeczkę, cztery kilo dwadzieścia, ma na imię Kylie-Jade? - Zrobiła przerwę, ale nie dość długą, by Marina zdążyła coś powiedzieć. Obie wiedziały, że nie musi. Nancy mówiła dalej z żalem: - Urodziła dwa tygodnie temu, a już odzyskała figurę. Oczywiście, musi o siebie dbać, przy tak przystojnym mężu. Jeżeli kobieta chce zatrzymać męża, musi się postarać. To samo dotyczy kobiety, która chce zdobyć męża. Uważasz się pewnie za feministkę, ale jesteś po prostu leniwa. Trzeba włożyć trochę wysiłku, żeby znaleźć porządnego człowieka.

Marina czekała na westchnienie. Doczekała się.

- Weźmy choćby Alison Danson. Ma skromną posiadkę, teraz kiedy bliźnięta po-

szły do szkoły. Przez kilka godzin dziennie pomaga panu Patelowi w kiosku z gazetami. I świetnie sobie radzi. Pan Patel powiedział, że jeżeli nadal będzie tak dobrze pracowała zastanowi się, czy latem nie pozwolić jej zbierać zamówień.

Rany! - pomyślała Marina. Być może jestem odpowiedzialna za milionowe transakcje międzynarodowe, ale bardzo wątpię, czy tego lata będą zbierała zamówienia w czymś zastępstwie. Muszę być dla matki druzgocącym rozczarowaniem.

- No i Linda Alderton. Pomaga mężowi w rodzinnym interesie. On pozwala jej chodzić na wieczorowe kursy dla księgowych, ale z tego co wiem, ona zawsze stawia mu na stół gorącą kolację przed wyjściem...

Marina zerknęła na drzwi, modląc się w duchu, żeby ojciec wrócił i uratował ją przed nieuchronną opowieścią weselną.

- Ach, nie mówiłam ci o ślubie Gaby Rushforth...

Marina przetrwała, myśląc o pudełku pierników, które przeschmuglować do swojego pokoju. 5F. Zrobi sobie wyżerkę, wszystko jedno, jak bardzo będzie się potem nienawidzić.

Był wigilijny wieczór u Susie i Kena. Susie kończyła właśnie rozmowę z Mariną.

- Dzięki za prezent! Jak zwykle, najlepszy ze wszystkich. Tylko ty potrafisz kupić mi kolczyki. Ken zawsze nadrabia brak pomysłu, kupując grudę złota. Napadliby mnie, gdybym w tym wyszła na ulicę!

Marina się roześmiała, wdzięczna za pierwszy w te święta niealkoholowy przyływ serdeczności.

- Dzięki za książki, Susie. Nikt mi już ich nie kupuje. - Nie wspomniała o dietetycznej książce kucharskiej, którą matka dała jej dziś rano.

- Nie ma sprawy. Kupiłam ci po prostu wszystko to, co sama chcę przeczytać, więc możesz mi je oddać, kiedy skończysz!

- Masz tyle spraw na głowie, że wątpię, czy ci się to uda.

Zapadła cisza i Marina zaczęła się zastanawiać, czy nie palnęła jakiegoś głupstwa. Głos Susie brzmiał inaczej, kiedy się znów odezwała.

- Skoro już o tym wspomniałaś... Może zrobię noworoczne postanowienie, że będę poświęcać więcej czasu sobie. I nawet wiem, jak go wykorzystam - zachichotała. - No

nic, muszę lecieć. Wesołych świąt, Mućka! Nie objadaj się! Ucałuj mamę i tatę. Cześć!

Marina była oburzona, że Susie pomachała jej przed nosem smaczną plotką i zabrała przynętę, zanim ona zdążyła ją schrupać. Żałowała, że sama nie ma sekretów. Z wyjątkiem tych związanych z jedzeniem, oczywiście. Wigilia ciągnęła się w nieskończoność.

Susie odłożyła słuchawkę i rozejrzała się po swoim zwykle nienagannym domu. Był to chwilowy Armageddon: strzępy ozdobnego papieru leżały na wyfroterowanej drewnianej podłodze jak martwe ciała, nadpobudliwe dzieci wyrywały sobie pilot telewizyjny, otwarte gry zaśmiecały marmurowe stoliki, mąż słuchał *Tristana i Izoldy* w błogosławionej nieświadomości, ze słuchawkami na uszach, ściany krzyczały do niej, pokryte wielkimi złożonymi kartkami świątecznymi, których nikt nie podpisywał, zamknięte drzwi kuchni wzywały ją syrenim głosem do codziennej harówki, cholerny Noel Edmonds uśmiechał się do niej demonicznie ze szpitala. Jaka szkoda, że nie był pacjentem.

- Zamknijcie się! - wrzasnęła na Alice i Fredericka. Pokój zaległa cisza. - Dziękuję.
- Uśmiechnęła się z wdzięcznością, choć jej oczy się nie śmiały.

Bliźnięta pobiegły na górę, żeby się boczyć i otworzyć prezenty od babci, których Susie wyraźnie zabroniła kupować.

Ken zamrugnął i uśmiechnął się słabo, żeby skomentować jej wybuch bez zdejmowania słuchawek. Zanim Susie zdążyła wyzwać go od egoistów i znaleźć przyjemność w domowej wojnie, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę, przyjmując radosny ton.

- Halo? Wesołych świąt!

Słyszając głos po drugiej stronie linii, odwróciła się szybko, żeby Ken nie mógł zobaczyć jej twarzy.

- Co ty wyprawiasz?! Dlaczego dzwonisz tutaj w taki dzień? - syknęła.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że cię kocham i noszę twój prezent. - Z prawdziwym uczuciem przesunął palcami po tarczy zegarka. Sprzeda go, jak tylko otworzą sklepy. Da mu to oddech, i za to był jej szczerze wdzięczny.

Jego miękki, grzeczny głos stopił gniew Susie.

- David, mój miły - powiedziała cicho, najczulszym głosem kochanki. - Ja też cię

kocham, ale musimy być ostrożni. Ken zacznie coś podejrzewać.

David z trudem opanował śmiech. Pracował z Kenem dzień w dzień. Facet nigdy nie zacznie nic podejrzewać. Brakuje mu wyobraźni i głębi uczuć, potrzebnych, by mężczyznę obeszło, że żona ma romans z jego przyjacielem i kolegą z pracy.

- Kochanie, otworzyłaś prezent ode mnie? - powiedział tonem, który jedna z jego kochanek przyrównała do głosu Richarda Burtona.

Susie przypomniała sobie dość tandetną bransoletkę, którą obejrzała, kiedy rano otworzyła pudełeczko w łazience. Próbowwała ukryć rozczarowanie.

- Och, jest śliczna, Davidzie, urocza. Bardzo mi się podoba.

Jako mistrz symulacji David natychmiast wyczuł, że jej entuzjazm jest mocno naciągany, ale to go nie obeszło.

- Pomyślałem o tobie, jak tylko ją zobaczyłem - powiedział przewrotnie i oczami duszy zobaczył mężczyznę na Oxford Street, dzierżącego brudną walizkę pełną podejrzanie taniej złotej biżuterii.

- Kto dzwoni?

Susie podskoczyła przestraszona, kiedy poczuła dłoń Kena na ramieniu. Odwróciła się do niego, zasłaniając dłonią słuchawkę. Opanowała się szybko - rezultat doświadczenia nabytego w ciągu sześciomiesięcznego romansu.

- David, kochanie. Dzwoni, żeby życzyć nam wesołych świąt. Chcesz zamienić słowo?

- Nie. Przekaż mu ode mnie najlepsze życzenia. Zniknął w kuchni, po chwili usłyszała, jak otwiera puszkę.

Była rozdarta: chciała kontynuować słodką, zakazaną rozmowę z Davidem, a jednocześnie z chęcią wydarłaby się na Kena, żeby przestał sobie dogadzać.

- Jesteś tam, Susie? - wyszeptał David w słuchawkę. Ken został zapomniany, mógł się jeszcze przez chwilę relaksować.

- Przepraszam, kochanie, Ken się tu kręcił. Co mówiłeś?

- Opowiadałem ci o badaniach. O tym, że jesteśmy gotowi do prób na ludziach...

- Tak, prawda. - Susie poczuła się zawiedziona tym nieromantycznym zwrotem w rozmowie.

- ...i myślałem o twojej przyjaciółce Marinie.

- O Mućce? Co ona ma z tym wspólnego? Słyszałeś, co powiedziała, nie weźmie odchudzacza, nie wierzy w łatwe życie. - Susie usłyszała nowy, nieprzyjemny ton swojego głosu. Wiedziała tylko, że nie chce, by Marina miała cokolwiek do czynienia z jej kochankiem. Chodziło o zachowanie równowagi, czegoś złożonego i kruchego, co mógł zburzyć ktoś trzeci, niezależnie od jego roli i potęgi przyjaźni.

David usłyszał niewypowiedziane ostrzeżenie i wycofał się natychmiast. Sprawa mogła poczekać.

- To tylko luźny pomysł. W każdym razie możemy o tym porozmawiać, kiedy się znów spotkamy. - Wiedział, że to zadziała. Jak zawsze. Susie aż podskoczyła na tę propozycję.

- Kiedy? Gdzie? Może pojutrze? Powiem Kenowi, że idę do siłowni.

David torturował ją, udając, że się zastanawia, Susie miała wrażenie, że całe wieki. W rzeczywistości sprawdzał, czy kobieta w jego łóżku się nie obudziła. W końcu dał Susie odpowiedź, która pozwoli jej przetrwać świąteczny koszmar.

- Cudownie! Będę liczył godziny - powiedział niskim głosem.

Przeciągali pożegnanie, jak to zwykle kochankowie, co osobę trzecią może przyprowadzić o wymioty albo rozczulić, zależnie od tego, w jakim stanie znajduje się jej własne życie miłosne.

Susie odłożyła słuchawkę, otarła łzę i skupiła rozproszone myśli, próbując zdecydować, jak przyrządzi dzisiaj swój sławny biały sos, podstawę wszystkich jej potraw.

Uśmiechnęła się do siebie, mile podekscytowana, jak zawsze, gdy wyobrażała sobie miny znajomych, gdyby odkryli jej tajny składnik.

Było wigilijne popołudnie w domu Teresy Stoddard.

Teresa i jej mąż Rod siedzieli naprzeciwko siebie przy stole, który wyglądał jak wyjęty z poradnika „Vogue”, jak urządzić eleganckie święta. Ta elegancja całego wnętrza była cudownie niezgrana z muzyką dobraną do kolacji. Utwory z lat siedemdziesiątych przeniosły Teresę i Roda do czasów college'u, gdzie się poznali. Jedząc wspaniałego indyka, machali sztuczkami w rytm *Sweet and T Rex*. Śpiewali la, la, la i przygrywali Bay City Rollers na nieistniejących gitarach.

W pewnej chwili Rod przerwał bezgłośnie, choć entuzjastyczną wersję *Crazy Horses*.

- Pamiętasz, co robiliśmy, kiedy grali to po raz pierwszy, Terry?

Teresa zachichotała, co nie pasowało do jej starannie dopracowanej, wyważonej elegancji. Sięgnęła po kieliszek szampana i uniosła go prowokacyjnie w stronę Roda.

- Jak mogę pamiętać, skoro upiłeś mnie tym tanim jabłecznikiem!

Rod rzucił w nią kulka chleba.

- Przepraszam bardzo! - zawołał z udanym oburzeniem. - Jabłecznik może i był tani, ale wydałem na niego ostatnie pieniądze i do końca miesiąca nie miałem ani pensa.

- Ha! - Teresa strzeliła celnie marchewką do kieliszka męża. - Nie potrzebowałeś pieniędzy. Wprowadziłeś się do mnie i żyłeś na moich herbatnikach w czekoladzie!

Rod poderwał się z krzesła jak wulkan. Nawet po dwudziestu latach Teresa lubiła patrzeć, jak mąż prostuje się na całą wysokość. Miał metr dziewięćdziesiąt, był ogromny, szeroki w barach i niezwykle przystojny. Nie było w nim nic przeciętnego. Wszystko było mocno zaakcentowane i wyjątkowe. Ciemnobrązowy zarost miał wyraźną granicę i tworzył pełną, gęstą brodę, która wyglądała jak sztuczna. Oczy były tak zielone, że wytykano mu często, że nosi koloryzowane szkła kontaktowe. Jego ciało wydawało się idealnie wyrzeźbione w ubraniach, które wybierał z taką łatwością zawsze odpowiednie. Tylko Teresa oglądała brzuch, którego w zaciszu sypialni nie ukrywał.

Nie dbała o to, oczywiście, że nie. Kobiety nigdy nie dbają o niedoskonałości męskich ciał. To straszna niesprawiedliwość. Tak jest urządzone ten świat.

Rod okrążał stół kocim krokiem, papierowa czapka zsunęła mu się na jedno ucho i brew. Wyglądał jak chłopiec.

- Twoje herbatniki?! A kto zakradał się o drugiej w nocy do szatni w akademiku i obrabiał szafki, żeby ci je przynieść?

Teresa uniosła dłonie; słaba obrona przeciwko jego olbrzymim rękom.

- No dobrze, ale ja też nie miałam pensa przy duszy. Wydałam wszystkie pieniądze na ten srebrny cień do powiek, bo myślałam, że będę wyglądała jak Suzi Quatro!

- Byłaś o wiele ładniejsza od Suzi Quatro - wyszeptał.

Wyłuskał ją z krzesła, jakby nic nie ważyła, jednym płynnym ruchem zaniósł przed

kominek i położył na dywanie. Kiedy przestali się śmiać, gładził jej twarz z taką czułością że łzy napłynęły jej do oczu.

- A to co? - zapytał.

Teresa nabrała głęboko powietrza, żeby je powstrzymać, zanim wyrządzą jeszcze więcej szkody makijażowi.

- Nie wiem, dlaczego tak mnie kochasz. Rod przytulił ją mocno.

- To proste. Kocham cię z tego samego powodu co wtedy, gdy miałaś dziewiętnaście lat. Jesteś mądra i zabawna, dzika i nieposkromiona, kochająca i dobra, i...

- Ale nie ładna.

Rod wypuścił ją z ramion i wstał.

- Znowu zaczynasz.

Teresa próbowała załagodzić sprawę. Skoczyła na równe nogi i objęła męża w pasie od tyłu.

- Przepraszam, kochany. Nie chciałam, tylko że...

Rod odwrócił się, jego twarz wyrażała gniew.

- Tylko że jeżeli nie powiem ci dwadzieścia razy dziennie, że jesteś piękna i seksowna, dochodzisz do wniosku, że cię nie kocham i na pewno mam romans z jakąś wyimaginowaną, chudą, młodą laską.

Odsunął jej ręce i nalał sobie scotcha. Teresa ukryła twarz na jego piersi. Nie zrobił żadnego ruchu i jego chłód przeraził ją śmiertelnie.

- Przepraszam, naprawdę mi przykro. Obiecuję, że to się już nie powtórzy. Przestanę o tym mówić. Naprawdę spróbuję.

Rod westchnął, tak przygnębiony, że do reszty wystraszył żonę. Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Nie, nie spróbujesz. To jest silniejsze od ciebie. W końcu mnie wymęczysz i powiem to, czego się spodziewasz. Powiem to w gniewie. Wcale nie będę tak myślał, ale ty w to nigdy nie uwierzysz. Powiem to i wszystko się skończy. Prawie dwadzieścia lat małżeństwa.

Wstrzymał oddech i zmiękł, widząc rozpacz na twarzy żony, którą tak bardzo kochał.

- Terry, kocham cię. Dla mnie zawsze będziesz tą piękną dziewczyną, którą poznałem w Brighton. Widzę tylko ciebie i tylko ciebie kocham.

Objął ją i Teresa przyłgnęła do niego jak do ostatniej deski ratunku. Tyle pięknych słów, ale ona usłyszała tylko dwa: „dla mnie”. Wiedziała, co znaczą: że tylko on może dostrzec w niej coś atrakcyjnego, że w oczach normalnego, obiektywnego człowieka, który nie jest związany lojalnością lub zaślepiiony uczuciem, musi być brzydka.

Długo trzymali się w ramionach, zatopieni każde w swoich myślach.

- Wesołych świąt - śpiewała Slade, bez cienia ironii.

Był wigilijny wieczór u Gail Bathurst.

Jessye Norman śpiewała majestatycznie z supernowoczesnego stereo, kiedy Gail usadowiła się, zadowolona, pośród papierowych opakowań, które zaśmiecały jej mieszkanie. Było urządzone z przepychem. W indyjskiej szacie ozdobionej wizerunkami bogiń płodności Gail znakomicie wtapiała się w tło.

Ściany obwieszane były grafikami przedstawiającymi korpulentne nagie kobiety. Artystycznie udrapowane tkaniny pokrywały antyczne meble, wymyślne chińskie dywany tworzyły mozaikę na podłodze wyłożonej terakotą.

Gdzieś w głębi mieszkania zaszumiała woda spuszczonej w toalecie i korytarzem nadeszła druga kobieta, postukując klapkami na wysokich obcasach.

- Posuń się, stara.

Gail, pod dobrą datą, zerknęła przez szkło kieliszka na swoją towarzyszkę.

- Znajdź sobie własne miejsce, wstrętna jęzdo - powiedziała pogodnie do przyjaciółki.

Emma Lamming, niby bohaterka Jane Austen, opuściła się ostrożnie na kanapę, mniej przez wzgląd na godność osobistą, bardziej z myślą o tym, żeby utrzymać kolację w żołądku. Jej ciało rozlało się po ozdobnym meblu. Postronny obserwator byłby zdumiony, widząc taką ilość tłuszczu, ponieważ Emma z wielkim talentem ukrywała tuszę za pomocą bardzo drogiej odzieży.

Miała dwadzieścia dziewięć lat i jej życie nigdy nie wykroczyło poza ramy zakreślone przez jej wagę. Nie istniało w nim nic, w co nie wkroczyłaby obsesja. A zaczęło się bardzo wcześnie.

Przyszła na świat, ważąc pięć i pół kilograma. Cała rodzina była potężna. Kładli to na karb genów. Wymówkę tę Emma przyjmowała chętnie aż do czasu, gdy zaczęła jeść w domach szkolnych przyjaciółek i dowiedziała się, że nie wszyscy gotują tak jak jej mama. Myślała, że to normalne jeść codziennie zapiekanki albo placki na kolację, razem z bochnami chleba z masłem rozsmarowanym na grubych pajdach zatykającym arterie. Myślała, że ziemniaki występują tylko pod postacią frytek. Dowiedziała się, że niektórzy ludzie jedzą warzywa. Niekktórzy nie zawsze kończą obiad deserem. Niekktórzy przestają jeść, kiedy zaspokoją głód. Niekktórzy jedzą tylko trzy posiłki dziennie.

Miała jedenaście lat, kiedy zrozumiała, że jest i pozostanie gruba, jeżeli nie zmieni sposobu odżywiania. Jadła za dużo i robiła to od czasu, gdy została poczęta. Obwiniła o to rodziców, zwłaszcza matkę, za ignorancję. Nienawidziła ich za to, że obdarowali ją nieposkromionym apetytem i nałogiem jedzenia, którego nie potrafiła przezwyciężyć. A najbardziej nienawidziła całej rodziny za to, że nie chce jej uwierzyć i zejść z głupiej, przegłupiej drogi do zawałów i przedwczesnej śmierci. Ta skłonność do samozniszczenia, która cechowała jej krewnych, tak jak upodobanie do sztuki lub spędzania czasu na wolnym powietrzu cechuje inne, normalniejsze rodziny, u Emmy przejawiała się ekstremalnymi zaburzeniami odżywiania.

Rozhuściana między anoreksją a bulimią, między głodówką a opychaniem się, Emma otarła się parę razy o śmierć, a jeszcze częściej jej pragnęła.

Nawet utrzymywała się ze swojej choroby. Kiedy jako dziewiętnastolatka trafiła na oddział psychiatryczny, jeden z lekarzy zasugerował, żeby opisała swoje doświadczenia z jedzeniem, co może pomóc jej poznać samą siebie. Lekarz był pod wrażeniem jej szczerej, żywej i boleśnie humorystycznej opowieści i namówił ją, żeby opublikowała ją w czasopiśmie. Tak zapoczątkowała swoją karierę dziennikarską. Teraz współpracowała z najbardziej popularnymi pismami kobiecymi, a także z prasą codzienną. Poruszała szerokie spektrum spraw kobiecych, ale zawsze powracała do kwestii nadwagi i problemów z odżywianiem.

Ważyla ponad dziewięćdziesiąt kilogramów i była po poważnej próbie samobójczej, kiedy przeprowadziła wywiad z Gail na inauguracji 5F. Przyłączyła się natychmiast. Było to półtora roku temu.

- Nie zadzwonisz do rodziców, Emma?

Emma poruszyła się niespokojnie i odwróciła twarz od Gail.

- Nie ma sensu. Są pewnie u babki, a ona nie ma telefonu. Zresztą tata jest pijany, a mama chrapie w fotelu z rozpiętą spódnicą. A ty? Nie zadzwonisz?

- Nie mam do kogo? - odparła Gail krótko.

Emma nie naciskała. Zaprzyjaźniły się szybko na początku istnienia 5F. Wzajemnie wychwyciły u siebie ślad robotniczego akcentu, którego nie do końca się wyzbyły, i nie próbowały obalać murów, jakimi odgrodziły się od świata. Tyle że mur Gail był o wiele grubszy i wyższy. Czasem Emma odkrywała w Gail odrobinę hipokryzji, kiedy przywódczyni grupy namawiała nowe członkinie do zwierzeń i otwartości, podczas gdy sama odkrywała tak niewiele. Mimo to była jej wdzięczna za przyjaźń. Dzięki 5F czuła się mniej samotna i mniej nienormalna.

Przez kilka minut siedziały w przyjaznej ciszy, potem Emma podjęła temat, który omawiały przed zjedzeniem olbrzymiego lunchu.

- Naprawdę twierdzisz, że nie wzięłabyś tego odchudzacza, w żadnym razie, nawet gdyby wszyscy go brali?

Gail wyprostowała się, żeby nadać swoim słowom większą moc.

- Lubię Marinę Riesenthal, nie powiem, i uważam, że może dużo wnieść do naszej organizacji i dużo zyskać, ale obeszloby się bez tej akcji wywrotowej, która podkopyje nasze wspólne postanowienie i zaangażowanie w sprawę.

Emma czuła, że powinna bronić nieobecnej Mariny.

- Ona nie twierdziła, że to jest bezwzględnie dobre, tylko że to nastąpi i wszystkie będziemy musiały podjąć decyzję, taką lub inną.

Gail sięgnęła z wysiłkiem po porto, dolała sobie do pełna, odstawiła butelkę i przy okazji wybrała kilka czekoladek z likierem.

- Rzecz w tym, że my wiemy, co o tym myśleć.

- Wiemy?

- Na litość boską, Emmo, pomogłaś mi stworzyć naszą filozofię, napisać statut. Ustaliśmy, że nie będziemy poddawać się stereotypom kobiecej figury. To znaczy, że nie będziemy się odchudzać dlatego, że ktoś uważa, że powinniśmy być szczupłe. A to

oznacza, że nie będziemy brały leków, żeby się odchudzić, tylko dlatego że powinniśmy być szczupłe. Proste. Czyż to nie jest proste?

Emma przełknęła szybko żyn, żeby splukać wątpliwość, która była tuż-tuż.

- Masz rację, Gail. Kanapkę z indykiem?

Był drugi dzień świąt w domu Ricka Gifforda w Buckinghamshire. Wszystko na miejscu, świąteczne i wytworne. Dzieci poszły hałasować do wielkiego ogrodu, gdzie nie mogły już zakłócać samozadowolenia dorosłych w salonie.

Rick i jego żona Gilly zwinęli się w swoich wygodnych, wielkich fotelach. Każde było pochłonięte książką, uznaną przez partnera za idealny prezent gwiazdkowy. Studiowali razem filozofię w Cambridge i znali doskonale swoje gusty literackie. Popijali chłodzone pouilly fumé i pojadali cukrowane migdały przy muzyce Mahlera, w atmosferze pełnego zrozumienia. Od czasu do czasu podnosili głowy, dokładnie w tym samym momencie i wymieniali spojrzenia wyrażające zadowolenie, poczucie więzi i spokój.

Ani śladu napięcia, żadnych podtekstów, zagrożenia idylli. Tak właśnie powinno wyglądać życie dwojga ludzi.

Tyle tylko, że Rick nie kochał już swojej żony. Ani swojej pracy. Ani nawet dzieci, w jakiś szczególny sposób. I nie było to nowe uczucie. Narastało od pięciu lat. Nauczył się ukrywać to, że jest coraz bardziej nieszczęśliwy. Uśmiechając się do swojej pięknej, kochającej, wrażliwej, inteligentnej, idealnej żony, marzył o otwarciu kafejki na plaży w Kornwalii.

Wszystko przemyślał. Będzie się ubierał, jak zechce, zupełnie inaczej niż teraz. Nie będzie się golił. Będzie jadł gotowaną fasolę z puszki. Będzie czytał całymi nocami, a w niedzielę błąkał się bez celu. Zmieni nazwisko. Będzie rozmawiał z nieznajomymi. Będzie rozmawiał ze sobą. Słuchał siebie.

Cudowna, obca, angielska, nieznana, dzika, stara i odwieczna, nieobliczalna Kornwalia. Marzył, że tam się narodzi na nowo. Nie, nie marzył. Planował. Nie, nie planował. Marzył.

To było jego życie. Rzeczywistość i marzenie, które się nawzajem wykluczały. I ten potworny ból głowy.

Był wieczór drugiego dnia świąt w laboratorium Perrico Pharmaceuticals.

David Sandhurst pozbył się dziewczyny, dzięki której uczynił zadość świątecznym konwenansom i nie spędził Gwiazdki samotnie. Przesunął palcami po zegarku od Susie. W myślach już układał listę drobnych i większych zakupów, jakie zrobi za pieniądze ze sprzedaży. A może odblokuje chociaż jedną kartę kredytową. Bawił się myślą, że może dokonywać finansowych wyborów. To rzadka przyjemność.

Po raz setny przejrzał notatki. Nagiał wiele reguł, żeby doprowadzić badania do etapu, kiedy można rozpocząć testy na ludziach. Nie miał skrupułów, zmieniając dane i niewygodne wyniki. Pigułka działała. Sam ją brał bez poważnych skutków ubocznych (ani takich, których w jego przekonaniu nie odcierpiałyby przeciętna kobieta w imię smukłej figury). Poza tym Perrico już przeprowadziło wstępne testy bezpieczeństwa, kiedy oxymetabulin był tylko potencjalnym lekiem na astmę. To skracało okres prób o pięć lat.

Badania nad oxymetabulinem jako produktem odchudzającym okazały się jednak bardziej skomplikowane, niż mógł przypuszczać. Na ogół przy testowaniu leku jedna grupa badanych bierze tabletkę, druga placebo. W sytuacji gdy obie grupy prowadzą normalny tryb życia, każda zmiana stanu zdrowia może być przypisana bezpośrednio działaniu lekarstwa.

Ale te kobiety ze swoim dziwnym systemem odżywiania! Nie znalazł ani jednej, która jadła, jak by to powiedzieć, normalnie. Co więcej, wszystkie otyłe kobiety, z jakimi miał dotąd do czynienia, dorobiły się problemów z tuszą właśnie na skutek niesystematycznego odżywiania i obsesji na punkcie jedzenia.

Jak, do ciężkiej cholery, sprawdzić działanie leku na grubasce, która będzie się na przemian objadać i głodzić w trakcie programu? Żeby dodatkowo skomplikować sprawę, przeczytał artykuł Emmy Lhamming, która twierdziła, że wszelkie próby produktów odchudzających nie mają sensu, ponieważ otyłe kobiety z reguły przechodzą na dietę podczas trwania testu, żeby dobrze wypaść.

Był w kropce, aż do czasu kiedy poznał Marinę Riesenthal, która wspomniała o 5F. Czy to mogła być prawda? Grube kobiety, których nie obchodzi to, jak inni odbierają ich tuszę? Kobiety, które jedzą, co chcą, i nie poddają się dziwnym psychologicznym motywacjom, które wcześniej wywoływały zaburzenia apetytu? Kobiety, których waga (choć

duża) pozostaje stała i nie podlega efektowi jo-jo?

Kiedy zaczął pisać protokół testów, starał się nie myśleć o Nagrodzie Nobla i cieszył się aspektem filantropijnym, wyobrażając sobie ogromny dar, jaki ześle tym niešťczesnym stworzeniom. Nie mógł się już doczekać początku badań. Myślał o zmianach, jakie wprowadzi w egzystencję tych kobiet. Sądząc z tego, co czytał, były grube przez całe dorosłe życie.

Dzięki niemu staną się szczupłe po raz pierwszy. Przez chwilę zastanowił się nad skutkami takiej przemiany. Czy ich zaburzona, pokiereszowana psychika przetrwa bez tego, co dla wielu jest warstwą ochronną? Wzruszył ramionami. Będą mi cholernie wdzięczne za ten zastrzyk szczęścia, uznał. Potem w ogóle odsunął od siebie wszystkie niepotrzebne myśli i skoncentrował się na pracy.

David Sandhurst był zadowolonym człowiekiem. Znalazł szczury doświadczenia.

6

Mile święta? - Andy wsunął głowę do pokoju Mariny, jednym spojrzeniem ogarniając gabinet rywalki i ekran jej komputera. Uraczył się widokiem biurokratycznego Wezuwiusza, z którym walczyła.

Podniosła wzrok. I szybko go odwróciła.

- Zgiń, przepadnij, maro!

- To był interes, nic osobistego. - Andy Cline wzruszył ramionami i poszedł sobie, nie pofatygowawszy się nawet, żeby pokryć kłamstwo swoim firmowym, krzywym uśmiechem. Marina zastanowiła się, dlaczego szczupli ludzie czują się drobni nawet wtedy, gdy się ich poniża, a grubasy robią się wtedy jeszcze grubsze.

Chwyciła teczkę z wysokiej góry papierów na biurku i bez pukania wtargnęła do gabinetu Ricka Gifforda.

- Czy już nikt nie jest łaskaw pukać? - rzucił krótko, nie podnosząc głowy.

- Najmocniej przepraszam! - prychnęła Marina. - Myślałam, że nazywam się Andy Cline. Chcesz, żebym wyszła i wróciła tu jako ja?

Rick westchnął.

- Musimy zaczynać to zaraz po świętach? Sądząc z twojego tonu, zaraz pozbawisz mnie ostatnich dobrej woli.

Marina zwała mu na biurko stos papierów.

- Zakładam, że wiesz o tym, mając Andy'ego za osobistą firmową małpę.

- Marino, sprowadziłaś do agencji milionowego klienta, ale sprowadziłaś go do mojej agencji. - Ostrzeżenie było wyraźne, choć nie wprost. Nie kazał jej na przyszłość zwracać się do siebie per pan, ale równie dobrze mógł to zrobić.

Marina zebrała całą siłę woli, żeby się nie zaczerwienić. Nie pomogło. Poczwała, jak gorąca fala przepływa jej przez podbródki aż na dekolt.

- W porządku, pewnie nie powinnam tego powiedzieć, ale doprawdy, Rick, zdajesz sobie sprawę, z czym on mnie zostawił?

- Tak, zdaję sobie sprawę i zapewniam cię, że ta decyzja nie przyszła mi łatwo. Ale Paul Jerome był za, a i ja musiałem przyznać, że ta propozycja dodaje kampanii nowego wymiaru.

- Au! - skrzywiła się Marina, słysząc krytykę własnej strategii.

- Nie twierdzą, że twoje pomysły były złe, mówię tylko, że Andy wymyślił coś, co je uzupełnia. Media już się zainteresowały seksownymi dziewczętami z gąbkami. I chłopcami, oczywiście. To dobra reklama dla Sparkleeze'a. Paul jest naprawdę zadowolony.

Zrobiło mu się nagle żal Mariny, która wyraźnie posmutniała.

- Poradzisz sobie z tym? Mam na myśli skutki uboczne?

Marina pomyślała o swoim biurku, które uginało się pod ciężarem tych „skutków ubocznych”.

- Zastanówmy się! Muszę obdzwonić sto siedem tytułów, firm plakatowych, stacji radiowych i telewizyjnych, powiedzieć im, że unieważniamy osiemnaście procent naszych kontaktów, choć terminy dawno minęły, ale będziemy się upierać przy starych cenach, a potem spytać, czy mimo wszystko będą dla nas mili i zaufają nam, kiedy zgłosimy się z naszą następną kampanią. Czy sobie z tym poradzę? Tak. Ale nie powinnam tego robić. I ty wiesz o tym, ty lizusowski wypierdku ze szkoły publicznej.

Teresa zamarła z ustami pełnymi jedzenia.

- Chyba mu tego nie powiedziałaś?!

- Pewnie, że nie. Tylko pomyślałam. Boże, czuję fizyczny ból, kiedy patrzę, jak cała moja ciężka praca ląduje w koszu przez jakiegoś śliskiego padalca, który dochrapał się tego samego stanowiska co ja, tylko dlatego, że ma jakiegoś tajemniczego haka na głównego dyrektora. Trzymałam buzię na kłódkę. Ale wewnątrz się gotowałam. Więc zrobiłam to, co zrobiłby każdy dyrektor działu reklamy po tym, jak podważono jego wiarygodność zawodową...

Teresa kiwnęła głową ze zrozumieniem.

- Kupiłaś duże pudełko belgijskich czekoladek i zjadłaś wszystkie...

- Bez twardych środków - przerwała jej Marina.

- Bez twardych środków, oczywiście - zgodziła się Teresa. - I zjadłaś je wszystkie w toalecie, żeby cię nikt przy tym nie widział...

- A pudełko i celofan włożyłam do wyjątkowo głośnego kosza na śmieci, żeby usunąć dowody...

- A potem umyłaś zęby miniszczoteczką, którą masz zawsze w torebce...

Marina przełknęła miniaturowego bezika, zanim powiedziała:

- I wypłukałam usta supersilnym środkiem do płukania ust...

- I wróciłaś do pracy, licząc, ile to było kalorii...

- Trzy tysiące pięćset, mniej więcej, co daje...

- Około pół kilograma przyrostu wagi - szybko przeliczyła Teresa.

- Więc wykombinowałam sobie, że muszę ćwiczyć aerobik przez dziesięć godzin, żeby to zrzucić.

- A to jest oczywiście wykluczone, ponieważ tylko szczupli i wysportowani ludzie mogą ćwiczyć aerobik...

- I nie dostać zawału - dodała Marina.

- No i wyglądałabyś jak balon w spodenkach z lycry.

- Gdyby produkowali je w rozmiarze 156.

- Więc chwycił cię atak paniki.

- Co mnie ucieszyło, ponieważ gwałtowne bicie serca na pewno przyspiesza spalanie kalorii.

- A potem uświadomiłaś sobie, że już nie jesteś wściekła, tylko okropnie, beznadziejnie przygnębiona i jedno może cię pocieszyć...

- Czekolada! - zawołały unisono.

Śmiały się, choć była to smutna prawda, której dotąd żadna nie wypowiedziała głośno.

Pograżyły się w słodkiej, przyjemnej intymności, w zgodzie ze sobą, rozumiejąc wszystko to, co nie zostało powiedziane.

Żadna nie dokończyła puddingu.

Marina przyjrzała się nienagannie zrobionej twarzy nowej przyjaciółki. Nawet najdroższy korektor Chanel nie mógł ukryć zmarszczek, których nie było przed świętami.

- Jak minęły święta? - zapytała.

Teresa sięgnęła po łyżeczkę i zaczęła mściwie niszczyć to, co zostało z puddingu.

- Wspaniale. - Wpakowała sobie do ust połowę eklerka z bitą śmietaną, ale zrobiła to bez przyjemności.

Marina patrzyła na nią i widziała siebie. Uznała, że ich przyjaźń jest już na tyle silna, by można wystawić ją na próbę.

- Coś mi na to nie wygląda.

Teresa opuściła głośno łyżeczkę na talerz i odchyliła się na oparcie krzesła.

- Bo nie były wspaniałe. Mam najcudowniejszego męża na świecie. Kupił mi bransoletkę z brylantami i pełny zestaw Teletubisiów. Zjedliśmy boski lunch, który razem ugotowaliśmy. Upiliśmy się boskim szampanem i słuchaliśmy starych płyt.

Marina uniosła brwi.

- Brzmi niesamowicie. Zazdroszczę ci tak, że cię nienawidzę.

- Niesamowicie zrobiło się dopiero wtedy, gdy otworzyłam jadaczkę.

- Co powiedziałaś?

- Zapytałam, czy jego zdaniem jestem ładna. Marina wypuściła ze świstem powietrze.

- Tylko nie to! Teresa pokiwała z ubolewaniem głową.

- Zawsze to robię. Kiedy już nie może być lepiej, zadaję sobie pytanie, jakim cudem takie szczęście spotyka taką zwykłą, grubą mnie.

Marina nawet nie próbowała przeczyć. Z doświadczenia wiedziała, że to bezcelowe. Nienawiść do siebie była jak trzęsawisko i pogodne „ależ skąd!” przypominało naklejenie plastra na zranione serce.

- Co zrobił Rod?

- To co zawsze, gdy go tym uraczę. Wiem, jak zareaguje, co powie, a jednak robię to. Cały zeszywniał, odsunął się i przez resztę świąt oglądaliśmy telewizję i jedliśmy gotowe dania z zamrażarki.

- Powiedz mi, żebym pilnowała własnego nosa, jeżeli nie chcesz odpowiadać, ale ile ważyłaś, kiedy się poznaliście?

Teresa się roześmiała.

- Wiem, co myślisz, i całkowicie się mylisz. Myślisz, oto klasyczna historia faceta, który żeni się ze szczupłą dziewczyną, ona sobie odpuszcza i torturuje się myślą, że mąż wolał swoją dawną szczupłą żonę.

Marina stwierdziła, że trzeba było nie oglądać Oprah Winfrey jako namiastki własnego życia. Naprawdę uwierzyła, że ludzie dzielą się na ściśle określone kategorie, jak w amerykańskich talk show. „Moja żona była laska, a teraz jest kolaska!” I nieodłączny wykrzyknik, jako obietnica dramatu tam, gdzie go nie ma. Uśmiechnęła się przepraszająco.

Teresa machnęła tylko ręką.

- Nie przejmuj się, ja też wierzyłam kiedyś w te bujdy. Nie, kiedy się poznaliśmy, byłam jeszcze grubsza niż teraz. W porządku, możesz być mniej lub bardziej wstrząśnięta, nawet ja się zdziwiłam, kiedy z latami trochę schudłam.

- Więc nie rozumiem, w czym problem - powiedziała zdumiona Marina. - Musisz być najszczęśliwszą kobietą zachodniego świata. Znalazłaś fantastycznego faceta, który ocenia kobietę nie przez pryzmat jej figury, lecz osobowości. Czytałam o takich gościach w artykułach, które pisali znani dziennikarze o odmiennych preferencjach seksualnych, ale nigdy nie sądziłam, że tacy ludzie naprawdę istnieją.

Teresa wyraźnie się ożywiła.

- O to mi właśnie chodzi! Ja też nie wierzyłam, że oni istnieją. Nadal nie wierzę.

Marina potrząsnęła głową.

- Nic już nie rozumiem. Ten facet jest twoim mężem od...?

- Prawie dwudziestu lat.

- Dwadzieścia lat! Mój Boże! Wyszłaś za Paula Newmana! Tak więc, on cię kocha i jest ci wierny od dwudziestu lat, nie zwraca uwagi na twoją tuszę...

- Twierdzi, że nie zwraca uwagi na moją tuszę - poprawiła ją Teresa.

- No cóż, osobiście uważam, że dwadzieścia lat oddania jest wystarczającym dowodem. Co jeszcze musi zrobić, żeby cię przekonać?

Teresa zastanowiła się nad pytaniem, które wydało jej się bardzo sensowne.

- Chybabym chciała, żeby odciął się całkowicie od innych kobiet i, o ile nie śpi, mówił mi, że jestem piękna. Aha, i żeby nie dotykał moich ud, brzucha i bioder, kiedy się kochamy. Aha, i żeby nie mówił, że Meg Ryan jest naprawdę atrakcyjna, a potem wycofywał się ze strachu, że poczuję się niedowartościowana. Takie rzeczy.

Ocknęła się z zamyślenia i stwierdziła, że Marina wpatruje się w przestrzeń nad jej ramieniem. Odwróciła się, żeby zobaczyć, kto jest przedmiotem jej zainteresowania. Nie zauważyła nikogo wyjątkowego. Sami profesjonaliści o błyszczących twarzach. Kobiety były ubrane na czerwono, a charakter mężczyzn dawało się określić po ich krawatach.

Stolik, w który Marina wbijała wzrok, wyglądał jak śmietnik, który tylko mężczyźni potrafią stworzyć. Talerze stały jedne na drugich, pełne resztek, za to w kieliszkach nie było ani kropli czerwonego wina. Bułeczki wybrano z koszyka i porzucono byle gdzie. Menu deserowe pozostało nieotwarte jak Biblia Gedeona.

Ale Marina nie patrzyła na jedzenie. Patrzyła na biesiadników.

- Na zdrowie, Paul! - Andy Cline zadzwonił delikatnie swoją koniakówką o ciężką kryształową szklankę do whisky Paula Jerome'a.

- Zdrowie, Andy. To był znakomity lunch. Bardzo ci dziękuję.

Andy rozsiadł się z satysfakcją, zadowolony, że przypieczętował męskim lunchem znajomość z Paulem. W ciągu trzech tygodni, mimo przedłużonych wakacji, udało mu się zaprzyjaźnić z klientem, jeśli w ogóle mężczyzna o tak niskim poziomie altruizmu i współczucia może się z kimś zaprzyjaźnić.

- Powiedz, jak ci minęły święta, Paul? Coroczna obowiązkowa pielgrzymka do taty i mamy czy cztery dni z kobietą twojego wyboru, jeśli nie snów?

Paul Jerome nie zagłębił się w tematy męsko-damskie tak chętnie, jak by tego pragnął Andy.

- Pojechałem do domu, ale na pewno nie z obowiązku. Święta to jedyna okazja, kiedy spotykam się z braćmi i siostrami. Siedzimy sobie, mówimy o tym, co robiliśmy przez cały rok, oglądamy czarno-białe filmy domowe i śpiewamy piosenki z musicali. Prawdę mówiąc, to moje wyobrażenie raju.

Rozległe zdolności aktorskie Andy'ego pozwoliły mu przybrać wyraz twarzy, który nie zdradzał grozy, jaką czuł. Jeżeli niebo naprawdę wygląda tak, jak to opisał ten dziwny człowiek, odda się bez reszty życiu w grzechu i zapewni sobie tym miejsce w wieczności, gdzie nikt nie będzie śpiewał wyjątków ze *Skrzypka na dachu*.

- Świetnie! - powiedział z entuzjazmem, a uśmiech szaleńca przemknął mu po twarzy.

Paul zapalił się do tematu.

- A co ty robiłeś w święta? Pojechałeś do domu, do rodziców?

Andy pomyślał o swoich rodzicach: ojcu, którego pojęcie lojalności rodzinnej sprowadzało się do tego, żeby wychodząc do kochanki, zostawiać obrączkę w domu. O matce, która chodziła do kościoła codziennie przez całe życie, żeby wyblagać, niejako na zapas, przebaczenie za nienawiść do męża, wypełniającą jej pusty umysł i każdą sekundę dnia. O siostrze, Perpetui, która przespała się ze wszystkimi przyjaciółmi domu, karząc rodziców za to, że obarczyli ją żenującym imieniem i zmarnowali dzieciństwo.

Pomyślał o swoich świętach; przymusowa obecność na nocnej mszy, kiedy wszyscy modlili się z zamkniętymi oczami, na wypadek, gdyby sąsiedzi patrzyli, ceremonia otwierania prezentów i konwencjonalne „ochy i „achy” przy rozpakowywaniu bibelotów od Aspreya i Tiffany'ego, obscenicznie wystawny lunch przy wtórze kolęd, nastawionych tak głośno, że szczęśliwie uniemożliwiały wszelką rozmowę.

- Moje święta - powtórzył. - Takie jak twoje. Cała rodzina siedzi przy stole i robi to co zawsze. - Jednym haustem dopił koniak i skierował rozmowę na bezpieczniejsze tory.

- No więc, co sądzą dyrektorzy o mojej nowej propozycji? Paul wodził palcem po szklance.

- Cóż, byli pod wrażeniem dokumentów, jakie im przesłałeś. Bez wątpienia ta duża

butelka whisky, załączona do każdej przesyłki, pomogła im podjąć właściwą decyzję. Naprawdę nie musiałeś ich przekupywać, propozycja broni się sama,

Andy się roześmiał.

- To nie była łapówka, tylko świąteczny upominek. Chyba nie oczekujesz, że dyrektorzy, ociążali po świątecznych lunchach, przebrną bez pomocy przez kolumny cyfr i danych statystycznych... - Urwał, kiedy zauważył, że klient go nie słucha. Odwrócił się, wyglądając kelnera, i nagle zobaczył Marinę.

- Spójrz, kto tu jest!

Wyciągnął szyję, niby to szukając wzrokiem osoby, na którą patrzy Paul. Nie zajęło mu to wiele czasu, bo doskonale wiedział, gdzie siedzi Marina. Wiedział od chwili, gdy sekretarka Mariny zarezerwowała stół parę dni wcześniej. Pod wpływem „nagle-go” impulsu zaprosił Paula i po dyskretnej naradzie z kelnerem starannie wybrał stół.

Jego zaskoczenie było dobrze odegrane.

- Dobry Boże, to Marina! Nie wiedziałem, że tu przychodzi. Co za zbieg okoliczności!

- Na kogo tak patrzysz? - Teresa odwróciła się, idąc za spojrzeniem Mariny.

- Pamiętasz oślizgłego padalca, który próbuje podebrać mi klienta? To on. Z moim klientem.

- Rany! Wygląda na to, że są w dobrej komitywie. Rozumiem, dlaczego wpadłaś w paranoję.

- Nie powinnam... To znaczy, klient nie jest moją własnością. Teoretycznie mam się nim dzielić z Andym.

Teresa pokiwała głową.

- Jest z gatunku dzielących się?

Marina zabrała się ze smakiem za swój pudding.

- No właśnie!

Teresa upuściła dość nieudolnie serwetkę i obejrzała się ukradkiem.

- Nie chcę wyjść na zdrajczynię, ale wydaje się dość atrakcyjny.

- Masz na myśli Paula Jerome'a - uśmiechnęła się Marina. - Faktycznie, jest atrakcyjny. Z tego, co mówiłaś o swoim mężu, wynika, że masz słabość do wysokich męż-

czyzn.

Teresa zaśmiała się głośno.

- Boże, nie! Nie ten wysoki. To znaczy, jest w porządku, choć po Rodzie rzadko który mi się podoba, nie dorównują mu. Nie, ten drugi. Oślizgły padalec. Ma w sobie coś z zادیorności Jacka Nicholsona.

Marina straciła apetyt równie szybko, jak go nabrała.

- Świetnie! Jest najlepszym kumplem mojego szefa, nie ma zasad moralnych, ma za to zادیorność Jacka Nicholsona. I to ma być fair play?

Teresa poklepała ją konspiracyjnie po ręce.

- Fair play istnieje tylko w filmach z Errolem Flynnem. W rzeczywistości walka idzie na gołe pięści.

Paul był zaskoczony.

- Trzymają się za ręce. Marina chyba nie jest... no wiesz? Andy improwizował, zachwycony takim obrotem sprawy.

- Cóż, zawsze to podejrzewałem, ale nigdy nikomu nie mówiłem, bo wyznaję zasadę: żyj i daj żyć innym. Wiesz, jak to jest z tymi grubymi dziewczętami. Moim zdaniem, niektóre celowo się oszpecają, żeby nie podobać się mężczyznom, rozumiesz, co mam na myśli.

Paul był przerażony takim przejawem męskiego szowinizmu, ale nie wiedział, jak mu się przeciwstawić. Nie chciał przyznać, że Marina nie wydaje mu się wcale taka szpetna. Było to dla niego zaskoczeniem, bo odbiegała znacznie od jego typu kobiety. Prawdę mówiąc, czuł się zażenowany tym, że pociąga go - choćby w tak znikomym stopniu - grubaska. Był pewny, że to go ośmiesza w oczach mężczyzn o bardziej pospolitych gustach. Nic nie powiedział. W głowie miał zamęt.

Andy zauważył zażenowanie Paula i postanowił je wykorzystać. Uniósł rękę i zaczął machać do Mariny.

- Poproszę, żeby dołączyły do nas na drinka, dobrze?

Paul chwycił go za rękę i ściągnął ją w dół, przytrzymując stanowczo na stole. Potrzebował czasu, żeby przystosować się do nowej sytuacji, i chciał odłożyć spotkanie z Mariną do chwili, gdy będzie bardziej opanowany.

- Nie! To znaczy, nie teraz. To znaczy, muszę wracać. Mam spotkanie, rozumiesz.
- Uświadomił sobie, że Marina na niego patrzy, i pomachał do niej, zakłopotany.

Teresa była zaskoczona.

- Trzymają się za ręce. Nie są... no wiesz? Marina powiedziała, że bardzo wątpi.
- Andy Cline spał z każdą kobietą w firmie, która waży mniej niż sześćdziesiąt kilo.

Teresa prychnęła.

- To niczego nie dowodzi. I mówiłaś, że coś go łączy z szefem. Uważam, że to prawdopodobne.

Upodobania Andy'ego nic nie obchodziły Mariny. Na samą myśl, że może to dotyczyć Paula, skręcała się wewnętrznie. Wiedziała, że taki facet nie może się zainteresować taką kluchą jak ona, ale lubiła sobie pofantazjować.

Odmachała Paulowi.

- To rzuca zupełnie nowe światło na sprawę - mruknęła pod nosem.

Marina przejrzała górę ubrań, które piętrzyły się na łóżku niby Mount Everest w technikolorze. Próbowwała skompletować garderobę na konferencję w Nowym Jorku; przygnębiające zajęcie. Jej walizka będzie jak zwykle dwa razy większa niż walizki innych delegatek, gdyż wkładała mnóstwo wysiłku w to, żeby ubierać się z niewymuszoną elegancją.

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Nie oczekiwała gości. Natychmiast wpadła w popłoch, przebiegła mieszkanie, szukając opakowań po jedzeniu, które zwykle zaśmiecały podłogę. Tym razem ich nie było. Sięgając do intercomu, zdziwiła się, że tak niepostrzeżenie zaczęła panować nad jedzeniem. Trzy razy „hura” dla 5F, pomyślała.

- Halo? - powiedziała słabym głosem, żeby pozostawić sobie otwartą furtkę i w razie potrzeby udać chorą, odesłać z kwitkiem ankieterów, świadków Jehowy lub natrętnych orędowników Partii Liberalno-Demokratycznej. Było bardzo prawdopodobne, że to któryś z nich, bo nikt ze znajomych nie złożyłby jej niezapowiedzianej wizyty - wszyscy

wiedzieli, jak bardzo nienawidzi niespodzianek.

Ale czegoś takiego się nie spodziewała!

- Witaj, Marino. Tu David Sandhurst.

Nazwisko nic jej nie mówiło, potem przypomniała sobie straszne przyjęcie u Susie, kiedy dostała się przystojnemu naukowcowi. Szok, jakim było pojawienie się tego mężczyzny na progu jej domu, sprawił, że starannie wyuczona mowa dla nieproszonych gości (atak migreny, powódź ze zmywarki do naczyń i gorączka tropikalna, w zależności od uporu odwiedzającego) całkiem wyleciała jej z głowy. Zanim zdołała zebrać myśli, odpowiedziała dziewczęcym głosem, którego użyła już przy pierwszym spotkaniu z Davidem.

- O, cześć! Co za miła niespodzianka!

Milczenie się przedłużało; Marina układała w myślach błyskawiczne scenariusze tego spotkania. Była w połowie szóstego, w którym straciła pięćdziesiąt kilo i David prosił ją o rękę, kiedy w jej marzenia wdarł się lekko zniecierpliwiony głos.

- To jak, wpuścisz mnie? Śnieg pada mi na głowę.

Przeprosiła histerycznie i szybko wcisnęła guzik otwierający drzwi na dole. Spojrzała w lustro - stwierdziła, że nie ma czasu na operację plastyczną, więc przyczesła rozwichrzone włosy odrobiną śliny i pociągnęła usta super-super-ekstra niezmywalną czerwoną szminką.

David Sandhurst stał w progu, niedbale boski. Próbowwała naśladować tę niedbałość, wiedząc, że może być pociągająca, i zaprosiła go do środka. Wszedł do salonu, pyszniąc się fizyczną wyższością nad tą nieszczęsną kobietą, która nie potrafiła ukryć zainteresowania jego osobą.

Rozejrzał się po mieszkaniu, przyznał niechętnie - bardzo stylowym. On też kupi sobie takie mieszkanko, kiedy będzie miał pieniądze. Dobry gust kupuje się za pieniądze, tego był pewien. Zazdrość ukłuła go boleśnie. A może był to głód? Znów „ta” pora miesiąca. Tuż przed pierwszym.

- Bardzo ładne gniazdko - powiedział, muskając srebrną ramkę, w której była okładka płyty podpisana przez Cole'a Portera.

- Dzięki - wdzięczyła się Marina. Była zła, że poza sferą zawodową jest tak bezna-

dziejnie nieskuteczna w kontaktach z mężczyznami. Postanowiła, że najlepiej przezwycięży zażenowanie, udając, że David jest klientem, przyjmując ten profesjonalny styl bycia, który zyskiwał jej powodzenie w pracy. Odchrząknęła jak nastolatka i zaczęła od początku.

- Napijesz się herbaty, kawy, a może czegoś mocniejszego? Mam w lodówce wino.

David się uśmiechnął i Marina by zemdląła, gdyby zdrowy rozsądek jej nie odpowiedział, że to uchodzi jedynie bohaterkom Jane Austen, ubranym w gorsety, które mogą zahamować obieg krwi.

- Z przyjemnością napiję się wina, dziękuję.

Marina poszła szybko do kuchni, zdecydowana wyjąć wino, zanim jej gość będzie miał czas pójść za nią i zobaczyć zawartość lodówki. Tego ranka stanęła przed trudnym wyborem. Późnym popołudniem miało się odbyć spotkanie 5F, ale nie wiedziała, czy będzie mogła pójść. Dzień był bardzo trudny, z przeglądem garderoby, co zawsze działało na nią przygnębiająco i przypominało o tym, jak ciężkie jest życie grubasów.

Wybór był dwojaki: zamknąć napięcie w hermetycznie zaplombowanym pojemniku, z dala od gruczołów podporządkowanych apetytowi, aż do chwili gdy będzie mogła bezpiecznie dać mu upust w gronie sióstr, lub opychać się obscenicznie, aż do chwili gdy dostanie okropnych mdłości i nie będzie już miejsca na żadne emocje. Doprawdy, trudny wybór, ale po raz pierwszy w życiu jakiś w ogóle miała. Niestety, mając nadzieję, nie miała dość silnej woli. Perspektywa podróży do Nowego Jorku napawała ją przerażeniem, które dało się uśmierzyć tylko kupnem dwunastu eklerków z polewą czekoladową. Celowo unikała lodówki, aż do chwili kiedy sytuacja będzie tak drastyczna, że ciastka posłużą jako kremowy prozac.

- Wspaniała kuchnia!

Omam nie krzyknęła. David stał tuż za nią. Zatrzasnęła drzwi lodówki i odwróciła się błyskawicznie z butelką schłodzonego chablis, uniesioną jak buława. Ujrzała lęk na jego twarzy i opuściła butelkę ze śmiechem, który miał być rozbrajający.

- Ćwiczę refleks - wymamrotała słabo.

David nie wydawał się przekonany i szybko wycofał się z kuchni. Marina skorzystała z tego, że odwrócił się do niej plecami, i przytknęła sobie butelkę do czoła w na-

dziei, że to zatrzyma pot zalewający jej rozpaloną twarz. Wzięła głęboki oddech, opanowała się i poszła za gościem do salonu.

Nalała wino do kieliszków, żałując, że nie zjadła czegoś treściwego zamiast koktajlu odchudzającego i garści tabletek ryżowych, które powinny napęcznieć i dać uczucie sytości. Wiem, wiem, odparła swojemu sumieniu. Co się stało z moim nowym, zdrowym, aneurotycznym podejściem do jedzenia? Ale jestem w 5F od pięciu minut. Pozwól mi pobyc jeszcze trochę pod tą warstwą ochronną.

- Zdrowie! - powiedziała z wymuszonym uśmiechem; zamierzony łyczek okazał się głębokim haustem.

- Zdrowie - odparł David, smakując z aprobatą doskonałe wino. Od dawna nie pił czegoś, co nie pochodziło z piwnic Bloku Wschodniego. - Marino! Cieszę się, że cię znowu widzę. Chciałem porozmawiać z tobą po kolacji u Susie, ale znikłaś.

Urwał i Marina uznała, że czeka na wyjaśnienie, dlaczego wyszła tak nagle.

- Tak, przepraszam, że się nie pożegnałam. - Powiedziałyby to, co zwykle mówią ludzie w takiej sytuacji, że miała kłopoty żołądkowe, lecz to wolno tylko chudziakom. Grubasy nie powinny się przyznawać do żadnych zaburzeń, choćby luźno związanych z jedzeniem. Byłoby to dopraszaniem się o krytykę. - Bolała mnie głowa.

David usiłował wyglądać na kogoś, kogo to obchodzi.

- Przykro mi to słyszeć. Nie wiedziałem nawet, czy jeszcze zechcesz ze mną rozmawiać. Wydawało mi się, że czułaś się trochę zażenowana tematem rozmowy, a może się mylę?

Zażenowana? Zastanówmy się, pomyślała. Tylko dlatego, że ludzie rozebrali mnie wzrokiem do naga i dziwowali się każdemu zbędnemu kilogramowi mojego odrażającego ciała, tylko dlatego, że musiałam patrzeć na ich odrazę, a moje życie zostało zohydzone? Zażenowana? Chciałam umrzeć. Naprawdę umrzeć. Czy to jest, twoim zdaniem, zażenowanie?

- Zażenowana? - zaśmiała się na siłę. - Skąd! Zdaję sobie sprawę, że moja tusza jest swego rodzaju kwestią, ale nie problemem. - Niezły tekst, pomyślała, sama omal w to uwierzyłam. Prawie, ale niezupełnie.

David myślał dokładnie to samo, lecz potrzebował wsparcia tej kobiety, więc nie

zaprzeczył.

- To się dobrze składa. Naprawdę cieszę się, że to nie jest problem, bo właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać.

Marina zrobiła zaskoczoną minę. Rany, naprawdę! Chcesz rozmawiać ze mną o mojej tuszy? Niech mnie kule biją! A ja myślałam, że przyszedłeś przedyskutować znaczenie Quentina Tarantino w historii postmodernistycznej reżyserii. Skróciła tę myśl do jednego słowa.

- Doprawdy?

- Chodzi mi o to, co powiedziałaś o tej grupie - ciągnął David z ożywieniem. - 5F, chyba tak się nazywa.

- Zgadza się. Choć nie jestem ekspertem. Należę dopiero od niedawna.

- Tak, tak... - David zirytował się, że mu przerwała, zwłaszcza że przygotował to przemówienie bardzo starannie i nie przewidział pauz na kłopotliwe uwagi. - Zainteresowało mnie to, co powiedziałaś, że członkinie jedzą normalnie, to znaczy, normalnie jak na kogoś, kto jest taki... To znaczy... wiesz. - Urwał, czekając na uśmiech, jakąś zachętę z jej strony. Gdy to nie nastąpiło, mówił dalej: - Widzisz, mam pewien problem.

Marina powstrzymała się od uwag, jakie cisnęły się jej na usta, w gamie od żartobliwych po obraźliwe.

- Jak wiesz, mam ten lek, który najprawdopodobniej rozwiąże światowy problem... - odchrząknął - kwestię nadwagi bez konieczności ćwiczeń i diety.

W tym momencie jego audytorium zwykle zachłystywało się uznaniem. Marina nie miała już na to powietrza w płucach, całą energię wykorzystwała na wciąganie brzucha i policzków. Skinęła tylko głową, co zaspokoilo nieustanne zapotrzebowanie Davida na podziw, jeśli nie uwielbienie.

- W każdym razie jesteśmy na etapie testów i w tym właśnie tkwi problem. Widzisz, istnieją pewne protokoły... - zawahał się.

Tak, pomyślała Marina, wiem, co to są protokoły. Ale założę się, że mi to wyjaśnisz, na wypadek gdybym była tak głupia, jak jestem gruba.

- Protokoły to pewne normy i metody stosowane w badaniu nowych leków - wyjaśnił David. - Takie przepisy i regulacje - dodał, na wypadek gdyby poprzednie słowa by-

ły jej nieznane.

Marina dała sobie spokój z zasysaniem policzków. Nie tylko nie wyglądała przez to szczuplej, ale chyba znacznie mniej inteligentnie niż zwykle.

- Zazwyczaj jest to prosta procedura. Bierze się grupę ludzi, którzy mają ten sam problem, czy też kwestię, jak w tym przypadku - dodał pośpiesznie. - Połowa z nich otrzymuje prawdziwy lek, a druga połowa placebo.

Teraz powie mi, co to jest placebo, pomyślała Marina posepnie.

- Placebo to pusta pigułka, innymi słowy taka bez niczego. Dziękuję.

- Dzięki temu wiemy, że kiedy problem... czy też kwestia... znika, jest to zasługa prawdziwego leku, który przynosi poprawę, lub też silnego, choć psychologicznego efektu fałszywej pigułki, jakiegokolwiek pigułki.

- Wszystko to wiem. - Marina nie potrafiła dłużej ukryć irytacji. Facet może i jest cudowny, ale jeżeli natychmiast nie zmieni swojego protekcjonalnego sposobu bycia, będzie musiała zrzucić maskę słodkiej dziewczeczki i grzotnąć go w nos.

- Och, przepraszam! - David wycofał się szybko. Chyba tracę wyczucie, zirytował się, przez jedną zdumiewającą chwilę oszołomiony myślą, że ta odrażająca kobieta wydaje się czuć odrazę do niego. - Chciałem się tylko upewnić, czy rozumiesz, dlaczego twój związek z 5F jest dla mnie taki ważny.

- Więc dlaczego? - zapytała Marina chłodno.

David zadrzał w tym zimnym podmuchu i mówił dalej:

- Kiedy układałem protokół, nie zdawałem sobie sprawy, że różnice w apetycie, a konkretnie zaburzenia w odżywianiu oznaczają, że wybór uczestników eksperymentu nie będzie łatwy.

- Ale przecież dobierasz ludzi o podobnej wadze i z podobnych środowisk? - Marina odkryła, że temat zaczyna ją interesować.

- To nie takie proste. Pomyśl tylko. Jak wygląda twój typowy jadłospis?

Marina wydmuchała powietrze ze świstem. Okropne pytanie, takie bezpośrednie. Postanowiła odpowiedzieć uczciwie, nie dbając już, co David sobie o niej pomyśli.

- Mówisz o czasach, kiedy nie należałam do 5F? Teraz niewiele brakuje, a wyeliminuję ekstremalne zachowania w odniesieniu do jedzenia. - Skrzyżowała palce za ple-

cami, bo przypomniawsza sobie góre eklerków w lodówce. - Ale kiedyś nie miałam chyba czegoś takiego jak typowy jadłospis. Albo się odchudzałam, ograniczając kalorie aż do głodówki, albo zjadałam o wiele więcej, niż wynosi dzienne zapotrzebowanie. - Nie rozwinęła tematu, czując, że David uznałby opis typowej wyżerki za coś groteskowego. Powstrzymała ją przed tym resztką dumy.

- Właśnie! - zawołał David z ożywieniem. - To musi oznaczać, że twoja waga mogła się zwiększyć lub zmniejszyć w każdej chwili.

Boże, nie cierpiała, kiedy ludzie mówili o jej wadze.

- Przestałam się ważyć wiele lat temu, ale tak, przypuszczam, że miesięczne wahania mogły dochodzić do kilkunastu kilogramów.

To go zaskoczyło. Nie potrafił sobie wyobrazić trybu życia powodującego tak drastyczne spadki i wzrosty. Opanował się.

- No właśnie. Kilkanaście kilogramów. Sama więc widzisz, jakie mam trudności. Jeżeli zbierzemy dwie grupy kobiet, jednej damy prawdziwą pigułkę, drugiej placebo, skąd będziemy wiedzieć, czy oxymetabulin jest skuteczny, jeżeli waga wszystkich badanych będzie się zmieniać na skutek nieregularnego odżywiania?

Marina zaczynała chwytać, w czym rzecz.

- Więc potrzebna ci grupa kobiet, dwie grupy, które mają relatywnie stały tryb odżywiania, żeby każda zmiana wagi mogła być przypisana działaniu leku?

- Dokładnie tak! Ale tu pojawia się problem. Gdyby te kobiety jadły w normalny sposób, nie miałyby klinicznej nadwagi.

Marina kontynuowała jego myśl.

- Chyba że już mają nadwagę i ich sposób odżywiania pozwala im utrzymać wagę, nie chudną ani nie tyją. Filozofia 5F.

David oparł się plecami o fotel. Zrobił, co miał do zrobienia. Pozwolił, by teoria zapadła w pamięć, po czym przystąpił do interesu.

- Właśnie dlatego tu jestem. Widzisz, 5F jest rozwiązaniem mojego problemu. Jeżeli dobrze rozumiem, członkiniami są kobiety, które pogodziły się ze swoim stanem.

- To brzmi tak, jakby chodziło o śmiertelną chorobę. One... my akceptujemy nasze ciała i nie chcemy, żeby obsesja fizycznej zmiany zdominowała nasze życie. - (Napraw-

dę potrzebuję eklerka). - Jemy, co chcemy, kiedy chcemy i w konsekwencji jedzenie przestało być dla nas takie ważne. - (Wsunę go do stanika, kiedy będę w kuchni, i zjem w kiblu).

David zauważył rozmarzenie na twarzy Mariny i wziął je za feministyczny zapal.

- Fantastyczne! Dokładnie to chciałem usłyszeć. Więc co o tym sądzisz?

(Sądzę, że uda mi się zmieścić cztery eklerki w staniku, jeżeli wcisnę je między miseczki).

- Słucham? Co sądzę o czym?

- Czy uważasz, że członkinie 5F zgodzą się wziąć udział w testowaniu leku?

- Absolutnie nie! - Gail Bathurst z największym trudem hamowała wściekłość. -

Nie do wiary, że odważyłaś się przyjść do mnie z taką propozycją. Nie dotarło do ciebie ani słowo z tego, co mówiłam, Marino?

- Oczywiście, że dotarło. A do ciebie nie dotarło to, co ja mówiłam? David Sandhurst poprosił mnie tylko, żeby przedstawić wam tę propozycję, i to właśnie zrobiłam. Musisz przyznać, że to ma sens. Gdzie indziej znajdzie kobiety z nadwagą, które odżywiają się w miarę systematycznie?

Gail wyrzuciła ramiona w górę.

- A dlaczego odżywiamy się systematycznie? Ponieważ odwróciłyśmy się od społecznie akceptowanej, arbitralnej definicji idealnej wagi dla kobiet. A ty zamierzasz dać im wszystkim pigułki, które mogą, ale nie muszą, je odchudzić. Żeby się ważyły. Konkurowały ze sobą, która więcej zrzuci.

- To nie tak.

- Dokładnie tak! Walczyłyśmy latami, żeby oddzielić naszą samoocenę od naszej tuszy, a teraz ty proponujesz, żebyśmy stały się królikami doświadczalnymi, żeby wszystko ponownie skupiło się na traceniu albo łapaniu kilogramów. Jedno ci powiem, nikt się nie zgodzi wziąć w tym udziału.

- Ja się zgodzę.

Te trzy słowa powiedziane cicho, ale stanowczo padły z ust kogoś, po kim Gail najmniej by się tego spodziewała. Emma była prawą ręką Gail i jej najbliższą przyjaciółką. Jej oddanie 5F było tym większe, że wsparcie i jedność grupy prawdopodobnie ura-

towały jej życie. Gail była wstrząśnięta jej zdradą.

- Em, ty to mówisz? Chcesz wziąć pigułkę? Zacząć od nowa huśtawkę apetytu, znosić upokorzenie, że będą cię ważyć co tydzień, oglądać twoje ciało w imię nauki?

- Mówię tylko, że jeżeli jest szansa, że ta pigułka może nas odchudzić bez konieczności ograniczania się, nie ma w tym nic złego. To diety, obsesja na punkcie jedzenia jest przyczyną naszych problemów. Możemy brać te leki, jeść jak zwykle i zobaczyć, co się stanie. Co w tym złego?

- Wszystko! Zgoda na udział w tym badaniu to przyznanie się, że cała nasza filozofia opiera się na kłamstwie. To tak, jakbyś ogłosiła światu, że wprawdzie kobieta może być szczęśliwa jako osoba gruba, ale szczupła może być jeszcze szczęśliwsza.

- A czy to nie jest prawda?

Gail popatrzyła na Emmę - przestały się rozumieć, kiedy zajęły odmienne stanowisko psychologiczne. Marina wkroczyła, zanim dyskusja przeszła na tory osobiste.

- Gail, przyszedłam do ciebie, ponieważ 5F jest twoją organizacją, twoim dzieckiem. Ja nadal jestem nowa w grupie i jeszcze nie znam wszystkich celów i korzyści programu. Zakładałam, że możesz się wypowiadać w imieniu wszystkich członkiń, ale nawet ty i Emma macie różny punkt widzenia.

- Do czego zmierzasz?

- Uważam, że trzeba przedstawić sprawę wszystkim członkiniom, żeby mogły zdecydować każda za siebie.

Kiedy streściła tę rozmowę Davidowi Sandhurstowi, chciał osobiście zwrócić się do kobiet. Zaprotestowała, rozumiejąc, że jego wyraźne obrzydzenie do kobiecych krągłości zantagonizuje panie. zaproponowała, że sama dokona prezentacji.

Stojąc w sali przed rekordową liczbą członkiń, Marina cieszyła się, że ma za sobą dziesięć lat doświadczeń w reklamie. A jednak była zdenerwowana i wciąż zastanawiała się nad moralnym aspektem propozycji, którą miała przedstawić.

Została przyjęta wyjątkowo spokojnie. Lojalne zwolenniczki Gail sarkają bez przekonania, ogólna reakcja sprowadziła się do niespokojnej introspekcji. Pytania, które padły, dotyczyły kwestii praktycznych - jak długo potrwa test, jakie mogą być skutki uboczne, czy naprawdę można jeść, co się chce. Potem głosowanie, czysta formalność.

Nawet Gail rozumiała, że brak dyskusji oznacza natychmiastową akceptację pomysłu. W głosowaniu sześćdziesiąt trzy osoby zadeklarowały swój udział w eksperymencie, między innymi Marina, Emma i Teresa. Pięć było przeciw, w tym Gail. Potem nic już nie było jak dawniej.

8

Był dwudziesty czwarty marca. Poprzedniego dnia uczestniczki programu stawiły się w laboratorium Perrico, zostały zważone, zbadane i otrzymały pierwszą porcję pigułek, prawdziwych albo fałszywek. Ułożenie protokołów, ściśle według wytycznych, trwało dwa miesiące. Trwałoby dłużej, ale David przyspieszył formalności, przedstawiając odpowiednim władzom sfalszowane dokumenty, pokątnie zdobyte pozwolenia i nieprawdziwe raporty bezpieczeństwa.

Nie chciał oszukiwać. Był dumny ze swojej pracy i pragnął, żeby została zauważona, uszanowana i odpowiednio doceniona. Ale zaczynało brakować czasu. Drzwi kredytów zamykały się szybko i z każdym miesiącem trudniej mu było związać koniec z końcem.

Potrzebował obiecanej premii. W banku powiedziano mu, że otrzyma większy limit debetowy, jeżeli przedstawi zaświadczenie z Perrico, że dostanie premię. Firma upierała się, że zrobi to dopiero, gdy eksperyment się uda. Stąd pośpiech, skracanie dróg, oszustwa. To nie była jego wina, lecz banku.

Eksperyment podzielił 5F na frakcje. Frekwencja malała, gdyż członkinie kwestionowały własne oddanie sprawie, coraz bardziej zauroczone potencjalnymi możliwościami cudownego leku.

Marina umówiła się z Susie, która dopraszała się babskiego wieczoru. Podejrzewając, że chce się zwierzyć ze swoich kłopotów małżeńskich, Marina odwołała długo odkładany obiad z Paulem Jerome'em, aby wesprzeć przyjaciółkę.

Przybrała najbardziej współczujący wyraz twarzy, zupełnie nieprzygotowana, że Susie nada taki obrót rozmowie.

- Dobrze to przemyślałaś, Mućka? Co tak naprawdę wiesz o tym leku? Możesz

umrzeć albo dostać zakrzepicy, albo jeszcze czegoś innego. Nie wiesz, jakie skutki uboczne wywołuje ta tabletkę. Niewiele trzeba, żebyś dostała ataku serca lub wylewu. Poza tym mówiłaś, że dobrze ci z taką tuszą. A jeżeli ta tabletkę nie zadziała albo dostaniesz placebo, tylko się rozczarujesz. Po co narażać się na takie stresy?

- I to mówi kobieta, która nawet w ciąży nie ważyła siedemdziesięciu kilogramów.

Susie, zdziwiona, popatrzyła na Marinę.

- Mówisz to z goryczą! Czyżby przemawiała przez ciebie zazdrość?

- Czy to by było takie dziwne?

Susie była wstrząśnięta tym wyznaniem.

- Na litość boską, lecz o co? To ty masz wszystko: karierę, cudowne mieszkanie, kupę pieniędzy i możesz myśleć tylko o sobie.

Marina zaczerwieniła się - ależ ją podsumowano.

- I jestem wielka jak stodoła. I może mam już dość bycia grubą.

Susie wiedziała, że lepiej nie przeczyć.

- Zresztą chodzi o coś więcej - ciągnęła Marina. - Nie jestem zazdrosna konkretnie o ciebie. - Pierwsze kłamstwo. - Jeżeli okaże się, że mogę zrzucić bezpiecznie kilka kilogramów, powinnam to zrobić dla zdrowia. - Drugie kłamstwo. - Poza tym dlaczego to jest dla ciebie taki problem? Gdybyśmy nie przyjaźniły się od tak dawna, pomyślałbym, że chcesz, bym zawsze była gruba, bo się boisz, że jeżeli zeszczupleję, szala władzy w naszym związku przechyli się na moją stronę.

- Podejrzewam, że cały ten psychologiczny bełkot pochodzi od twoich nowych przyjaciółek z 5F. Co one ci powiedziały? Że szczupłe kobiety lubią mieć grube przyjaciółki, bo na ich tle wydają się jeszcze piękniejsze? Że nie chcemy, żeby nasze przyjaciółki chudły, bo mogłyby się stać przez to bardziej atrakcyjne od nas?

Marina miała dość przyzwoitości, by udać zakłopotanie. Dokładnie tak uważały kobiety z 5F. A Marina wiedziała, że do pewnego stopnia tak się sprawy mają w jej długim związku z Susie. Może Susie sobie tego nie uświadamiała. Może ich znajomość tak się po prostu ułożyła.

Marina przypominała sobie te wszystkie wieczory w pięknych miejscach, barach i restauracjach, nocnych klubach i dyskotekach uczęszczanych przez rozmaite znakomito-

ści. Przypomniła sobie wszystkie ukradkowe spojrzenia mężczyzn rzucone na nią i na Susie, czytała z ich ust, kiedy ustalali, kto zatańczy z Susie, a kto ma pecha i zajmie się jej grubą koleżanką. Nieraz widziała, jak rzucono monetą, zmagowano bezgłośnie modlitwą, prosząc Boga, by oszczędził udręki spędzenia trzech minut ze słonicą w śmiesznej kiecce.

Wzięła głęboki oddech. Bezmyślne słowa mogły zniszczyć przyjaźń, która mimo swoich niedostatków była najwartościowszym związkiem w życiu Mariny (Więzów krwi z rodzicami nie uznawała za związek. Ludzie na ogół tego tak nie traktują).

- Susie, nie wpadaj w paranoję. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, dlaczego to robię. Wiem, mówiłam, że nie wezmę pigułki, wtedy na kolacji, kiedy David wspomniał o tym po raz pierwszy, ale zmieniłam zdanie. Może jestem po prostu słaba, powierzchowna i próżna jak... - Przywołała na pomoc swój najbardziej profesjonalny uśmiech, po czym zmieniła temat. - Powiedz lepiej, co się dzieje z tobą i Kenem. Zdecydowanie wyczuwam napięcie w waszym domu. No, wyduś to!

Miały znów po czternaście lat, porównywały piersi i plakaty z Davidem Bowie, Podkochiwały się w didżejach Radia Luksemburg i chichotały, kiedy nauczyciel powiedział „okres”. Susie przechyliła się i wyrzuciła z siebie:

- Mam romans! I co, zaszokowałam cię?

- Wcale nie. Domyśliłam się już dawno. Na tej kolacji przed świętami.

Susie popatrzyła na nią uważnie.

- Czego się domyśliłaś?

- Pomyślałam tylko, że wyglądasz wyjątkowo promiennie i że Ken nie jest obiektem jakiejś wyjątkowej twojej czułości. Więc kim jest ten szczęśliwy człowiek? Ktoś, kogo znam?

Susie odetchnęła z ulgą.

- Nie, nie. To ktoś, kogo poznałam... na siłowni.

- Więc to coś poważnego.

- Kto wie? Goja mówię! Oczywiście, że to nic poważnego. Jestem mężatką i mam dwoje dzieci. To tylko zabawa.

Marina, wytrawny kłamca, potrafiła rozpoznać mistrza. Cierpiała, widząc, że Susie

cierpi. W jednej z tych rzadkich chwil olśnienia zrozumiała, że nawet szczupli ludzie mają problemy, choć Susie bez litości podchodziła do dietetycznych planów przyjaciółki. Problemy... to takie nietypowe dla Susie. Aż do chwili gdy Marina zauważyła... Czy to możliwe? Nie, z pewnością nie. Tak, jednak to prawda. Pod sukienką z lycry, która zaledwie przed paroma tygodniami wydawała się udrapowana na kształtnym szkielecie, zarysowało się ciało. Susie tyła.

- Ile razy mam ci to powtarzać? Lek został dokładnie przetestowany. Nie ma skutków ubocznych. Jest całkowicie bezpieczny. - Teresa gwałtownie mieszała sos pesto, uwikłana w tę samą dyskusję, która zdominowała ich życie w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

- Terry, błagam cię! Nie rób tego. Rozpytałem się o tego Davida Sandhursta i nie podoba mi się to, co usłyszałem.

- A mnie nie podoba się to, co ja słyszę, przede wszystkim dlatego, że słyszałam to już sto razy.

Rod przesunął dłonią po włosach, jakby liczył na to, że w ten sposób pobudzi szare komórki i spłynie na niego natchnienie. Musiał się zadowolić banałem.

- Terry, to dlatego, że się o ciebie martwię. Nie podoba mi się, co się z tobą dzieje.

- A co się dzieje? Prócz tego, że mam teraz nadzieję na normalne życie?

- Posłuchaj tylko, co mówisz! Nie jesteś nienormalna. Nie jesteś okaleczona. Nie jesteś chora. Jesteś po prostu sobą, tą samą kobietą, w której się zakochałem i którą poślubiłem, i nie chcę, żebyś się zmieniła.

- A więc to tak! - Teresa machnęła łyżką w stronę męża i zobaczyła, jak zielony sos łąduje idealnym łukiem na jego białej koszuli. Jej złość przygasła, stłumiona podświadomym pragnieniem, żeby sprać plamę, zanim zrobi się nieusuwalna. To z kolei zezłościło ją jeszcze bardziej. - Zobacz, co narobiłeś!

- Co to znaczy „a więc to tak”? - zapytał Rod, kiedy zaciekle tarła koszulę wilgotną ścierką.

- To, że teraz wszystko rozumiem. Jesteś taki jak inni mężczyźni.

- Jacy inni mężczyźni?

- Ci, o których czyta się w magazynach kobiecych, co to nie chcą, żeby ich part-

nerki się odchudziły, bo to, że są grube i brzydkie, daje im poczucie bezpieczeństwa, pewność, że nikt inny nie będzie ich chciał.

Rod odsunął się od żony. Po raz tysięczny w ich małżeństwie Teresa zrozumiała, że powiedziała za dużo, i zapragnęła cofnąć czas o tych kilka minut.

- Wiesz, co mnie naprawdę boli? - odezwał się Rod, a w jego głosie było więcej smutku niż gniewu. - To, że ty naprawdę w to wierzysz. Nikt nie mógłby cię bardziej kochać, okazać ci tej miłości tyle co ja przez lata, a jednak nadal we mnie wątpisz. To beznadziejne.

Kiedy wyszedł z kuchni, Teresę ogarnęła znajoma rozpacz, wywołana nienawiścią do samej siebie. Jedna jedyna myśl trzymała ją jeszcze na powierzchni i pozwalała zachować resztki nadziei. Za kilka miesięcy będę szczupła. Wtedy wszystko się ułoży.

- Ach, to ty! - Gail zastanawiała się, czy nie zatrzaskać Emmie drzwi przed nosem, ale nie miała aż tylu przyjaciół, by mogła sobie pozwolić na puste gesty. Wahala się jednak dość długo, by dać Emmie do zrozumienia, że może zostać odtrącona (no dobrze, pewne gesty są zbyt silną pokusą), potem uchyliła drzwi na tyle, by gość wcisnął się do środka.

Emma poszła za Gail do frontowego pokoju, gdzie tak niedawno spędziły święta w najlepszej komitywie. Teraz były gorzej niż obcymi ludźmi, były eksprzyjaciółkami, a niezręczne milczenie aż nabrzmiewało od niewypowiedzianych oskarżeń.

- Więc jutro macie swój wielki dzień.

- Gail, to nie musi tak być.

- A jak ma być inaczej? Nasza przyjaźń opierała się na wzajemnym zrozumieniu, zaangażowaniu w sprawę, która miała zmienić poglądy, na czym skorzystałyby wszystkie kobiety, również my. Byłyśmy my kontra oni. Teraz przeszłaś na ich stronę.

Począpała do kuchni, a Emma powlokła się za nią jak odtrącony kot. Gail otworzyła lodówkę i stała przed nią bardzo długo - nie mogła się zdecydować, co przegryźć, żeby wypełnić pustkę, jaka się w niej otwierała.

- Gail, to nie jest tak, jak myślisz. Mówiłam ci, biorę udział w tym eksperymencie tylko dlatego, żeby o nim napisać. To będzie największy artykuł w moim życiu. Już teraz wszystkie czasopisma na rynku walczą o prawo publikacji. Chcę to zrobić. Musisz zro-

zumieć, sama mówiłaś, że moje pisarstwo jest ważne dla sprawy.

Gail nawet nie zauważyła, kiedy zjadła pół wieprzowej zapiekanki, podczas gdy Emma błagała o zrozumienie. Była zdziwiona, że okruszki ciasta spadają jej z ust. Emma ukryła odrazę ze znawstwem kogoś, kogo obrzydzeniem napawa każdy aspekt własnej egzystencji.

- Em, miej chociaż tyle przyzwoitości i bądź szczerą ze sobą, jeżeli już nie ze mną. Widziałam twoją twarz, kiedy Marina po raz pierwszy powiedziała nam o pigułce. Widziałam desperację w twoich oczach, nadzieję na zmianę, coś, czego odmawiałaś sobie przez ten cały czas. Chcesz być szczupłą. O to chodzi, prawda? Powiedz mi, że tak nie jest, a będę szczęśliwa. Nie możesz, prawda?

- Oczywiście, że chcę być szczupłą. Wszyscy tego chcą, na litość boską! Nawet ty, cokolwiek mówisz czy myślisz. Może wmówiłaś sobie, że jesteś szczęśliwa, ale nie jesteś, nie możesz być! W 5F chodzi jedynie o to, żeby polepszyć okropną sytuację. Dlaczego tego nie przyznasz i nie dołączysz do eksperymentu na próbę. Pomyśl tylko, Gail, obie mogłybyśmy być szczupłe, mogłybyśmy iść na zakupy, potańczyć, popływać, mogłybyśmy nosić dzinsy i bikini na śródziemnomorskiej plaży. Pomyśl o tym, Gail, i proszę, chodź ze mną. Chcę, żebyśmy zrobiły to razem. Gail popatrzyła na kobietę, która przed nią stała.

- Nie mam bladego pojęcia, kim ty teraz jesteś, a ty z pewnością nie wiesz, kim jestem ja. Chyba powinnaś już iść.

Emma szła na oślep ulicą, nie wstydząc się łez, które tworzyły tęczowe smugi w makijażu. Jej niepokój i poczucie wyobcowania pogłębiała jeszcze świadomość, że nie może rozprawić się z rozpaczą w swój zwykły sposób. Normalnie poszłaby do domu i jadła tak długo, aż przeładowany żołądek zacząłby zwracać pokarm. Teraz nie mogła tego zrobić, bo martwiła się o wynik kontroli wagi przewidzianej na jutro. W końcu jutro jest wielki dzień, początek nowego życia i chciała uczcić to, ważąc mniej niż pięćdziesiąt kilogramów, po raz pierwszy od wielu lat.

Jeżeli oznaczało to, że musi wziąć kilka środków na przeczyszczenie i wywołanie torsji tuż przed kontrolą wagi, to trudno. Zrobi to, i nie po raz pierwszy.

- Jak minął dzień, Rick?

Gilly podała swoje ulubione spaghetti na codziennej zastawie, która, jak na ironię, była droższa niż zastawa dla gości.

- Świetnie. Jak zwykle. Andy wciąż męczy mnie o to, żebym przepchnął w radzie jego kandydaturę.

- To niesprawiedliwe. - Gilly zmarszczyła brwi. - Decyzja nie należy wyłącznie do ciebie, a Marina zrobiła o wiele więcej niż Andy, chyba nawet on to rozumie.

Rick potarł mocno skronie, nie mógł na razie wziąć więcej środków przeciwbólowych.

- Oczywiście, że rozumie. Może jestem przewrażliwiony. Po prawdzie, nie przyszedł i nie powiedział, żebym popchnął sprawę, ale tak długa przyjaźń... Sam nie wiem. Jakby podejrzewał, że celowo opóźniam jego awans, żebym mógł pozostać jego zwierzchnikiem.

- Głupstwa! - powiedziała Gilly pobłażliwie. - Zna cię przecież. Nie należysz do takich ludzi.

Owszem, należę. Uwielbiam górować nad Andym. To moje zadośćuczynienie za to, że przez tyle lat górował nade mną pozycją. I tylko dzięki temu jestem jakby mniej zazdrosny o jego wolność. Mam to sobie za złe, wiem, jak to o mnie świadczy, o tym, jakim marny ze mnie przyjaciel. Chcę ci to wszystko powiedzieć, Gilly, odsłonić przed tobą jeszcze jeden aspekt mojego ja, tak jak to robiłem przez lata. Ale nie mogę. Muszę się nauczyć żyć sam. Zatrzymać rozwój naszego duchowego związku, żebym mógł się z niego wyrwać.

Muszę się wyrwać, moja droga Gilly. I nie ma sensu, żebym ci to mówił, bo nie zrozumiesz. Jak mogłabyś zrozumieć, skoro ja nie rozumiem sam siebie.

Jadł szybko, a Gilly opowiadała mu o swoim dniu w college'u. Chciał jak najprędzej znaleźć się w gabinecie, zamknąć drzwi i przejrzeć oferty kupna posiadłości, jakie otrzymał dzisiaj w TNSW. Posiadłości przy plaży w Kornwalii.

Było jak w poczekalni u ginekologa. Nikt nie miał powodu do wstydu czy zażenowania, a jednak tożsamość kobiet została zepchnięta na drugi plan przez sam fakt ich kobiecości. Zostały, niezależnie od swojej woli, rozdzielone na osobę i płeć w sposób, który od wieków rozwścieczał i pobudzał do działania feministki.

Tym razem jednak nie chodziło o ich macicę, ale o inne M - masę.

Marinie było niedobrze. Jak większość kobiet - i całkowicie niezgodnie z wyraźnymi instrukcjami Davida, aby odżywiały się normalnie - w ogóle nie zjadła śniadania. Prawdę mówiąc, od dwóch miesięcy odchudzała się po cichu, żeby teraz wydać się mniejsza. Rozum mówił jej, że to podważa sens angażowania do eksperymentu członkiń 5F, które teoretycznie odżywiały się normalnie, ale nie mogła nad sobą zapanować. Jak zresztą one wszystkie. Były przerażone tym, co wykaże waga. Stałyby na głowie, by zmniejszyć tę mękę.

Zobaczyła Emmę na fotelu przy drzwiach. Grzebała przy guzikach swojego wielkiego płaszcza i poruszała bezgłośnie ustami. Marina chciała z nią porozmawiać, ale chyba nie teraz. Właściwie nie miała okazji lepiej poznać Emmy w 5F. Przed rozłamem Emma i Gail były jak papużki nierozłączki. Można było wysnuć z tego tylko jeden wniosek, że łączy je ta sama wojownicza ideologia i taka sama bezkompromisowość w kwestii tuszy.

A jednak... A jednak... Marina przeczytała kilka artykułów Emmy i patrzyła jej w oczy, kiedy ta wygłaszała aforyzmy autorstwa swojej mentorki. Ujrzała coś w tych oczach, coś, co widywała, spoglądając w lustro. Dostrzegła ciągle żywą tragedię, ból, który narastał i groził wybuchem, jeżeli wkrótce nie zostanie uśmierzony.

Marina zaśmiała się w duchu. Jakie ona ma prawo osądzać ludzi? Nawet jeśli w jej życiu była jakaś tragedia, z pewnością nie zasługiwała na sensacyjne tytuły w prasie brukowej. Żadnego maltretowania, paskudnych rodzinnych tajemnic (przyznała nawet, że jej matka nie jest chyba gorsza od innych matek), żadnych urazów na tle seksualnym. W jej przeszłości nie było nic, co mogłoby wywołać taką niszczącą rozpacz, jeżeli nie liczyć wiecznych docinków ze strony rodziców i rówieśników, odbierających jej kawałek po

kawałeczku poczucie własnej wartości, aż nic nie zostało.

I może to właśnie była największa tragedia.

Marina uświadomiła sobie, że gapi się na Emmę, i szybko odwróciła wzrok. Na szczęście Emma nic nie zauważyła. W tym momencie drzwi się otworzyły i z gabinetu wyszła roztrzęsiona Teresa. Podeszła do Mariny i osunęła się na krzesło.

- Boże, to było straszne!

Marina spojrzała na nią z przerażeniem.

- Co? Co on zrobił? - Oczami wyobraźni zobaczyła strzykawkę i wzierniki.

- Och, nic z tych rzeczy! Ale to było gorsze niż ból fizyczny. Najpierw mnie zważył. Osiemdziesiąt pięć kilogramów. Myślałam, że umrę. Ostatnim razem ważyłam tylko sześćdziesiąt pięć.

- Kiedy to było?

- Kiedy miałam jedenaście lat.

Marina roześmiała się - ależ ta Teresa jest szczerą. Czy to oznaczało, że ona też będzie musiała powiedzieć, ile waży? Z pewnością więcej niż osiemdziesiąt pięć kilo, co do tego nie ma wątpliwości. Nikt nie lubi rozmawiać o wadze z kimś lżejszym od siebie.

- I dopiero wtedy wyciągnął to idiotyczne narzędzie tortur, coś w rodzaju suwmiarki.

- Po co, u Boga Ojca?

- Do mierzenia zawartości tłuszczu w organizmie. Powiedziałam mu, żeby się nie fatygował. Niech zaznaczy sto procent, a nie będzie daleki od prawdy. Ale nalegał. Wpycha wałki tłuszczu w suwmiarkę i odczytuje wynik. Wydawało mi się, że niechętnie dotyka mojej skóry, ale może mam paranoję.

A może nie, pomyślała Marina. Przypomniała sobie, jakim potępiającym wzrokiem David taksował jej ciało.

- I co było potem?

- Och, to co zwykle. Był tam lekarz. Posłuchał serca, zmierzył ciśnienie, spytał, na co chorowałam. Chyba był rozczarowany, że jestem zdrowa jak koń. Potem dostałam tabletki.

Otworzyła torebkę i wyjęła zwyczajne białe pudełeczko z białymi pigułkami bez

żadnych oznakowań. Wyglądały jak środki przeciwbólowe. Tyle nadziei wiązało się z czymś tak małym i zwyczajnym.

Marina zadała oczywiste pytanie, choć znała już odpowiedź.

- Domyśliłaś się, czy dali ci prawdziwe, czy placebo? Teresa potrząsnęła głową.

- Wygląda na to, że tego nie wie nawet David Sandhurst. To się nazywa eksperyment podwójnie zaciemniony. Chodzi o to, że gdyby wiedział, kto dostaje oxymetabulin, mógłby wywrzeć podświadomy nacisk na te osoby, żeby zachowywały się inaczej. Czy coś w tym rodzaju. Zresztą wszystko mi jedno. Stale czyta się o ludziach, którzy zażywali tabletki z cukrem i wyleczyli się z raka, bo wierzyli, że to lekarstwo. Ze mną będzie tak samo. Wierzę, że dostałam prawdziwe, i za parę miesięcy będę chuda jak modelka, żeby to udowodnić.

Słyszając przepowiednię Teresy, Marina posmutniała. Wyrażała jej własne tajemne pragnienia. Czy robiła to po to, żeby być chuda jak modelka? Chyba pragnęła czegoś więcej od życia?

Nie miała już czasu na dalszą analizę tego, czym się kieruje, bo wywołano jej nazwisko.

Proszę, Boże, żeby to było mniej niż sto kilogramów: Proszę, niech to będzie mniej niż sto. Proszę, niech to będzie mniej niż sto. Emma powtarzała mantrę w duchu, kręcąc guzikiem, w jedną stronę, w drugą, aż nitka się przetała i przerwała.

Pod ciężkim płaszczem miała zwiewną sukienkę, wręcz śmieszna w ten zimny marcowy dzień. Zważyła całą odzież i znalazła to, co ważyło najmniej (sto gramów). Nie włożyła bielizny ani rajstop (sześćdziesiąt gramów), a pod kapeluszem od Annie Hall miała króciutką fryzurkę, rezultat drastycznego strzyżenia z poprzedniego dnia (co najmniej sto dwadzieścia gramów, jak obliczyła). Ogólnie była nastawiona dość optymistycznie. Nawet szczęśliwa.

Nowy Jork był piękny w kwietniu. Męczące letnie upały jeszcze nie nadeszły, wszystko było błękitne, ostre i panoramiczne.

Marina w milczeniu patrzyła przez hotelowe okno, nie mogła znaleźć niebanalnych słów na opisanie widoku. W Nowym Jorku była po raz pierwszy, ale w ogóle dużo podróżowała. Widywała piękniejsze scenerie, a mieszkając w Londynie przez całe życie, przyzwyczała się do wibrującej muzyki nowoczesnego, niespokojnego miasta. To było jednak co innego.

Ona była inna. W ciągu czterech tygodni, odkąd została zważona w Perrico (sto pięć żenujących kilogramów), straciła dziesięć kilo i przeskoczyła o trzy odzieżowe numery w dół. Rozumiała mechanizm chudnięcia, wiedziała, że początkowy dramatyczny spadek wagi wynika w dużej mierze z utraty wody, ale to nie miało znaczenia. Tak szybko schudła dziesięć kilo i była zachwycona.

Miesiąc minął jak z bicza trzaśł, głównie z powodu nawału pracy. Dwa tygodnie zajęło jej odwołanie reklam i uwolnienie funduszy na kampanię Junction Jostle Andy'ego. Dziesięć godzin dziennie rozmawiała przez telefon, od czasu do czasu wypadając z gabinetu na osobiste spotkanie z wyjątkowo nieużyтым klientem. Okazji do gimnastyki miała niewiele, ale obliczyła, że najwięcej kalorii spaliła, kopiąc w ścianę obok biurka i wyobrażając sobie, że jest to mięsista, czuła część anatomii Andy'ego.

Odkryła, że przestrzeganie reguły o normalnym odżywianiu nie nastęrcza jej większych trudności. Była tak zajęta, że problem jedzenia zszedł na drugi plan wobec naglących spraw zawodowych. I po raz pierwszy życie prywatne pchało się do gabinetu.

Paul Jerome. Od tamtego krępującego spotkania w restauracji, kiedy Teresa rzuciła przypuszczenie, że on jest gejem, Marina nie czuła się przy nim tak swobodnie jak na początku znajomości. Całując go na powitanie, starała się nie dotknąć wargami jego policzka - a czegoś takiego nie cierpiała. Przerwy w rozmowach były teraz bardziej dostrzegalne i krępujące.

Brakowało jej rozkwitającej przyjaźni, która podczas świąt karmiła jej przytępioną wyobraźnię takimi smakowitymi możliwościami. Wiedziała, że nie ma prawa czuć się

oszukana dlatego, że on jest gejem. Tak czy inaczej już przedtem uznała, że facet jest poza jej ligą. Czy raczej poza ligą kogoś, kto waży sto pięć kilogramów. Ale przy dziewięćdziesięciu pięciu z tendencją spadkową kto wie?

Zdławiła w zarodku potrzebę uzalania się nad sobą, oddając się nowej przyjemności - spoglądaniu w lustro. Spodobało się jej to, co zobaczyła. A zobaczyła kobietę zdecydowanie za grubą, ale już nie groteskową. Zobaczyła garsonkę - tak! - dwie części ubrania, spódnicę bez gumy w pasie, hamującej przepływ krwi. I żakiet, który mogła swobodnie zapiąć albo zostawić rozpięty i nie wstydzić się, że widać talię. Rozkoszowała się możliwościami wyboru, jakie otworzyła przed nią utrata wagi. Potem, spokojna i pewna siebie, zeszła do restauracji na uroczystą inauguracyjną kolację.

- Marina! Wyglądasz fantastycznie!

Paul Jerome pospieszył ją powitać. Wiedziała, że komplement jest szczery. Nie uchyliła się nawet przed jego entuzjastycznym pocałunkiem. Nie mogła. Nie była w stanie się poruszyć. Zobaczyła to, jak tylko weszła na salę.

Paul stał w rogu, pogrążony w zażyłej rozmowie z sekretarką Mariny, Eleanor. Szczupłą Eleanor. Kobięcą Eleanor. Język ciała między nimi był nieomylnie heteroseksualny, a nawet świadczył o konsumpcji.

To się nie powinno zdarzyć. Przecież schudła. Teraz jej kolej. Nie dość, że Paul nie jest gejem (czy to dobrze, czy źle?), to jeszcze okazał się taki sam jak inni, zafascynowany ciałem w rozmiarze dziesięć i pustą twarzą.

Opanowała się szybko i uśmiechnęła niewyraźnie.

- Dzięki, Paul. Kiedy przyjechałeś?

- Wczoraj. Pomyślałem, że zrobię sobie wolny dzień, by nacieszyć się miastem.

Pewnie, pomyślała Marina. A kiedy Eleanor zapytała, czy może pojechać dzień wcześniej, by spotkać się ze znajomym, zgodziła się chętnie, pragnąc okazać swoją dobrą wolę lojalnej sekretarce.

- Wspaniale! - zawołała z przesadnym entuzjazmem. - No nic, obowiązki wzywają. Zobaczymy się na kolacji. Wybacz.

Kiedy odeszła, prężąc mięśnie pośladków aż do bólu, Eleanor dołączyła do Paula. Dotknęła jego palców dyskretnym ruchem, czego wymagał ich potajemny na razie zwią-

zek.

- Wygląda świetnie, prawda?

Paul docenił wielkoduszność Eleanor i ścisnął serdecznie jej dłoń. Była naprawdę miłą dziewczyną. Nie za mądrą, ale z pewnością najbardziej nieskomplikowaną i najmniej zdzirowatą ze wszystkich, jakie ostatnio spotkał. Rzadka kombinacja.

- Tak. Schudła, czy mi się wydaje?

- Nie wydaje ci się. Schudła, choć nie sędzę, żeby się odchudzała. Myślę, że to po prostu stres ostatnich tygodni. Ta wasza decyzja, twoja i Andy'ego, żeby zrobić tę kampanię z przednimi szybami, kompletnie ją załatwiła. Straciła wielu przyjaciół w mediach i ciężko to przeżyła.

Paul poczuł się winny. Andy zaniżył poziom trudności, jakie napotka Marina. Przez ostatnie miesiące Paul zorientował się w rozgrywkach personalnych w TNSW i toczącej się walce o miejsce w radzie. Chodził z Andym na bezspornie sympatyczne lunche i kolacje, ale zaczynał dostrzegać machinacje pod płaszczykiem kumplowskich pogaduszek. Andy w swojej arogancji uznał, że udało mu się przeciągnąć sojusznika Mariny na swoją stronę.

Paul nie wyprowadzał go z błędu, częściowo dlatego, że żywił mieszane uczucia do Mariny: zdumiewał go pociąg, jaki czuł do tej grubej kobiety, i był skołowany aluzjami Andy'ego, że Marina jest lesbijką. Nic dziwnego, że padł w ramiona bezpośredniej i uroczej sekretarki.

- Eleanor, mogę ci zadać naprawdę niestosowne pytanie? Absolutnie nie powinienem go zadawać, a ty masz całkowite prawo nie odpowiedzieć.

- Zaciekawileś mnie! O co chodzi?

- Czy Marina jest lesbijką?

Eleanor śmiała się tak, jakby powiedział jej stary dowcip z nową puentą.

- Co ci przyszło do głowy? Bo ma nadwagę? Chyba nie sądzisz, że wszystkie otyłe kobiety są lesbijkami? Myślałam, że masz szersze horyzonty!

Paul zaczerwienił się na dowód, że tak nie jest.

- Nie, nie, to nie tak. Tylko... No więc, Andy powiedział coś, co by na to wskazywało.

- Mogłam się domyślić! Drań! To do niego podobne. Zrobi wszystko, by zdyskredytować Marinę, ale nie sądziłam, że upadnie tak nisko. I po co mu to było? Przecież jej preferencje seksualne nie zaważą na tym, co o niej... Ach, tak! Osiągnął, co chciał. Teraz ona cię krępuje. Fakt, że może być lesbijką, zmienił twój stosunek do niej. Ale mnie rozczarowałaś!

Jej smutek zranił go bardziej niż ostre potępienie. Nie mógł się bronić, nie potrafił nawet uporządkować myśli, kiedy Eleanor powiedziała, że Marina jest taką lesbijką jak on gejem.

Rick i Andy stali przy barze. W pełnej, koleżeńskej komitywie. Takie chwile nadawały sens ich przyjaźni.

- Jak tam Gilly? - Andy zadał pytanie tak neutralnie, jak na to pozwalało dwadzieścia lat praktyki. Bo zawsze uważał, że Gilly powinna należeć do niego. On i Rick poznali ją w tym samym czasie w Cambridge. Po dziś dzień nie rozumiał, jak Rickowi udało się ją zdobyć. Jeszcze jedna niesprawiedliwość.

Już jej nie kocham, chciał powiedzieć Rick. Już jej nie potrzebuję. Nie chcę, żeby ona mnie potrzebowała. Dzieci są samodzielne, żyją dla siebie. Odrobiłem swoje, byłem dobrym ojcem. Nie mam absolutnie żadnego prawa tak się czuć. Jestem największym szczęściarzem pod słońcem. Mam wszystko, czego może chcieć mężczyzna. Na nic nie mogę się skarżyć. Mam łatwe życie. Może zbyt łatwe. Nie lubię już swojego domu. Jest zbyt wygodny. Wygląda jak mauzoleum. Umieram tu, Andy. Umieram.

Ale mężczyźni nie mówią sobie takich rzeczy. Zamawiają drinka, uśmiechają się i biorą kodeinę na codzienny ból głowy.

- Świetnie!

- A dzieci?

- Też świetnie. Sam planuje roczną wyprawę z plecakiem, jak tylko zrobi dyplom. Lorna przygotowuje się do matury. Będzie miała same piątki, jak jej brat. Wszystko jest w porządku. - Zmienił szybko temat, zanim powie coś od serca. - Wiesz, że mieliśmy zebranie rady tuż przed wyjazdem?

Andy wiedział. Wiedział również, że musi poczekać, aż Rick mu o tym powie. Takie były zasady, kiedy miało się przyjaciół na stanowiskach.

- Jak się pewnie domyślasz, głównym punktem dyskusji był nowy członek rady. I jak się chyba domyślasz, Marina bije cię w tej chwili na głowę.

Andy się najeżył.

- To niesprawiedliwe. Wiem, że załatwiła ten interes ze Sparkleeze'em, ale w ten sposób pomija się całkowicie mój wieloletni wkład w firmę. Decyzja nie powinna zostać podjęta na podstawie tak arbitralnych kryteriów.

- Andy, nie ma nic arbitralnego w trzech milionach funtów.

- A więc tak? Decyzja podjęta. Ona, nie ja? Rick potrząsnął głową.

- Nie. Do zatwierdzenia zostało jeszcze sześć miesięcy. Dość czasu, żebyś mógł coś zdziałać.

Andy zastanowił się.

- I to wystarczy? Muszę zdobyć równie bogatego klienta? Rick skinął głową.

- Mniej więcej. Chyba że Marina w tym czasie zrobi coś paskudnego, co zaszkodzi firmie.

Andy uśmiechnął się leciutko, słysząc tę luźną uwagę. Nareszcie! Język, który rozumiał. Robienie paskudnych rzeczy to była jego specjalność.

- Jak leci, Marino?

Marina siedziała przy stoliku obok Andy'ego i to wystarczyło, by pozbawić ją apetytu. Czepiała się myśli o swoim odbiciu w lustrze. Nie jestem już bezwartościowa. Zawsze dorównywałam temu facetowi zawodowo, a teraz jestem bliska tego, żeby dorównać mu pod każdym innym względem. Wzięła się w garść i bez uczucia wstydu zaczęła jeść żyłastego kurczaka, który leżał przed nią na talerzu.

- Świetnie, Andy. Ocaliłam ciężki przyczółek dla ciebie, niemałym swoim kosztem. Twój budżet jest bezpieczny, mój obcięty. Ciesz się zwycięstwem, póki możesz. Sparkleeze jest moim klientem, Paul Jerome jest moim klientem. Obojętnie, co jeszcze zrobisz, jaką diabelską sztuczką mnie zaskoczysz, fakt pozostanie faktem. W raporcie rocznym moje nazwisko będzie figurowało obok trzymilionowego przychodu.

Bon appétit.

Andy wpatrywał się w nią o sekundę dłużej, niż wypadało. Marina zadrżała, widząc niemą groźbę w jego oczach.

O północy widok z jej okna był równie piękny, ale inny. Jak ja, pomyślała cierpko. Noc i oślepiające światła ulicznego teatru sprawiły, że mrużyła oczy, starając się odszukać znajome kształty, ruch. Masz ci los! - pomyślała, kiedy zauważyła, że płacze. Jakie to dziwne, że moje łzy są w takim samym rozmiarze jak poprzednio.

Chwyciła płaszcz i ruszyła, niespokojna, w nowojorską subkulturę. Irytacja narastała w niej z każdą mijaną przecznicą. Gdzie, u diaska, są te całodobowe supermarkety, w których człowiek może dostać swoje ulubione łakocie? W końcu znalazła sklep, obskurny i niegościnnie. Niegościnnie dla kogoś, kto nie był głodny. Rozpaczliwie głodny.

W hotelu rozrywała opakowania batonów, herbatników i ciast o nazwach wprost z *Happy days*, Twinkie i Oreo, Tootsie i Hershey. Wpychała sobie jedzenie to ust, nie patrząc. I wtedy to się stało. Poczowała się zaspokojona. Nie tylko pełna w sensie fizycznym, ale zaspokojona, bo odarta z potrzeby dalszego jedzenia. Fizycznie i psychicznie nie była w stanie robić tego dalej. Miała przed sobą amerykański junk food za czterdzieści siedem dolarów, a udało się jej zjeść zaledwie kilkaset kalorii. Cholerne pigułki! Nie może już nawet porządnie się najeść! Co niby ma teraz zrobić? Obejrzała w telewizji parę starych odcinków *The Waltons* i rozplakała się, kiedy idealna rodzina zasiadła do rodzinnego posiłku przy rodzinnym stole. Wszyscy byli tacy cholernie szczęśliwi i tacy cholernie szczupli. Dlaczego nie urodziła się w biedzie na Środkowym Zachodzie w czasach Wielkiego Kryzysu? Życie jest takie niesprawiedliwie!

Ogromna sala konferencyjna mogłaby się mieścić w byle jakim hotelu przy szosie M25. Całą jedną ścianę zajmowała olbrzymia kotara. Kiedy Marina przyglądała jej się, ciekawa, co kryje, wydarzył się cud. Ktoś wcisnął guzik, jak na wieczorze premierowym, i kotara uniosła się wolniutko.

Światło Nowego Jorku jest inne. Migocze tysiącem możliwości, dociera do serca każdego przybysza, pytając: Hej, czy my się czasem nie znamy? Czy nie marzyłeś o mnie przez lata? Czy to nie ty obejrzałeś *42nd Street* dziesięć razy i udawałeś, że stepujesz na scenie Broadwayu? No więc, co myślisz? Czy nie jest dokładnie tak, jak sobie wyobrażałeś? Srebrzyście, głośno i ekspansywnie? Zabawnie, śpiewnie i w technicolorze? Nie podoba ci się?

Marinie się podobało. Dziwiła się, że ludzie mogą mieć depresję w tym mieście.

Szybko zapomniała o swoim przygnębieniu poprzedniej nocy. Dobrze spała i obudziła się z myślą, że tutaj wszystko może się zdarzyć. Oddech miała nierówny, ale uznała, że to przez widowisko, na jakie patrzyła. Uciekała przed natrętną myślą, że pigułki wyprawiają hece z jej sercem.

Powiodła spojrzeniem po innych delegatach, którzy tłoczyli się w sali, hałaśliwi spięci. Reprezentowali różne filie Sparkleeze'a na całym świecie, lecz na twarzach mieli ten sam wyraz rezygnacji, charakterystyczny dla dyrektorów marketingowych, których realia pracy nigdy nie dorównają wspaniałości ich tytułów.

Ale byli przecież w Nowym Jorku. Marina szukała w morzu twarzy tej jednej, która odzwierciedlałyby jej własny nastrój.

Nikt nie patrzył na wspaniały widok, który aż krzyczał, by mu poświęcić trochę uwagi. Potrząsnęła z niedowierzaniem głową i zaczęła szukać w tłumie Paula Jerome'a. To prawda, że okazał się nie mniejszym draniem niż inni, ale przynajmniej miał duszę, tego była pewna, On by zrozumiał, jakoś zareagował na to, co działo się wokół, a ona naprawdę chciała, musiała przeżyć to wspólnie z drugim człowiekiem.

Paul myślał i robił to samo. Ale moment, kiedy ich oczy się spotkały i wypowiedziały wszystko zmieniającą prawdę, należał jakby do innego filmu. Bo w tym obrazie ktoś zadzwonił łyżeczką w filiżankę do kawy i przywołał zebranych do porządku. Paul i Marina usiedli, czując wyraźniejszą izolację, a mniejszy zachwyt nad cudem, jaki się wydarzył.

Kiedy prezes firmy Sparkleeze wygłosił przemówienie inauguracyjne, Rick Gifford wstał i powiedział kilka słów w imieniu TNSW.

- Jak państwo wiedzą, w tym roku po raz pierwszy mamy zaszczyt uczestniczyć w corocznej konferencji strategicznej Sparkleeze'a. Pragnę podziękować w imieniu mojego zespołu za zaproszenie, które pozwoli nam uczestniczyć czynnie w tym przełomowym wydarzeniu.

Dyrektorzy branżowi, którzy naprawdę wierzyli, że to jest przełomowe wydarzenie, bili brawo. To smutne, pomyślała Marina. Rick przyjął aplauz z uśmiechem zwycięzcy.

- Kiedy za kilka miesięcy rozpocznie się kampania w Zjednoczonym Królestwie,

postaramy się, by przyniosła taki sam sukces jak w każdym innym kraju w ciągu ostatnich siedmiu lat...

Marina przestała słuchać i zagapiła się w okno. Było tak pięknie, że tylko na tym mogła się skoncentrować. Czy to możliwe, by inni przyjmowali to tak obojętnie? Zanim się zorientowała, Rick skończył swoją mowę, wywołując żenująco entuzjastyczne okrzyki i gwizdy. Ktoś wstał i przedstawił cele pięciodniowej konferencji.

Przede wszystkim chodziło o ocenę rezultatów piętnastomilionowego (w dolarach) badania rynku, które miało zaowocować dodaniem kwiatowego ekstraktu zapachowego do wszystkich produktów Sparkleeze'a na całym świecie. Wszyscy byli za, choć pojawił się problem, który mogła rozwiązać tylko konferencja globalna: czy na nowej etykiecie wydrukować kwiat jako symbol kwiatowego aromatu, czy też gwiazdkę - silniejszy akcent dla podkreślenia, że Sparkleeze pozostawia lśniąca powierzchnię?

Marina myślała, że oszaleje. Jestem w Nowym Jorku, patrzę na tę spektakularną panoramę. Z emocji ledwo mogę oddychać.

A ci ludzie! Nawet tego nie widzą. Przejmują się, naprawdę się przejmują tym, czy na etykiecie będzie kwiatek, czy gwiazdka. I to nie tylko dlatego, że na tym polega ich praca. Nie! Po ich oczach widać, że to ich obchodzi. Francuzi piszą gniewne karteczki i wysyłają je Szwajcarom. Jedni są za kwiatkiem, drudzy za gwiazdką. Przedstawiają multimedialne prezentacje na poparcie swojego punktu widzenia. Poświęcą każdą minutę tego tygodnia na kampanię propagandową, starając się przeciągnąć oponentów na swoją stronę.

Nie pójdą wieczorem do teatru. Ani do muzeum. Nie pójdą na spacer w świetle księżycy, nie otworzą w nocy okien, żeby posłuchać muzyki ulicznego ruchu. Nie wyściubią nosa poza hotelowe ściany. Nie dadzą Nowemu Jorkowi okazji, by ich zmienił. Smutni, szaleni.

Szalona, szalona ja, bo siedzę tu z głupim uśmiechem, udając, że słucham dyskusji o gwiazdkach i kwiatkach.

Przez jedną cudowną chwilę zastanawiała się, czy nie opuścić sali i nie pójść do Central Parku. Zrealizuje swój własny scenariusz, będzie pływać łódką po jeziorze, jeździć na rolkach krętymi alejkami, zjeżdżać ze stromych...

- Marina! Marina! - syknęła jej do ucha Eleanor.

Wyrwana z marzeń, Marina wróciła do rzeczywistości.

- Co? - odsyknęła, zirytowana, że Eleanor przeszkadza jej fantazjować i że jej uroda tak usidliła Paula Jerome'a.

Eleanor zabolął jej ton i odsunęła się trochę, zanim wyszeptała:

- Stało się coś strasznego.

Oczywiście, nie dałoby się udowodnić, że to Andy Cline „podłożył” inne slajdy do porannej prezentacji Mariny. A także wszystkie materiały do rozdania. Żaden sąd nie skazałby go na podstawie tego, co Marina zobaczyła w jego oczach, kiedy Eleanor uraczyła ją złą wiadomością. Ale Marina wiedziała.

Robiła, co mogła. Przez całą noc przygotowywała nową prezentację na swoim laptopie i w biurze konferencyjnym wydrukowała kilka oktanowych slajdów. Ale widać było pewną chropawość, rażąco rzucał się w oczy brak liczb na poparcie jej tezy. Wszyscy wyrażali współczucie z powodu „zaginięcia” oryginalnych materiałów, ale Marina wiedziała, że nie wywarła dobrego wrażenia. Gdyby zależało jej tak, jak zależy nam, zdawali się myśleć ci ludzie, spałaby ze slajdami pod poduszką. Nie jest jedną z nas. Zapłakałaby nad tym chłodnym przyjęciem jej pracy, ale była zbyt zmęczona po nieprzespanej nocy.

Tego wieczoru pod koniec kwietnia w 5F było ledwie dwadzieścia kobiet, ale spadła nie tylko frekwencja. Zebranie przypominało obóz letni pod koniec sezonu. Kobiety mówiły zbyt głośno, próbując zapelnąć w ten sposób salę. W kątach tworzyły się grupki, w których omawiano temat tabu.

Sala była wyraźnie podzielona. Po jednej stronie stały nowe członkinie i stare bojowniczkki, które odrzuciły zaproszenie Perrico. Po drugiej króliki doświadczałne. Dzieliło je coś więcej niż filozofia. Kobiety biorące udział w eksperymencie zmieniły się. Wszystkie wydawały się szczuplejsze, choć w paru przypadkach mógł to być efekt ubioru, nowej fryzury lub makijażu. Związek sióstr rozpadł się na „one i my”.

Kiedy weszła Marina, cisza zaległa na sali, jakby zaatakował ją wirus. Jej nowa figura zdawała się krzyczeć oskarżycielsko na potępiającą publikę. Poczula, że coś ciągnie jaku innym członkiniom programu. Patrząc na nie, w widoczny sposób zaczynające ulegać nakazom pism kobiecych, natychmiast zauważyła różnicę między sobą a pozostałymi

paniami.

Po raz pierwszy w życiu świadomie ubrała się tak, by wyglądać jak najgorzej. Jeszcze nigdy nie spędziła tyle czasu przed otwartą szafą. Gdyby nie była taka zdenerwowana, uśmiełaby się z prób znalezienia stroju, który ukryłby jej wyraźnie okrągłą figurę. Dlaczego to robię? - zastanowiła się, narzucając na siebie spadochron z syntetycznego jedwabiu. Zrezygnowała nawet z firmowych loków i związała włosy w staropanieński koczek.

Funkcjonalny makijaż z powodzeniem zakrył kości policzkowe, już widoczne. Nie przyglądając się za długo swojemu odbiciu, wyszła z domu, zbyt pochłonięta innymi myślami, by analizować swoje dziwne zachowanie.

Prawdę mówiąc, była zażenowana osobą, ciałem, którym się stawała. Pogardzała uczuciem radości, jaka ją przeszywała, nieproszona, za każdym razem, gdy wchodziła na nową wagę, najlepszą, jaką można kupić, i odnotowywała dalszy spadek. Czuła się płytka i próżna, puszczając swoją kobiecością jak dziewczyna wchodząca w okres dojrzewania. Miała ochotę zawiesić sobie na szyi tabliczkę z wyjaśnieniem, że nie jest na diecie, kurczy się w imię nauki, nie urody. Całymi latami myślała o szczupłym ciele, a teraz zrozumiała, że wcale tego nie przemyślała. Aż do chwili gdy stało się faktem.

Zmiana przyszła zbyt szybko. Więc próbowała ją ukryć. Niestety, było to niemożliwe. Wkraczała w królestwo kobiet, gdzie utrata dwóch centymetrów w obwodzie uda jest rejestrowana z radarową precyzją na odległość stu metrów. Kiedy szła przez pokój, jej ciało pozostawiło delikatny odcisk na lekkim materiale, który ją okrywał, nie pozostawiając cienia wątpliwości, że Mariny jest coraz mniej.

Została przyjęta przez enklawę „kurczących się” mniej lub bardziej serdecznie. Kobiety ucieszyły się, że rosną w siłę i mogą dać większy odpór fali pogardy napływającej z drugiego końca sali, ale każda z nich oceniała nerwowo utratę wagi Mariny i porównywała z własną. Wciągnęły brzuchy i odwracały się tak, żeby uzyskać efekt większego schudnięcia.

- Teresa, dzięki Bogu, jesteś!

Marina chwyciła Teresę za rękę i wyciągnęła z grupy. Teresa ucieszyła się zwłaszcza z odkrycia, że schudła co najmniej cztery kilogramy więcej niż jej przyjaciółka.

- Marino, wyglądasz okropnie! Ktoś umarł?

Marina musiała się dobrze zastanowić, zanim postanowiła, że nie weźmie sobie do serca tej uwagi.

- Nie, po prostu spieszyłam się. Zatrzymano mnie w pracy i dotarłam do domu w ostatniej chwili. - Rany! Stałam się skończoną kłamczuchą. Prawie sama sobie uwierzyłam!

- Jak było w Nowym Jorku? Chciałam zadzwonić wczoraj wieczorem, ale byłam na siłowni.

- Odkąd to chodzisz na siłownię? Czy David Sandhurst nie mówił, że mamy prowadzić normalny tryb życia, nie zaczynać nic nowego?

- Wiem, ale on musi przyjąć do wiadomości, że kiedy człowiek chudnie, zwiększa się jego aktywność. Kiedyś nie byłam fizycznie zdolna korzystać z siłowni, ale teraz mam nadmiar energii i nie wiem, co z nim zrobić.

Marina bacznie przyjrzała się Teresie. Zauważyła niezwykle blask oczu, rumieńce, które nie były efektem różu. Dziwnie gestykulowała, pewnie po to, by ukryć drżenie rąk. Wyglądała jak te wypacykowane aktorki w *Dolinie Lalek*, które mają pokazać typowe efekty zażywania narkotyków. O czym ja myślę? Oczywiście, że widać po niej efekty zażywania narkotyków. Zażywa je. Jak my wszystkie. Potrząsnęła głową, zła, że jej umysł nie pracuje tak efektywnie jak zwykle. Mechanizmy przetwarzania danych były spowolnione, siadała zdolność właściwej oceny sytuacji.

- Wyglądasz fantastycznie - przyznała Marina.

- Dzięki! Bo czuję się fantastycznie. To niesamowite. Wszystkie moje ubrania są za duże, kupiłam dzinsy rozmiar szesnaście, a i one są trochę za luźne w pasie. Te tabletki są cudowne!

- A co na to wszystko Rod?

Dobry nastrój Teresy zgasł jak zdmuchnięta świeca, by po chwili wrócić do poziomu chemicznej ekstazy.

- Ach, Pan Tradycjonalista. Ciągle ta sama gadka: wołałem cię taką jak przedtem.

- Może faktycznie wołał cię taką jak przedtem? - zaryzykowała Marina.

- Tylko nie zaczynaj! Dobrze wiesz, jak to jest być grubą. Ilu spotkałaś mężczyzn,

którzy uważali, że jesteś atrakcyjna?

Marina była ciekawa, czy okrucieństwo jest cechą, którą nabędzie, kiedy też zrobi się szczupła.

- Ale z tego, co mówiłaś, wynika, że Rod naprawdę cię kocha. Zastanawiam się tylko, czy nie odwracasz się od tego jednego na milion, który nie wyznaje zasady, że wyłącznie to, co chude, jest piękne.

Teresa parsknęła pogardliwie.

- Czas pokaże. Gwarantuję, że kiedy Rod zobaczy mnie paradującą po sypialni w jedwabnej piżamce rozmiar dziesięć, odkryje swoje prawdziwe ja. Poza tym zacznasz mówić jak Gail. Traktujesz wszystko zbyt poważnie. Może pójdziesz ze mną jutro na siłownię? Poczujesz się jak nowo narodzona.

Zanim Marina znalazła odpowiedź, która nie rzuciłaby cienia na ich przyjaźń, Gail spadła na nie niby Boadicea. Jej powitanie nie było siostrzane.

- O, Marina, jak miło, że wcisnęłaś nas między zajęcia aerobiku a kosmetyczkę. Jak się żyje, w świecie kontrolowanej wagi? Założę się, że dokładnie tak samo jak przedtem. Liczysz kalorie w szmince? Udajesz, że biały ser jest pyszny? Spędzasz każdą chwilę przed sprawdzaniem wagi w kiblu, żeby wydalić z siebie ostatni gram brzydoty? Kupiłaś już tę obowiązkową spódnicę w rozmiarze dwanaście, w którą się kiedyś wciśniesz?

Marina nienawidziła jej. Nienawidziła jej, bo kiedy mówiła, opluwała jej twarz, i nienawidziła jej, bo wszystko, co mówiła, było prawdą. Musiała przyznać, że chudła, nie wkładając w to żadnego wysiłku. Rzadko odczuwała głód i jeszcze rzadziej doświadczała obsesyjnego łaknienia, sprawcy jej kłopotów. Ale miała wrażenie, że to właśnie pigułki pozwalają jej stać się tą nową, rozsądną osobą kontrolującą swoje zachowania, podczas gdy dawna, samodestrukcyjna Marina nadal waży sto pięć kilogramów i fantazjuje o batonach czekoladowych. To rozdwojenie jaźni napawało ją lękiem. Opanowała się szybko.

- To wcale nie tak, Gail. Żałuję, że podchodzisz do tego tak agresywnie. Nie rozumiesz, że uznanie Perrico dla 5F jest hołdem wobec twoich dokonań? Ty pozwoliłaś nam osiągnąć harmonię, która odróżnia nas od innych kobiet z nadwagą.

- Tutaj się nie mówi „z nadwagą”! - krzyknęła Gail. - I nie traktuj mnie protekcjonalnie. To, że schudłaś, nie oznacza, że jesteś kimś lepszym ode mnie. Właściwie po co

tu przyszłaś? Żeby się puszyć? Pysznić swoimi chudymi łydkami i pokazywać kościec? Musiałaś spędzić wiele godzin, żeby wybrać ciuchy, które zwrócą na Ciebie taką uwagę!

Marina była zdumiona tym wybuchem. Mimo że słowa mówiły więcej o Gail niż o niej, czuła się obnażona, bezbronna. Jak to możliwe? - myślała. Dlaczego spotykam się teraz z większą niechęcią, zjadliwością i pogardą niż wtedy, gdy byłam gruba? Chyba wolałam, kiedy ludzie obgadywali mnie za plecami, a ja mogłam udawać, że tego nie słyszę. Nagle stałam się zwierzyną łowną.

- Gail, nie udaję, że jestem lepsza od Ciebie, przykro mi, jeśli odniosłaś takie wrażenie.

- Znow jesteś protekcyjna!

- Na litość boską, posłuchaj mnie przez chwilę! Gdybyś przestała walczyć z nieistniejącym przeciwnikiem, może byś zrozumiała, że łączy nas nawet więcej niż przedtem. Moje doświadczenia z ostatnich miesięcy tylko potwierdzają niektóre z Twoich założeń i... - Uniosła dłoń, żeby powstrzymać następne oskarżenie. - Przyszłam tu dzisiaj, bo nadal potrzebuję Twojej pomocy. Właściwie bardziej niż przedtem. Tyle się dzieje, że tego nie ogarniam, i z wyjątkiem 5F nie mam nikogo, do kogo mogłabym zwrócić się o pomoc.

Gail zastanawiała się dobrą chwilę nad tymi słowami, a potem stała się na powrót Matką Ziemią i porwała Marinę w przytłaczające, ale mile potrzebne objęcia.

- Nie rozumiem, co masz na myśli, mówiąc, że nie mogłaś zrobić sobie wyżerki?

Całkiem uzasadnione pytanie zadała nowa członkini (która nie mogła odżalować, że nabór do eksperymentu Perrico jest już zakończony).

Marina próbował ubrać dziwne uczucie w słowa.

- Jakby zerwało się połączenie między komendą „Jedz”, jaką wysyła zdesperowana część mojego mózgu, a ustami. Popatrzyłam na jedzenie. Całe to cudowne, szkodliwe, tuczące żarcie, które miałam przed sobą. Przygotowałam scenerię: znalazłam stację radiową nadającą muzykę z lat siedemdziesiątych, *Hotel Zacisze* w telewizji, wyłączyłam głos, przygasiałam światła w pokoju i odsłoniłam okna. Ustawiłam najwygodniejszy fotel przy oknie, żeby patrzeć na linię Manhattanu, i wyłożyłam całe jedzenie na nocny stół, w zasięgu ręki.

Niemal słyszała, jak ślina skapuje z ust spragnionych kobiet.

- I co? - zapytała Gail niecierpliwie.

- I... nic. Wzięłam twinkie, coś w rodzaju babeczki z kremem, spojrzałam i... odłożyłam. Nie, żebym jej nie chciała, po prostu nie mogłam się zmusić, żeby ją zjeść. Nie byłam głodna. Nie byłam również niegłodna, po prostu nie mogłam się skupić na jedzeniu. Nie było ważne. To znaczy, nie było konieczne.

Szczęściara, pomyślały z żalem jej słuchaczki, nie mając bladego pojęcia, na czym polega jej problem.

- Mój problem - powiedziała Marina - polega na tym, że mam takie same problemy jak przedtem, tylko nie mam już mechanizmu obrony przed nimi.

11

Poczekalnia Perrico była kolorowa tego czerwcowego dnia. Ceremonia ważenia stała się czasem optymizmu, nie grozy, i kobiety po raz pierwszy w życiu wyglądały z radością nadejścia lata. Przestały być niewolnicami upałów. Mogły nosić krótkie rękawy bez lęku, jakim napawał je widok własnych ramion. Mogły nosić spódnice bez rajstop i ich uda nie ocierały się o siebie, nie powstawały więc otwarte rany.

Ubrania, jakie miały na sobie, odzwierciedlały to nowe poczucie wolności. Były tam poprzeczne pasy i wielkie wzory, a także (dobry Boże!) lycra i sztruks. Były biele i bogactwo pastelii.

Gawędziły o nowym życiu, nowych doświadczeniach, i co nieuniknione, o nowych znajomych, którzy zastąpili starych przyjaciół. Wiele długoletnich przyjaźni nie wytrzymało tej próby, starzy znajomi nie wiedzieli, jak rozmawiać z nowymi ludźmi. Wielka szkoda. I wielkie odkrycie.

Jeden temat pozostawał tabu. Nikt nie wspomniał o skutkach ubocznych, które uprzykrzały życie od rozpoczęcia programu. Większość kobiet miała nawracające migreny, ostre zaburzenia żołądkowe, zawroty głowy, najróżniejsze dolegliwości fizyczne, które wyraźnie ostrzegały, że coś jest nie w porządku. Każda z pań na swój sposób uspokajała się, że to nie lek wywołuje problemy, ale właśnie utrata wagi. Ostatecznie mogły

przecież brać placebo, nie chciały się wygłupić, narzekając na skutki uboczne.

Nie zamierzały się uskarżać na tabletki. Jeszcze by ich nie dostały!

Był to pokój pełen kobiet, które straciły na wadze, i widok ten sprawił, że David Sandhurst wpadł w rozpacz. Bo tylko połowa z nich otrzymała oxymetabulin. Druga połowa dostała placebo i nie istniał absolutnie żaden chemiczny powód do utraty choćby dziesięciu gramów.

- Cóż, schudł pan trzy kilogramy.

- A co poza tym? Proszę o dobrą wiadomość. Lekarz przejrzał uważnie wyniki badań.

- To zależy, co pan uważa za dobrą wiadomość. Dla niektórych ludzi każda diagnoza, choćby najgorsza, jest lepsza niż żadna. Kiedy człowiek wie, co mu jest, może przynajmniej walczyć z chorobą.

- Innymi słowy, nic mi nie jest. - Rick usiadł. Nie wiedział, czy czuje ulgę, czy rozczarowanie.

Lekarz miał rację. Rick prawie żałował, że nie może zwalić swoich nieodpowiedzialnych napadów marzycielstwa na chorobę mózgu albo jakąś inną straszną przypadłość, która robi bałagan w hormonach. Okazało się, że nic z tego.

Bóle głowy były prawie na pewno wywołane stresem, podobnie jak utrata wagi i wszystkie inne objawy. Rick napomknął mimochodem, że nie jest zadowolony ze swojego życia. Lekarz roześmiał się bez cienia współczucia.

- Panie Gifford, gdyby istniał lek na kryzys wieku średniego, sam bym go sobie przepisał. To, co pan czuje, to nic niezwykłego. Proszę sobie znaleźć nowe hobby. Wyjechać na romantyczny weekend z żoną. Grać w golfa. Ja tak robię. To minie.

Nie powiedział natomiast lekarzowi, że to uczucie narasta od dawna. Kontrolował je, trzymał w ryzach, bo taki już był. Uczciwy, rozsądny. Miał żonę i dzieci. Miał obowiązki. Ale z każdym rokiem te obowiązki stawały się coraz mniej ważne. Codziennie w drodze do biura mijał wjazd na autostradę M4. Codziennie musiał gwałtownie skręcać, powstrzymać rękę, by nie skierowała samochodu na łagodnie nachylony wiadukt wiodący na zachód kraju, ku nowemu życiu.

Już próbował nowych zainteresowań. Spędził wiele romantycznych weekendów z

żoną. Ale miał coraz mniej pomysłów. I coraz mniej silnej woli.

- Proszę o dobrą wiadomość.

Emma zeszła z wagi, niemal podskakując ze szczęścia. I bez Davida wiedziała, ile schudła. Ważyła się co najmniej trzy razy dziennie od chwili rozpoczęcia programu, potrafiłaby podać swoją dokładną wagę w funtach i kilogramach.

Straciła dwadzieścia cztery kilo w trzy miesiące i teraz ważyła trochę poniżej sześćdziesięciu pięciu, prawie tyle, ile powinna przy swoim wzroście, ale wyglądała strasznie. Zniszczone ciało dowodziło, ile je kosztowała ta przemiana. David czuł odrazę do ptasiego stworzenia, które przed nim stało. Owszem, pozbyła się większości zbędnego tłuszczu, ale za jaką cenę? Tempo chudnięcia spowodowało, że skóra wisiała na niej jak indycze wole. Torebki najbardziej opornego tłuszczu trzymały się jak guzy jej bioder i ud. Na wychudzonej twarzy zaznaczały się kości. Miała ciemnoniebieskie kręgi pod oczami, a oczy były przekrwione, choć błyszczące.

David nienawidził tej kobiety. Rozumiał, że cały eksperyment diabli wezmą, jeżeli nadal będzie się w ten sposób wyniszczała. Wkrótce stanie się boleśnie chuda, a wtedy jego projekt będzie kojarzony ze strasznym słowem „anoreksja”.

- Emmo, czy pani odżywia się normalnie? - zapytał ze znużeniem, wiedząc, że ona skłamała; było oczywiste, że się głodzi.

- Och, absolutnie! To znaczy, rozumiem, co pan mówił o tym, jakie to ważne, żebyśmy prowadziły taki tryb życia jak przedtem. Absolutnie! - Jej histeryczny entuzjazm był odpowiedzią na potencjalne ryzyko odcięcia od pigulek. Była inteligentna, wiedziała, że może zostać wycofana z programu, jeżeli udowodni jej, że nie przestrzega reguł. - Wiem, że bardzo schudłam, ale sądzę, że to mój naturalny metabolizm. Uważam, że w sposób naturalny powinnam być szczupła i pana oxymetabulin tylko przywrócił mojemu metabolizmowi naturalne tempo, i teraz wyglądam tak, jak chciała matka natura. To by wyjaśniało, dlaczego schudłam tak szybko, prawda? David szukał właściwych słów.

- Trochę mnie martwi tempo chudnięcia i ciśnienie, o wiele za wysokie. Emmo, nie wygląda pani dobrze i muszę powiedzieć, że jeżeli jest to rezultat tabletek, z powodów etycznych muszę panią...

- Nie może pan zabrać mi tabletek! Nie może! Proszę poczekać, a się pan przeko-

na! W przyszłym miesiącu wszystko się ustabilizuje, na pewno! Będę jadła normalnie, przekona się pan, że u mnie jest to naturalne, że powinnam taka być. Będę chodzącym dowodem pana sukcesu. - Spryt i instynktowne zrozumienie diabelskiego doktora Sandhursta podsunęły jej jeszcze inną myśl. - Proszę tylko pomyśleć, co to będzie, kiedy nagłośnię tę historię w Stanach, nie tylko w Wielkiej Brytanii. Mam kontakty, jak sam pan wspomniał. Nie ma mowy, żeby ta historia wyszła beze mnie. To ja jestem autorytetem od odchudzania. A kiedy media się dowiedzą, że byłam królikiem doświadczalnym... Co to będzie za wydarzenie! Każdy chat show w zachodnim świecie będzie chciał pokazać moje fotografie „przed i po”. - Popatrzyła mu prosto w oczy i powiedziała bez śladu groźby w głosie: - Na pewno chce pan mieć mnie po swojej stronie.

David poznał się na bratniej duszy. Wiedział, że Emma nie cofnie się przed niczym, żeby dalej uczestniczyć w eksperymencie. Była zdecydowana brać tabletki, niezależnie od tego, jaki to będzie miało wpływ na jej zdrowie.

Istniał jeden sposób, by ją zatrzymać w programie i nie narazić się na zarzut, że pozwolił na postępujące dalej samozniszczenie. Gdyby wiedział, że Emma bierze placebo, że te spustoszenia można przypisać neurotycznej wierze w siłę fałszywych tabletek, nie ponosiłby winy za konsekwencje. Reputacja oxymetabulinu nie doznałaby uszczerbku.

Ale jak się dowiedzieć, co ona bierze, kiedy tożsamości uczestniczek strzeże tak wytrwale program komputerowy, do którego nie miał dostępu? Dane zostały wpisane w taki sposób, że nikt nie mógł powiązać nazwisk z zaordynowanym rodzajem leku. Dopiero po zakończeniu eksperymentu wprowadzi się hasło, które uruchomi listę nazwisk i specyfikę leczenia. Przynajmniej w teorii. David nie był ekspertem komputerowym, ale wiedział, że w każdy program da się wejść, a jeżeli ktoś ma dość sprytu, by przechytrzyć maszynę, to właśnie on. Zaśmiał się cicho.

- Co pana tak śmieszy? - zapytała Emma, obejmując się ramionami w oczekiwaniu wyroku.

David spojrzał na nią z niesmakiem.

- Coś mi się przypomniało, nic osobistego. - Odchrząknął i udawał, że przegląda notatki przed podjęciem decyzji. - Cóż, wydaje mi się, że możemy to pociągnąć jeszcze

przez miesiąc, może wszystko się uspokoi.

Emma omal nie zemdląca z wrażenia, kiedy podał jej białe pudełko oznakowane tylko cyfrą z komputera.

- Nie zawiodę pana. Następnym razem będę całkiem zdrowa. Wstała i wyszła, zanim on się rozmyśli, wyrwie jej pudełko.

W poczekalni uśmiechnęła się do kobiet trochę histerycznie. Podeszła szybko do Mariny i Teresy, które siedziały razem, plotkując nerwowo w oczekiwaniu na swoją kolej.

- Cześć wam! - Jej wylewność była alarmująca i Marina potrzebowała paru sekund, by odpowiedzieć.

- Cześć, Emmo. Wszystko OK?

To zdawkowe pytanie nie wymagało odpowiedzi, ale Emma była zbyt podniecona, by opanować atak gadulstwa.

- Dwadzieścia cztery kilogramy. To fantastyczne! W życiu się tak świetnie nie czułam. Oczywiście, muszę dużo ćwiczyć, ale już zaczęłam, jeżeli człowiek naprawdę się przyłoży, jego ciało może się ujędrnić w sześć tygodni, a przypuszczam, że za parę tygodni będę już ważyła poniżej sześćdziesięciu kilogramów.

Przeniosła obłąkany wzrok z Mariny na Teresę i urwała, widząc wyraz ich twarzy. Ostatnio często widywała go u ludzi, z którymi się stykała. Było w niej coś, co sprawiało, że tak na nią patrzyli. Rozumiała. To radość z tego, że jest prawie szczupła, wprawiała ją w stan euforii. Chciała biec ulicą i krzyzczeć: Patrzcie na mnie! Patrzcie na mnie! Ale nie posunęła się w szaleństwie aż tak daleko. Gromadziła tę radość w sobie, wplatała ją w continuum delirycznych wrażeń, które wylewała na każdego, kto wykazał choćby najmniejsze zainteresowanie.

Mówiła za dużo i za głośno, wiedziała o tym. Postanowiła, że spróbuje się trochę opanować i przedstawi bardziej wyważony obraz swojej osoby. Na tym etapie zachowała jeszcze resztki obiektywności i raziły ją pewne aspekty własnego zachowania.

- Słuchajcie, a może pójdziemy we trzy na lunch? Babskie spotkanie, coś w tym stylu! - Przerazona, że odrzucą jej ofertę przyjaźni, zmieniła taktykę. - Chodzi o mój artykuł. Robię ogromny materiał do „Sunday Timesa” o eksperymencie i przydałyby mi się

wrażenia innych osób, nie tylko moje. Ja stawiam.

Jej desperacja była tak oczywista, że Marina i Teresa nie potrafiły odmówić. Teresa odezwała się pierwsza.

- Świetna myśl, Emmo. Ale nam zajmie to jeszcze przynajmniej pół godziny. Wolno dzisiaj idzie.

Marina pospieszyła przyjaciółce z pomocą.

- Może się gdzieś umówimy? Żebyś nie musiała tu siedzieć.

- Nie, z przyjemnością poczekam. Lubię to miejsce. Dobrze mi się kojarzy. Nie spieszcie się.

Założyła słuchawki na uszy, włączyła walkmana i odpłynęła w swój własny świat, w którym była szczupła, piękna i szczęśliwa.

- Dlaczego ona się tak uśmiecha? - zapytała szeptem Marina.

Teresa wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, ale dostaję przy niej gęsiej skórki. Dlaczego, u Boga Ojca, zgodziłaś się z nią pójść?

- O ile pamiętam, to ty się zgodziłaś!

- Musiałam. Odmowa byłaby jak kopnięcie jelonka Bambi. Co jej przyszło do głowy, żeby się z nami umawiać?! Dotąd w ogóle się nami nie interesowała.

- Trudno powiedzieć. Ale z tego, co wiem, ona i Gail nie rozmawiają już ze sobą. Przestała chodzić do 5F. Może nie ma innych znajomych.

- Tym razem z nią pójdziemy, ale jeżeli sobie wyobraza, że będziemy psiapsiółkami, to się myli. Myślałam, że sobie pogadamy jak zwykle.

- Znowu się pokłóciłaś z Rodem?

- Nie mogę się kłócić z kimś, kogo w ogóle nie widuję. Ostatnio znika na całe godziny. Twierdzi, że załatwia interesy.

- Nie wierzysz mu?

- Nie wiem już, w co wierzyć. Nie dziwię się, że schodzi mi z drogi. Jestem wyjątkową żoną. Wiem, że wszystko się unormuje, kiedy już będę szczupła, ale na razie nieźle mi odbija.

- Ale ty już wyglądasz znakomicie, sama o tym wiesz. Nie chcesz przesadzać z od-

chudzaniem, prawda?

- Och, Marina, mam nadzieję, że nie odwołasz się do tego banału: chyba nie chcesz być za chuda? Zwykle przypisuję to zazdrości, ale wiem, że ty nie jesteś taka.

Uwaga zaboląła Marinę.

- Myślę, że niektórzy mówią to, bo tak myślą. Wyglądasz naprawdę dobrze. Nawet ty, ze swoim samokrytycyzmem, musisz to przyznać. I przyznasz też, że kiedy zejdziesz się poniżej pewnej wagi, odbija się to na urodzie.

- Nie wiem, o czym mówisz, ale jeżeli chodzi ci o to, że lepiej być trochę grubą niż za szczupłą, to nigdy się z tobą nie zgodzę.

Marina miała ochotę zrezygnować z dyskusji. Lecz nie mogła. Musiała podjąć jeszcze jedną próbę zawrócenia Teresy z drogi.

- Wcale tak nie twierdzę. Mówiłam tylko, że każda kobieta ma swoją idealną wagę. Wiesz, kogo mam na myśli: kobiety, których twarze robią się zapadłe, zabiedzone, kiedy tracą cieniutką otoczkę na biodrach. Albo robią im się żyłaste łydki, gdy pozbędą się ostatnich zbędnych centymetrów w udach.

- Innymi słowy, muszę zachować swój obrzydliwy brzuch, żeby nie wyglądać jak przechodzony kurwiszon?

Marina uniosła rękę, kapitulując.

- OK, wygrałaś. Zmieńmy temat, zanim się pokłócimy.

- Racja.

Pustym wzrokiem zagapiły się w przestrzeń, szukając neutralnego tematu rozmowy. Było to trudne, bo ich przyjaźń opierała się przede wszystkim na wspólnym przeżywaniu problemu tuszy. Wszystko inne wyrosło z tego wspólnego pnia, ze świadomości, że ich fizyczna niedoskonałość wpływa na każdy aspekt ich życia.

Dobrze się złożyło - nie musiały stawić czoła tej prawdzie, bo Marina właśnie została wezwana do gabinetu. Teresa ścisnęła jej dłoń i życzyła szczęścia. Marina wstała i odeszła, zastanawiając się, jakie szczęście Teresa miała na myśli.

Wykańczały drugą butelkę sancerre. Teresa była zaniepokojona.

- Wiem, że się powtarzam, ale powiedziano nam, że nie wolno mieszać alkoholu z tym lekiem.

Emma zachichotała, sącząc ostatnie krople z butelki do kieliszka.

- Na to już trochę za późno. Zresztą wyjaśniłam ci już, że zawsze tak mówią w tych eksperymentach. Żeby się chronić, na wypadek gdybyś źle zareagowała. Wtedy mogą powiedzieć, że to nie ich wina. Ale w głębi duszy są bardzo zadowoleni, bo to oznacza, że ustalili związek między alkoholem a pigułkami, więc mogą wydrukować ostrzeżenie na opakowaniu.

Teresa i Marina patrzyły na nią z powątpiewaniem. To wyjaśnienie było jeszcze bardziej mętne niż dwa poprzednie. Z drugiej strony w tym, co mówiła Emma, była niepodważalna pijacka logika. Udzieliła im się pewnością Emmy, jej wiara we własne słowa, wobec czego zamówiły następną butelkę. Uśmiechały się do siebie głupkowato, jak to na dużym rauszu. Przestały już myśleć o tym, jak wyglądają, i tkwiły na niewygodnych chromowanych krzeselkach w bardzo niewyszukanych pozach, powyginane w zygzaki.

Alkohol pokonał opory Teresy, która zaczęła właśnie zadawać niedyskretne pytania.

- Emma, co jest z tobą i Gail? Kiedyś byliście nierozłączne, razem stworzyłyście podwaliny 5F, całko wita jedność, a teraz wygląda to tak, jakby ona cię ekskomunikowała.

Emma była zbyt pijana, by się obrazić albo zachować dyskrecję.

- Jest strasznie zasadnicza. Ale to jej problem. I ona to wie. I wie, że ja to wiem. Byłyście kiedyś u niej w mieszkaniu?

Nie były.

- Ale ja byłam i widziałam jej zdjęcia. Do szesnastego roku życia była szczupłą, pokazała mi kilka fotek z wakacji, z tamtego okresu. Wtedy wszystko stało się jasne.

Urwała, żeby uzyskać efekt dramatyczny, choć była tak pijana, że widownia wzięła przerwę za świadomy wysiłek, żeby nie puścić pawia albo nie zasnąć.

- No i jak ona wyglądała? - zapytała Marina, mając nadzieję na okropny opis podlotka, z jego problemami ze skórą i włosami, horror, przez który sama przeszła we wczesnej młodości, z tą różnicą, że do tego była jeszcze gruba.

- No właśnie! Wyglądała zwyczajnie. Nie była ładna. Ani brzydka. Wszystko na swoim miejscu, że się tak wyrażę. Odrobinę za obfita w biuście, ale widziałam gorsze

przypadki w mojej szkole. Nie, wyglądała... wyglądała w porządku. Dziwne miała tylko włosy. Zaplecione w warkocze, śmieszne u dziewczyny w tym wieku. I miały taki typowy odcień brązu. A popatrzcie na jej włosy teraz!

Odchyliła się na krześle, pełna satysfakcji z dobrego opisu.

- Czegoś nie załapałam? - zapytała Teresa, wciąż czekając na puentę opowieści. - Gdzie tu jest sens tego, że Gail boi się być szczupłą? Jestem tak zalana, że nie nadażam za tokiem tej rozmowy, czy jak?

Marina wzruszyła ramionami.

- Ty i ja też. Emma, o co ci chodzi? Powiedziałaś, że Gail była zupełnie normalną, typową nastolatką. I co z tego?

Emma machnęła ręką z irytacją.

- Nie rozumiecie? Nie rozumiały.

- Rzecz w tym, że kiedy Gail była szczupłą, była zwyczajna. Nie zapowiadała się na piękność, za którą ludzie będą się oglądali. Kiedy minęłaby jej pierwsza młodość, byłaby pewnie nijaka. Wyobraźcie sobie! Nijaka przez resztę życia.

Gestem nakazała, by się przysunęły i wysłuchały naukowego wywodu na temat kobiecej psychologii, wygłoszonego ścisłym głosem, jak tego wymagały okoliczności. Uśluchały niechętnie, przerażone perspektywą ostrego potępienia ogromnej większości kobiet, które nie spełniały wygórowanych kryteriów konwencjonalnej urody.

- Więc co zrobiła? Utuczyła się. A jaka jest dobra strona bycia grubą? Jedyna dobra strona?

Nie miały pojęcia.

- A to, że można sobie stworzyć szczupły obraz własnej osoby. Idealną siebie. W wyobraźni możesz być piękna i popularna, zabawna i kochana. Możesz mieć idealnie kształtne piersi. Możesz mieć biodra i uda według aktualnej mody. Kiedy jesteś gruba, możesz się prześlizgnąć przez życie, bezpieczna ze świadomością, że pod tym okazałym frontonem kryje się ktoś, kto może być, kim tylko zechce, i że pewnego dnia... pewnego dnia... będziesz tym kimś.

Urwała, żeby pociągnąć zdrowo z kieliszka, i mówiła dalej:

- Chyba że wiesz, jak naprawdę wyglądasz, kiedy jesteś szczupłą. Wyobraźcie so-

bie, że nawet ważąc pięćdziesiąt kilogramów, nie jesteście nikim wyjątkowym. Co byście zrobiły? Pozostały grube, zmieniły się w karykaturę. Jako grubasy jesteście wyjątkowe. Może nie ładne ani piękne, ale z pewnością wyjątkowe, rzucające się w oczy. A kiedy ludzie na wasz widok wzdychają i mówią: Byłabyś taka atrakcyjna, gdybyś schudła, uśmiechacie się w duchu, bo wiecie, że to nieprawda. Dlatego Gail nie chce zeszupłeć.

Nie było braw, choć Emma chyba oczekiwała aplauzu. Marina odchrząknęła.

- Może i masz rację. To znaczy, znasz ją lepiej od nas, więc nie możemy się wypowiadać w tej kwestii. Ale jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, ludzie by się nie odchudzali. A ci, którzy by to robili, szybko przekonaliby się, że wcale nie są piękni, i tyliby od nowa.

Emma walnęła triumfalnie pięścią w stół.

- Właśnie! Przeszło dziewięćdziesiąt procent kobiet, które straciły na wadze, odzyskało ją z powrotem. Jak myślicie, dlaczego? - Tym razem nie czekała na odpowiedź. Pisała o tym setki razy i nie zamierzała pozwolić, by ktoś podważał jej tezy. - Bo rzeczywistość człowieka szczupłego nawet ty przybliżeniu nie pokrywa się z fantazjami, które trzymały go przy życiu, kiedy był gruby. Nie spotkał obiektu swoich marzeń, a nawet jeśli spotkał, wcale nie czuł się tego kogoś godny. Nie dostał wielkiej podwyżki w pracy. Jego ciało nigdy nie było dostatecznie piękne w jego własnym mniemaniu. A jeżeli było, dostrzegał niedostatki gdzie indziej. Nie spotkało go to prawdziwe, niekwestionowane szczęście. Nigdy nie nastał czas, kiedy wszystko było tak, jak być powinno. To jest coś, o czym szczupli ludzie zawsze wiedzą. Godzą się z rozczarowaniem i żyją dalej, najlepiej jak potrafią. Kiedy grubas staje wobec tej rzeczywistości, radzi sobie z rozczarowaniem tak, jak potrafi. Je.

Zwiesiła głowę, przygnębiona własną filozofią. Gdy to mówiła, zdążyła obliczyć, że wchłonęła wraz z winem przeszło tysiąc kalorii. Zbliżał się atak paniki.

Teresa również była przygnębiona. Zastanawiała się, gdzie jest teraz Rod. Nie odebrał komórki, kiedy zadzwoniła, żeby mu powiedzieć, że zeszła poniżej sześćdziesięciu pięciu kilogramów.

Marina też nie czuła się najlepiej. Wyparowała z niej cała radość z faktu, że została

oficjalnie zważona i jej waga nie przekroczyła osiemdziesięciu kilogramów. Wino spowolniło jej procesy myślowe i na razie nie potrafiła znaleźć argumentu na obalenie teorii Emmy. Jeżeli Emma miała rację...

- Mućka!

Tylko tego jej było trzeba!

Susie weszła właśnie do restauracji z Davidem Sandhurstem. Nie było czasu, by się zastanowić, czy jest to dziwny zbieg okoliczności. Marina wstała, żeby się przywitać. Już zauważyła, że przyjaciółka się spieszy, zauważyła też z trudem powstrzymywaną panikę, która wyróżniała Susie z tłumu. Oto jestem, zdawała się mówić, pracująca matka, obarczona zbyt wieloma obowiązkami! Dźwigała torby od Petera Jonesa i lewy rękaw miała podwinięty tak, żeby zegarek był widoczny.

- Nie pracujesz dzisiaj? - zapytała zdziwiona Marina.

- Nie. Musiałam wziąć wolny dzień. Alice miała wizytę u dentysty, Frederick u psychologa dziecięcego (nie pytaj, Mućka, to długa historia), wieczorem przychodzi na kolację dziesięć osób z komitetu rodzicielskiego (trzymaj kciuki, może sama w nim zasiądę od przyszłego roku), mam mnóstwo roboty i...

Uścisnęły się dość niezdarnie i Susie odsunęła się, zaszokowana.

- Mój Boże, Mućka! Jak ty schudłaś! To znaczy, to wspaniale, gratuluję i w ogóle. Ale chyba nie masz skłonności do anoreksji, prawda? Prawie cię nie poznałam. Twoja twarz! Chyba nie posuniesz się za daleko? Nie chcę krytykować ani nic, tylko że...

- Dziękuję, Susie - odparła Marina sucho. - Ty też wyglądasz świetnie.

Susie szarpnęła się jak ugodzona kulą. Dopiero wtedy Marina przyjrzała się przyjaciółce. Po tylu wspólnych latach, kiedy tylko jej wady podlegały nieustannej analizie, uznawała doskonałość Susie za coś naturalnego. Ale teraz odżyły podejrzenia z ich poprzedniego spotkania. Marina przyjrzała się bliżej i wciągnęła gwałtownie powietrze; odkryła prawdę: Susie tyła.

Susie dostrzegła zdziwienie i - czy to możliwe? - radość na twarzy Mariny. Nie, z pewnością nie. Przyjaciółki nie są takie. Zanim Marina miała szansę ubrać swoje obserwacje w nieuniknione słowa, Susie zaczęła wyjaśniać:

- Wiem, co myślisz - wyrzuciła z siebie. - Zastanawiasz się, czy nie jestem w ciąży.

Marina nic nie odpowiedziała. Widziała Susie w ciąży i wiedziała, że to nie jest ciąża.

- Nie jestem w ciąży. Choć muszę przyznać, że sama to podejrzewałam. Znasz mnie, nigdy nie tyję. Nie, przypuszczam, że to jakiś problem z gruczołami. A może hormony. Oczywiście, zrobię wszystkie badania. To mogą być problemy z tarczycą. Albo cukrzyca. Cokolwiek. Może coś poważnego, nigdy nie wiadomo. Ale to nie do przyjęcia. W każdym razie nie dla mnie. Nie mogę mieć nadwagi. Nie ja.

Trzy panie były zażenowane jej przemową. Susie popełniła ten błąd, że próbowała usprawiedliwić przyrost wagi przed kobietami, które znały każde usprawiedliwienie. Bardzo jej współczuły, widząc, jak zмага się z całkiem nowym dla siebie problemem.

Czy była w tym również odrobina radości, że one się kurczą, a to biedne stworzenie pęcznieje? Oczywiście, że tak. Solidarność kobieca to bardzo chwalebny pomysł, ale kiedy przez całe życie znosiło się cierpienia zadawane przez kobiety takie jak Susie... Czy można je teraz winić za tę odrobinę satysfakcji?

I wtedy stało się coś okropnego. Susie wybuchła płaczem. Odwróciła szybko twarz, żeby sprawdzić, gdzie jest David, nieświadom jej katuszy. Siedział przy barze, flirtując bezwstydnie z kelnerką. To jeszcze bardziej pognębiło Susie.

- Mućka, co teraz będzie? Już nigdy nie zrobię mojego specjalnego sosu.

12

Czy mnie się wydawało, czy ona powiedziała, że już nigdy nie będzie mogła przyrządzić swojego specjalnego sosu? - spytała Emma Teresę.

- Na to wygląda. Susie się poderwała.

- Chodź ze mną. Pokażę ci w toalecie. To koszmar!

Zwracała się do Mariny, ale dwie pozostałe panie postanowiły, że też pójdą. Bliższość toalety w ich stanie była niezłym pomysłem.

Cztery kobiety ruszyły w stronę damskiego WC - w różnym stopniu upojenia alkoholowego i hysterii.

Było tam pusto. Susie poszła prosto do kabiny i zamknęła za sobą drzwi

- Poczekajcie, pokażę wam, w czym problem.

Istnieje mit, że kobiety uwielbiają wspólne sesje w toalecie. Może jest to prawda w przypadku kobiet poniżej trzydziestki, niemających nic do ukrycia, fizycznie i emocjonalnie. Kiedy przekroczy się trzydziestkę, toalety stają się azylami, gdzie można zastosować kosmetyczne triki, kamuflujące braki urody spowodowane upływem czasu. Stają się kokonami, gdzie kobieta może rozpiąć spódnicę i poluzować mięśnie brzucha na kilka cudownych chwil relaksu. Są rajem, gdzie może podłubać w zębach, zamalować to i owo, podciągnąć rajstopy. Większość kobiet woli być wtedy sama.

Stojąc w ciasnej umywalni, Marina, Emma i Teresa stwierdziły, że rozmowa przestała się kleić. Przeczytały wykaligrafowaną instrukcję pozbywania się zużytych produktów sanitarnych. Popatrzyły w lustro, celowo niedbale, żeby nie wyszło na to, że są próżne. Potem zaintrygowały je dźwięki z kabiny Susie. Najpierw otworzyła torebkę i grzebała w niej gwałtownie, potem jakieś pudełko. I wtedy to usłyszały.

Charakterystyczny dźwięk elektrycznego urządzenia pracującego na baterie. Wibrujący szum wypełnił łazienkę, raz głośniejszy, to znów cichszy. Trzy panie zamarły. Popatrzyły na siebie z niedowierzaniem, głęboko wstrząśnięte. Żadna nie chciała pierwsza wyrazić opinii o tym, co robi Susie w kabinie. To było zbyt okropne.

Nagle drzwi otworzyły się, pchnięte gwałtownie od środka. Spanikowana Marina ujrzała półnągą Susie, która podsuwała jej plastikową butelkę.

Wzięła ją niechętnie. Zajrzała do środka, bardzo zaniepokojona o stan zdrowia przyjaciółki.

- Butelka? - powiedziała ostrożnie, bojąc się, że udzieli niewłaściwej odpowiedzi.

Susie wyrwała jej butelkę.

- To nie jest zwykła butelka. To jest pusta butelka! Nie rozumiesz? To jest pusta butelka!

Emma mniej bała się niewłaściwych odpowiedzi.

- Widzimy, że jest pusta. Pytam o to niechętnie, bo nie jestem pewna, czy w ogóle chcę wiedzieć, ale co powinno się w niej znajdować?

Susie sapnęła z irytacją, rozzłoszczona głupotą tych bab.

- Mleko, oczywiście! Moje mleko.

Przetrawienie tej informacji zajęło im trochę czasu. Marina skojarzyła ją w końcu z niezliczonymi kolacjami, kiedy to Susie podawała w dużych ilościach specjalny sos, i zrobiło się jej bardzo, bardzo niedobrze.

- Chcesz powiedzieć, że używałaś mleka z piersi do sosów przez ostatnich...

- Siedem lat. Od urodzenia bliźniąt.

Emma pokręciła głową. Wydawało jej się, że w dziedzinie rytuałów żywienia nic jej już nie zdziwi, lecz mleko matki w białym sosie?

- Ale dlaczego? Na litość boską, dlaczego to robiłaś? Susie nie mogła uwierzyć, że ktoś może być tak niedoinformowany.

- Myślałam, że jesteś ekspertką od odchudzania. Nikt ci nigdy nie powiedział, że podczas karmienia piersią spala się dodatkowo do dwóch tysięcy kalorii dziennie?

Oczywiście, pomyślały wszystkie jednocześnie. Było to tak logiczne, że należało się dziwić, dlaczego inne kobiety tego nie robiły. A może robiły. Żadna z nich już nigdy nie tknie białego sosu przyrządzonego przez matkę.

- To był cud - ciągnęła Susie. - Cierpiałam z powodu nadwagi po urodzeniu dzieci, ale kiedy zaczęłam karmić, wszystko ze mnie spadło. Obżerałam się, a i tak traciłam po parę kilo tygodniowo. Nie mogłam uwierzyć, że niektóre kobiety nie chcą karmić piersią. Nie dostrzegają plusów, czy jak? Wkrótce jednak bliźnięta przeszły na stałe posiłki i nie chciały mojego mleka. Byłam zrozpaczona. Przytyłam parę kilo, chociaż stosowałam dietę. Rozwiązanie było oczywiste.

Poszła do kabiny i wróciła z urządzeniem, które słyszały wcześniej. Nie wiedziały, co to jest.

- Ściągaczka do pokarmu! - wykrzyknęła Susie.

- Ach! - zawołały chórem, widząc wszystko jasno, po raz pierwszy tego dnia. To miało sens, a zarazem było czystym szaleństwem.

Przez siedem lat Susie używała ściągaczki, aby podtrzymać wydzielanie mleka. Kiedy i gdzie odprawiała to misterium, pozostawało tajemnicą. Może Ken uważał, że żona ma słaby pęcherz i musi spędzać godziny w łazience. Kto wie?

Teresę coś jednak niepokoiło.

- Wspomniałaś, że urodziłaś bliźnięta. Musiały sporo jeść. Ile mleka ściągałaś

przeciętnie, odkąd przestałaś karmić?

Susie zastanawiała się przez chwilę.

- Około półtora litra.

- Dobry Boże! Co robiłaś z całą tą resztą której nie wpakowałaś w sosy? - zapytała Marina.

- Robiłam puddingi ryżowe, lody, koktajle mleczne dla dzieci, takie rzeczy. Och, i odkryłam, że świetnie się spienia w ekspresie do cappuccino. Zdziwiłybyście się, do ilu rzeczy takie mleko się nadaje.

- Wypompowujesz codziennie półtora litra mleka z piersi? - zapytała Emma, która jeszcze nie doszła do siebie po wstrząsie.

- O to właśnie chodzi, że już nie. Kiedyś tak, ale już nie mam pokarmu.

Mówiła do kobiet, które nie miały pojęcia o przyływach i odpływach mleka. Nie wiedziały, o czym ona opowiada. Musiała powiedzieć im to przystępniej.

- Wyszłam! Nie ma mleka. Ściągałam coraz mniej i mniej. Wtedy zaczęłam tyć. A parę tygodni temu całkiem przestało lecieć. Co ja teraz zrobię?

- Poproś Davida o tabletki - powiedziała Marina, zanim ugryzła się w język.

Palnęła głupstwo. Głupstwo, bo to było takie kusząco łatwe. Głupstwo, bo to było złe. Głupstwo, bo Susie będzie teraz obsesyjnie szukała błyskawicznych rozwiązań. Marina chciała już odwołać to, co powiedziała, kiedy nagle coś ją olśniło.

- Coś mi się przywidziało, czy David przyszedł tu z tobą? Susie poczuła się zagrożona. Musiała działać szybko, żeby odwrócić od siebie podejrzenia.

- Wydało się! Masz absolutną rację, Mućka. Pomyślałam to samo co ty i doszłam do tego samego wniosku. Zaprosiłam tu Davida, bo chcę, żeby mnie wciągnął do programu.

- Susie, to niemożliwe, chyba rozumiesz. Wiem, że sama ci to zasugerowałam, ale to był tylko idiotyczny odruch bezwarunkowy. Po pierwsze, program jest już w toku, nie mogą dołączyć nikogo na tym etapie. Po drugie, nie spełniasz podstawowych kryteriów. David wybrał nas, bo jako członkinie 5F odżywiamy się w miarę stabilnie i nie spieprzamy wyników.

Podobnie jak Emma i Teresa była na tyle przyzwoita, że zaczerwieniła się z powodu jawnego kłamstwa, jakie właśnie wygłosiła. Cóż, tak brzmiała oficjalna wersja i tego musiały się trzymać.

Susie trochę się uspokoiła (i ubrała) i chciała już wrócić do Davida. Wcześniej nawet nie pomyślała, żeby poprosić go o tabletki. W ich związku nie było miejsca na poważne rozmowy. W ogóle nie rozmawiali, jeżeli chodzi o ścisłość. Ale teraz, kiedy Marina podsunęła jej pomysł, uczepiła się go.

- Masz rację, to przez to, że jestem zdesperowana. Prosząc o to Davida, postawiłabym go w niezręcznej sytuacji. Teraz będę musiała wymyślić jakiś pretekst, dlaczego go tu zaprosiłam. Użyję swojego uroku osobistego! - Roześmiała się bez przekonania. - Aha, Mućka, mam prośbę, nie wspominaj Kenowi o... no wiesz! Trochę mi głupio.

Marina pospiesznie się zgodziła, bo całe to zdarzenie przyprawiało ją o ból głowy. Ostatnio często bolała ją głowa. Nie wspomniała o tym Davidowi. Nie chciała stracić tabletek.

- Właściwie co robicie w tej restauracji? - zainteresowała się Susie. - Nie jest ci tu po drodze.

Emma szybko wyjaśniła:

- Miałyśmy dzisiaj ważenie w Perrico. Ubyło mi dwadzieścia cztery kilo, Marinie i Teresie prawie tyle samo. Ale i tak mają do zrzucenia o wiele więcej niż ja. - Urwała, bo uświadomiła sobie, że posunęła się za daleko.

- Rozumiem. Dobra robota. Czy tak się mówi w takich okolicznościach? Nie wiem. No nic, muszę lecieć. Dzięki, Mućka. Za wszystko. - Susie ucałowała Marinę z wdzięcznością, daremnie szukając przepastnego policzka, w którym topiła zwykle swoje małe (z pewnością nieutuczone) usta. Tym razem wołała cmoknąć przyjaciółkę w powietrzu, uniknąć konfrontacji ze zmianami, jakie w niej zaszły.

Po wyjściu Susie Emma, Teresa i Marina jakby wrosły w ziemię. Nie potrafiły zdecydować, co dalej. W tej sytuacji mogły zrobić tylko jedno. Weszły do kabin i próbowały spuścić szaleństwo z wodą.

- Gdzie ty, u licha, byłaś? - syknął David do Susie, wściekły, że nie jest już tak piękna, jak w czasach kiedy nawiązali romans.

- Nie widziałeś Mariny i reszty? Musiałam podejść, wyjaśnić, dlaczego jestem tu z tobą.

To jeszcze bardziej rozzłościło Davida. Wiedział, że Marina często odwiedza Susie i Kena w domu, możliwe, że napomknie Kenowi, gdzie i kiedy go spotkała. Nie żeby czuł się lojalny wobec Kena. Pracował z nim, ale nie byli bratnimi duszami. Nie, po prostu go potrzebował.

Ken, niech go Bóg ma w swojej opiece, nigdy nie nadawał się na kumpla. Nie zapraszano go na męskie wieczory, na drinka z okazji urodzin sekretarki. Nikt go nie pytał, jak spędził weekend i czy jego zdaniem Cameron Diaz to niezła laska. Pochlebilo mu, kiedy David Sandhurst zaofiarował mu przyjaźń. Był przeciwieństwem Kena, pewny siebie, przystojny, cieszył się powodzeniem u pań. Trochę z tej popularności spłynęło na Kena. To było bardzo przyjemne.

Więc kiedy David poprosił go, jak mężczyzna mężczyznę, brat brata, żeby mu wyświadczył przysługę, oczywiście się zgodził. Jak dotąd Ken był odpowiedzialny za zafałszowanie faktur, którego domagał się David. I pokrycie pewnych dyskusyjnych wydatków. Ale powiedział wyraźnie, że to mu się nie podoba. David musiał o niego zabiegać tak usilnie, jak tylko potrafił, do czasu, gdy znajdzie inne popychadło w dziale księgowości.

- Ty głupia krowo! - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Dlaczego uparłaś się, żeby tu przyjść, skoro wiedziałaś, że będą tu twoje znajome? Chcesz, żeby Ken się o nas dowiedział? Dlatego udajesz kretynkę?

Susie poczuła piekące łzy pod powiekami.

- Skąd mogłam wiedzieć, że ona tu będzie? Wybrałam tę restaurację, bo jest blisko Perrico. Nie powiedziałaś mi, że mają dzisiaj ważenie, bo może bym przewidziała, że pójdą potem na lunch. Nic mi nigdy nie mówisz. - Kaprysiła jak dziecko, sama to czuła, ale nie mogła się opanować. - Och, Davidzie, przepraszam, że jestem taką żołą. Mam tyle na głowie. Prawdę mówiąc, jest coś, o czym chciałam z tobą porozmawiać. Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Chyba przytyłaś. To znaczy, na twarzy. Gdzie indziej tyjesz już od jakiegoś czasu, ale nie miałem nic przeciwko temu. Byłaś za chuda. Teraz jednak zmienia ci się

twarz. Nie znoszę, kiedy kobiety sobie odpuszczają. To zawsze odbija się na twarzy. Patrz, zrobił ci się drugi podbródek!

Ścisnął w palcach fałdkę tłuszczu. Zaboląło i Susie krzyknęła.

- Zabawne, właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. To trochę dziwne, tak naprawdę to nie jest nawet mój pomysł, tylko Mariny...

- Przestań kręcić, Susie. Nie cierpię tego.

Przestała natychmiast. Zanim zaczęła domagać się przyłączenia jej do programu, zadzwoniła komórka Davida. Wstał i przeszedł na drugą stronę sali, żeby odebrać. Susie bardzo nie lubiła, kiedy to robił. Musiała się wtedy zastanawiać, kto jest na drugim końcu linii - ktoś, o kim nie powinna wiedzieć. Oczywiście, mogły to być sprawy zawodowe, o których też nie powinna wiedzieć. Znajac Davida, podejrzewała, że jego metody pracy są równie mętne jak cała jego moralna egzystencja. - Było bardziej prawdopodobne, że to kobieta.

Kiedy wrócił do stolika, wpatrzyła się w jego twarz, próbując coś z niej wyczytać. Nie udało się. To nie była telenowela, w której złoczyńcy mają rozbiegane oczy, a bohaterowie pozytywni uśmiechają się serdecznie. W rzeczywistym świecie wszyscy grają i to od chwili, gdy nauczyli się komunikować z innymi - w konsekwencji większość ludzi jest w tym bardzo dobra. David radził sobie lepiej niż większość.

- Przepraszam, Susie, kryzys w laboratorium, muszę lecieć. Trzymaj się. Zadzwoń.

Roztrzepał dłonią jej włosy, jakby była małym labradorem, i wyszedł. Nie pocałował mnie, pomyślała. Powiedział, że zadzwoni, ale nie powiedział kiedy. Wiedziała, co to znaczy. Kobiety po trzydziestce wiedzą takie rzeczy.

On nie zadzwoni już nigdy.

To nie kobieta telefonowała. David miał ważniejsze sprawy na głowie. Był niezadowolony, że napadł na Susie. Mówił szczerze o jej tuszy, ale postąpił głupio, zrażając sobie kogoś, kto go żywił. To nic, znajdzie kogoś innego. Zawsze znajdował. Tak układało się jego życie.

Ale ostatnio coraz bardziej wymykało mu się spod kontroli. Nie był do tego przyzwyczajony. Z każdym miesiącem jego długi rosły, a pensja pozostawała taka sama.

Oprocentowanie pożyczek i debetów z kart kredytowych szło w górę i przez ostatnie dwa miesiące nie był już w stanie zaspokoić żądań kredytodawców.

Zaczynał wpadać w panikę. Zaniósł całą górę ubrań do komisju. Pieniądze ze sprzedaży wystarczyły na zapłacenie najważniejszych rachunków za gaz i prąd, i niewiele więcej. Nie sypiał dobrze. I nie miało większego znaczenia, że brakuje mu na jedzenie, bo stracił apetyt.

Czekał na decyzję banku, który miał zwiększyć jego limit debetowy ze względu na bonus, jaki wypłaci mu Perrico po zakończeniu badań. Dyrektor banku (mężczyzna, psiakość!) wielokrotnie rozmawiał z Perriamem, dyrektorem Perrico, i to, co usłyszał, najwyraźniej posiadało wątpliwości w jego bankierskim umyśle.

Telefon w restauracji był od dyrektora banku. Czy David mógłby wpaść na krótką pogawędkę? Czy to mu nie sprawi kłopotu? Pewnie że nie.

Davidowi było niedobrze - raz, że nie jadł od dwudziestu czterech godzin, a potem wypił jednym haustem kieliszek wina, a dwa, że ten okropny facet w garniturze ciął jego książeczkę czekową na ubliżająco małe kawałeczki.

- Naprawdę mi przykro, ale uważamy, że trzeba kontrolować pana wydatki, a to jest jedyny sposób.

David miał trudności z kontrolowaniem swojego oddechu, nie mówiąc o wydatkach.

- Nie rozumiem. To znaczy, wiem, że debet jest duży, ale czy moje kierownictwo nie powiedziało panu o bonusie, jaki otrzymam pod koniec roku?

Dyrektor popatrzył na niego uważnie, z namysłem.

- Omówiłem tę sprawę dogłębnie z panem Perriamem. Jego wersja różni się znacznie od pańskiej.

David do reszty zgłupiał. Przecież był szczery i otwarty (tak mu się przynajmniej zdawało), a to należało do rzadkości.

- W jakim sensie? - zapytał.

- Zapewnił nas pan, że otrzyma premię po zakończeniu badań nad lekiem.

- Zgadza się.

- Pan Perriam mówi co innego, że otrzyma pan premię, jeżeli badania zostaną po-

zytywnie zakończone. Niepokoi nas tryb warunkowy.

- Tak, ale to tylko formalność. Oni zawsze tak mówią. Rozumie się samo przez się, że skoro badania się rozpoczęły i trwają, to się również pozytywnie zakończą. Zazwyczaj kontynuuje się je, nawet jeśli zdarzy się coś złego.

Dyrektor się uśmiechnął.

- Widzi pan, słowa „zazwyczaj” też nie lubimy. Lubimy takie określenia jak „gwarancja”, „na pewno”. Prosi pan o wysoką pożyczkę, o bardzo dużo pieniędzy, powinienem powiedzieć, bez żelaznej gwarancji, że będzie pan w stanie spłacić ją w najbliższej przyszłości. Jeżeli mam być szczery, panie Sandhurst, pańska przeszłość finansowa nie rokuje najlepiej, jeśli chodzi o pańską wypłacalność. Oczywiście, rozpatrzymy ponownie podanie, gdyby sytuacja się zmieniła lub pan Perriam zapewnił nas, że premia zostanie wypłacona.

David siedział przez parę sekund, czekając, aż jego życiowe szczęście przyjdzie mu z pomocą, jak zwykle w dramatycznych momentach.

Nie przyszło. Sprawa była zamknięta. Utracił na dobre ostatnie legalne źródło dochodu. A do grudnia i oficjalnego zakończenia badań było jeszcze mnóstwo czasu.

Musi poszukać innego źródła pieniędzy.

13

Junction Jostle zaplanowano na dwudziestego dziewiątego sierpnia; tak się złożyło, że wypadło to w trzydzieste drugie urodziny Mariny. Teraz, kiedy impreza była tuż, Marina była nią nawet podekscytowana. Zdawała sobie sprawę, że jest to dziecko Andy'ego i że powodzenie akcji posłuży mu jako broń w walce o miejsce w radzie. Ale wiedziała także, że sukces kampanii przywiąże klienta na dobre do firmy. A to ona go do niej sprowadziła.

Media zainteresowały się pomysłem, nie tylko dlatego, że w imprezie miało wziąć udział dziesięć brytyjskich supermodelek. Jedna z długonogich piękności spotykała się podobno z kuzynem premiera. Rany Julek, pomyślała Marina z rozbawieniem, kiedy przeczytała oświadczenie dla prasy.

Bez wątpienia na jej dobry humor wpłynął fakt, że ważyła sześćdziesiąt trzy kilogramy. Magiczny rozmiar dwunasty. I nadal chudła.

Wyglądała fantastycznie i świetnie o tym wiedziała. W dniu, w którym jej waga miała zostać potwierdzona w Perrico, zamówiła wizytę u wizażystki w Harrodsie. Wiedziała już, co powie David (wchodziła na wagę dwa razy dziennie), ale cieszyła się, że zobaczy, jak wprowadza jej dane do komputera. Wyobrażała też sobie jego wyraz twarzy, kiedy mierzy procent tłuszczu w jej ciele. Nie miała wątpiwości, że go pociąga. Pociągała teraz wielu mężczyzn i powoli zaczynała się do tego przyzwyczajać.

Przed tygodniem zainwestowała w nową garderobę dla swojej nowej figury. Wybrała całkiem nowy styl. Nie musiała już zakrywać przesadnych krągłości, wybierała więc ubrania, które się jej podobały. Wybierała te, które widywała w czasopismach, pewna, że będzie wyglądała w nich równie dobrze jak modelki na zdjęciach.

Gdy następnego dnia weszła do TNSW, agencja zamarła. Chociaż jej szybkie schudnięcie nie pozostało niezauważone, w oczach kolegów była nadal grubą Mariną (która nie była już taka gruba jak kiedyś). Dopóki chudła, nie kupowała nowych rzeczy. Większość jej ubrań była w stylu ciężowym i w nich przechodziła okres ewolucji.

Podczas tych miesięcy celowo nie zmieniła swojego wyglądu, ciesząc się na moment całkowitego przeobrażenia.

Warto było. Szła korytarzami agencji niby Gloria Swanson spływająca ze schodów w *Bulwarze Zachodzącego Słońca*. Była zupełnie inną osobą. Przestała być wielką Mariną Riesenthal, która niezauważona przemykała przez życie. Nie, była kimś innym. Kimś z połową ciała i dwa razy bogatszą osobowością.

Zmieniła się od stóp do głów. Firmowe loki zastąpiła krótka fryzurka, która odsłaniała kształtną czaszkę - ukrywaną od czasu, gdy Marina była niemowlęciem - wydobywała naturalne pasemka w różnych odcieniach rudości, których nie odtworzyłby najbardziej utalentowany fryzjer.

Z twarzy znikł podkład tłuszczu i w swoim naturalnym, nieupiększonym wcieleniu była ładna. Podmalowana zgodnie ze wskazówkami sty listki, mocno zaangażowanej w jej odrodzenie, z ładnej stała się niezwykła. Marina zawsze miała duże oczy, ale ginęły w olbrzymiej twarzy i ciele. Podobnie jak zmysłowe usta. Kiedy była gruba, wydawały się

opuchnięte. Teraz były pełne i zniewalające.

Figura spełniła wszystkie fantazje, które, zdaniem Emmy, były nie do spełnienia w przypadku odchudzonych kobiet. Marina między ramionami i biodrami miała talię. Talię! Jej biust nie potrzebował już prętów zbrojeniowych do podtrzymania. A nogi? Jak by się można spodziewać u kogoś jej wzrostu, były bardzo, bardzo długie. Niewielkie wałki nad biodrami były niedostrzegalne w tej niemal idealnej figurze. Była szczupłą, doskonałą.

W ubraniu.

Każdy, kto potrafił policzyć, jak szybko Marina schudła, musiał sobie również uświadomić, że schudła za dużo, zbyt szybko.

I każdy, kto znał okrutne obyczaje tłuszczy, wiedział, co się naprawdę dzieje pod starannie dobranym strojem.

Puste opony okalały ją w pasie, sflaczały od nieustannych zmian. Piersi były jak przekłute piłki plażowe. A nogi wyglądały jak źle naciągnięte pończochy, z fałdami skóry opadającymi ku kolanom. Nie ucierpiała tylko twarz. Jej naturalna uroda wyzwoliła się z oków tłuszczy i zachłysnęła wolnością. Tak, tak jest dobrze, to mi się podoba, dziękuję bardzo, zdawała się mówić światu.

Stylistka dała Marinie znakomitą radę. Dobrze postawić fundamenty, a budynek niech sobie rośnie, jak chce. Innymi słowy, niech pani odpowiednio dobierze bieliznę, a reszta ubrań dopasuje się idealnie.

Była opatulona od piersi po kolana, każda luźna fałda przylegała do jej ciała jak przytwierdzona cementem. Wielofunkcyjny gorset nadawał kształt piersiom i brzuchowi, zmieniając ją w manekina. Czasem się zastanawiała, co się stało z tymi wszystkim zbędnymi centymetrami. Serdecznie współczuła swoim organom wewnętrznym, które musiały walczyć o miejsce z luźną skórą. Specjalne rajstopy dokonały cudów na udach, ściskając je tak, że przypominały smukłe cylindry. Tak doskonała na zewnątrz, tak ułomna od środka. Nawet przy sześćdziesięciu trzech kilogramach to były nadal dwie osoby.

Zewnętrzna Marina czuła się znakomicie. Pewnie, że wolałaby ujędrnić ciało szybciej niż to możliwe, ale była tak zafascynowana widokiem siebie w lustrze, że nie martwiła się specjalnie o swój stan - w nagości.

Codziennie chodziła na siłownię i była pewna, że osiągnięcie stanu doskonałości jest tylko kwestią czasu.

W dniu Junction Jostle wykorzystała to, że panowały upały, i włożyła skąpą sukienkę plażową w stylu imperium i szyfonowe bolerko, które zakrywało z lekka obwisłe ramiona. Podkreśliła smukłość łydek złotymi sandałkami na zabójczych szpilkach. W pionie trzymała ją jedynie siła woli.

Specjalistka od makijażu nauczyła ją „kilku twarzy” i na dzisiaj Marina wybrała numer 3: średnio profesjonalny, o małej dramatyczności, podkreślający naturalną urodę. Wyglądała jak dwudziestoczwolotka, która właśnie spędziła tydzień na wsi.

Impreza odbywała się na początkowym odcinku Hammersmith Flyover w Londynie Zachodnim. Przy tej nieustannie zatłoczonej trasie wylotowej ze stolicy było mnóstwo szczególnie krzykliwych billboardów. Autorzy reklam doskonale wiedzieli, że zawsze spowolniony ruch na tym odcinku pozwala kierowcom wchłonąć treść ogromnych plakatów.

Z powodu licznych świateł na tej koszarnej drodze jechało się wyjątkowo wolno - było to idealne miejsce na Junction Jostle. Co mogło wywrzeć na telewidzach większe wrażenie niż widok sfrustrowanych, umęczonych jazdą kierowców, którzy powracają do życia, patrząc na cudowną blondynkę (dziewczynę kuzyna premiera) chlapiącą im na szybę sparkleeze'em?

I przez pierwszych dwadzieścia minut wszystko szło zgodnie z planem. Kłopot z cudownymi blondynkami polegał na tym, że ich umiejętności nie wykraczały poza wręczanie pierwszej nagrody w teleturnieju. Nikt ich nie nauczył, jak skutecznie umyć przednią szybę w samochodzie. A rzeczony szyby miały za sobą setki kilometrów brudną szosą M4. Wymagały czegoś więcej niż psiknięcia sparkleeze'em i kilku machnięć moką ścierką, których celem było tylko pokazanie szczęśliwemu kierowcy pełnego biustu cudownej blondynki.

Szyby po umyciu dawały, bez wyjątku, gorszą widoczność niż przed sparkleeze'em. Wszystko było w porządku, dopóki spotykało to angielskich kierowców. Przywykli znosić złą obsługę w stoickim milczeniu, więc uśmiechali się uprzejmie do dziennikarzy i czekali, aż wyjadą poza zasięg kamer, żeby zatrzymać się na poboczu i doczy-

ścić samemu szyby.

Wybór miejsca okazał się kłopotliwy, bo autostradą jeździło mnóstwo turystów i biznesmenów udających się na lotnisko Heathrow. Obcokrajowców. Ci irytujący, pozabawieni manier ludzie mają wymagania i oczekują obsługi na poziomie. Zaczęło się od amerykańskiego biznesmena w białym nowiutkim saabie.

Cudowna blondynka, tegoroczna twarz Narodowego Dnia Frankfurterek, zaszła drogę kierowcy, który wrzucił właśnie trzeci bieg, bez powodzenia próbując ominąć dziennikarską blokadę. Musiał awaryjnie hamować, a wtedy coś złowieszczo zgrzytnęło w skrzyni biegów. Nie był zadowolony.

- Dzień dobry panu! Witamy w Junction Jostle! Oferujemy kierowcom darmowe czyszczenie szyb za pomocą nowego sparkleeze'a, jedyne go spryskiwacza z wyciągiem z lawendy. Tylko trzy psiknięcia skondensowanego sparkleeze'a i całodniowy brud znika jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Czy to nie wspaniałe? Życzymy miłego dnia ze sparkleeze'em!

Cudowna blondynka nie pomyślała, żeby poczekać na odpowiedź. Już dostrzegła następną bezbronną ofiarę w równie drogim samochodzie i zastanawiała się, jak przebiec między trzema rzędami pojazdów.

Amerikanin popatrzył przez rozmazane smugi w miejscu, gdzie przed chwilą miał dość czystą szybę. Kamera chciała już odjechać, kiedy wysiadł z wozu i delikatnie przesunął po szybie małym palcem. Przez chwilę wyglądał tak, jakby krzyk uwiązł mu w gardle. Narastała w nim kosmiczna wściekłość.

- Kto tym kieruje? Chcę rozmawiać z kierownikiem tej imprezy!

Paul Jerome płał się w promieniach popularności i z lekka nadużył szampana. Obserwował scenę, jaka się przed nim rozgrywała, z obiektywną przyjemnością kinomana. Nagle Marina i Andy zaczęli na niego popatrywać, ruchem głowy wskazując coraz bardziej zirytowanego kierowcę.

- Chce rozmawiać z kierownikiem - szepnęła Marina.

- Czyli z tobą - dodał Andy.

Usiedli i patrzyli, zaniepokojeni, a Paul próbował uspokoić rozwścieczonego Amerykanina. Gdyby miał trochę więcej doświadczenia w relacjach z klientami, wiedziałby,

że najlepszą metodą jest pozwolić się gościowi wykrzyzczyć, odczekać, aż mu przejdzie. Potem można by go należycie przeprosić, zaproponować odpowiednią rekompensatę (na przykład butelkę szampana) i sprawiedliwości stałoby się zadość, przynajmniej w oczach klienta.

Ale Paul nigdy w życiu nie miał do czynienia z klientem. Postanowił przemówić facetowi do rozsądku, poprosić, żeby spojrzął na sprawę z perspektywy Sparkleeze'a. Spierał się, przerywał mu, a nawet dotknął jego samochodu! Ale szczytem wszystkiego było to, że zaproponował facetowi (jak się później okazało prezesowi międzynarodowej korporacji naftowej) pełną butelkę Sparkleeze'a jako wyraz dobrej woli. Tylko przez wzgląd na wzrost Paula klient nie dał mu w nos.

Dwadzieścia minut później trzeba było wezwać policję. Paul wciąż kłócił się z naciarzem, kiedy doszło do karambolu na trzypasmówce: kierowca próbował zmienić pas z zewnętrznego na środkowy, nic nie widząc przez szybę zapaćkaną sparkleeze'em. Smugi w jego polu widzenia sprawiły, że nie dostrzegł taksówki na środkowym pasie, zjeżdżającej na zewnętrzny.

Nikt nie odniósł obrażeń, ale siedem samochodów było lekko uszkodzonych, a wznowienie ruchu zajęło policji dwie godziny. W wieczornych wiadomościach reporter poinformował, że poszkodowani w karambolu zamierzają wytoczyć Sparkleeze'owi proces i domagać się rekompensaty finansowej, podczas gdy dziesiątki innych kierowców będą skarżyć firmę za spowodowanie opóźnienia w podróży.

- Spójrz na to od dobrej strony, firma Sparkleeze trafiła do krajowej telewizji na cały dzień i wieczór. - Marina próbowała rozweselić Andy'ego, który pograżył się w otchłani rozpacz. Była jedenasta wieczorem, siedzieli w pubie w pobliżu siedziby Sparkleeze'a, gdzie zakończono wreszcie dyskusje nad sytuacją.

Paul Jerome dał się poznać jako człowiek sprawiedliwy, nie zwałił całej winy na Andy'ego. Tak, był to pomysł Andy'ego i owszem, to Andy zatrudnił cudowne blondynki (a przynajmniej odpowiednią agencję). Ale Paul przyznał, że sam nadzorował imprezę na wszystkich etapach, więc musi wziąć na siebie część odpowiedzialności za katastrofalny rezultat. Po stronie plusów można odnotować to, że mężczyźni czyszczący szyby świetnie sobie radzili, zanim nastąpił karambol. Jeden z nich obsługiwał producenta teatralne-

go, który zaproponował mu przesłuchanie do mimicznej wersji *Les Misérables* swojego autorstwa.

Wniosek był prosty: Junction Jostle to klęska. Ocalenie reputacji firmy Sparkleeze będzie kosztowało setki tysięcy funtów. Z drugiej strony zyskała powszechną sławę. Blondynki już stawały się przedmiotem żartów satyryków w całym kraju i słyszało się pierwsze kawały o Junction Jostle.

Tej nocy podsumowano strategię Sparkleeze'a. Była bardzo skuteczna, ale poniosła moralną klęskę. Winą należało, obarczyć niekompetentne panienki wymachujące ścierkami. Za parę dni rozpocznie się (na okrojonej skali) kampania reklamowa w telewizji i wyższość Sparkleeze'a zostanie udowodniona - w efektywnych, choć mało twórczych demonstracjach - w walce z konkurentami na rynku. Ta kampania oraz ogólnokrajowa akcja rozdawania darmowych próbek powinny przekonać konsumenta do produktu.

Tak czy inaczej, Andy był niepokojony. Rano będzie musiał pójść do biura Ricka Gifforda wyjaśnić, co się stało. Lata przyjaźni diabli wezmą, jeżeli Rick uzna, że nieprzemysłana kampania nadszarpięła reputację firmy.

- Rick mnie zabije. Albo gorzej, zwolni.

Marina ze współczuciem wzięła go za rękę.

- Nic podobnego, za długo się znacie. Zmiażdży cię jedynie ironią, przypomni, że on jest naczelnym, podczas gdy ty... nie jesteś. Wtedy ty przypomnisz mu jakiś wspólny numer, jaki wykręciliście w Eton, i znów będziecie kumplami.

Andy musiał się roześmiać na te nieporadne próby podtrzymania go na duchu.

- Wspólny numer? To robią bohaterki tych wszystkich czytań, które pewnie pochłaniałaś?

- Jak śmiesz! - zawołała Marina z udanym gniewem. - Byłam miłośniczką sióstr Bronte. Interesowały mnie wyłącznie mroczne, skomplikowane związki, które zawsze kończyły się względnie szczęśliwie.

- Wierzę - powiedział Andy, rozbawiony wyobrażeniem grubej nastolatki wcielającej się w rolę maltretowanej heroiny. - Za to ja lubiłem Thomasa Hardy'ego. Interesowały mnie wyłącznie mroczne, skomplikowane związki, które zawsze kończyły się całkowitą klęską.

Marina się roześmiała.

- No, proszę! Musisz jednak przyznać, że Thomas Hardy występuje po Bronte w lekturze nastolatka.

- Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Najpierw marzenia, potem rzeczywistość.

- To wiele mówi, kiedy marzenie daje człowiekowi szczęście.

- Podczas gdy rzeczywistość...

Każde miało własne doświadczenia. Oboje byli równie rozczarowani rzeczywistością. Oboje czuli, że zbyt późno się z nią zetknęli i teraz będą musieli zadowolić się czymś, co wcale nie odzwierciedla ich możliwości.

- Nie wspomniałem o tym wcześniej, Marino, bo myślałem, że zmyjesz mi głowę, ale wyglądasz naprawdę świetnie. - Zobaczył powątpiewanie na jej twarzy. - Mówię szczerze. Zresztą sama o tym wiesz. Widzę, jak teraz chodzisz, jak się do siebie uśmiechasz, kiedy myślisz, że nikt na ciebie nie patrzy.

Marinie wydało się dziwne, że przeciwnik może spoglądać na nią inaczej niż z zawodowym zainteresowaniem. Próbowwała właśnie zdecydować, czy to jest przyjemne, czy nie, kiedy dłoń Andy'ego zamknęła się wokół jej palców. Szybko podliczyła wypite kiełiszki. Nie więcej niż cztery, na pewno. W sam raz, żeby się rozluźnić, nie dość, żeby podjąć niewłaściwe decyzje.

Z przerażeniem stwierdziła, że niewiele brakuje, a polubi tego potwora, i chciała się czegoś dowiedzieć, zanim skoczy w otchłań pojednania.

- To ty „zgubiłeś” moją nowojorską prezentację, prawda? Nie odpowiedział. Nie musiał.

Marina wzruszyła ramionami.

- W porządku. Wiem, że to ty. Właściwie to mi pochwlebia, że czułeś się tak zagrożony przeze mnie, by posunąć się do równie nieporadnego sabotażu.

- Protestuję! To wcale nie był nieporadny sabotaż!

Marina zachichotała pijacko. Zaczynała rozumieć, dlaczego Teresie Andy wydał się atrakcyjny. Wspomnienie udręk, jakich od niego doznała przez te lata, wytopiło się razem z jej tłuszczem. Całkowicie panowała nad sytuacją.

- A propos, jak wczoraj poszła ci prezentacja? Andy trochę się rozpogodził.

- Dobrze. Mniej więcej się zobowiązali. Ale to drobny klient. Ćwierć miliona. Poza ligą Sparkleeze'a.

Marina dobrze go rozumiała. Po nowojorskiej próbie sabotażu Andy miał wyrzuty sumienia, co nawet jego zdziwiło. Nie umiał przeprosić, skoncentrował się więc na bardziej pozytywnych działaniach - miały na celu polepszyć jego pozycję w wyścigu do awansu. Pracował jak wół, żeby ściągnąć nowych klientów do agencji. Ale choć przecierał szlaki, ciągle zajmował słabą drugą pozycję za Mariną, i wiedział o tym.

Potrzebował tej promocji tak, jak nie potrzebowała jej Marina. Była od niego młodsza. W tym roku odniosła już wspaniałe sukcesy. Jej nowy wygląd na pewno otworzy przed nią wiele drzwi. A za parę lat zwolni się kolejne miejsce w radzie.

Miała czas, którego brakowało Andy'emu.

Marina obserwowała go i podziwiała jego determinację. Była pewna, że miejsce przypadnie jej, i dlatego mogła sobie pozwolić na wielkoduszność. No i jej nienawiść znikła wraz ze zbędnymi kilogramami.

Teraz to Andy cierpiał. Marina nie chciała, żeby dalej pograżał się w otchłani.

- Dzisiaj są moje urodziny - rzuciła, niby ot tak sobie.

- Wszystkiego najlepszego! - Uniósł kieliszek w toaście i stwierdził, że jest pusty. - Posłuchaj, są twoje urodziny, a ja miałem najgorszy dzień w karierze. Kupmy szampana, zalejmy robaka, żeby jutro zacząć wszystko od nowa. Mieszkam pięć minut stąd. Co ty na to?

Była piąta pięćdziesiąt dziewięć rano, kiedy rozdzwoniła się komórka. Niech to szlag! Oboje zaczęli szukać telefonu, macając wokół siebie na oślep. Okazało się, że to Mariny. Usiadła, całkiem rozbudzona.

- Halo? - odezwała się, zaniepokojona telefonem o tej porze.

- Och, Mućka, gdzie ty byłaś całą noc? Dzwonię i dzwonię na twój domowy numer. Nie, nic nie mów, nie ma czasu. Dzięki Bogu, nie śpisz! Ja nie spałam pół nocy, ciebie nie było, zapomniałam o twojej komórce. Och, Mućka, nie wiem, co robić...

- Susie, uspokój się i powiedz, co się stało?! - Poczula, jak mężczyzna obok odwraca się do niej na łóżku. - Dzieci? Ken? Z nimi wszystko w porządku?

- Z nimi tak! Z nimi jest zawsze w porządku! To ze mną nie jest!

- Co się stało? Jeżeli mi nie powiesz, nie będę mogła ci pomóc.

- Mućka, ważę siedemdziesiąt pięć kilogramów!

Ktoś inny uznałby może, że to nie powód do alarmujących telefonów nad ranem, ale nie Marina. Doskonale rozumiała przyjaciółkę. Wiedziała, że przy wzroście Susie trudno będzie ukryć taką tuszę, choćby nie wiadomo w co się ubrała. I było coś w tych kamieniach milowych wagi. Przypominały trochę kamienie milowe wieku. Dzień trzydziestych, czterdziestych, pięćdziesiątych urodzin może być tylko kolejnym dniem życia, ale za to bardzo znaczącym. Takie znaczące urodziny zmuszają człowieka, by spojrzeć w twarz przyszłości, rozliczył się z przeszłością i dokonał oceny. Kiedy Susie ważyła siedemdziesiąt cztery kilo, mogła uważać, że ma nadwagę, ale przy siedemdziesięciu pięciu...

Marina nie widziała Susie od niefortunnego spotkania w restauracji. Bawiła ją myśl, że przyjaciółka ściągała przez siedem lat pokarm, żeby zachować linię, nie mogła jednak zaprzeczyć, że jest to nienormalne. Nie była lekarzem, ale przypuszczała, że tak długa, wymuszona laktacja musiała wpłynąć na gospodarkę hormonalną Susie. A teraz, kiedy się skończyła? Jej ciało dostało świra z nadmiaru wolności. Wszystkie hormony wywijały kozły, wyrażając niezadowolenie z faktu, że przez tyle lat były źle traktowane. Nic dziwnego, że Susie nie mogła kontrolować swojego ciała; skorzystało z pierwszej okazji, żeby to ją poddać kontroli!

- Och, Susie, tak mi przykro! Wiem, jak paskudnie się czujesz. Większość życia czułam się podobnie. Ale nie wpadaj w panikę. Może umówimy się na lunch?

- Lunch?! - wrzasnęła Susie. - Żebym się zrobiła jeszcze grubsza?! Oszalałaś? To wszystko wina Davida.

Marina poprawiła się niespokojnie na łóżku.

- Dlaczego? Co on zrobił?

Susie w ostatniej chwili powstrzymała się przed wyjawieniem szczegółów roman-su. Zresztą nie było to główne źródło jej rozpacz.

- Nie chce dać mi tabletek! Widziałam, jak podziały na was, a ja mam tylko małą nadwagę, więc nie musiałby dać mi ich wiele, ale drań nie chce! Błagałam go, groziłam...

- Czym mu groziłaś?

- O... niczym. Powiedziałam tylko, że doniosę Kenowi o jego naciąganych wydatkach. Palnął mi gadkę umoralniającą. On! Dasz wiarę?

- Susie, zrób sobie herbatę. Zadzwoń, jak tylko się trochę ogarnę. Wszystko będzie dobrze, obiecuję!

- Nie będzie! Już nigdy! Chyba że... No jasne!

- Co? - zapytała Marina, pełna najgorszych przeczuć. - Co chcesz zrobić?

- To oczywiste! Nie rozumiem, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam. Urodzę następne dziecko! Kiedy jesteś w ciąży, nikt nie zwraca uwagi na twoją tuszę, a gdy dziecko się urodzi... Karmienie piersią - wypowiedziała ulubione słowo z marzycielską nutą w głosie. - Muszę lecieć, Mućka. Ken się budzi. Ale czeka go niespodzianka!

Połączenie zostało przerwane. Marina opadła na poduszkę, wykończona.

- To chyba była Susie - zauważył mężczyzna ironicznie.

Marina spojrzała na przystojną twarz tuż obok własnej i poczuła przypływ radości. Leżała obok mężczyzny i głaskała go po włosach, choć powiedział, że to go irytuje. Była szczupła, a szczupli ludzie mogą robić rzeczy irytujące. Są do zniesienia. Marina czuła się u władzy i to było piękne.

- Koniec gadania - wyszeptała.

Całując Davida Sandhursta bez śladu zahamowań, wiedziała, że jest szczęśliwa.

14

W ciągu dziesięciu dni Marina przespała się z obydwojema: Andym Cline'em i Davidem Sandhurstem. Ogólna liczba jej kochanków wzrosła więc do trzech.

Jej pierwszy i jak dotąd jedyny przyjaciel należał do typowej uniwersyteckiej kohorty. Miał na imię Frank i niczym szczególnym się nie wyróżniał. Marina poznała go pierwszego dnia studiów i została z nim do ostatniego. Spali razem, pitrasili, mówili „kocham cię” uprzejmie, dwa razy dziennie. Potem Frank pojechał wydawać pozwolenia budowlane dla Basildon Council, a Marina przeniosła się do Londynu.

Była mu wdzięczna za to, że poświęcił jej tyle uwagi. Już w wieku trzynastu lat pogodziła się z myślą, że spędzi życie w samotności i celibacie. On był jej wdzięczny za

seksualną uległość i chyba nigdy nie czuł się zrażony jej tuszą. To dało jej odwagę, by starać się o pracę w TNSW. Przez cztery lata na uniwersytecie uwierzyła, że wygląd zewnętrzny może nie być najważniejszy. Pozwoliła sobie rozwinąć osobowość, która przekształciła się w ekspansywną, choć tłamszącą ją wersję brata-łaty i zyskała jej popularność w świecie reklamy. Ponieważ Frank nigdy nie mówił o jej tuszy, zapomniała, że to jest problem. Przypomniano jej o tym bardzo prędko.

Seks z Frankiem był bardzo śmiały, ale ona zawsze zachowywała się biernie, bała się go przygnieść lub ukazać mu przykrą prawdę o swoim ciele. Nie lubiła seksu, ale też nie miała nic przeciwko niemu. Sprawiał, że czuła się normalna, a to było rzadkie doświadczenie dla Mariny.

Zdziwiło ją, z jaką łatwością trafiła do łóżka Andy'ego. Nie była w takiej sytuacji od dziesięciu lat i śledząc ewolucję seksu w filmach, doszła do wniosku, że wymaga obecnie o wiele więcej akrobacji, niż pamiętała z czasów pojedynczego łóżka w akademiku.

Zabawne, że cały ten wieczór miał trochę filmowy nastrój. Supertramp jako muzyczne tło (konwencjonalne, zważywszy na trzydzieści dziewięć lat Andy'ego), przyćmione światła. Andy zapalił nawet świece, co jej bardzo pochlebiło. Oznaczało, że Andy uważają za świetlika, który może nie dać się złapać. Nie była oczywistą zdobyczą. Nie była już tym zgłodniałym uczucia stworzeniem, które przespałoby się z każdym, kto okazałby odrobinę dobroci. Andy rozpoznał w Marinie kobietę, która pokochała siebie. Nie wymagała już potwierdzenia swojej wartości u innych. Wymagała względów.

Zaprowadził ją w końcu do sypialni, pozbawionej typowo męskich akcentów, stonowanej w wystroju. Pokój był utrzymany w różnych odcieniach zieleni, co dawało efekt lekkości i pogody oraz poczucia bezpieczeństwa.

Marina pozwoliła się rozebrać, ale ścisnęła mięśnie aż do bólu, spodziewając się, że lada chwila kaskada tłuszczu wyleje się z ukrycia. Nie potrafiła się odprężyć. Czuła się, jakby znów miała dziewiętnaście lat. Starła się nie kłaść na boku - wiedziała, że brzuch przeleje się na materac galaretowatą masą.

Odchyłała głowę do tyłu, żeby ukryć nieistniejący już podwójny podbródek, krzyżowała nogi, żeby tworzyły smuklejszą linię.

Stopniowo przyjęła do wiadomości, że nie musi się nadwerężyć, żeby zadowolić Andy'ego. Był nią zachwycony i nie przeszkadzało mu, że kieruje jego dłońmi: z dala od otłuszczonych terenów ku bezpieczniejszym rejonom. Uznał to nawet za przejaw kontroli, która miała dla niego bezgraniczny urok.

Marina spodziewała się, że potem poczuje się niezręcznie. Był to przecież kolega z pracy, ktoś, kto wielokrotnie złośliwie próbował jej szkodzić. Ubiegali się oboje o to samo stanowisko, konkurowali ze sobą o tego samego klienta. Ale nie czuła się zażenowana. Jego towarzystwo odpowiadało jej pod każdym względem. Śmiali się razem, rozmawiali o książkach, filmach i sprawach rodzinnych. Może była to ta inność Mariny, która tak nieoczekiwanie pozwoliła im się porozumieć.

Jedyny mroczny cień pojawił się przy śniadaniu. Marina przypomniała sobie, że zostawiła pigułki w domu. Drżała, zastanawiając się, czy jej apetyt nie wybuchnie jak wulkan bez tej małej białej tabletki. Kiedy Andy wyjął z zamrażarki croissanty i masło (prawdziwe masło, nie jego niskokaloryczny substytut), dżem truskawkowy (wysokosłodzony), a potem dolał wysokotłuszczowe mleko do jej herbaty, miała ochotę wyrzucić stół i uciec.

Andy dostrzegł jej niechęć do jedzenia i trochę się zirytował.

- Nie mów, że ciągle się odchudzasz. Chcę powiedzieć, że to godne podziwu, czego dokonałaś, i wyglądasz wspaniale, ale nie przesadzaj.

Zmógł, widząc jej wzburzenie.

- Spędziliśmy cudowną noc. Nie psujmy tego. Zjedzmy śniadanie, gapiąc się na siebie maślanym wzrokiem, jak na reklamach muesli. Poza tym, nie sądzisz, że w nocy spaliliśmy dość kalorii, by sobie teraz trochę pofolgować?

Wmusiła w siebie croissant, ale nie chciała tknąć masła.

Wróciła do domu, żeby się przebrać, a w biurze oboje zachowywali się jakby nigdy nic. Ustalili, że tak będzie najlepiej przy istniejących podziałach w firmie. Andy wypił dwie mocne kawy, zanim odważył się stanąć przed Rickiem Giffordem.

- Zawaliłeś sprawę, co?

Andy przywołał ujmujący uśmiech, z nadzieją że uda mu się ułagodzić Ricka.

- No, nie wiem. Jesteśmy na pierwszych stronach wszystkich brukowców. Nawet

„Telegraph” umieścił Sparkieeze'a na trzeciej stronie.

- Tym razem to nie przejdzie, Andy. Nie uda ci się wykręcić sianem. To była marna robota, twoja marna robota. Wpadasz na tak dramatyczny pomysł, sprzedajesz go klientowi, a potem spoczywasz na laurach i czekasz, aż to się samo zrobi. Jesteś leniem, Andy, zawsze byłeś. Na tym etapie sam spryt już nie wystarcza. Urok osobisty też nie. Dbalność o szczegóły to jest coś, co odróżnia zwycięzców od partaczy... Przynudzam?

Andy próbował powstrzymać ziewanie.

- Przepraszam, Rick. To przez tę wczorajszą noc. Próbowałem udobruchać Paula Jerome'a.

Rick pokręcił głową.

- Masz, bracie, niewiarygodne szczęście. Właśnie z nim rozmawiałem, zachował się niezwykle przyzwoicie w całej tej sprawie. Ale i tak będę musiał obciąć budżet Sparkieeze'a, kiedy ci idioci kierowcy zaczną się procesować.

Andy się skrzywił.

- Czyli mogę się pożegnać z premią.

- Nie rozumiesz? Wszyscy mogą się pożegnać. Ta wpadka zeżre prawdopodobnie zysk z tego roku, a kto wie, czy nie z pięciu następnych. Kosztujesz nas mnóstwo pieniędzy. Możesz poinformować zespół, że w tym roku nie będzie premii?

Wiadomość rozeszła się błyskawicznie i w porze lunchu wiedziała już cała agencja. Jedna z sekretarek płakała.

- Premia miała pójść na moje wesele. Teraz będę musiała odłożyć ślub.

Wielu pracowników regularnie przekraczało budżet domowy, zaciągało długi i debety przez rok, licząc na to, że spłacą wszystko z premii. Tego dnia Andy musiał znieść wiele morderczych spojrzeń. Ze względu na jego stanowisko pracownicy bali się porządnie mu dołożyć, co polepszyłoby im nastrój. Zresztą fizyczna kara nie była potrzebna. Dla kogoś, kto karmi się popularnością, ostracyzm jest czymś gorszym.

Andy szukał pocieszenia u Mariny, która okazała się niewyczerpanym źródłem niespodzianek. Od dawna nie rozmawiał z kochanką. W pierwszy wspólny weekend pojechali na wybrzeże i przez cały dzień robili wszystko to, co powinni robić kochankowie w pierwszy weekend, a co Andy zawsze uznawał za ckliwe: spacerowali plażą i używa-

jąc kubeczków do herbaty, budowali zamki z piasku. Opróżnili kieszenie przy automatach do gry, jedli watę cukrową i chipsy, całowali się nad urwiskiem i trzymając się za ręce, chodzili po przystani.

Andy nie stracił dwudziestu pięciu kilogramów jak Marina, ale zmienił się nie mniej dramatycznie niż ona. Uznała, że skoro pogodziła się ze swoją innością, musi również zaakceptować, że może i on stał się kompletnie inny niż Andy, który dręczył ją tak długo. Była to akceptacja z zastrzeżeniem, ale Marina osądziła, że warta ryzyka.

Był to najwspanialszy weekend w życiu Andy'ego. Mariny również.

Więc dlaczego dwa dni później przespała się z Davidem?

Zaprosił ją na lunch, żeby wyrazić troskę o zdrowie Emmy. Termin kontroli wagi przypadał dopiero za dwa tygodnie i David poważnie się obawiał, że Emma może umrzeć do tego czasu. A że to Marina skontaktowała go z 5F, do niej się zwracał, kiedy nie mógł sam dotrzeć do której z uczestniczek eksperymentu.

Dopiero gdy usiadła naprzeciwko niego przy stoliku, zorientował się, że to ona. Nie widział jej od ostatniego ważenia. Kiedy przychodziła do gabinetu, nadal postrzegał ją jako wielką bezpłciową istotę, którą przedstawiono mu na kolacji u Susie w grudniu zeszłego roku. Odnotowywał z satysfakcją spadek jej wagi, ale nigdy nie przełożył liczb na konkretną osobę siedzącą naprzeciwko niego w gabinecie. Nawet kiedy mierzył procent tłuszczu na jej ramionach, udach i brzuchu, nie kojarzył tendencji spadkowej z coraz bardziej widoczną urodą.

Tak więc widział Marinę praktycznie po raz pierwszy w życiu. Zgrała się bez trudu ze swoim nowym wizerunkiem i przywykła do odpowiedniego doboru strojów. Przekształciła make-up dziesięciu twarzy w indywidualną technikę, która zdobyła Złotego Graala kosmetyków: w makijaż, który sprawia, że kobieta wygląda tak, jakby go wcale nie miała.

David gapił się na nią, jego oczy wędrowały po całej postaci tej nieznanego mu syreny. Błyskawicznie rozebrał ją wzrokiem. Mój Boże, a skąd się wzięło to ciało? - zadał sobie pytanie i omal się nie roześmiał, kiedy sam sobie na nie odpowiedział. Ja ją stworzyłem! Jest moim dziełem! Jestem geniuszem. Z moją pigułką potrafię zmienić masę tłuszczu w marzenie!

Od Mariny bił blask, jak z każdej kochanej i pożądanej kobiety. Dodało to głębi jej urodzie i utwierdziło Davida w przekonaniu, że musi ją mieć.

- Marina! Nie wiem, co powiedzieć. Wyglądasz bosko! Nie wierzę własnym oczom. Jesteś chodzącą reklamą oxymetabulinu. Rany!

Marina wciąż rozkoszowała się tym, że gdziekolwiek poszła, ludziom opadała szczęka na jej widok. Ona również przypomniała sobie kolację, podczas której poznała człowieka, który zmienił jej życie. Wtedy wyglądało to zupełnie inaczej. Z towarzyskiego punktu widzenia ona tkwiła bezwładnie na dnie, a on latał wokół stratosfery niby współczesny Piotruś Pan. Nie zasługiwała nawet na to, by przebywać z nim w jednym pokoju. On przestrzegał zasad, ona łamała je samym faktem swojego istnienia.

Teraz wszystko się zmieniło i Marina z przyjemnością patrzyła na niego z góry, podczas gdy on mógł tylko uniżenie spoglądać ku niej, dysząc z pożądania. Niewiele potrzebowała czasu, by zacząć rozkoszować się pozycją pięknej kobiety na seksualnym rynku. Dotąd, patrząc na piękne dziewczęta i przystojnych chłopców, zakładała, że zajmują równą pozycję, są równie atrakcyjni, teraz dowiedziała się, że wcale tak nie jest.

Piękna kobieta zawsze stoi wyżej od przystojnego mężczyzny. I ewolucja tego nie tłumaczy. Jest to raczej konsekwencja przemijających ataków męskiej żądzy, która domaga się zaspokojenia, zanim mężczyzna zacznie realizować poważniejsze cele w życiu. Piękne kobiety są z natury czymś przelotnym w oczach zdesperowanych mężczyzn, którzy się za nimi uganiają, tak to już jest. Nie żenią się z nimi, skądże znowu! Wykorzystują je tylko, czekając, aż znajdą odpowiednią kandydatkę do małżeństwa.

Bardziej światłe feministki mogą być wstrząśnięte takim powierzchownym podsumowaniem stosunków męsko-damskich, ale nie Marina. Odpowiadało jej, że jest postrzegana jako przedmiot ulotnej żądzy. Nie doszła jeszcze całkiem do ładu ze swoją nową osobowością i związki *en route* były w tej sytuacji jak najbardziej na miejscu.

To jednak wcale nie wyjaśnia, dlaczego pozwoliła się uwieść Davidowi, a jeszcze wcześniej Andy'emu. Dwaj mężczyźni, którzy traktowali ją pogardliwie, kiedy była gruba, teraz wychodzili z siebie, czcząc jej nowe ciało. Zamiast dać im w twarz, wrzasnąć: „Jestem tym samym człowiekiem!”, odpowiedzieć na ich hipokryzję miażdżącą odmową, ona zbliżyła się z nimi fizycznie, czerpiąc prawdziwą satysfakcję z przyjemności, jaką

mogła sprawiać swoją osobą.

Prawdę mówiąc, wybaczyła im, bo ich rozumiała. Pogardzała własnym ciałem, kiedy było grube. Karała się jedzeniem i każdą obrazę obracała przeciwko sobie, zwielokrotnioną tysiącokrotnie. Nie lubiła siebie za to, że jest słaba, niezdolna zapanować nawet nad apetytem. Cała jej inteligencja, poczucie humoru i wrażliwość niewiele znaczyły, kiedy widziała siebie z twarzą w misce pełnej zimnych pierogów.

Tak więc nowa figura to była nie tylko powierzchowność Mariny. Znaczyła wiele więcej i mężczyźni zdawali sobie z tego sprawę. Świadczyła o tym, że Marina jest silna i zdyscyplinowana, że ona sama doceniła siebie i może już dołączyć do reszty społeczeństwa. Mówiła: Hej, o mnie się nie martwicie, jestem normalna, jestem taka jak wy.

A że Marinie pomagała medycyna, to nie miało znaczenia ani dla niej, ani dla Davida i Andy'ego.

Udała, że nie zauważa wyrazu jego twarzy, jego flirtującego spojrzenia.

- Mówiłeś, że martwisz się o Emmę? W czym problem? David z trudem oprzytomniał.

- Tak, prawda, Emma. Kiedy ją ostatnio widziałaś? Marina uświadomiła sobie ze wstydem, że nie widziała

Emmy od wspólnego lunchu przed kilkoma tygodniami. Wprawdzie nie były ze sobą blisko, ale to jej nie usprawiedliwiało. Obie z Teresą czuły, że Emma ma kłopoty, że chudnie zbyt szybko i wszystko wskazuje na to, że zmierza prostą drogą do samozniszczenia. Ale miały własne problemy. Teresa podejrzewała, że Rod się z kimś spotyka, a Marina była uwikłana w bezpardonową wojnę o władzę w firmie.

Nie chodziły już na zebrania 5F. Jesteśmy zbyt zajęte, mówiły. Za szczupłe, myślały.

David czekał na odpowiedź, choć wydawał się dość zadowolony, że jej milczenie daje mu kilka dodatkowych sekund na analizę cudu chemicznej inżynierii, jaki miał przed sobą.

- Parę miesięcy temu, jak sądzę. Nie wszystkie członkinie są moimi dobrymi przyjaciółkami - dodała zaczepnie.

- Jaka ci się wtedy wydała?

- Pobudzona. Z całą pewnością przesadziła z dietą. David skrzywił się na to zakazane słowo, użyte z taką swobodą. Marina zrozumiała swój błąd i próbowała go naprawić.

- Powiedziałam „dieta”, ale w innym sensie. Wiem, że nie powinniśmy się odchudzać, i jestem pewna, że większość z nas tego nie robi. W dosłownym znaczeniu tego słowa. Chciałam przez to powiedzieć, że na skutek brania tabletek Emma... zmieniła sposób odżywiania trochę zbyt... raptownie.

David potrząsnął głową.

- Wy, kobiety! Musicie uważać mnie za idiotę. Wiem, że zmieniłyście sposób odżywiania, łagodnie mówiąc. Nie zapominaj, że miałem pojęcie o utracie wagi, jaką może spowodować oxymetabulin. Wy schudłyście zbyt drastycznie,

Marina zrobiła niewinną minę.

- W porządku, nie panikuj - ciągnął David. - Udało mi się to wyjaśnić za pomocą naturalnej progresji psychologicznej, kiedy kobieta po raz pierwszy doświadcza znaczącej redukcji masy ciała. Znalazłem psychiatrę, który zgodził się zaświadczyć, że pierwsze pozytywne zmiany w wyglądzie są dla kobiet motywacją, by kontynuować rozsądny plan odchudzania. To trochę jak przy wirusie żołądkowym, kiedy nie możesz jeść przez tydzień. Gubisz pięć kilo bez żadnego wysiłku i myślisz sobie, rany, to było łatwe, może pociągnę tak dalej i schudnę jeszcze trochę.

Marina musiała przyznać, że w tym, co mówi David, jest sporo prawdy, ale nawet ona, ze swoją nikłą wiedzą o eksperymentach naukowych, widziała błędy takiego rozumowania. Wyglądało to na jawną manipulację mającą dostosować wyniki testu do tezy wyjściowej.

- Wracając do Emmy, już wtedy zaniepokoił mnie jej wygląd. Bałem się, że tabletki mogą bardzo źle na nią działać. Ale postanowiłem odczekać jeszcze miesiąc, ostatecznie nie stała nad grobem.

- Więc kiedy ją widziałeś?

- W tym problem. Nie stawiała się na kontrolę w zeszłym miesiącu. Powiedziała, że ma grypę. Nic, co by można przypisać tabletkom. Powiedziała, że wszyscy u niej chorują, takie rzeczy. I od tamtej pory nic.

- Co to znaczy nic?

- Przestała odbierać moje telefony. Ani razu nie oddzwoniła, choć zostawiałem wiadomości. Wpadłem w popłoch, bo nie mogę mieć luki w badaniach. Wczoraj poszedłem do jej mieszkania, absolutnie wbrew regulaminowi, ale sam już nie wiedziałem, co robić.

- No i co?

- Nikogo nie było. Ale kiedy wróciłem do samochodu, zobaczyłem, jak podchodzi do drzwi. Poznałem ją dopiero, gdy przede mną stanęła. Jest jak patyk. Było gorąco, a ona miała na sobie płaszcz, żeby ukryć wychudzenie.

- Jest bardzo źle?

- Myślę, że waży jakieś czterdzieści kilogramów.

- Boże! Biedna Emma.

- Włosy miała wysuszone jak siano. Nie wiem, czy była w tym strasznym stanie tylko tego dnia, czy od tygodni się nie myje się i nie czesze.

- Powinnam się z nią zobaczyć. Może będę mogła jej pomóc.

- Stracisz tylko czas. Spojrzała na mnie, jakbym był powietrzem, i nie odezwała się ani słowem.

- Ale skoro nie pojawiła się na ostatnim ważeniu, nie dostała tabletek.

- To prawda, lecz dla badań to bez znaczenia. I tak muszę wprowadzić jej dane i wyjaśnić, dlaczego wypadła z testu. Wymyśliłem tylko jeden powód, który nie zawali eksperymentu.

- Mianowicie?

- Mogę powiedzieć, że zaszła w ciążę.

- Ależ to wierutne kłamstwo! Z pewnością żadna komisja etyczna, czy jak oni się zwa, na to nie pójdzie.

- Nie muszą nic wiedzieć. Marina, pomyśl. Emma musiała mieć jakieś zaburzenia, zanim dołączyła do eksperymentu. Pewnie powinienem to wykryć, ale jestem chemikiem, nie psychiatrą. Musiałem wziąć za dobrą monetę jej deklarację, że odżywia się regularnie i będzie to robiła przez czas trwania eksperymentu.

Marina przypomniała sobie, że i ona złożyła taką deklarację. Dobry dowcip, pomy-

ślała wtedy. Żadna z nich nie osiągnęła takiej masy ciała dzięki systematycznemu odżywianiu. Marzyły tylko o tym, żeby przerwać mękę obżarstwa i głodówek. Nadal jadły za dużo (i od czasu do czasu robiły sobie wyzerki). Czy w wyniku systematycznego odżywiania miałyby potówki pod pachami, w miejscach gdzie ramiona ocierały się o tułów, czy czerwieniałyby z gorąca i dyszały ciężko po wejściu na kilka stopni?

Nie wyjaśniła tego Davidowi, miał dosyć problemów.

- Sama widzisz, że ciąża jest jedynym wyjściem z patowej sytuacji. Brzemienne członkinie eksperymentów wypadają automatycznie. To jest niepodważalne usprawiedliwienie.

- A co powiesz, kiedy Emma nie urodzi?

- To się zdarza, prawda?

Marina zadrżała, słysząc, jak łatwo pozbywa się wymagowanego dziecka Emmy. To miało sens, choć czuła, że chyba jej odbiło, skoro myśli w ten sposób. David uznał jej milczenie za akceptację.

- Wiedziałem, że zrozumiesz. Spójrz na siebie. Wiesz najlepiej, jak wiele w życiu kobiety może zmienić oxymetabulin. To by była tragedia, gdyby wszystko runęło tylko dlatego, że jakaś baba nie mogła zapanować nad zaburzeniami odżywiania, które miała już wcześniej.

Marina nie cierpiała takich dylematów. Tabletki zmieniły jej życie całkowicie na lepsze. O ile wiedziała, żadna z kobiet nie odczuwała poważniejszych skutków ubocznych. Nieświadomie potarła czoło, w miejscu gdzie najczęściej uderzał ból.

Czy wolno pozbawić oxymetabulinu szerszego odbiorcę? Nie usprawiedliwiając tego, musiała zgodzić się na kłamstwo, które zapewniłoby pozytywny wynik badań. A to już na pewno było złe.

Żałowała, że nie może sobie pójść i rozprawić się z tym problemem najlepiej jak potrafi - żałowała, że nie może odejść i jeść.

Zamiast tego wylądowała w łóżku z Davidem. Za dużo wypła, celowo mało jadła, żeby wyrównać nadmiar kalorii w winie (David nie dostrzegł związku) i upiła się dość szybko. Popołudnie spędzili w łóżku. Wieczór też. I całą noc. Marina zadzwoniła do sekretarki i poinformowała ją o nagłej sprawie w związku z kampanią Sparkleeze'a, którą

musi się zająć. Nie wdawała się w szczegóły. Zostawiła niejasną, wykrętną wiadomość na poczcie głosowej Andy'ego, żeby nie kłamać mu osobiście.

Nie żałowała tego, co zrobiła. Dlaczego miałabym żałować, pomyślała. Jestem piękną samotną kobietą, a on jest przystojnym samotnym mężczyzną. Tak, jestem chyba związana z innym, tak, David jest draniem, ale mam prawo do lekkiego, niezobowiązującego seksu. Nie mogłam go uprawiać dziesięć lat temu, ale teraz mogę. Więc będę to robić.

Więc robiła.

Tym sposobem David znalazł się przy niej, kiedy odebrała histeryczny telefon od Susie. Uznała, że uporczywie draży ten temat, ponieważ zna Susie.

- Co powiedziała?

- David, już ci mówiłam. Martwi się o swoją wagę i jest sfrustrowana, że nie dopuszczasz jej do programu oxymetabulinu. I jeszcze coś, zanim mi przerwiesz: już jej powiedziałam, że nie możesz tego zrobić. I nie ma tu twojej winy. Zobaczę się z nią dzisiaj i jeszcze raz wszystko wyjaśnię.

- Co jej powiesz o nas?

- Nic. Dlaczego mam coś mówić? Przecież to było tylko raz, jeżeli o mnie chodzi.

David zgiął się wpół, jakby dostał w brzuch. Jak ta kobieta, kobieta, którą ocalił i stworzył na nowo, jak ona śmie mówić jemu, że to było tylko raz? To on powinien tak powiedzieć! A może chciał, żeby to nie było tylko raz.

Marina rozkoszowała się wyrazem niedowierzania na jego twarzy. Wiedziała, co on sobie myśli. Zajrzała niechęć do umysłu gruboskórnego mężczyzny. A także kobiety. Rzecz szła o władzę. Rzecz szła o to, żeby patrzeć, jak ktoś skreca się z pożądania. O zadowolenie, jakie dawała świadomość, że może sprawić, by ktoś jej pragnął. O to, że ta osoba będzie próbowała ukryć tę potrzebę, będzie walczyła o to bez powodzenia, ponieważ już się zdradziła przed okrutnym kochankiem.

Zmusiła się, by o tym nie myśleć, rozumiała, jak łatwo można przyjąć taką postawę. Łatwo i bezpiecznie jest być kimś twardym. Tak czy owak cieszyła się, że David Sandhurst wreszcie dostał kopniaka w swoje czułe ego.

- Przykro mi, Davidzie. Muszę lecieć. Trzymaj się. Zadzwoń.

Zmierzyła mu włosy, jakby był małym labradorem, i wyszła. Nie pocałowała mnie, pomyślał. Powiedziała, że zadzwoni, ale nie powiedziała kiedy. Wiedział, co to znaczy. Mężczyzna trzydziestoczteroletni wie takie rzeczy.

Ona nie zadzwoni już nigdy.

Sytuacja Davida trochę się poprawiła przez te dwa miesiące. Odkrył firmy działające w ciemnych, nieoznakowanych biurach w Londynie Wschodnim, które dawały pożyczki bez konieczności przeprowadzania stu rozmów z Geoffem Perriamem z Perrico i definiowania takich określeń jak „zwykle” oraz „prawie na pewno”.

Owszem, oprocentowanie było astronomiczne, a niewypowiedziane groźby dość niepokojące, ale David wrócił do swoich dawnych mrzonek. Zbije majątek. Dostanie premię, spłaci wszystkie długi i jeszcze mu sporo zostanie. Musiał tylko zachować ostrożność. I napędzać eksperyment.

I modlić się do Boga, żeby te cholerne, cholerne baby wszystkiego nie zepsuły.

Bo gdyby eksperyment z jakichś względów się nie udał, a on nie otrzymałby premii...

Pobiegł do łazienki i długo, gwałtownie wymiotował.

15

No i co ty na to? Teresa okręciła się przed lustrem w sypialni; materiał, delikatny jak pajęczynka, przylgął do nowych, kanciastych linii jej ciała. Trzygodzinne sesje na siłowni, dzień w dzień, zaowocowały łagodnymi wzniesieniami mięśni. Kupiła koszulę nocną kilka tygodni temu, z myślą o niedalekiej fizycznej doskonałości. Teraz ją osiągnęła.

Niby to okręcała się dla Roda, a tak naprawdę jej uśmiech był najbardziej promienny, kiedy napotykała własne odbicie w lustrze. Nie mogła się nim nasycić. Wreszcie stała się taka, jaką zawsze pragnęła być. Zawsze. Nawet kiedy była orędowniczką 5F i twierdziła całkiem szczerze, że nie pozbawi się przyjemności jedzenia dla wydumanych stereotypów kobiecej sylwetki, modliła się w duchu o to, by mogła być z natury szczupłą.

Nie dostrzegała tych sprzeczności. Żałowała, że nie urodziła się w świecie, który podziwia i szanuje kobiecą pulchność. Żałowała, że nie urodziła się ze skromnym apety-

tem, który dawałby się zaspokoić byle czym. Miała apetyt jak dwulatek, który wpada w furie, gdy nie dostanie tego, czego chce i kiedy chce. Chcę, chcę! - krzyczy, kiedy ona próbuje namówić go, by się opanował.

Wtedy potrzebowała 5F. Ten program pozwalał jej stawić czoło metabolizmowi, potrzebom i nawykom żywieniowym, zaakceptować stan faktyczny. Ale nie spełnił jej marzeń.

Spełnił je oxymetabulin, a grupa 5F miała być w pogotowiu, na wypadek gdyby tabletko-cud nie zadziałała.

Teresa zaczynała się niecierpliwić. Była nastawiona na to, że męża obezwładni jej uroda, a przynajmniej oczekiwała jakiejś reakcji. A tu nic. Rod spojrział na nią, jakby była jego matką, która prosi o opinię o fartuchu dla gosposi. Ani śladu pożądania. Zadyszanej żądy.

Zrobiło jej się niedobrze. Wszystko było dla tej chwili, miesiące łykania tabletek, miesiące ćwiczeń. Celowo nie wspomniała nikomu (nawet Davidowi) o strasznych migrenach, bojąc się, że zostanie wycofana z programu. Ignorowała zawroty głowy i nudności. Wszystko po to, by stanąć przed Rodem i zajaśnić kościstą urodą.

Patrzył jej w twarz, niezainteresowany ciałem.

- Co chcesz, żebym powiedział? Teresa wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Nie wierzę! Zrobiłam to dla ciebie. Spójrz na mnie! Czy nie tego chciałeś?

Popatrzył na nią, jakby oszalała.

- Czy kiedykolwiek dałem ci coś takiego do zrozumienia? Nigdy. Czy kiedykolwiek powiedziałem, że wolę chude kobiety? Nigdy. Czy kiedykolwiek powiedziałem, że chcę, żebyś schudła? Nigdy. Czy mówiłem, że twoje ciało, wszystko w tobie jest wyrazem mojego ideału? Codziennie przez dziewiętnaście lat.

- Tak, ale mówiłeś tak tylko dlatego, że mnie kochasz.

- Więc myślisz, że codziennie cię okłamywałem? Czy dlatego, że ty okłamywałaś mnie codziennie, pewna, że tak właśnie ludzie postępują w małżeństwie?

- Nigdy cię nie okłamałam!

- Więc dlaczego ja miałbym kłamać?

- Bo jesteś dobry.

Rod odwrócił się, urażony jej słowami, nią samą w tej nowej postaci.

- Poddaję się. Mogę tylko pomyśleć, że zrobiłaś to, żeby mnie do siebie zrazić.

- O czym ty mówisz? - Pod Teresą nogi się ugięły. Wszystko poszło zupełnie nie tak, jak sobie wyobrażała.

Rod szukał sposobu, by do niej dotrzeć.

- Wiesz jak lubisz moją brodę, prawda? I jaka by łaś niezadowolona, kiedy ją zgoliłem wiele lat temu?

- Pamiętam. - Teresa trochę się rozluźniła, bo poczuła się na bezpieczniejszym terenie. - Dopiero kiedy ją zgoliłeś, zobaczyłam, że nie masz podbródka! - zachichotała na to wspomnienie.

- Wiele razy od tamtego czasu miałem ochotę zgolić brodę. Dla odmiany. Albo dlatego, że czasem jest mi w niej gorąco i bez niej byłoby lżej.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś. Rod wzruszył ramionami.

- Bo po co. Wiedziałem, jak bardzo ci na niej zależy.

Teresa zrozumiała, do czego zmierza. Był to ślepy zaułek, z którego nie umknie tak łatwo.

- Nie miałabym nic przeciwko, gdybyś ją zgolił na jakiś czas. Tak na trochę - dodała słabo.

Potrząsnął głową.

- Owszem, miałabyś. Nie chciałybyś mnie całować. Dąsałybyś się i męczyła mnie tak długo, aż zgodziłbym się zapuścić brodę. Jak za pierwszym razem. Wiesz, że to prawda.

Wiedziała.

- Ale dla mnie nie miało to znaczenia. Kochałem cię i skoro byłaś taka przywiązana do mojej brody, miałem ją dla ciebie. Bo cię kochałem.

Te słowa: „kochałem cię”. W czasie przeszłym.

- Więc gdybym wstał dzisiaj rano, zgolił brodę i oznajmił, że już jej nie zapuszczę, co byś pomyślała?

- Że nie dbasz o to, co myślę, co czuję - przyznała Teresa.

- A gdybym powiedział, że w głębi duszy zawsze wiedziałem, że nienawidzisz mo-

jej brody, i zgoliłem ją tylko dla ciebie?

Teresa próbowała wykręcić kota ogonem.

- Ale ty wiesz, że ja naprawdę kocham twoją brodę. Skąd mogłam wiedzieć, że ty naprawdę kochasz moje ciało?

- Bo ci to mówiłem. Na różne sposoby. Tysiące razy. Teresa opadła na łóżko.

- Przecież nie mogłeś go kochać. Jak mógłbyś? Było odrażające. Nikt nie mógłby go kochać.

- Ja tak.

Wyszedł, nie całując jej na do widzenia. Nie wiedziała, dokąd idzie, i bała się spytać.

- Nie wiem, dlaczego chciałaś, żebyśmy się spotkały. Naprawdę nic już nie mamy ze sobą wspólnego. Nie wiem nawet, czy w ogóle kiedyś miałyśmy.

Gail czuła się bardzo nieswojo w towarzystwie tej szczupłej pięknej kobiety, czuła się jak hipopotamica i pogardzała za to Mariną. A restauracja zupełnie do niej nie pasowała. Kiedy weszła, przeraziła się, że kierownik zaraz ją wyprosi jako osobę nie dość atrakcyjną. Od razu wiedziała, że będzie jedyną grubaską na sali, i się nie pomyliła.

Marina próbowała wykrzesać z siebie trochę serdeczności dla tej szorstkiej kobiety.

- Gail, proszę, daj mi szansę. Już ci mówiłam, że naprawdę martwię się o Emmę. Kiedy ją ostatnio widziałaś?

Gail zeszywniała jeszcze bardziej.

- Nie pamiętam. Parę miesięcy temu. Podobno nie wychodzi z siłowni. Przypuszczam, że świetnie się bawi, buszuje po mieście, pyszni nowymi strojami przed nowymi, pięknymi przyjaciółmi.

Te dziecinne humory rozbawiłyby Marinę, gdyby nie była poruszona oczywistym cierpieniem Gail.

- Bardzo się mylisz. Jest beznadziejnie chora. Od paru tygodni nie wychodzi z domu. Wiem, że żyje, bo sterczę przed jej drzwiami codziennie i wrzeszczę w otwór na listy, dopóki mi nie odpowie.

Gail próbowała ukryć zainteresowanie, ale oczy miała pełne troski.

- Co jej jest? Czy to przez te cholerne tabletki? Wiedziałam, że tak się to skończy.

Coś takiego jak bezpieczne środki odchudzające w ogóle nie istnieje i nigdy nie będzie istnieć.

- Właściwie to nie ma związku z tabletkami. - Marina nie wspomniała, że Emma nie dostaje już tabletek. Była zbyt uwikłana w kłamstwa Davida, by go zdradzić. - Nikt poza nią nie czuje się naprawdę źle. Ale Emma jest anorektyczką.

- Ile?

- Myślę, że trzydzieści parę kilogramów, trudno ocenić, kiedy się widzi kogoś w otworze na listy.

Gail zamknęła oczy, próbując oswoić się z tym, co usłyszała. Rozmyślenia przerywał jej przystojny kelner, który ślinił się nad Mariną, wymachując przed nią bloczkiem jak zaproszeniem.

- Mogę zaproponować paniom aperitif? - Nawet nie spojrzał na Gail. Nie była zaskoczona jego zachowaniem, ale zdziwiła się, że tak bardzo ją zabolalo. Nie po raz pierwszy przekleła dzień, w którym Marina wniosła do 5F obietnicę Perrico.

Marina zamierzała zamówić wodę mineralną, ale nie chciała rozżłościć Gail, która na pewno pogardziłaby tak skromnym wyborem. Zamówiła więc kieliszek czerwonego wina, wiedząc, że tylko spotęguje ból głowy. Gail zamówiła to samo. Marina podziękowała w duchu instynktowi, który podszeptał jej wybór akceptowany przez trudną towarzyszkę.

Potem jedzenie. Dlaczego nie zaproponowałam spotkania w pubie? - pożałowała Marina. Wiedziała, na co ma ochotę i wiedziała, co powinna zrobić. Miała ochotę na coś lekkiego, sałatę albo rybę z warzywami na parze. Ale musiała pokazać, że je jak kiedyś. Na użytek Gail. Zaczynała rozumieć, jakie komplikacje powoduje chęć utrzymania dawnych kontaktów w sytuacji, kiedy tylko jedna strona radykalnie się zmieniła.

- Poproszę wątróbkę z bekonem. I frytki - dodała, rzucając ukradkowe spojrzenie Gail w oczekiwaniu na aprobatę. Nic z tego. Gail była zatopiona po uszy w menu. Kelner zwrócił się do niej niechętnie.

- Wezmę solę z grilla i surówki. Bez masła.

Marina próbowała ukryć zaskoczenie. Nie udało się. Gail uśmiechnęła się niewesoło.

- Spodziewałaś się, że wybiorę najbardziej tuczące potrawy?

- Nie, nie. Wcale nie.

- Właśnie że tak. Zapomniałaś wszystko, czego uczyłyśmy w 5F. Nie chodzi o to, żeby zjeść to, co ma najwięcej kalorii, lecz to, na co się właśnie ma ochotę.

Marina nie zapomniała, po prostu przestała w to wierzyć. Głupio się czuła. Jej wiara w oxymetabulin (jeżeli faktycznie go brała) sprawiła, że jednego była pewna: apetyt jest bóstwem, które musi zostać zaspokojone jedzeniem albo tabletkami. Straciła wiarę w założenie 5F, że apetyt jest tylko jedną z funkcji organizmu, nie zaś okrutnym i zmiennym potworem.

- A dzisiaj mam ochotę na coś lekkiego. Więc to zjem. Powiedz mi, kiedy ostatnio jadłaś coś, na co miałaś ochotę?

- Teraz zawsze jem to, na co mam ochotę. - Marina starała się, by to zabrzmiało przekonująco. - Po prostu nie mam już takiego apetytu jak dawniej. Przypuszczam, że to efekt tabletek.

- A co się stanie, kiedy przestaniesz je brać i łaknienie wróci?

Nie był to cel tego spotkania i Marina nie chciała w tej chwili zastanawiać się nad tą kwestią. Jeżeli o nią chodziło, brała tabletki, chudła bez żadnego wysiłku i stresu, a jej życie było milion razy lepsze. Nie gdybała, co będzie po zakończeniu eksperymentu. Zawsze zakładała, że kiedy już raz schudła, utrzymać wagę będzie łatwo, trudny był tylko początek.

Wiedziała, że wkrótce stanie przed tym problemem, gdyż zeszła o wiele poniżej wagi, jaką medyczni doradcy Davida uznali za bezpieczną.

Strategia była prosta - każda z kobiet będzie brała tabletki, aż osiągnie optymalną dla siebie wagę. Potem należy ustalić, co się stanie w przypadku dalszego zażywania leku. W wersji optymistycznej proces chudnięcia powinien się zatrzymać (a przynajmniej zwolnić do takiego minimum, które pozwoli nad nim panować). David zakładał, że oxymetabulin podkreśli metabolizm do idealnego tempa, a potem dostosuje go do zmiennych potrzeb organizmu. Gdyby podkreślał go w nieskończoność, organizm pracowałby na zbyt wysokich obrotach i nastąpiłby nieuchronny zgon.

Następnym etapem eksperymentu, po osiągnięciu optymalnej wagi i utrzymaniu jej

przez pewien czas, było ustalenie, co się stanie po odstawieniu tabletek. W przypadku szczurów (i Davida) nowa waga została zachowana po kilku niewielkich wahnięciach.

Co do kwestii etycznych związanych z eksperymentem Marina, jak większość badanych kobiet, wymazała je ze świadomości. Teraz, kiedy osiągnęła już cel, wiedziała, że tempo chudnięcia nie spada. Chudła coraz bardziej i zdawała sobie sprawę, że oznacza to koniec tabletek. Więc celowo złamała przykazania Perrico, nadal brała tabletki i jadła więcej, żeby zatrzymać tendencję spadkową. To przekonało Davida, że powinien przedłużyć leczenie jeszcze o parę tygodni.

Wiedziała jednak, że przy następnej kontroli wagi, która wypadła za parę dni, David powie, że czas odstawić tabletki i zobaczyć, co się stanie. Ta myśl ją paraliżowała.

- Posłuchaj, Gail, naprawdę zależy mi, żeby porozmawiać o Emmie. Wiem, co sądzisz na temat oxymetabulinu; musimy pogodzić się z tym, że mamy na ten temat odmienne zdanie. Ale przeraża mnie, co będzie z Emmą, jeżeli czegoś nie zrobimy. Czy mogłybyśmy zapomnieć o animozjach i spróbować jej pomóc?

- Masz rację. Przepraszam. Ale nie wiem, co, twoim zdaniem, miałabym zrobić. Jeżeli nie wpuszcza ciebie, dlaczego miałyby wpuścić mnie?

- Bo byliście takimi dobrymi przyjaciółkami przed... Oxymetabulinem.

Gail westchnęła.

- Od dnia kiedy zaczęła brać tabletki, odwróciła się ode mnie. Jakbym kojarzyła się jej z przeszłością, którą chciała odrzucić na zawsze. W pewnym sensie ją rozumiem. Zawsze wiedziałam, że 5 F jest tylko środkiem doraźnym, który ma pomóc przetrwać pewien etap życia.

- Możesz mi to wyjaśnić?

- Kiedy się poznałyśmy, była między jednym kryzysem a drugim. Łudziła się, że lata męki zbliżają się ku końcowi. Naprawdę wierzyła, że wierzy w założenia 5F. Tylko ja wiedziałam, że oszukuje samą siebie. Mówisz, że jest bardzo chora. Już przedtem była bliska śmierci.

- Słyszałam o próbach samobójczych, ale to było wiele lat temu, prawda?

- Dokładnie przed pięcioma laty. Ale nie było w jej życiu roku, kiedy nie próbowałyby ze sobą skończyć w taki czy inny sposób. Anoreksja, bulimia, samookaleczanie. Ca-

łe ramiona ma w bliznach. Cięła się żyłką, kiedy miała naście lat.

Marina była wstrząśnięta.

- Ale dlaczego? Takie okropne dzieciństwo? Rodzice jej chyba nie maltretowali?

- Nie maltretowali. - Gail przerwała. - Emma była przekonana, że zamieniono ją w szpitalu po urodzeniu, inni rodzice i tak dalej...

- Chyba wszyscy tak czujemy, do pewnego stopnia. Gail parsknęła.

- Nie mówimy o buntach nastolatków ani alienacji. Emma nawet przez chwilę nie czuła, że należy do rodziny. Miała dwie starsze siostry i dwóch młodszych braci, a cała rodzina tworzyła zamkniętą całość, z której ona została wykluczona.

- W jakim sensie? - Na Marinie ta historia nie wywarła wrażenia. Ona również nie czuła żadnej wspólnoty z rodzicami. Tylko przez lojalność utrzymywała z nimi kontakt. Spodziewała się usłyszeć coś więcej na usprawiedliwienie zachowania Emmy.

Wrócił kelner. Gail odczekała, aż postawi kieliszki.

- Dziękuję - powiedziała ironicznie do jego pleców, kiedy odszedł, po raz kolejny ją ignorując.

Umoczyła usta w winie i z aprobatą pokiwała głową.

- Na czym to stanęłam? Aha, Emma! Musisz wiedzieć, jacy byli jej rodzice. Pobrali się w wieku szesnastu lat, bo chcieli uprawiać seks, a nie mieli dość wyobraźni, by znaleźć sekretne miejsca, gdzie mogliby zaspokoić ten pierwotny instynkt. Nic nie wiedzieli o antykoncepcji i zrobili sobie pięcioro dzieci w pięć lat.

Czerpać satysfakcję z rodzicielstwa mogli tylko w jeden sposób: patrząc, jak ich dzieci stają się coraz większe. Codziennie wszyscy kładli się do łóżka, napakowani tłustym, ciężkim jedzeniem. Kiedy Emma pierwszy raz napomknęła naiwnie, że chciałyby przejść na dietę, jej matka się wściekła. Odebrała to jako atak na jej własne, niewypowiedziane zasady. Więc podając posiłki, zawsze zlane obficie gęstym sosem, rozpuszczała w porcji Emmy kilka łyżek smalcu. Kiedy Emma narzekała na smak, matka twierdziła, że to specjalny przepis dietetyczny, który wzięła z „Sun”. Gdy zaczęła naprawdę tyć, domyśliła się, że matka sabotuje jej próby, i ją na tym przyłapała. Myśl o całym tym smalcu, jaki zjadła, sprawiła, że po raz pierwszy zwróciła posiłek. Potem już zawsze była ostrożna.

Marina niemal poczuła smak tłuszczu w ustach i z trudem opanowała mdłości. Pomyślała o własnej matce, która próbowała jej pomóc w odchudzaniu. W przeciwieństwie do rodziców Emmy jej matka najbardziej w świecie pragnęła, by córka była równie szczupła jak córki koleżanek. Podawała coraz mniejsze porcje, nieświadoma, że Marina wymyka się potem do swojego pokoju i ucztuje, zapełniając pusty żołądek.

Kiedy w końcu zgodziła się przejść na dietę, niewiarygodna ignorancja matki w liczeniu kalorii doprowadziła do tego, że Marina jeszcze utyła. Szła do szkoły z pudełkiem, w którym były cztery bułki grubo posmarowane masłem, z serem i tłustą szynką. Matka dodawała również kartonik pełnotłustego mleka, żeby Marina czasem nie znikła z braku pożywienia.

Ale Marina również nie była bez winy - i ona nie miała pojęcia o tak zwanych produktach odchudzających. Za zaoszczędzone z kieszonkowego drobne kupiła kiedyś herbatniki. Przeczytała z wielkim zainteresowaniem to, co wybito na opakowaniu tłustym drukiem, i pominęła to, co podano drobnym. Przeczytana informacja wydała jej się całkiem jasna. Herbatniki pomagają w odchudzaniu. Tak było napisane. Wywnioskowała więc, że im więcej ich zje, tym więcej schudnie.

Wkrótce zjadała całe opakowanie dziennie - jako dodatek do innych produktów odchudzających. Nie doczytała fragmentu, który mówił, że herbatniki nie uzupełniają posiłków, lecz je zastępują.

W przeciwieństwie do Emmy nie odwołała się do bardziej drastycznych metod oczyszczających, głównie dlatego, że nie umiała skrzywdzić rodziców. To ją zaskoczyło.

Proszę, proszę, pomyślała, siedząc w eleganckiej restauracji, piękna i szczupła. Może mimo wszystko nie nienawidzę tak bardzo tej starej zołzy. A to dopiero! Mój Boże! Coś sobie właśnie uświadomiłam. Od świąt nie byłam w domu. Że też mogłam pozabawić mamę jej chwili triumfu, widoku córki, jakiej zawsze pragnęła!

Zadrzała, pełna cudownego oczekiwania, i w myślach wyznaczyła wizytę na następny weekend.

Gail czekała, aż Marina wróci z dalekiej podróży.

- Przepraszam, Gail, coś, co powiedziałaś, przywołało dawne wspomnienia. Słucham cię, naprawdę! Proszę, mów dalej.

- Powiedz, jeśli cię nudzę. Myślałam, że chcesz zrozumieć Emmę. Szczerze mówiąc, wołałabym być teraz gdzie indziej.

Marina przeprosiła jeszcze raz. To udobruchało Gail, która w końcu podjęła swoją opowieść.

- Jej rodzice imali się każdej fizycznej pracy dostępnej dla dwóch przedwcześnie podstarzałych młodych dorosłych, co to ledwo umieją czytać i liczyć. Wybierali zajęcia, z których płynęły inne korzyści: sprzątanie środków transportu, bo to dawało wolne przejazdy dla całej rodziny, pracę w fabryce, gdzie pod koniec dnia rozdawano personelowi połamane herbatniki albo skrawki mięsa. Emma żartowała, że nigdy nie była głodna.

- Można by powiedzieć, że wykazywali godną podziwu troskę o rodzinę - uśmiechnęła się Marina.

- Albo szli na łatwiznę. Wszystko jedno. Nie wiedzieli jednak, co zrobić z Emmą. Zawsze była „ta mądra”, szybko zaczęła czytać, takie rzeczy. Ale w domu nie było żadnej książki, a rodzice nie pozwalali jej chodzić do biblioteki po szkole. Prześladował ich strach przed intelektualnymi ciagotami, których ofiarą ludzie czasem padają.

Ale z ciebie snobka, pomyślała Marina. To, że mogłabym pomyśleć dokładnie to samo o moich rodzicach, nie oznacza, że można to mówić głośno.

- Była dla nich odmieńcem. Zachowywała się inaczej niż reszta rodzeństwa. Nie zadawała się z chłopcami, nie miała żadnych zakazanych rozrywek. Nawet wyglądała inaczej. Odznaczała się delikatną urodą. I nie chciała się utuczyć jak wszyscy w rodzinie. Zjadali posiłki na tacach przed telewizorem, więc nie miała kłopotu, żeby ukryć jedzenie w kieszeni i później się go pozbyć. A co ważniejsze, nie zamierzała zarabiać na rodzinę. Pozostałe dzieci pracowały od chwili, gdy skończyły jedenaście lat. Na bazarach, w sklepach, wszędzie tam, gdzie patrzono przez palce na zatrudnianie nieletnich. Emma nie chciała tego robić. Chciała się wyrwać i wiedziała, że to możliwe tylko dzięki wykształceniu. Uczyła się w każdej wolnej chwili. Nie miała koleżanek, bo nie mogła ich przyprowadzać do swojego głośnego, trochę niechlujnego domu. Zresztą brakowało jej czasu na przyjaciół. Miała wtedy trzynaście lat. Była bystra, ambitna, ładna i szczupła.

Marina pozostała niewzruszona.

- Gail, to stara historia. Biedna, mądra, niezrozumiana dziewczyna wybija się, zo-

staje neurochirurgiem, premierem albo kimś takim. Nazywają to hartowaniem charakteru.

Gail zignorowała tę uwagę.

- Więc oddali ją do opieki społecznej.

Marina była przerażona, Gail - usatysfakcjonowana jej reakcją.

- Tak, tak. Oddali ją. I nie dlatego, że uważali, że jej to wyjdzie na dobre, lecz za karę. Parę minut temu spytałaś ranie, czy była maltretowana przez rodziców.

- A ty powiedziałaś, że nie.

- To prawda. Była maltretowana przez przybranych rodziców.

Marina miała dość. Chciała zrozumieć Emmę, nie zagłębiając się w to, o czym nie chciała myśleć. Wciąż brakowało jej niezawodnego mechanizmu, który pozwoliłby jej radzić sobie z niewygodnymi prawdami. Mechanizmu, który zastąpiłby poprzednią, bardzo skuteczną technikę jedzenia. Będę musiała się upić, myślała posępnie, opróżniając kieliszek i przywołując wzrokiem kelnera, żeby zamówić następny.

- W pierwszej rodzinie traktowano ją jak niewolnicę. To było coś jak przynieś, zanieś, pozamiataj. Szorowanie podłóg, pranie w ręku, cerowanie spodni, tak, tak, cerowanie. Wylądowała w szpitalu. Przybrani rodzice nie zauważyli, że Emma przestała jeść. Powiedziała, że się zabije, jeżeli lekarze odeślą ją z powrotem do domu.

Następna rodzina okazała się jeszcze gorsza. Matka ją ignorowała, ojciec maltretował. Bił ją za dnia, gwałcił nocą. Została tam aż do szesnastego roku życia, bo uznała, że zasłużyła na takie traktowanie za to, że odsunęła się od własnej rodziny. Gdyby bardziej się starała do nich zbliżyć, mogłaby zostać w domu i cieszyć się życiem w błogosławionej przeciętności.

Marina była wstrząśnięta tą historią. Nie rozumiała, jakim cudem Emma zatriumfowała nad swoją tragiczną przeszłością i została znaną, szanowaną dziennikarką. Potem uderzyła ją myśl: Emma wcale nie zatriumfowała nad przeszłością. Jej przeszłość była jak zwycięski sztandar, który powiewał przed jej oczami za każdym razem, gdy ośmieliła się pomyśleć, że uciekła. „Ode mnie nie możesz uciec, ty tłusta, niechlujna dziewczyno, widzę cię!” - było na nim wypisane wielkimi czerwonymi literami.

- Spotkała się jeszcze kiedyś ze swoją rodziną? To znaczy z prawdziwą rodziną?

- Ależ tak, to jest w tym wszystkim najzabawniejsze. Przez wszystkie te lata w domach zastępczych co tydzień widywała się z rodziną. Jadła, co jej dawano, żeby zadowolić rodziców, a potem wracała do przybranego domu i wymiotowała, żeby zadowolić siebie. Kiedy skończyła szesnaście lat i w końcu uwolniła się od opieki społecznej, poszła do college'u i wynajęła mieszkanie, ale nadal jeździła tam co tydzień. Wyobraź sobie tę scenę. Emma, śliczna, mądra i popaprana, siedzi w swoich powycieranych dżinsach, z podmalowanymi oczami, pośród rodzeństwa. Cała czwórka odziedziczyła po rodzicach grube rysy, niefortunna mieszanka genetyczna. Siedzą, odpalając papierosa od papierosa, bekają i nienawidzą jej za to, że jest od nich lepsza.

- O czym rozmawiają? - zapytała Marina.

- Emma opowiada o sobie. Pokazuje swoje artykuły w ilustrowanych pismach. Wie, że zniechęcają ją jeszcze bardziej za to, że odniosła sukces, ale to jest silniejsze od niej. Przywozi im zupełnie niestosowne prezenty od Harveya Nicka, które sprzedają potem na bazarach. Pragnie od rodziny akceptacji, chce, żeby ją przyjęli, ale oni są na to po prostu zbyt prymitywni.

Przez chwilę siedziały w milczeniu, zastanawiając się, co mogłyby zrobić, żeby uchronić Emmę przed samozniszczeniem, kiedy okoliczności jakby się sprzysięgły, by ją pognać.

Kelner przyniósł jedzenie. Marina popatrzyła na talerz połyskujący tłuszczem i zrobiło się jej niedobrze. Rzuciła zazdrosne spojrzenie na talerz Gail, który kusił świeżością.

Zrobiła parę głębokich wdechów, zanim wzięła nóż i widelec. Żeby odsunąć o parę sekund to, co nieuniknione, rozejrzała się po sąsiednich stolikach. Nauczyła się tego podczas regularnych już teraz lunchów z Teresą kiedy bawiły się w wymyślanie niesłychanych historii o przeszłości obcych, siedzących wokół nich.

Dzisiaj nie wszyscy byli obcy.

W boksie na tyłach restauracji siedziało dwoje ludzi, którzy z pewnością nie byli tylko dobrymi znajomymi. Marina знаła mężczyznę, spotkała go parę razy. Był to Rod, mąż Teresy, wielki, brodaty i jedyny w swoim rodzaju.

W pierwszej chwili Marina pomyślała, że jest z nim Teresa. Podniosła nawet rękę,

żeby do nich pomachać, i natychmiast ją opuściła.

To nie była Teresa, choć wyglądała całkiem jak ona. A raczej całkiem jak Teresa sprzed sześciu miesięcy. Bo teraz Teresa była wysoką, smukłą nimfą, która ubierała się tak, by podkreślić rosnące podobieństwo do młodej Audrey Hepburn. Ukazywała swoją delikatną postać w sukienkach z wciętą talią, obcisłych spódniczkach i spodniach. ,

Nie, obecna towarzyszka Roda w niczym jej nie przypominała. Była wysoka, fakt, ale pulchna tam, gdzie Teresa była chuda. Miała krągłe ciało tam, gdzie Teresa kości, uśmiechy i biust zamiast zmartwień i żeber.

Rod zdradzał Teresę z jej sobowtórem. Marina odwróciła szybko wzrok. Czy Teresa zdoła się pogodzić z tym, że odchudziła się dla Roda tylko po to, by się przekonać, że zawsze mówił prawdę, to znaczy wolał duże kobiety?

- Więc co zrobimy z Emmą? - zapytała Gail.

Marina pomyślała o Emmie siedzącej w domu i głodzącej się na śmierć. Pomyślała o Teresie, która straciła wszystkie te kilogramy zupełnie bez potrzeby. Pomyślała o Gail, tak wyczulonej na sytuację przyjaciółki, tak ślepej na własną. Pomyślała o Susie, rozrastającej się jak Alicja w Krainie Czarów po wypiciu mikstury z niewłaściwej butelki. Pomyślała o sobie, o tym, że wkrótce odbiorą jej klapę bezpieczeństwa, jaką był oxymetabulin. Co my wszystkie pocniemy? - pomyślała.

16

Uwielbiam, kiedy kobieta jest równie mądra jak piękna - powiedział David uwoździelskim głosem do szarej myszki, która siedziała na wpół goła przed jego komputerem.

Miała na imię Jane i biła z niej zwyczajność. Żaden z rysów jej twarzy nie był na tyle wyrazisty, by można go uznać za ładny lub brzydki. Pewnie kiedyś była ładnym dzieckiem o przeciętnej urodzie, jaką może się pochwalić wiele dziewczynek do lat pięciu. Potem wszystko zaczyna rosnąć, przekształcać się, zatracają się proporcje tak często nazywane przez pseudonaukowców matematyczną formułą piękna.

David zaprosił ją do siebie na kolację. Bardzo jej pochlebiło, że ten mężczyzna bę-

dzie dla niej gotował, a kto wie, co zdarzy się później. David zdecydował się na domowy posiłek, bo był splukany. A także dlatego, że chciał posadzić dziewczynę przed komputerem.

Był najprzystojniejszym mężczyzną, z jakim Jane kiedykolwiek spała. Blask dumy, że zainteresował się nią ktoś taki, przyćmił myśl, że być może nie pragnie jej tylko dla rozkoszy cielesnych. Kolacja była z mrożonki (odniósł do sklepu pulower, który dostał od innej kobiety, i za odzyskane pieniądze kupił jedzenie), ale bardzo smakowicie odgrzana, z dekoracją jak na pudełku.

Seks był równie satysfakcjonujący. David przebrnął szybko przez grę wstępną, dając Jane do zrozumienia, że jej technika uwodzenia odbiera mu panowanie nad sobą. Miał już przygotowany scenariusz na dziesięć minut pokopulacyjnych czułości.

- Wiesz, Jane, w tej chwili pragnę tylko spędzić tu z tobą resztę nocy i prawie całe jutro, ale obawiam się, że będę cię musiał teraz opuścić.

Przygnębienie na jej twarzy dowodziło, że tracił właściwą strunę.

- Jest wpół do jedenastej! Dokąd chcesz iść o tej godzinie?

- Do biura. Wiem, że to okropne, ale nie mam wyboru. Ktoś zadzwoni do mnie z samego rana po pewne dane, a ja zostawiłem je w komputerze w laboratorium.

- Ale widziałam, że masz modem w dużym pokoju. Dlaczego nie ściągniesz tych materiałów?

David uraczył ją uśmiechem bezradnego, zادیornego chłopca.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Daj mi laboratorium chemiczne, a wyprodukuję cudowny lek w dziesięć minut. Posadź mnie przed komputerem, a zmienię się w ciemnego jełopa. W biurze mam wypisane wszystkie instrukcje w języku dla idiotów. Właściwie nie wiem, po co kazałem zainstalować ten modem. Nie mam bladego pojęcia, jak go użyć.

Jane pobłażliwie pokiwała głową.

- Masz specyfikacje swojego komputera w Perrico?

David wyskoczył z łóżka i udawał, że szuka w papierach, aż znalazł właściwą kartkę, dokładnie tam, gdzie ją położył przed paroma godzinami.

- Czy to jest to? - zapytał z nadzieją.

Jane wzięła kartkę i przebiegła tekst wzrokiem.

- Doskonale! Wiesz co? Zrób mi kawy, a ja połączę cię z biurowym komputerem.

- To takie proste? - zapytał, starając się, żeby w jego głosie brzmiała nuta podziwu.

- To mój zawód, zapomniałeś?

- Żartujesz! To znaczy, wiedziałem, że masz do czynienia z komputerami, ale nie zdawałem sobie sprawy, że taki z ciebie spec. Jestem pod wrażeniem! Wydaje mi się jednak, że komputery w laboratorium są w innej bazie, czy jak wy to nazywacie, niż pozostałe komputery Perrico. Chyba dla bezpieczeństwa.

Jane się roześmiała.

- Wiem, sama instalowałam te zabezpieczenia. Nie martw się, one są dla osób niepowołanych, nie dla roztargnionych profesorów.

David spuścił skromnie oczy. Jane pocałowała go z pewnością siebie, jaką daje nowo odkryta władza, i pozwoliła zaprowadzić się do biurka.

- Jaką kawę pijesz? - zapytał.

- No, to jesteśmy. Czego potrzebujesz?

David usiadł na krześle z Jane, pieszcząc jej biodra w taki sposób, że obrabowałyby dla niego bank.

- Ten plik: Oxymatab.data. Muszę wydrukować wszystko. Palce Jane przebiegły płynnie po klawiaturze.

- Dobrze. O, mały problem. Potrzebuję hasła. Jak brzmi?

David jęknął i uderzył się w czoło na podkreślenie swojej głupoty.

- Nie do wiary! Tyle pracy, a i tak będę musiał jechać do biura. Hasło mam w notatniku.

- Nie znasz go na pamięć? - Jane była zszokowana ignorancją Davida.

- Masz mnie pewnie za idiotę. Potrafię spamiętać formułę długą na dwadzieścia linii, ale hasła nigdy. Myślę, że to dlatego, że nie muszę ich pamiętać. Zawsze mam zapisane, żeby nie obciążać szarych komórek.

- Naukowiec przemawia przez ciebie. Dokąd idziesz? - zawołała Jane, przestraszona.

- Mówiłem ci. Muszę iść do biura. Po hasło. Chwyciła go za rękę i posadziła z po-

wrotem na krześle.

Trochę zbyt agresywnie jak na Davida, który ostatnio nerwowo reagował na każdy gwałtowny ruch. Ludzie, którzy pożyczili mu pieniądze, nie odpowiedzieli profesjonalnie na jego giętkie podejście do spłaty długu. Wyczuł nawet nutę groźby w ich ostatnim ponagleniu. To go niepokoiło.

- Siadaj! - zawołała Jane wesoło. - Znajdę to hasło.

- Jakim cudem? Ma być tajne.

- I jest. Tyle że nie dla ludzi takich jak ja. Patrz! Patrzył zafascynowany, jak wędruje przez bazy danych, ekrany pełne niezrozumiałych symboli i przypadkowych liter. Podziwiał, zazdrościł jej umiejętności. Gdyby była choć odrobinę ładniejsza, może by się z nią umówił jeszcze parę razy. Trochę to trwało i zaczął się niecierpliwić.

- Bingo! - oznajmiła w końcu.

Miał listę przed oczami. Nazwiska wszystkich kobiet biorących udział w eksperymencie wraz z nazwą produktu, który brały. O - oxymetabulin, P - placebo. Nie wpatrywał się w listę zbyt długo. Nadszedł czas, by zapłacić za usługę. Objął Jane i zajrzał jej w oczy.

- Jesteś genialna. Pokażę ci, jak jestem wdzięczny.

Zaprowadził ją z powrotem do sypialni, ale przedtem wcisnął klawisz, wysyłając dokument do drukarki w sąsiednim pokoju. Wydrukuje plik bezgłośnie, podczas gdy on odwróci uwagę Jane.

Stwierdził, że trzeba wyciągnąć jak najwięcej korzyści z tej jednonocnej inwestycji, i zadał jeszcze jedno pytanie:

- A propos, jak brzmi to hasło? Wprowadzie i tak go nie zapamiętam, ale jestem ciekaw.

Roześmiała się.

- Sama chciałam cię o to spytać. Naprawdę sam je wymyśliłeś?

- Oczywiście - odparł czujnie.

- Lubię to w mężczyźnie.

- Co? - David nienawidził zagadek. Mając tyle do ukrycia, bał się aluzji do któregoś ze swoich ciemnych sekretów.

- Poczucie humoru.

To mu się nie spodobało. Hasło wprowadził dyrektor Perrico, a David od dawna podejrzewał, że facet za nim nie przepada.

- Więc jak ono brzmi?

- Nie rozumiem, jak mogłeś zapomnieć - odparła Jane ze śmiechem. - Napalony Dave!

Nancy Riesenthal omal nie zatrzasnęła drzwi przed nosem Mariny.

- Żadnej polityki, dziękuję - zaczęła, po czym wciągnęła głośno powietrze. - Marina! To ty? Niemożliwe!

- Tak, mam, to ja. - Marina stała w progu. Czuła się jak dziesięciolatka.

Nancy przytrzymała się drzwi. Od dawna nie wpuściła obcego człowieka do domu i w tej chwili czuła, że właśnie to robi. Przed nią stała zupełnie obca kobieta.

- Myślałam, że to ktoś z Partii Konserwatywnej - powiedziała.

Marina zaśmiała się i umilkła, bo uświadomiła sobie, że to największa obelga, na jaką stać Nancy (nie licząc „gruba”).

- Kto to, kochanie? - zawołał Donald z głębi domu. Marina była zaskoczona, że ojciec nie siedzi w ogrodzie.

Przez jedną straszną chwilę zastanawiała się, czy nie uciekał tam tylko wtedy, gdy ona była w domu. Kiedyś stworzyła sobie teorię, że ojciec unika towarzystwa Nancy równie starannie jak ona. Czy to możliwe, że rodzice byli razem bardzo szczęśliwi i to ona, Marina, ich rozdzieliła?

Nie podobały jej się te myśli, pchnęła więc drzwi i weszła do domu, żeby się przekonać, jak żyją rodzice, kiedy jej nie ma.

- Nie spodziewaliśmy się ciebie - powiedział Donald oskarżycielsko, słysząc jej głos. Zbladł, kiedy ją zobaczył. Marina przestraszyła się, że zemdleje.

- Dobrze się czujesz, tato? - Przyskoczyła do niego, żeby go podtrzymać, ale matka ją ubiegła. Stała tuż przed nim, wątki mur emocjonalnej ochrony przed niespodziankami.

- Ojcu nic nie jest. Trochę go to zaszokowało. Mnie również. Nie uprzedziłaś nas, że przyjedziesz. Ani o tym, że...

Nie mogła dokończyć zdania. Dopiero zaczynała do niej docierać skala przemiany córki. Marina była ucieleśnieniem doskonałości. Była szczupła, piękna, bez skazy. Była jak studyjna fotografia, na której szuka się śladów chemicznych poprawek. Była marzeniem każdego mężczyzny.

Ale nie była już jej córką. Cały ich związek opierał się na relacjach między oprawcą a ofiarą. Macierzyństwo Nancy uległo przeobrażeniu, aż przekształciło się w pragnienie, by całkowicie zmienić Marinę. I teraz Marina osiągnęła ideał, o którym marzyła jej matka.

Lecz dokonała tego sama i to po prostu nie było fair. Świadczyło bardzo źle o niej, matce, której dziecko naprawdę rozwinęło swoje możliwości dopiero wtedy, gdy całkowicie uwolniło się spod jej wpływu. Nie mogła przecież uznać tego za swoją zasługę. Była uczciwa, nie mogłaby patrzeć przyjaciółom w oczy i twierdzić, że miała swój udział w stworzeniu tej pięknej kobiety. Została oszukana.

Marina nie miała pojęcia, co myśli jej matka, ale z pewnością nie takiej reakcji się spodziewała. Nie mogli stać tak w nieskończoność, więc odważnie zadała jedyne pytanie, jakiego nie spodziewała się zadać.

- No i co wy na to? - Rozłożyła ramiona i okręciła się jak mała dziewczynka. Gwałtowny ruch sprawił, że rodzice odskoczyli, na wypadek gdyby straciła równowagę i zwała się na nich. Przez chwilę myśleli, że nadal jest tą grubą, niezdarną dziewczyną, która zawsze w coś w domu uderzała przez całe swoje dzieciństwo.

Donald odezwał się pierwszy:

- Wyglądasz prześlicznie, kochanie. Tyle że nie jesteś już sobą, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli.

Rozumiała. Doświadczała tego samego rozdwojenia za każdym razem, gdy patrzyła w lustro. Czekala, żeby ojciec podszedł i ją uściskał. Albo pogłaskał po głowie. Albo jej dotknął. Była to z pewnością dobra okazja na rodzinny uścisk. Ale on stał tylko, nadal chroniony przez Nancy.

- Mamo, nic nie mówisz.

- Byłaś chora? Tak długo się nie odzywałaś. Nie widzieliśmy się od świąt, a teraz zjawiasz się nagle, taka szczupła. Co mam powiedzieć?

Marina próbowała opanować rozczarowanie, ale wysiłek wywołał gniew.

- Nie byłam chora. Nie przyjechałam do domu, bo nie sądziłam, że chcecie mnie widzieć. Byłam zajęta pracą. No wiesz, tą karierą o którą mnie nigdy nie spytałaś. Podróżowałam po świecie, organizowałam wielomilionowe kampanie, takie rzeczy. To nie to samo co smażenie jajek i frytek dla męża i piątki dzieci, ale tak wygląda moje życie.

Nancy poczuła się urażona atakiem na jej wartości.

- Nie musisz być niemiła. Po prostu jesteśmy zaskoczeni. I martwimy się. Nigdy nie byłaś tak drobna. Każda matka czułaby się zaniepokojona, chciałaby wiedzieć, jakim sposobem jej dziecko tyle schudło.

Marina dobrze się zastanowiła nad tym, co odpowiedzieć. Wiedziała, że skłamię. Pojawiając się tak przed rodzicami, chciała przecież uzyskać w końcu jakiś stopień ich akceptacji. Chciała, żeby podziwiali, czego dokonała. Wiedziała, że nie osiągnie tego, mówiąc o eksperymentach z nowym lekiem. Dyscyplina, tylko taka motywacja mogła zyskać ich szacunek.

- Dietą i gimnastyką. - Nie czuła wyrzutów sumienia, że kłamię. Dzieci kłamią rodzicom nieustannie, począwszy od udawanych krzyków w kołysce przez bezczelne kłamstwa okresu dojrzewania, aż po dorosłe niedomówienia, które utrzymują pozory rodzinnej wspólnoty.

Dopiero teraz Donald zrobił kilka kroków do przodu i z dumą pogładził ją po ramieniu.

- Wspaniale się spisałaś, kochanie. Teraz już czuła wyrzuty sumienia.

Nancy podeszła także, nie chciała stać dalej niż pół metra od Donalda.

- Bardzo dobrze, Marino. O ile, oczywiście, była to tylko dieta i gimnastyka.

Przenikliwość matki podłamała Marinę. Nancy, zadowolona z tego, że właściwie oceniła sytuację, zaniepokoiła się jednocześnie, jak daleko posunęła się Marina, by zdobyć swoje nowe ciało.

Znów były święta. Donald umknął do swojego warzywnika. Marina i Nancy siedziały po przeciwnych stronach bawialni, a resztki jedzenia leżały między nimi. Oskarżenie i prowokacja. Grał telewizor i Nancy komentowała na swój typowy, zgryźliwy sposób informacje o niesprawiedliwościach na całym świecie, podawane grobowym gło-

sem.

Fizyczna przemiana pociągnęła za sobą ogromne zmiany w osobowości. Marina zyskała odwagę, by zadawać pytania, których nie śmiała zadać wcześniej. Zapewne dzięki temu, że przestała być celem ogólnej uszczypliwości. Mogła powiedzieć wszystko i nikt jej nie dokuczał. A miała mnóstwo pytań. Mnóstwo luk, które nagle zaczęły domagać się wypełnienia. Jej wyzwolenie zapierało dech w piersi.

- Dlaczego nigdy nie pojechałaś za granicę, na przykład znów do Hiszpanii, mamó?

Nancy przymrużyła oczy i skoncentrowała się na ekranie telewizora, mając nadzieję, że Marina uzna to za przejaw wybiórczej głuchoty i da jej spokój. Dawna Marina odebrałaby to jako odtrącenie i wycofała się w bezpieczne rejony jeszcze jednego kawałka ciasta. Ale to była nowa Marina. Nie tknęła wstrętnej ekspozycji ciastek i herbatników, które Nancy położyła jej przed nosem niby błyszczące, ale zatrute jabłko. Ostentacyjnie odsunęła cukiernicę i z wyszukaną elegancją uniosła filiżankę herbaty do swoich połyskliwie czerwonych ust.

Wstrzemięźliwość nie przychodziła jej już tak łatwo jak kiedyś. Był to jej drugi dzień bez tabletek i walka stawała się z każdą chwilą trudniejsza. W drodze do rodziców dostawała napadu głodu przy każdym zjeździe na stację benzynową. Słodocze, czekolada! - przywoływały neony. Lepiej zajedź do nas i opchaj się, bo możesz rozbić się na bezdrożach i nie mieć co jeść przez wiele dni. A jeżeli utkniesz w korku i zgłodniejesz? Twoje zapasy tłuszczu zostały zredukowane właściwie do zera. Możesz umrzeć z wycieńczenia. Albo doznać szoku z braku cukru w organizmie. Szybko, zanim wszystko wykupią!

Tylko głębokie wdechy i rytmiczne, obsesyjne żucie gumy bez cukru (trzy paczki) uchroniły ją przed tym, żeby się zatrzymać i z otwartymi ustami dać nura do sklepu.

To szaleństwo, powiedziała sobie. Minęło dopiero czterdzieści osiem godzin od ostatniej tabletki. Organizm musi mieć w sobie jeszcze jakieś pozostałości chemii. A mój żołądek skurczył się wielokrotnie. To tylko psychika. Uzależniłam się psychicznie od tabletek i teraz, kiedy ich nie mam, tracę motywację.

A przecież mogłam nawet nie brać oxymetabulinu! Załóżmy, że łykałam placebo. Połowa z nas była na fałszywkach, a wystarczy na nas spojrzeć! Wszystkie schudłyśmy,

mniej lub więcej. To kwestia psychiki, nie prochów. Muszę więc tylko przekonać sama siebie, że schudłam dzięki silnej woli, a te tabletki to tylko kupka proszku. Nie może mi brakować czegoś, czego nigdy nie miałam.

W teorii. Jak większość teorii brzmiało to wspaniale i nic nie znaczyło. Siedząc naprzeciwko matki, wyzbyła się wszelkich kompleksów. Poczucie własnej fizycznej wyższości dało jej siłę. Wiedziała, że spełniła wyobrażenia matki o kobiecej urodzie w stopniu, o jakim się Nancy nie śniło. Matka nie mogła wiedzieć, że Marina chwyciła tę doskonałość przelotnie, mogła tylko ulec przemożnej osobowości swojej nowej córki.

- Słyszałaś, co mówiłam, mamó? Dlaczego nigdy nie wybrałaś się za granicę, do Hiszpanii?

W ciągu niecałej godziny Nancy zdążyła już trochę poznać to egzotyczne stworzenie, które podawało się za jej córkę. Była pewna siebie, nachalna i uparta. Trochę jak ona sama w młodości. We wczesnej młodości. Nie da jej spokoju, dopóki nie uzyska odpowiedzi na swoje pytanie.

Nancy westchnęła, wraz z powietrzem wydalając z siebie pięćdziesiąt lat mętnych usprawiedliwień, słabiutkich już w chwili, gdy je wymyślała. Wzięła druty i zaczęła zawzięcie nimi wywijać.

- Nie wyjechałam już więcej za granicę, bo nie było po co. Hiszpania była głupią młodzieńczą przygodą. Nic na niej nie zyskałam, za to bardzo mocno się sparzyłam. Wiele się nauczyłam na własnych błędach, więc zostałam tutaj.

- Ale co zyskałaś, nie wyjeżdżając?

- Ułożyłam sobie życie. Uważasz, że nauczanie nie jest osiągnięciem?

- Nie złość się. Próbuję cię tylko zrozumieć. Byłaś wspaniałą nauczycielką. Wszyscy tak mówią.

- No to znalazłaś odpowiedź. - Coś błysnęło w oczach Nancy, cień dawnego ognia, który kazał młodej dziewczynie iść na cudzą wojnę.

Marina postanowiła drażnić temat mimo zdecydowanego oporu matki, która nie zamierzała dać się wciągnąć w taką rozmowę.

- Byłaś wspaniałą nauczycielką. Pochłonęłaś masę książek. Musiałaś czuć się stłamszona tą podmiejską egzystencją, w dodatku patrzyłaś, jak twoi uczniowie dorastają

i wyruszają w świat, robią rzeczy, które ty też mogłabyś robić, ale nawet nie spróbowałaś.

- Dla ciebie wszystko jest łatwe i proste. - Nancy nie starała się ukryć goryczy. Dostrzegła zdumienie w oczach Mariny i szybko zrejterowała. - No dobrze, przyznaję, że musiałaś mieć trochę problemów, żeby przystosować się do świata z twoją... - Nie dokończyła. Nie mogła. - Ale to był twój wybór. Mogłaś poradzić sobie z tym problemem w każdej chwili, jak się okazuje. Dlatego zawsze tak na ciebie naciskałam. To było takie proste, a ty nie chciałaś nawet spróbować.

- To nigdy nie było proste, mamo. I nigdy tego nie zrozumiesz.

Nancy spuściła głowę. Nadal robiła na drutach, ale jej ton się zmienił.

- Może masz rację. Ale dużo czytałam o tej grupie 5F, o której wspomniałaś rok temu. Poszłam do biblioteki, wyciągnęłam artykuły z czasopism.

Marina musiała się roześmiać.

- Właśnie doszłam do wniosku, że cię rozpracowałam, a ty mówisz coś takiego! Nie sądziłam, że słuchasz.

Nancy zacisnęła wargi na to jawne oskarżenie.

- Marino, zawsze cię słucham. Często nie odpowiadam, bo nie wiem, co powiedzieć. Zawsze napadałaś na mnie, kiedy próbowałam z tobą rozmawiać. Pytałaś mnie o różne rzeczy, a potem robiłaś awanturę, kiedy nie spodobała ci się moja rada.

- To dlatego, że zawsze radziłaś to samo: schudnij, znajdź sobie mężczyznę. W tej kolejności.

- Myślałam, że będziesz szczęśliwsza, kiedy sobie kogoś znajdziesz. A nie sądziłam, że znajdziesz partnera, jeżeli...

- Będę wielką, grubą krową?

- Tego nie powiedziałam.

- Ale tak właśnie myślałaś. Zresztą jaka to różnica?

- Nie chciałam, żebyś popełniła te same błędy co ja. Matki już takie są, mam nadzieję, że kiedyś przekonasz się na własnej skórze.

Rozmowa stawała się zbyt szczerą i bezpośrednią, Nancy czuła się nią coraz bardziej skrepowana. Wzięła pilot i nastawiła głośniej telewizor.

Marina chciała, potrzebowała, łaknęła czegoś więcej.

- Jakie błędy, mamó? Nancy spojrzała na córkę zimno, niechętnie.

- Marino, wiem, czego ode mnie chcesz. Chcesz, żebym była czternastoletnią dziewczyną, o której opowiadała ci babcia. Tą, która uciekła z domu. Tą, która była nieokielznana, niebezpieczna. Już nią nie jestem. Jestem kimś innym. Nudną emerytowaną nauczycielką. Matką, która nie pamięta, co to znaczy być młodą dziewczyną. Czuć się inną. Oto kim jestem. Taką mnie masz.

- Jakie błędy, mamó? - Marina nie dała się zbyć. Nancy zgubiła oczko i skłęła się za niezdatność. Była zirytowana, odpowiadając na pytanie Mariny:

- Życie w samotności. Budowanie ścian wokół siebie. Mówiłam światu: Trzymaj się ode mnie z daleka, nie chcę twojego szczęścia. Zostaw mnie w spokoju. Wolę być nieszczęśliwa. I sama.

Marina nigdy nie myślała o tych dwudziestu latach życia matki między Hiszpanią a małżeństwem. Dwadzieścia lat. Kupa czasu. Przypuszczała, że nigdy się nie dowie, jak wyglądało wtedy życie matki, ale podejrzewała, że musiało być bolesne. Puste. Zmarnowane.

- Mamó, to nie tak. W dzisiejszych czasach to wygląda inaczej. Samotni ludzie bywają szczęśliwi. Moja tuzia nie miała z tym nic wspólnego.

Nancy była zmęczona rozmową o tym, co wolą pominąć milczeniem.

- Może. Dlatego tak mnie zainteresowała ta grupa 5F. Może miałas rację, kiedy oskarżałaś mnie o to, że nie akceptuję cię takiej, jaka jesteś. Rzeczywiście cię nie akceptowałam. Ale też nie byłam wcale przekonana, że ty jesteś szczęśliwa.

Nie byłam, mamó, ani trochę. I gdybyś choć raz powiedziała, że rozumiesz, co czuję, może bym zaczęła z tobą rozmawiać. Może wszystko potoczyłoby się inaczej.

To chciała powiedzieć matce. Ale się nie odezwała.

Nancy spróbowała jeszcze raz zakończyć rozmowę. Niewiele już miała do powiedzenia.

- Teraz rozumiem to trochę lepiej. Ty i twoje znajome byliście zadowolone z tego, jakie jesteście. To my, ta reszta, mieliśmy problem, chcieliśmy was zmienić tak, żebyśmy wszyscy wyglądali tak samo. Musiałam to po prostu zaakceptować. I zrobiłam to.

Proszę, Boże, nie pozwól mi się rozplakać, pomyślała Marina. Płacz nie miał już sensu. W głosie Nancy ponownie zabrzmiała ostra nuta.

- Dlatego byłam taka wstrząśnięta, kiedy cię dzisiaj zobaczyłam. Właśnie dojrzałam do tego, żeby powitać cię taką, jaka jesteś, a ty przyjeżdżasz zupełnie odmieniona. Nie rozumiałam. Nadal nie rozumiem. Kim właściwie chcesz być, kogo mam próbować zrozumieć? Powiedz mi, a to zrobię.

Nancy była znów oskarżycielem, matką, która doszukuje się błędu w swoim postępowaniu. Męczennicą. Kimś, kto uznał życiowe osiągnięcie córki za bunt przeciwko matce.

Marina chciała jej to wszystko wyjaśnić. Chciała jej opowiedzieć, jak mężczyźni, atrakcyjni mężczyźni uganiają się za nią teraz, kiedy jest szczupła. I jak kobiety, które przedtem jej unikały, teraz zbierają się w stadko, żeby dzielić się intymnymi sekretami. I jak jej grube znajome nie chcą jej znać. I o tym, jak wszystko się zmieniło, z wyjątkiem tego kogoś, kogo ma w środku. Ale nie sądziła, żeby Nancy zdołała się połapać w tym zamęcie odczuć. Teraz przyszła jej kolej, żeby przyznać się do błędu w ocenie.

- Pytałaś, dlaczego nie wyjechałam za granicę - mówiła Nancy. - Prawda jest taka, że czegoś się nauczyłam dzięki mojej jedynej wielkiej przygodzie. Pojechałam do Hiszpanii nie po to, by zmieniać świat, lecz siebie. Żeby stać się cudowną, wspaniałą heroiną, którą tysiące kilometrów dzieli od uczennicy z West Midlands.

- Byłaś heroiną, mamó.

- Nie, Marino. Byłam uczennicą z West Midlands w rebelianckim mundurze. To było tylko przebranie. Byłam ciągle sobą, tak jak ty jesteś sobą, gruba czy szczupła. Nudną, zwyczajną, małomiasteczkową dziewczyną, która nigdy nie będzie nikim więcej, choćby walczyła w nie wiadomo ilu wojnach. Zrozumiałam coś, czego ty być może jeszcze nie wiesz: że nie zmienisz siebie, możesz tylko wkładać kolejne przebrania.

Marina milczała. Nie chciała umniejszać tego, co powiedziała matka, jakąś banalną uwagą. I nie chciała przyznać, że może matka ma rację. To by ośmieszyło jej wielki sukces.

Mogła myśleć tylko o jednym. O talerzu ciastek tuż obok jej wypielegnowanych dłoni. Torciki czekoladowe. Oczywiście, że to musiały być torciki. Życie takie już jest.

Chcę ich, chcę ich, chcę ich.

Nancy była wdzięczna Marinie za przerwanie tej niezręcznej rozmowy, ale nie mogła nie zadać ostatniego pytania.

- I co teraz powiesz, Marino?

Marina była wyczerpana wymianą zdań graniczącą z intymnością. Chciała wrócić do Londynu. Do własnego mieszkania. Do pracy. Do jedzenia.

- Że się cieszę z powrotu do domu, mamó. I że tak ze sobą porozmawialiśmy.

Kłamstwo, kłamstwo!

17

Był październik i nikt już nie brał tabletek. We wtorek odbyła się kontrola wagi i w poczekalni panował posępny nastrój. Letnie paski i kwiatki zostały zastąpione przez stonowane jesienne kolory i fasony, które więcej skrywały, niż odsłaniały. Rozmawiano cicho, nerwowo. Kolana były zwarte, ramiona skrzyżowane. Emma nie przyszła.

- Jak to zniknęła? - zapytała Teresa.

- Po prostu. Wyprowadziła się z mieszkania i nie zostawiła adresu - powiedziała Marina. - Obdzwoniłam czasopisma, z którymi współpracowała, lecz do nich się też nie odezwała. Podobno to nic nowego. Pisze artykuł o oxymetabulinie, ale nie spodziewają się go wcześniej niż za parę miesięcy, kiedy badania się zakończą i rezultat będzie znany.

- Skoro nikt się nie martwi, może my też nie powinniśmy?

- Nie wiem, Terry. Nie widziałaś jej. Ja pomyślałam, że jest bliska śmierci.

- No wiesz, skoro się przeprowadziła, to znaczy, że nie może być taka słaba. Przeprowadzka wymaga cholernie dużo energii, wierz mi. Sama się przekonałam.

Marina wzięła przyjaciółkę za rękę. . - Och, Terry, tak mi przykro, że nawet nie spytałam. Jak poszła przeprowadzka?

- To zależy, jak na to spojrzeć. Jeżeli chodzi ci o tę część, kiedy zebrałam szczątki dziewiętnastoletniego małżeństwa i wpakowałam je w kartonowe pudła jak ciuchy na wyprzedaż, to było jak agonia, tyle że śmierć nie nadeszła. Z drugiej strony bardzo sprawna firma przewozowa przysłała ciężarówkę, żeby przetransportować te pudła do

mojego nowego mieszkanka, ostrożnie, z wyczuciem i za rozsądną cenę. Chyba nie mogę narzekać.

Spuściła głowę, ale Marina dostrzegła łzy w jej oczach.

- Czuję się okropnie. Może gdybym coś wcześniej powiedziała...

Teraz z kolei Teresa zaczęła pocieszać przyjaciółkę.

- Nie wiem, czy miałaś rację, nic nie mówiąc, wiem tylko, że sama postąpiłabym tak samo, gdyby role były odwrócone.

- Może - powiedziała Marina z powątpiewaniem.

Długo się zastanawiała, zanim w końcu postanowiła nie mówić Teresie o tym, że widziała Roda z inną kobietą. Musiała podjąć tę decyzję zupełnie sama i to jej uświadomiło, jak bardzo potrzebuje bliskiej przyjaciółki. Była wprawdzie Susie, ale tak uwikłana w swoje sprawy, że Marina bała się z nią rozmawiać. Poza tym Susie miała kolejny romans, choć Marina dowiedziała się o nim, dopiero gdy się zakończył. W tym stanie Susie nie nadawała się na doradczynię.

Drugą prawdziwą przyjaciółką była właśnie Teresa. Paskudna sytuacja. Marina przeczytała wszystkie czasopisma, wszystkie banały o prawdzie i uczciwości. Ale musiała brać pod uwagę jeszcze inny aspekt. Może Teresa coś podejrzewała, ale wcale nie chciała, by jej podejrzewania znalazły potwierdzenie. Może był to tylko przelotny flirt, który skończy się po paru dniach. Może niegroźny wirus, który Rod musiał wyrzucić z organizmu. Czy warto obciążać Teresę cierpieniem, które zaważy na całym jej małżeństwie, jeżeli nie jest to absolutnie konieczne? Marina uznała, że lepiej nic nie mówić.

Kłamstwa. Nic nie powiedziała, bo była tchórzem. Bała się, że Teresa wyładuje swój gniew na niej. Bała się, że straci przyjaciółkę.

Koniec końców Rod sam jej powiedział. To nie był przelotny flirt, chwila zapomnienia. Kochał tę kobietę, przy której było mu dobrze jak przy Teresie na początku ich małżeństwa. Miała na imię Mary, co Teresie wydało się całkowitym nieporozumieniem. To takie swojskie imię, nie pasuje do szczupłutkiej uwodzicielki.

Marina powiedziała jej, jak naprawdę wygląda Mary. Pomyślała, że Teresie będzie lżej ze świadomością, że rywalka nie wygląda lepiej od niej. Obeznana z kompleksami, które wynikają z tego, że nienawidzi się własnego ciała, pomyślała, że dzięki tej nagro-

dzie pocieszenia Teresa nabierze pewności siebie i rozpocznie nowe życie z pozytywnym nastawieniem.

Stało się zupełnie inaczej. Teresa była zdruzgotana. Natychmiast zrozumiała znaczenie tego faktu, choć Marina próbowała je zaciemnić.

- Więc on tak naprawdę myślał! - zawołała.

- Co? - zapytała Marina, dobrze wiedząc, o czym mówi Teresa.

- On naprawdę woli duże kobiety. Mówił mi to tysiące razy, a ja nie wierzyłam.

Marina przygotowała się do tej trudnej rozmowy, udało się jej przewyciężyć pokusę i nie powiedziała: a nie mówiłam?

- Cóż, łatwo się było pomylić.

- Łatwo? Łatwo się pomylić, kiedy oskarżasz człowieka, którego kochasz od dwudziestu lat, który zawsze był wobec ciebie uczciwy, oskarżasz go o to, że obrzydliwie kłamał przez cały okres waszej znajomości? - odparowała Teresa.

Marina przygotowała sobie parę frazesów, w nadziei że pomogą Teresie.

- To dlatego, że miałaś problem. Obie go miałyśmy, Tereso. Byłyśmy tak opętane myślą o naszej tuszy, że nigdy nie przyszło nam do głowy, że może nie jest to problem dla wszystkich. To jest jak choroba.

- Ale mnie pocieszyłaś! To nie tłuszcz zrobił ze mnie taką zwariowaną krowę, lecz choroba psychiczna. Teraz Rod z pewnością do mnie wróci.

- Nie o to mi chodziło, i ty o tym wiesz.

Obie umilkły. Była to dyskusja, w której żadna nie mogła wygrać, bo ani jedna, ani druga nie była pewna swoich racji.

Teresa od razu wyprowadziła się z domu. Tylko w ten sposób mogła sobie poradzić z problemem. Znalazła małe mieszkanko w pobliżu. Wyprowadzka do innej dzielnicy była niemożliwa, bo nadal musiała przychodzić do domu, do wspólnego biura. Sytuacja była nieznośna i odstawienie tabletek jej nie ułatwiło.

Jak wszystkie kobiety biorące udział w programie Marina i Teresa bały się, co pokaże waga. Obie podjęły na nowo walkę o kilogramy, napotykając wyzwania sześćdziesiąt sekund na minutę. Walczyły o każdy gram niedozwolonych produktów, jaki trafiał do ich ust, aż do chwili, gdy klęska stała się oczywista. Jedzenie znów było męką, jak

kiedyś. Teraz, gdy zeszczuplały, wcale nie było łatwiej.

Źródłem problemu okazało się to samo narzędzie, które pozwoliło im przedtem opanować przymus jedzenia. Tabletki.

I nie miało znaczenia, czy były prawdziwe, czy nie - wszystkie kobiety schudły. Bez tabletek były znów grubaskami rzucającymi się na oślep na wszystko, co dawało się zjeść, a czego odmawiały sobie tak łatwo przez ostatnie miesiące.

Najlepsze w programie było to, że jedzenie przestało być punktem centralnym ich życia. I jednocześnie najgorsze było to, że jedzenie przestało być punktem centralnym ich życia. Poniosły ogromną stratę. To było jak sieroctwo. Jedzenie już im tak nie smakowało. Nie było czymś ekscytującym. Nie koło. Nie przynosiło ulgi. Na szczęście euforia nowego ciała wypełniła większość dziur, które zaczęły zionąć otchłanią.

Ale kiedy przestały chudnąć, waga się ustabilizowała, a euforia zmieniła się w rzeczową akceptację nowego status quo, ich głodne dusze zaczęły szukać innego zabezpieczenia. Bez tabletek istniało tylko jedno, które znały i sprawdziły.

Oczywiście, wypróbowały popularne metody, stosowane przez kobiety, którym udaje się utrzymać wagę. A więc alkohol (zbyt tuczący, w dodatku wzmacnia apetyt), palenie (dopiero sześćdziesiąt papierosów dziennie wypełniłoby wszystkie puste chwile, a one nie były jeszcze gotowe na śmierć), seks (bez zaangażowania emocjonalnego pozostawiał pustkę, która domagała się wypełnienia).

Nic nie pomogło. Pomagało tylko jedzenie, bo wiedziały, jak nim manipulować. Stare, znane obrzędy powróciły wraz z częściowym poddaniem się obżarstwu. Jedzenie znów wspaniale smakowało. Smakowało jak zakazany owoc, pobudzająco i magicznie. Dotrzymywało im towarzystwa, przemawiało zrozumiałym językiem. I w koło Macieju.

Nie oznacza to, że wszystkie kobiety przytyły. Tak jak przewidział David, te, które brały oxymetabulin, radziły sobie trochę lepiej z utrzymaniem wagi, dzięki nowej przemianie materii. Ale nie dość dobrze.

Patrząc na kobiety w poczekalni, trudno było określić, ile ważą. Większość ludzi może ukryć kilkukilogramowe wahnięcia od idealnej wagi odpowiednim doбором ubrań. Są jednakże nieszczęśnicy, którym te kilogramy usadzają się natychmiast na twarzy, takie pampuchy na policzkach i podbródku.

Marina była właśnie taka. Musiała mieć kliniczną niedowagę, żeby jej twarz straciła w końcu podkład tłuszczu. Choć zgadzała się ze wszystkimi, którzy ją znali, że wygląda ładniej, kiedy ten tłuszcz jest na miejscu, wychudzona twarz stała się dla niej kryterium doskonałości.

Tego ranka spojrzała w zaparowane lustro. Nie dało się ukryć, że jej kości policzkowe były mniej widoczne niż przed paroma tygodniami. Pobieгла do garderoby i chwyciła najbardziej dopasowane ubrania. Jej najcenniejszą zdobyczą była spódniczka w rozmiarze dziesiątym, którą kupiła we wrześniu. Zapinała się swobodnie w talii i opasywała biodra tak, że nie tworzyła się żadna fałdka materiału. Dzięki intensywnym ćwiczeniom Marina miała brzuch na tyle płaski, by nie psuć ogólnego efektu. Zawsze nosiła pod nią obciskające jedwabne body, żeby linia bielizny nie przebijała przez materiał.

Tego dnia nie mogła jej dopiąć. Nawet wtedy, gdy położyła się na podłodze, wciągnęła brzuch i wstrzymała oddech. Wpadła w panikę. Spokojnie, powiedziała sobie pstro, celowo tonem, którego często używała matka. To jest spódnica dziesiątka. Mała dziesiątka, jeżeli chodzi o ścisłość. Tak, musiałam trochę przytyć, ale bądźmy realistami. Może z natury nie jestem taka szczupła. Rozmiar dwunasty jest równie dobry jak dziesiąty. Miło być chudą, ale może nie jest mi to pisane.

Nie pomogło. Naciągnęła spodnie od dresu, z gumą w talii, i ruszyła do sklepów. Atak paniki minął dopiero wtedy, gdy zaczęła wkładać ulubione artykuły do koszyka. Nie zjem tego, powiedziała sobie. Przynajmniej nie wszystko. Nie, popatrzę na to, na moje stare zdjęcia, potem na moje nowe ubrania i zdjęcie Andy'ego i dokonam świadomego wyboru.

Tak więc zrobiła to wszystko i dokonała świadomego wyboru. Wyżerka była dziesięć razy bardziej satysfakcjonująca, bo nastąpiła po racjonalnej dyskusji ze sobą. Była mniej impulsywna, bardziej wyważona. Marina dziwiła się, ile zdołała zjeść, zanim się źle poczuła. Spodziewała się, że jej skurczony żołądek powie „nie” o wiele wcześniej niż ona.

Ale nie zakończyła obżarstwa w powodzi łez i samposkarżeń. Za parę godzin miała zostać zważona i nie zamierzała dopuścić do tego, by jej wybryk został zarejestrowany.

Więc wsadziła dwa palce w gardło i wszystko zwróciła. Zrobiła coś takiego po raz

pierwszy w życiu, nie było to przyjemne, ale bardzo skuteczne.

- Marina Riesenthal! - zawołał asystent laboratoryjny.

Teresa życzyła jej szczęścia i Marina weszła do gabinetu Davida.

- Jak radzisz sobie bez tabletek, Marino?

Chłodny ton Davida rozbawił ją. Wiedziała, jaki jest zirytowany tym, że odmówiła ponownego spotkania po wspólnej nocy. Zwyczajnie się za nią uganiał i miał tylko nadzieję, że nie widać jego desperacji. Prawdę mówiąc, był tak zdesperowany, że Marina omal nie uległa z litości. Ale chciała być lojalna wobec Andy'ego i istniał tylko jeden sposób, by przezwyciężyć poczucie winy, że go zdradziła - uznać tamtą noc z Davidem za chwilę szaleństwa.

Stała na wadze, ściskając wszystkie mięśnie ciała w irracjonalnej próbie pomniejszenia.

- Świetnie. Żadnych problemów.

- Przytyłaś siedem i pół kilo w dwa tygodnie.

Marina krzyknęła cicho. Siedem i pół kilo! W dodatku po opróżnieniu żołądka. Nie ważyła się od dnia, kiedy poczuła, że zaczyna tyć. Nie chciała wiedzieć. Chciała żyć w kłamstwie,

- To niemożliwe! Wiem, że trochę przytyłam. Ale nie aż tyle! Nie jadłam aż tyle. Może to woda zalega albo coś takiego! A może to skutek uboczny odstawienia tabletek. Jak przy sterydach. Może potrzebuję trochę więcej czasu, żeby się ustabilizować. A może powinnam wrócić do małych dawek. Może nie powinieneś zabierać tabletek tak nagle.

David rozkoszował się jej cierpieniem. Miał takie kłopoty, że tylko cierpienie innych mogło mu przynieść ulgę. Od wielu miesięcy nie spłacał mieszkania. Nie mógł. Nie mógł spłacać żadnych długów poza wygórowanymi ratami, jakich domagali się lichwiarze.

Oczywiście, że byli to lichwiarze. Udawał sam przed sobą, że to „niezależni konsultanci finansowi”, ale mężczyźni, którzy zgłosili się do niego przy pierwszym opóźnieniu spłat, nie potrafiliby przeliterować słowa „konsultant”. Wyjaśniono mu jego priorytety w jednosylabowych słowach. Teraz, kiedy się opóźnił z ratą, uruchomiono klauzulę o karnych odsetkach. To oznaczało, że musi zapłacić dwa razy tyle, ile pożyczył.

Nie określili konsekwencji, jakie go spotkają, jeżeli nie odda długu. Nie musieli. Teraz przekazywał lichwiarzom całą swoją pensję. Inni kredytodawcy krążyli nad nim jak sępy, ich listy stawały się coraz bardziej naglące. Utrzymywał go triumwirat kobiet, które karmiły go, a nawet pożyczały mu pieniądze - był tak zdesperowany - ale to nie wystarczało. Znalazł się w poważnych kłopotach. Nie wiedział nawet, czy uda mu się dotrzeć do grudniowej premii.

Pozytywne zakończenie eksperymentu stawało się coraz bardziej wątpliwe. Te kobiety go zabijały.

Więc, chociaż Marina miała pewnie rację, mówiąc, że przechodzi okres asymilacji, David był zadowolony, patrząc, jak skręca się z niepokoju. Miał długi, a jakby tego było mało, ona podkopała jego wiarę w siebie. Była pierwszą kobietą, która go porzuciła. Chciał się z nią ponownie umówić tylko po to, by ją porzucić, czyli przywrócić naturalny bieg rzeczy.

Jednak eksperyment był ważniejszy niż zadanie bólu tej kobiecie. Nie znacznie ważniejszy, ale trochę.

- Może to tylko tymczasowy przyrost - starał się, by to zabrzmiało przekonująco. - Tak czy inaczej, jest to dużo w tak krótkim czasie. Tyjesz w szybszym tempie, niż chudłaś. To niedobrze.

Marina zaśmiała się nerwowo.

- Dobrze by było, gdybyśmy wiedzieli, czy brałam prawdziwą tabletkę, czy placebo - powiedziała.

David rzucił jej ostre spojrzenie.

- To by nam wcale nie pomogło. Podważyłoby sens całego eksperymentu. Gdybyś wiedziała, co bierzesz, wpłynęłoby to na twoje zachowanie i próbowałabyś osiągnąć wyniki, jakich, w twoim przekonaniu, się od ciebie oczekuje.

- Chcę tylko powiedzieć, że my wszystkie z trudem przystosowujemy się do życia bez tabletek. Z pewnością tak się dzieje podczas wszystkich eksperymentów z lekami. Bierzesz tabletki codziennie przez wiele miesięcy, zmieniają twoje życie w taki czy inny sposób, a potem ktoś ci je zabiera. Musi dojść do jakiejś reakcji psychologicznej. A na pewno tego pragnąłbyś uniknąć. Inaczej nawet osoby biorące oxymetabulin odwołują się

do jedzenia rekompensacyjnego, w odpowiedzi na stres. To ci kompletnie popsuje rezultaty.

David był przerażony. Właśnie w chwili, kiedy wydawało mu się, że poznał wszystkie zakamarki umysłu kobiety z nadwagą, stawiano przed nim kolejną przeszkodę. A na starcie wszystko wydawało się takie proste. Kobiety z 5F miały w założeniu przewyciężyć nerwicę związaną z jedzeniem, która gnębi inne, mniej światłe panie. Miały być jak normalni ludzie. Dlatego je wybrał. To założenie stało się i jego priorytetem, dzięki temu otrzymał zgodę na przeprowadzenie testu.

A teraz jedna z tych normalnych, dobrze przystosowanych kobiet rzucała frazesy takie jak "Jedzenie rekompensacyjne". Zważył już siedem uczestniczek eksperymentu, wszystkie wykazywały podobne fluktuacje, o wiele powyżej przewidzianej normy. Nie mógł tego zignorować. To, co mówiła Marina, oznaczało, że nawet kobiety, które na początku eksperymentu miały zdrowe podejście do jedzenia, na skutek brania tabletek wpadły w nowe uzależnienie, które ustaliło nowe normy zachowania.

Nie wiedział, że nawet jego teza wyjściowa była fałszywa. W chwili gdy oświadczył im, że mogą schudnąć bez wysiłku, wycofały się na stanowisko, które każda z nich zajmowała w takim czy innym momencie życia: chciały być szczupłe za wszelką cenę.

Zaczynał to powoli rozumieć, obserwując, jak wszystkie chudną, ale miał nadzieję, że długoterminowe rezultaty pozwolą mu wyłuskać sensowny materiał z badań.

To, co mówiła Marina, miało sens, choć nie wiedział, jak mógłby to wykorzystać w teście. Protokół został zamknięty. Można go było zmienić tylko w przypadku zagrożenia życia, nie dla jakiejś niejasnej teorii wysnutej przez badanego Mimo wszystko musiał spytać.

- Jak, twoim zdaniem, mam rozwiązać ten problem, jeżeli on w ogóle istnieje?

Marina wzruszyła ramionami.

- To ty jesteś naukowcem. Ja mówię tylko, że może wycofałeś tabletki zbyt gwałtownie. Prawdopodobnie nie da się już tego naprawić. Chyba że istnieje możliwość, żebyśmy wróciły do tabletek, a potem odstawiały je stopniowo. - W jej głosie zabrzmiała nadzieja.

David potrząsnął głową.

- To absolutnie niemożliwe. Chyba że...
- Chyba że co? - zapytała Marina szybko.
- Istnieje pewna ewentualność, ale nie wiem, czy odpowiednia do tej sytuacji.
- Powiedz mi jaka!
- Gdyby zaistniał problem medyczny, coś, czego nie dało się przewidzieć, mógłbym dokonać zmian w teście i podjąć odpowiednie działania.

Marina załapała natychmiast.

- Emma!
- Widziałaś ją ostatnio?
- Parę miesięcy temu. Zakładam, że nie stało się nic strasznego, bo byśmy o tym usłyszeli. Jest dość znana w środowisku dziennikarskim.

- To dobra wiadomość - powiedział David wolno. - Ale kiedy ją widziałem, była w bardzo złym stanie, ty zauważyłaś to samo. Nie twierdę, że jest to bezpośredni efekt tabletek. Ale może rezultat tego, że przestała je brać?

Marina popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

- To niemożliwe. Nie dotarła do tego etapu, kiedy wycofałaś tabletki. Była chora na długo przedtem.

David uniósł palec.

- Tego nie wiemy na pewno.
- Jak to?
- Przypuśćmy, że przestała brać tabletki z jakiegoś dziwnego powodu, o którym nie wiemy. Wtedy zachorowała. Choroby nie wywołały tabletki, lecz ich odstawienie.
- Nie możesz stwierdzić, że tak było.
- Nie mogę również stwierdzić, że tak nie było.
- Chwileczkę! Myślałam, że zamierzasz powiedzieć, że Emma była w ciąży i dlatego wypadła z eksperymentu?

- Tak, ale zmieniłem zdanie. Jak mówiłaś, jest znaną dziennikarką. Nie mogę ryzykować, że opublikuje w prasie zupełnie inną wersję niż moja.

- Więc co zrobiłeś z jej wynikami? Jak usprawiedliwiłeś jej nieobecność na ostatnich kontrolach?

Milczenie Davida było przyznaniem się do winy.

- Chyba nie podałeś fałszywych wyników? Udajesz, że ona ciągle bierze tabletki? Oszalałeś?

- Słuchaj, nikt nie zauważy. Nigdy nie ujawnia się indywidualnych wyników, to byłoby naruszeniem prywatności. Nawet ona nie będzie wiedziała. Ale dowie się z całą pewnością, jeżeli wycofam ją z powodu ciąży.

Marina czuła gwałtowne bicie serce, pusty żołądek dopominał się o swoje prawa.

- Uważam, że posuwasz się za daleko, Davidzie. Przyłapią cię. A wtedy wszystko pójdzie na marne.

- Jak to na marne? Lek jest skuteczny, sama się o tym przekonałaś.

To prawda, ale była taka zmęczona. Nie chciała borykać się z takimi problemami. Chciała tylko być szczupła i żyć dalej. Ile bitew musi jeszcze stoczyć, żeby funkcjonować jak inne kobiety?

- Więc proponujesz, żeby powiedzieć twoim szefom, że Emma przestała brać tabletki nagle, bez twojego pozwolenia, i wtedy wyniknęły... problemy? Chcesz ukryć fakt, że nie uczestniczy w badaniach od trzech miesięcy, i tylko udawałaś, że jest inaczej.

- Właśnie! - Oskarżała go, ale on to zignorował. - I dlatego uważam, że należy cofnąć się o jeden etap i odstawić lek stopniowo. - Zmrużył oczy, jakby właśnie wpadł na nowy pomysł. - Miałbym silniejsze argumenty, gdyby ktoś powiedział, że po odstawieniu leku też wystąpiły u niego symptomy. Poza Emmą, oczywiście.

Przerzucił piłkę na jej połowę boiska. Odbiła się, poleciała w powietrze i zawisła między nimi, podczas gdy Marina walczyła ze swoim sumieniem.

To było złe, widziała to jasno. I Davidowi nie ujdzie to na sucho. Na pewno przerwą eksperyment przy pierwszych poważnych kłopotach zdrowotnych. Rynek środków czyszczących wydał się jej nagle dziedziną o wiele bardziej ścisłą i kontrolowaną niż te problematyczne eksperymenty naukowe. Ale miała to gdzieś. Siedem i pół kilo w dwa tygodnie. Piętnaście kilo w miesiąc. Trzydzieści w osiem tygodni. Wróci do punktu wyjścia.

Chciała z powrotem dostać tabletki. Musiała je dostać. Było tak, jak powiedziała: potrzebuje tylko trochę czasu, by się przystosować do ich braku, opanować apetyt, po-

zwolić, by organizm powoli wydalil z siebie chemię. Wszystko będzie dobrze, jeżeli dostanie je jeszcze na parę tygodni. I tyle. Wcisnie się z powrotem w spódnice i będzie dobrze.

Dwoje zdesperowanych ludzi popatrzyło sobie w oczy. Każde z nich chciało spokoju, życia bez stresu i kryzysów. Żadne nie miało energii na długą etyczną i filozoficzną debatę. Mieli własne problemy. Mogli stosować tylko proste rozwiązania.

Marina ugięła się pod dodatkowym ciężarem, jaki David zrzucił na jej barki.

- To chyba nie będzie tak do końca kłamstwo - powiedziała. - To znaczy, takie tempo tycia może się odbić negatywnie na moim zdrowiu. Może osłabić serce. A nie jem wiele więcej niż przedtem. Więc, w pewnym sensie, jestem chora. Coś w moim organizmie nie funkcjonuje jak należy, a to znaczy, że jestem chora, prawda?

- Otóż to! - przyznał David, który nawet nie starał się śledzić toku jej rozumowania. Doszła do właściwego wniosku, było mu obojętne, jaką drogą. - Więc wpiszę tu, że masz, powiedzmy, bóle głowy, pamiętajmy, że niezbyt dokuczliwe. Bezsenność, problemy gastryczne. A byłaś całkowicie zdrowa, biorąc tabletki. OK?

OK, jeżeli pominąć fakt, że bóle głowy, bezsenność i problemy gastryczne były skutkami ubocznymi, o których celowo nie wspomniała Davidowi, żeby nie stracić tabletek.

Prawdę mówiąc, od czasu odstawienia leku czuła się o wiele lepiej niż w czasie jego zażywania, ale nie zamierzała informować o tym Davida.

- Świetnie - zgodziła się słabo.

David patrzył z satysfakcją, jak wychodzi. Zażegnał poważny problem, a Marina na powrót robiła się tłusta. Im prędzej przestanie mu się podobać, tym lepiej.

To był długi dzień. Kobiety raczyły go opowieściami o swojej niedoli, kłamały, co jadły, obwinały przedmiesiączkowe zatrzymanie wody o czterokilogramowy przyrost wagi. Przeglądając akta, stwierdził, że niektóre z nich musiałyby mieć menstruację przez trzy czwarte życia.

O szóstej już bardzo bolała go głowa. Udało mu się wmówić jeszcze jednej kobiecie migreny wywołane odstawieniem leku i teraz musiał już tylko sporządzić protokół wznowienia eksperymentu i wymyślić, co dalej.

Wszystko się strasznie pogmatwało. Wykaz nazwisk i leków sam w sobie na niewiele się zdał. Sfrustrowany David odkrył, że kobiety, które schudły najbardziej, łykały placebo, a największe wahania wagi wystąpiły u badanych biorących oxymetabulin. Zastanawiał się, czy właśnie im nie zasugerować pewnych zachowań, które zbliżyłyby wyniki do oczekiwanych, ale odrzucił ten pomysł, bo stwierdził, że nie ma pojęcia, co nimi kieruje.

Dopiero gdy zaczął rozmyślać o rezultatach, rozwiązanie stało się jasne. Jediną ochroną programu w komputerze było hasło. Kiedy zostało złamane, program stawał się tylko dokumentem. I jak każdy inny dokument mógł zostać zredagowany. Zmieniony.

Dlaczego przedtem o tym nie pomyślałem? Po prostu zmienię rezultaty, które odbiegają od oczekiwanych. Nie zrobię nic nieetycznego. Lek działa, o tym ogólnie wiadomo. Mam pozwolić, by wszystko przepadło przez kilka wariatek, które nie mogą zaplanować nad tym, co pchają do ust?

Zrobię to. Zmienię rezultaty.

RS
18

Nie mogę uwierzyć, że tu jestem! - powiedziała Susie po raz piąty w ciągu godziny. Był koniec października i zima jeszcze nie dotarła do Grecji.

- Podobno - odparł Andy z nieszczęśliwą miną. Marina rzuciła mu karcące spojrzenie. Pokazała uśmiech, który widziała ostatnio u Annie, kiedy ta śpiewała: *The sun will come out tomorrow...* na molo w Eastbourne. Mnóstwo zębów i całkowity brak szczerości.

- Cieszę się, że przyjechałaś. Oboje się cieszymy, prawda, Andy?

- Już mówiłem, że się cieszę. Czego więcej ode mnie oczekujesz?

Był dopiero piątek, musieli przebrnąć razem przez cały weekend. Wydawało się, że to świetny pomysł. Przynajmniej tak wydawało się Susie. Andy chciał spędzić trochę czasu z Mariną. Były sprawy, o których musieli porozmawiać, tematy, których Marina unikała od paru tygodni.

- Nigdy nie byłam w Grecji - żywo powiedziała Susie.

- Podobno - powtórzył Andy.

Od godziny siedzieli w tawernie i Susie była już bardzo pijana. Nie należała do zabawnych, uroczych towarzyszek podróży, była męcząca i mówiła w kółko to samo. I robiła się hałaśliwa. Na szczęście była również głucha na przytyki, jakich Andy nie szczędził jej, od kiedy wyruszyli z Heathrow. Teraz pod okularami przeciwsłonecznymi jej twarz przybrała marzący, ckliwy wyraz.

Och, nie, pomyślał Andy. Zacznie znów o Kenie i dzieciach.

- Ciekawe, co robią teraz Ken i dzieci.

Ani Marina, ani Andy nie byli tego specjalnie ciekawi. Zaciekawili się uprzejmie, kiedy Susie po raz pierwszy wygłosiła swój monolog. Potem spoglądali pustym wzrokiem przed siebie, myśląc każde o swoich sprawach.

Susie wpadła w swój zwykły macierzyński amok.

- Na pewno zapomniał dać Alice witaminę C i zakropić Frederickowi uszy. Boże, i kwiaty! To jest weekend nawożenia! Zzółkną, zanim wrócę do domu! Och, nie! Założę się, że nie będzie właściwie karmił bliźniąt. Przypuszczam, że już siedzą w McDonalddie. Wiem, jaki jest Ken, kiedy mnie nie ma w pobliżu. Nic go nie obchodzi poziom cholesterolu dzieci.

- Na litość boską, Susie, one mają dopiero siedem lat.

- Tak, ale to są moje dzieci! Odziedziczyły po mnie leniwą przemianę materii. I nigdy za wcześnie na wpajanie właściwych nawyków. Chodziłam na kurs żywienia dzieci. Mogą mieć zły poziom cholesterolu już w wieku pięciu lat. Ale potem poszłam na odczyt, nie wiem, o czym on miał być, w każdym razie ten lekarz powiedział, że trzeba uważać, żeby nie wpędzić dzieci w nerwicę. Och, to prawdziwe pole minowe! Chcę dla nich jak najlepiej. Nie mogą skończyć jak ja.

Andy zadrzał na myśl, że w nowym milenium świat będzie się musiał zmierzyć z bliźniętami Susie. Był wykończony jej obecnością. Bez przerwy opowiadała o minionym tygodniu i planowała ten, który nadejdzie. I tak w kółko. Wyobrażał sobie jej rodzinę, obezwładnioną ulgą, że jej nie ma. Spokój i żadnego dociekania, żadnych obowiązków, dążenia do perfekcji, nic, tylko trwanie.

Marina nie wytrzymała.

- Susie! Jeżeli nie weźmiesz się w garść, wsadzę cię w najbliższy samolot do domu. Staram się okazać współczucie, ale to nie jest żadna tragedia.

- Może nie dla ciebie! - wybełkotała Susie. - Nie zrozumiesz. Nie masz dzieci.

Marina poczuła się dotknięta, choć wiedziała, że Susie wali na oślep. Sama robiła to całymi latami. Susie tyła i stawała się przez to drażliwa. Wyładowywała swój gniew na wszystkich, tylko nie na sobie. I miała prawo cierpieć. Została zraniona, okrutnie zraniona.

Ken i bliźnięta pojechali na biwak do New Forest. Susie miała jechać z nimi i wydała majątek na najlepszy sprzęt kempingowy, taki, który minimalizuje niewygodę życia pod gołym niebem. Nie chciała popełnić żadnego błędu i podeszła do problemu jak to ona - wydała masę pieniędzy i obciążyla swój i tak przeładowany program zajęć.

Kupiła wszystkie czasopisma o biwakowaniu. Potem siedziała do późnej nocy, przeglądając artykuły i reklamy, aż uznała, że może sporządzić listę rzeczy niezbędnych i luksusowych na wszelką ewentualność.

Starala się nie zawieść bliźniąt. Chciała robić wszystko jak należy, zdobyć i utrzymać szczyt zaawansowanego macierzyństwa. Nie mogła nic na to poradzić, taka już była; Pełna najlepszych chęci zabrała się do pakowania, wyczyn nie lada właśnie podczas jednej z sielankowych chwil samozadowolenia, kiedy zamknęła kolejną torbę, poczuła na sobie wzrok Alice i Fredericka.

- O co chodzi? - zapytała nerwowo. Ostatnio często się jej przyglądali, co wyprawdzało ją z równowagi.

Alice wyciągnęła krótszą zapałkę, więc zrobiła krok naprzód, występując jako rzecznik.

- Mamusiu, Freddie i ja tak się zastanawiamy... Nie włożysz tych spodni na biwak, prawda?

Susie przestała odhaczać pozycje na liście i spojrzała na bliźniaki.

- Co to znaczy? Jakie spodnie?

Nie wiedzieć czemu, Alice poczuła, że pakuje się w poważne kłopoty, cofnęła się więc o krok, oczekując gwałtownej reakcji.

- Te różowe. Sylvia Roughton-Jones mówi, że wyglądasz w nich jak pan Blobby.

Zrobiła jeszcze jeden krok do tyłu, kiedy matka zawrzała jak wulkan, gotowa wylać swój gniew jak gorącą lawę na nieszczęsne bliźnięta. Alice uznała, że trzeba spacyfikować matkę. Jak ona nigdy nie potrafiła zrobić nic dobrze, choćby nie wiadomo jak się starała.

- Ja wcale nie uważam, że wyglądasz jak pan Blobby. I Freddie też nie. Pan Blobby ma pryszczki wszędzie, a ty tylko na twarzy, zresztą twoje są czerwone, a jego żółte, i on nie ma włosów. No i nie masz grubych rąk, tylko resztę masz grubą, za to...

Więcej nie zdążyła powiedzieć. Takiej reakcji się nie spodziewała. To było o wiele, wiele gorsze. Mamusia zaczęła płakać. Alice i Frederick nie wiedzieli, co zrobić. Mamusię nie powinny płakać.

- Idźcie pooglądać telewizję! - wrzasnęła Susie. Pobiegli uszczęśliwieni. Tylko tyle dobrego dawało się powiedzieć o grubych mamach: pozwalały oglądać telewizję.

Nie mogła jechać z nimi na biwak. Nie teraz, kiedy stała się pośmiewiskiem siedmiolatków w całym południowo-zachodnim Londynie. Przysięgła, że jej noga nie postanie w miejscu publicznym, dopóki nie schudnie do pięćdziesięciu kilogramów. A że obecnie ważyła osiemdziesiąt cztery, skazywała się na sześć miesięcy domowego aresztu. Nie wyrzekła się jeszcze nadziei, że wyciągnie tabletki od Davida. Teraz jednak, kiedy była gruba, David nawet nie chciał na nią spojrzeć. Cóż, będzie musiała zrzucić wszystkie te kilogramy, zanim wyłudzi od niego tabletki odchudzające. Ha, ha, zaśmiała się gorzko. Co za ironia losu!

Tak więc zamiast w Hampshire spędzała ten weekend w Atenach.

Firma Sparkleeze zwołała tam konferencję podsumowującą rezultaty wprowadzenia produktu na rynek brytyjski. Marina była zachwycona, że polecą z Andym kilka dni wcześniej i spędzą weekend przed rozpoczęciem konferencji w poniedziałek. Ten wypad przypomniawszy jej, co czuła na widok Paula Jerome'a z jej sekretarką w Nowym Jorku.

W ciągu miesięcy po wielkiej przemianie wiele zrozumiała, między innymi to, że zazdrościła Eleanor nie tylko mężczyzny, którego sama pragnęła. OK. Była zazdrosna o Eleanor i Paula. Ale przede wszystkim zazdrościła Eleanor tego, że znalazła sobie kogoś, z kim mogła przeżywać Nowy Jork. Że mogła sięgnąć po słuchawkę telefonu i każda przygoda nabierała kolorów dzięki obecności kogoś wyjątkowego.

Och, nie, zaczynam myśleć jak moja matka!

Ale zrozumiała, co matka chciała powiedzieć, wyrażając lęk przed samotnością, choć nigdy nie ujęła tego w słowa. Siedząc w samolocie obok Andy'ego, czuła się całkowicie spełniona, a nie trzymali się nawet za ręce, zatopieni każde w swojej lekturze, już tak sobie bliscy, że mogli się rozdzielić w swoim kręgu wspólnoty.

Więc dlaczego zaprosiła Susie? Nie zaprosiła, a przynajmniej niezupełnie. Susie nagle stanęła w drzwiach jej mieszkania ubrana na czarno, ze starannym makijażem, który nie ukrył jednak wyrazu desperacji. Marina domyśliła się, że coś się stało, bo Susie nie miała żadnych toreb. Wyglądało na to, że jadąc do Mariny, nie zrobiła zakupów dla nienasyconej rodziny. Coś się musiało stać.

Susie opadła na kanapę i wyrzuciła z siebie potok słów. Marina niewiele z tego zrozumiała. Chodziło o jakiegoś, pana Blobby w New Forest, który ważył osiemdziesiąt pięć kilo i miał czerwone plamy.

Chwilę później Marina mówiła już o swoim weekendzie w Atenach. Chciała odebrać oszalałą Susie od tej udręki. W pewnym momencie Susie zaczęła grzebać w torebce. Wyciągnęła kartę stałego klienta linii lotniczych i mamrotała coś o darmowych kilometrach.

- Mogłaś odmówić - zauważył Andy sucho, kiedy oznajmiła, że jej przyjaciółka pojedzie z nimi na romantyczny weekend.

- Nie mogłam, kochanie. Była tak wzburzona! - Opowiedziała mu szczegółowo historię szczupłej Susie, która stała się grubą Susie, kimś, kto przynosi wstyd dzieciom. Próbowwała rozbawić go tym opowiadaniem, zachowując sekret białego sosu na deser. Andy się nie roześmiał. Wszystko, co dotyczyło tuszy, było tematem tabu w ich związku, kwestią zbyt przesiąkniętą niedawną, niezakończoną historią. Przypominało Andy'emu, jakim był kiedyś okrutnym draniem. Przypominało mu również, jaka gruba i nieatrakcyjna była kiedyś Marina.

Sądził, że ją kocha, ale był świadomy tego, że ona tyje. Nadal była szczupła i piękna i ostatnio jej waga jakby się ustabilizowała, lecz często zadawał sobie pytanie, co będzie czuł, kiedy powróci do dawnych rozmiarów. Marina nigdy go o to nie spytała. Wiedziała, że pewnie by skłamał. Poza tym uważała, że nie byłoby to wobec niego fair.

Kiedy się w nim zakochała, był zabawnym, inteligentnym facetem, który lubił to co ona. I który traktował ją kiedyś jak trędowatą, podkopywał jej pozycję zawodową i ledwo ukrywał obrzydzenie na jej widok. Nie wiedziała, czy będzie go nadal kochać, jeżeli ten aspekt jego osobowości ponownie się ujawni. Więc chyba nie mogła oczekiwać, że będzie czuł do niej to samo, jeżeli ta zagubiona, znerwicowana, udęczona istota, która żyła w niej głęboko, znów dojdzie do głosu.

Nie chodziło tylko o tuszę. Teraz to rozumiała. Nigdy nie chodziło wyłącznie o tuszę. Ona pozwalała łatwiej odpychać ludzi, utrudniała zbliżenie, sympatię. Prawda, Andy nigdy nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, czy gruba Marina czyta te same książki co on, ale Marina też nigdy nie próbowała się dowiedzieć, czy gburowaty Andy słucha tej samej muzyki co ona.

A więc, hip, hip, hura! Kochałaby Andy'ego, nawet gdyby był płytki.

A teraz zadaj sobie prawdziwe pytanie. I odpowiedz na nie.

Kto to powiedział? Marina nie pamiętała, kiedy po raz pierwszy ten głos przemówił, ale ciągle jeszcze drżała na wspomnienie szoku. To nie mógł być Bóg, bo w jej przekonaniu pogrzebała tę prawdę tak głęboko, że nawet On nie mógłby się jej dokopać. Więc to musiała być jej jaźń. Wyglądało na to, że nie da jej spokoju, dopóki nie odpowie na to pytanie.

Więc je sobie zadała. Pytanie. To, którego nie wolno zadawać. Marino, co byś czuła do Andy'ego, gdyby zaczął pochłaniać osiem tysięcy kalorii dziennie, pęczniał z dnia na dzień, aż ważyłby dwieście kilogramów? Mówisz, że nadal byś go kochała, nadal byłby tą samą osobą. To nieprawda, powiedział głos. Stałby się kimś innym, kimś, kto się obzera do nieprzytomności, a jego figurę społeczeństwo uznaje za odrażającą. Zmieniłby się, świadomie lub nie, w kogoś, kto wygląda i zachowuje się inaczej. Stałby się inną osobą.

To prowadziło do dalszych pytań. Czy chciałabyś się z nim kochać, z taką spiętrzoną masą tłuszczu rozlewającą się na twoim szczupłym, twardym ciele, falującą i spocną? Cały akt byłby inny, głośniejszy, bardziej cmokliwy, koniec z tymi atletycznymi wygibasami, które dają ci tyle przyjemności. Z ręką na sercu powiedz, że to by nie miało znaczenia. Widzisz, nie możesz! Nie mogła.

No dalej, odwołaj się do tego starego kłamstwa, że martwiłabyś się o jego zdrowie! Właśnie zamierzała to zrobić, kiedy głos ją ubiegł. A może lepszy byłby frazes, że pragniesz tylko jego szczęścia?

Przestań! Przestań! Przestań!

No właśnie, oto pytanie. Pytania. I nie musiała na nie odpowiadać, nie musiała. Jestem taka sama jak inni, pomyślała ze smutkiem. Nie tylko wyglądam teraz jak oni, ale myślę tak samo. Miało to tę dobrą stronę, że pozwoliło jej lepiej zrozumieć dawne okrucieństwo Andy'ego, choć wina w tym przypadku nie została równomiernie rozłożona. Andy atakował ją bezpośrednio, zjadliwie, ona osądzała milcząco. On był głównym winowajcą i dlatego tak doskwierało mu, że unika tematu, który zawsze tkwił między nimi jak drzazga.

Byli razem od dwóch miesięcy, prawie nierozłączni, ku uciechu agencyjnych plotkarzy, którzy patrzyli, jak ta historia rozgrywa się na ich oczach niby dziwaczna opera mydlana.

Nikt nie wspomniał o wielkim murze, jaki ich rozdzielał, strzeżony pilnie z obu stron. Oni również o nim nie rozmawiali. Jeszcze przez parę tygodni nie spodziewali się decyzji w sprawie nominacji do zarządu. Sprawa nie była już tak oczywista jak przed kilkoma miesiącami. Andy ściągnął do firmy drobnych klientów i choć obecnie nie dorównywali oni trzymilionowemu Sparkleeze'owi, na dłuższą metę ich potencjał mógł być nawet większy.

Jego osiągnięcia były zdumiewające i zawdzięczał je wyłącznie własnej ciężkiej pracy. Jak na ironię, to właśnie jego miłość do Mariny sprawiła, że tak zmienił się na lepsze. Śmiał się z samego siebie, kiedy myślał o tym, jak na jego charakter wpłynęła kobieta, którą kiedyś pogardzał. Próbował zapomnieć, że jest jego rywalką. Jego ambicje, pragnienie awansu należały do innej sfery życia. Nie chciał myśleć, co się z nimi stanie, kiedy jedno pokona drugie w wyścigu o miejsce w radzie.

Na razie pracowali razem, dzieląc między siebie Sparkleeze'a. Oczywiście Marina wzięła na siebie większość obowiązków, co dało Andy'emu czas, by gonić za klientem. Chodzili na zmianę na lunchy i kolacje z Paulem Jerome'em, który ciężko znosił ich związek.

- Nie rozumiem tego, Andy.

- Czego nie rozumiesz?

- Przedtem jej nienawidziłeś. Naprawdę nienawidziłeś. Mówiłeś o niej straszne rzeczy.

- Nigdy jej nie nienawidziłem. Po prostu jej nie znałem. A jeżeli coś mówiłem, to przez zwykłą politykę. Nie sądziłem, że cię to obejdzie. Jeśli dobrze pamiętam, parę razy nawet się roześmiałeś.

Śmiałem się, żebyś nie zauważył, jak mało śmieszne wydają mi się twoje złośliwości. Ponieważ Marina nie była mi obojętna.

Nauczył się tego nie okazywać. Patrzył, jak Marina chudnie i rozkwita na jego oczach, i nie potrafił zacząć działać, zagarnąć jej dla siebie, jak tego pragnął.

Rozegrał to jak głupiec. Był wrażliwym człowiekiem, chyba wiedział, co Marina sobie myśli: wszyscy mężczyźni, którzy nie chcieli mnie znać, kiedy byłam gruba, teraz padają mi do nóg, padają do nóg przed tą samą kobietą, tyle że chudsza. Niech się wypchają. Znajdę sobie mężczyznę, który pokocha mnie dla mnie samej. Tak właśnie zrobię.

Ale po czym go poznasz, Marino? - chciał zawołać. Teraz, kiedy jesteś piękna, skąd będziesz wiedzieć, że on kocha cię nie dla tej pięknej fasady? Nie będziesz wiedzieć. Ale masz mnie, Marino! Ja zawsze widziałem w tobie coś więcej, nie tylko urodę. Zawsze chciałem ci to powiedzieć, lecz nie miałem odwagi. Więc musisz mi uwierzyć na słowo. Tak, wiem, że umawiałem się z Eleanor, twoim fizycznym przeciwieństwem, ale to dlatego, że czułem się taki zagubiony. Z nią było to proste i nieskomplikowane, tak jak z tobą nigdy nie będzie.

Dziwił się, że Marina nie domyśliła się jego uczuć. Wysyłał je do niej za każdym razem, gdy znajdowała się gdzieś w pobliżu. Ona jakby nie zauważała. A to podobno kobiety oczekują by mężczyźni czytali w ich myślach!

Był tak zazdrosny o Andy'ego, że nie mógł znieść jego obecności dłużej niż parę godzin. On nie zasługuje na Marinę, taka prawda. Paul pocieszał się myślą, że Andy jest jej Eleanor, kimś, kto pomoże przetrwać okres przejściowy, aż zjawi się odpowiedni partner na resztę życia. Tak, to musi być to, uznał.

- Zastanawiasz się, co ja w nim widzę, prawda?

Omam nie zakrztusił się winem. Spędzał miły wieczór z Mariną, starannie unikając każdej wzmianki o Andym, żeby nie zdradzić się ze swoją zazdrością. Była kimś wyjątkowym. Tak myślał. Siedział naprzeciwko kobiety, która była ucieleśnieniem jego ideału. Irytowało go, że tylko on wyczuł jej wewnętrzne bogactwo i przez własne niezdecydowanie zaprzepaścił swoją szansę.

- Wcale nie. No, może trochę. Wiesz, że ja zawsze... miałem o tobie najwyższe mniemanie i chcę tylko, żebyś była szczęśliwa.

Marinę rozbawił ten staroświecki język.

- Uważasz, że Andy nie zapewni mi szczęścia?

- Och, nie mam nic przeciwko niemu. To wspaniały facet.

- Tyle że nie dość dobry dla mnie.

- Tak, tak, tak! Nie, nie, wcale nie! No, może trochę. Śmiejesz się ze mnie.

- Przepraszam. Ale to jest śmieszne, musisz przyznać. Nigdy nie sądziłam, że nadejdzie dzień, kiedy ktoś uzna, że jestem za dobra dla mężczyzny. Długo uważałam, że w najlepszym razie mogę być złem koniecznym.

- To znaczy?

- No wiesz. Całymi latami umawiasz się z kobietami, szukając ideału, nie chcesz iść na kompromis, aż docierasz do końca swojej drogi. Wtedy spoglądasz na swoją aktualną partnerkę i myślisz: będę się musiał nią zadowolić. Czyli mną, zakładając, że miałabym szczęście.

Paul chciał chwycić ją mocno w ramiona, zapewnić jej spokój i bezpieczeństwo. Nie zrobił tego, bo łączyły ich stosunki zawodowe, a on przegapił szansę na coś więcej.

- Mam tylko nadzieję, że Andy nie okaże się twoim złem koniecznym. Naprawdę zasługujesz na kogoś bardziej wartościowego.

Aluzja sprawiła jej przyjemność. Od dawna zastanawiała się, czy podoba się Paulowi. Nie wysyłał żadnych sygnałów, które nauczyła się rozpoznawać w ostatnich miesiącach. Flirtował z nią od ich pierwszego spotkania, a wtedy nie mogła mu się podobać. Czekwała na jakąś zmianę w jego zachowaniu, na drobne czułości, dotyk, aluzje, cokolwiek.

Czymś nowym była tylko ta troska o jej szczęście i wątpliwości co do Andy'ego w roli księcia zbawiciela. Można to było interpretować jedynie jako przejaw zainteresowania jej osobą. Miała tak niewiele wiary we własną zdolność oceny, że bała się przyjąć taki wniosek. A zresztą, nawet jeżeli Paul coś do niej czuł, ona była związana z Andym. W pewnym sensie.

Chciała flirtować z tym mężczyzną. Nadal wzbudzał w niej ten sam fizyczny niepokój, co przy ich pierwszym spotkaniu. Nie mogła się pozbyć przekonania, że nie jest go warta. Nie był wcale bardziej przystojny od Andy'ego czy choćby Davida Sandhursta, a zajmował o wiele wyższą pozycję niż jego rywale, pozycję, której ona nigdy nie osiągnie, choćby jak najszerzej rozwinęła skrzydła.

Paul miał w sobie coś, czego nie znalazła w innych mężczyznach. Cechę, która wymagała kwiecistego, literackiego opisu. Była to - nie cierpiała tego słowa w odniesieniu do charakteru - dobroć. Był dobry. Przyzwoity. Miły. Jak wiele kobiet, dał sobie wmówić, że mili mężczyźni są słabi, nudni, lekceważeni. Wraz z rozwojem własnego poczucia wartości Marina zaczęła sobie cenić właśnie dobroć, przyzwoitość w mężczyźnie. Ale dopóki to poczucie nie wzrośnie, będzie ceniła te cechy z dystansu.

Nie mogła powiedzieć, że Andy nie jest miły. Jest, tyle że jakoś tak płytko, powierzchownie, wystarczy pierwsza jej niedoskonałość, a to, co nieciekawe, obudzi się do życia.

Nie, ona nie zasługuje na Paula i prawdopodobnie na zawsze tak pozostanie.

Marina rozejrzała się po sali konferencyjnej, zastanawiając się, z którym delegatem Susie spędziła poprzednią noc. Taki był cel jej przyjazdu do Aten. Susie do końca nie zdawała sobie z tego sprawy. W przeciwieństwie do Mariny; im bardziej Susie tyła, tym bardziej robiła się wrażliwa i szczerą, a Mariną czytała w jej myślach. Susie uznała, że jedyną szansą ucieczki od niewoli tuszy, przynajmniej dla niej, jest ciąża. Marina patrzyła, jak przyjaciółka wydaje fortunę na testy ciążowe. Z każdym niepowodzeniem, kiedy w białym okienku nie chciała się ukazać ta mała kopka, Susie coraz bardziej cierpiała. Marina nie wiedziała, co dzieje się w małżeńskiej sypialni Susie i Kena - ich przyjaźń zawsze wykluczała takie zwierzenia - ale wiedziała, że Susie nie może czekać kilka miesięcy. Z każdym tygodniem przybierała na wadze.

Czy o tym myślała Susie, kiedy wykorzystwała swoje darmowe kilometry? - zastanawiała się Marina. Na pewno zaprzeczyłaby z oburzeniem. Nie należała do takich kobiet. Ale choć Grecja w październiku jest ciepła i piękna, urok wycieczki nie na tym polegał.

Nie, z pewnością ciągnęła ją tam wizja hotelu pełnego delegatów rodzaju męskiego, mężczyzn z całego świata. W tej mieszance narodowości Susie znajdzie kilku facetów, którzy a) uważają duże kobiety za nieskończenie bardziej atrakcyjne niż małe i b) z zapalem wymieniają się płynami organicznymi bez konieczności wymiany nazwisk, życiorysów i obietnic.

Susie nie zwierzyła się Marinie ze swoich zamiarów. Za bardzo się ich wstydziła. Ale jej desperacja była większa, niż wstyd. Biedny Ken miał trudności z zaspokajaniem potrzeb żony. W poprzednią ciążę zaszła po dwóch miesiącach prób, więc teraz była przekonana, że nie dość się stara. A Ken nie był nawet pewny, czy chce mieć więcej dzieci, teraz kiedy Alice i Frederick zaczęli przypominać potomstwo Addamsów.

Nie miał pojęcia, że Susie chodzi wyłącznie o to, by wznowić laktację, i z radością urodziłaby trolła, gdyby uruchomiło to produkcję mleka. A skoro Ken nie mógł jej zapłodnić tak szybko, jak by sobie życzyła, pójdzie gdzie indziej, żeby sprawę przyspieszyć.

Wiedziała jednak, że musi być wybredna, unikać mężczyzn o odcieniu skóry kilka tonów ciemniejszym niż skóra Kena (choć miała ogromną ochotę złamać tę zasadę, kiedy zobaczyła kontyngent portugalski. Na ten widok zachichotała, po raz pierwszy od lat zapominając na jedną chwilę o więzach rodzinnych). Nie, traktowała sprawę poważnie. Nie była szalona, o nie! Miała plan i to utwierdzało ją w przekonaniu, że nie jest nieostrożna czy nieodpowiedzialna. Albo szalona.

Gdyby zwierzyła się Marinie, dowiedziałyby się, że nie ma nic niezwykłego czy złego w tym, że przyrost wagi doprowadza ją do obłądu, W niektórych przypadkach prowadzi do psychozy. Gdyby wiedziała, że nie jest sama ze swoimi lękami, może nie decydowałyby się na tak drastyczne rozwiązania.

Ale ona skupiła się bez reszty na swojej gwarantowanej metodzie wyjścia z tarapatów. Nie miała skrupułów, że zamierza wydać dziecko na świat tylko po to, by przyspie-

szyć proces chudnięcia. Nie miała również skrupułów, że do tego celu wykorzysta innego mężczyznę. Dlaczego miałyby je mieć? Ken nic na tym nie straci. Uzna, że to jego dziecko, i będzie je kochał jako takie. Dziecko urodzi się w zamożnej rodzinie, będzie kochane i wychowywane przez najbardziej wrażliwą, oddaną i pełną poświęcenia matkę w Londynie. W końcu, to dziecko będzie wybawicielem.

Susie nie uważała, że trywializuje w ten sposób cud prokreacji. Mnóstwo ludzi decyduje się na potomstwo, żeby zdobyć szpik kostny dla chorego dziecka. To dziecko uratuje życie jego chorej matce.

Marina zastanawiała się właśnie nad przyszłością Susie, kiedy usłyszała, jak Rick wymienia jej imię w przemówieniu inauguracyjnym.

- ...jestem pewny, że Marina nie będzie miała nic przeciwko temu, że wspomnę o kilku przemianach, jakie zaszły w ostatnich miesiącach, nie tylko w jednej dziedzinie...

Wszyscy roześmieli się głośno na tę aluzję do jej nowego wyglądu. Była przecież zupełnie inną osobą niż kobieta, którą widzieli w Nowym Jorku przed sześcioma miesiącami. Jedno się nie zmieniło, Marina wciąż cierpiała, będąc w centrum uwagi. Nie chciała, żeby postrzegano jej wygląd jako przemianę. Była w tym określeniu pamięć o tym, jak wyglądała przedtem. Chciała zamknąć tamten rozdział, chciała, by ludzie znali ją wyłącznie jako szczupłą, dynamiczną, pełną życia kobietę, którą była teraz.

- Wiem, jak bardzo Paul Jerome cenił jej niezwykle profesjonalizm w trudnych chwilach Sparkleeze'a - ciągnął Rick. - Jak zapewne wiecie, podczas wprowadzenia na rynek brytyjski nastąpiło potknięcie, a może należałoby powiedzieć: wywrotka. - Uniósł znacząco brwi pod adresem Andy'ego i uśmiechnął się ironicznie. Tylko Andy, który od tak dawna znał Ricka, wiedział, że uśmiech nie był ironiczny. Był zimny. Jak śmierć.

Andy poczerwieniał jak burak. Nie spodziewał się, że fiasko Junction Jostle przejdzie niezauważone na konferencji podsumowującej, ale miał nadzieję, że nie zostanie wskazany palcem. Wszyscy na niego patrzyli, i to nie z jawnym podziwem jak na Marinę. Zazdrość przeszła go jak ból. Zdławił ją, zanim pozostawiła widoczny ślad.

- Dzięki wspaniałej współpracy między naszą ekipą TNSW pod kierownictwem Mariny i zespołem Paula w firmie Sparkleeze udało się nam przekształcić porażkę w sukces. Dzięki umiejętnemu połączeniu marketingu i public relations firma Sparkleeze

osiągnęła dziewięćdziesiąt dwa procent rozpoznawalności wśród dorosłych Brytyjczyków w ciągu pierwszych dwóch tygodni na rynku. To przerosło nasze oczekiwania i dowodzi naszej siły w przewyżnianiu niespodziewanych przeszkód.

Rozumując w ten sposób, pomyślał Andy z żalem, należałoby uznać, że cały ten sukces należy przypisać mojemu Junction Jostle. Więc dlaczego jestem nadal klasowym osłem? Poświęcił kilka uroczych minut na wyliczenie w duchu wszystkich niesprawiedliwości, jakich dopuścił się wobec niego Rick. Zabawił się również w swoją ulubioną grę, wyobrażając sobie, że to on prze naprzód, podczas gdy Rick drepcze w miejscu razem ze swoim niewykorzystanym potencjałem. Oświadczenie Ricka wyrwało go brutalnie z zamyślenia.

- Mam zaszczyt ogłosić, że od chwili obecnej Marina Riesenthal jest nowym członkiem rady nadzorczej TNSW.

Marina pomyślała przede wszystkim o Andym. Spojrzała na niego i stwierdziła, że wygląda jak ktoś, kto przeżył szok. Nie wiedziałam! - chciała zawołać. To dla mnie taka sama niespodzianka jak dla ciebie!

Powiedział: „gratuluje”, samymi wargami, ale ona dostrzegła zdradę czającą się w nieszczerym uśmiechu. Tymczasem Rick wyciągnął ku niej rękę, jakby była jego królową.

Podniosła się z trudem i ruszyła w jego stronę. Musiała przejść obok Paula. Zerwał się i chciał pocałować ją w policzek, trochę zbyt skwapliwie. Zaskoczona, odwróciła głowę i usta Paula znalazły się na jej ustach. Odskoczyli od siebie jak nastolatki przyłapani przez rodziców i udawali, że nic się nie stało. Ale stało się. I miało swoje znaczenie. Oboje o tym wiedzieli. Próbowwała myśleć o Andym, walczyć z uczuciem nielojalności, ale to twarz Paula uśmiechała się do jej myśli.

Andy widział to wszystko.

Gotował się wewnątrz. Prywatna zazdrość i gniew zmieszały się z zawodową zawiścią i wywołały furję. A to nie był koniec. Rick ujął Marinę pod rękę, jakby była panną młodą, i on też ją pocałował. W usta, jak Paul. Tak, koledzy z pracy całują się przy takich właśnie okazjach, ale Andy inaczej to zinterpretował. Marina była jeszcze jedną zdobyczą, którą Rick mu odbierze.

Oczywiście, Rick był wierny Gillian. Ale ostatnio dziwnie się zachowywał. Był rozkojarzony, poirytowany i tajemniczy. Ile razy Andy wchodził do jego gabinetu, chował coś ukradkiem do szuflady, a oczy miał rozbiegane jak człowiek przyłapany na gorącym uczynku. Wyraźnie coś knuł. I Andy był piekielnie zły, że nie zwierzył się najlepszemu przyjacielowi - jednemu przyjacielowi.

Dlatego zaczął podejrzewać, że chodzi o Marinę. Rick ukryłby coś przed nim tylko w jednym wypadku: gdyby sekret dotyczył dziewczyny przyjaciela.

Biedny Andy. To nie była jego wina, że tak źle ocenił sytuację. Wyciągał dość logiczne wnioski. Brał fakty, tak jak je postrzegał, i zmieniał je w dialektyczną pewność. Skąd mógł wiedzieć, że jego przyjaźń z Rickiem oparta jest na emocjonalnym oszustwie?

Kiedy po raz pierwszy Andy wpadł do jego gabinetu, Rick w ułamku sekundy zdecydował, że ukryje swoje zamiary i plany. Jego niezadowolenie z życia było wszechogarniające. Kiedy ucieknie - bo do tego sprowadzały się jego plany - ucieknie od wszystkich i wszystkiego. Od Andy'ego również.

Był w Kornwalii trzy razy, szukał odpowiedniej posiadłości. Spieniężył papiery wartościowe i włożył gotówkę na nowe konto, niezależne od wspólnego rachunku z Gilly. Skontaktował się z powiernikami, którzy zarządzali majątkiem pozostawionym mu przez rodziców. Zmarli, kiedy miał czternaście lat. Powiernicy zorganizowali przeniesienie funduszu do Lorna and Sam. Gilly była zabezpieczona. Miała własne pieniądze.

Szykował jeszcze jedną niespodziankę. Ustalono już, że to Marina wejdzie do zarządu, ale jego odejście oznaczało, że firma będzie potrzebowała nowego dyrektora generalnego. Wymógł na radzie milczenie, powiedział, że wyprowadza się z rodziną z Londynu i chce zachować to w tajemnicy do czasu, gdy wszystko zostanie ostatecznie załatwione. Po wielu gorączkowych dyskusjach przekonał członków zarządu, że Andy najlepiej nadaje się na to stanowisko, zwłaszcza ze względu na niezwykle osiągnięcia w ostatnich miesiącach.

Nie mógł powiedzieć tego Andy'emu bez ujawnienia całego planu. Wszystko byłoby zupełnie inaczej, gdyby tylko otworzył się przed przyjacielem.

- Jak śmiesz! - krzyknęła Marina do Andy'ego, kiedy ubierali się do kolacji tego wieczoru. - Naprawdę masz mnie za stażystkę, która prześpi się z dyrektorem, żeby do-

stać etat? I to z Rickiem! On jest żonaty, na litość boską! W dodatku szczęśliwie. Ile razy mówiłeś, że im się świetnie układa i że on by nawet nie spojrzął na inną kobietę. Zresztą on mi się nie podoba. Nie pomyślałeś o tym? A nawet gdyby mi się podobał, uważasz, że postąpiłabym tak głupio i przespałabym się z szefem?

Andy tylko parsknął.

- Och, rozumiem. Sypiasz ze mną, skromnym wyrobnikiem, bo to nie zaszkodzi twojej karierze, ale pilnujesz się, żeby nie wskoczyć do łóżka jakiejś szychy. Ale coś ci powiem! Jesteś w zarządzie. On już nie jest twoim szefem. Właściwie to teraz ja mógłbym narazić swoją karierę, sypiając z tobą. Więc może jednak powinnaś zacząć robić słodkie oczy do Ricka.

Marina naciągnęła rajstopy z taką siłą, że zrobiła się w nich dziura. Ściągnęła je i wrzuciła do kosza.

- Widzisz, co narobiłeś?! - Chwyciła drugą parę z szuflady.

- Oczywiście, to moja wina. Nie może być twoja, bo ty jesteś ideałem.

- Dorośnij, Andy. Nie będę cię drugi raz przepraszać. Nie powinnam robić tego nawet raz. Nie wiedziałam, że rada podjęła decyzję, a już na pewno nie wiedziałam, że Rick złoży to oświadczenie. Przecież bym ci powiedziała.

- Może tak, może nie. Może wiedziałaś, ale wstydziałaś się powiedzieć.

- Czego miałabym się wstydzić?

- Tego, w jaki sposób dostałaś awans.

Marina zeszywniała. Wkraczali na niebezpieczny teren. Powinna zignorować jego uwagę. Nie mogła.

- Więc ty mi to powiedz. Dlaczego to ja dostałam awans? Przypuszczam, że nie miało to nic wspólnego z tym, że sprowadziłam do firmy trzymilionowego Sparkleeze'a, a tobie się nie udało dorównać moim osiągnięciom? Ani z tym, że urządziłaś tę marketingową burzę mózgow, przez którą omal nie straciliśmy Sparkleeze'a? Ani z tym, że przez ciebie firma straciła całoroczny zysk? To nie miało z tym nic wspólnego, prawda?

- Jeżeli to ci pomoże, łudź się dalej. Ale zadaj sobie jedno pytanie. Jesteś w TNSW od dziesięciu lat. Zdobywałaś klientów już wcześniej. To tylko zbieg okoliczności, że dostałaś awans teraz, kiedy wyglądasz jak ktoś ze *Słonecznego patrolu*?

Marina się roześmiała.

- Uważasz, że dostałam nominację, bo już nie jestem gruba? Już nie przynoszę firmie wstydu? To nie zasługuje nawet na komentarz. Byłam nominowana, zanim schudłam. Jeżeli wolisz myśleć, że to zasługa mojej diety, ignorować fakty, możesz ludzię się dalej.

Andy nie wiedział, co odpowiedzieć. Zmienił koszulę, nie dlatego, by tego wymagała, ale żeby zyskać na czasie. Zrobił z siebie głupca i nie zamierzał zakończyć tej dyskusji, dopóki nie odzyska twarzy. Postanowił zmienić taktykę na pewniejszą.

- A musiałaś rzucić się Paulowi na szyję? Przy mnie i przy wszystkich?

Marina z litością pokręciła głową.

- Nie do wiary! Musisz uważać mnie za prawdziwą puszczałką. Zapomniałeś wspomnieć, że uśmiechnęłam się do kelnera, który przyniósł mi kawę.

- Po co ten sarkazm? Nie pasuje do ciebie. Dobrze wiesz, o czym mówię. Kiedy Paul cię pocałował, oddałaś pocałunek. To miało znaczenie. Nawet ja to zauważyłem. Jak wszyscy.

- Jesteś śmieszny - zaprotestowała Marina, ale jakby bez przekonania. Nie miała wielkiego doświadczenia w miłosnych gierkach i to było widać. Nie zamierzała kłamać. Po prostu sama nie wiedziała, co oznaczał tamten pocałunek.

Andy uznał jej odpowiedź za oznakę słabości, przyznanie się do winy.

- Nie dość, że uganiam się za tobą mój najlepszy przyjaciel, to jeszcze klient! A myślałem, że jest moim przyjacielem.

- Rozumiem! Chodzi wyłącznie o ciebie. Wszystko byłoby w porządku, gdyby to był ten kelner od kawy.

Andy nie słuchał. Posuwał się dalej swoim torem.

- Teraz wszystko jest jasne. Te wszystkie uwagi o mnie i o tobie.

- O czym ty mówisz? - spytała Marina, starając się ukryć zainteresowanie.

- To, co mówił o tym, że nie lubiłem cię, zanim... no wiesz.

- Śmiało dokończ. Zanim schudłam. To nie był syfilis. Można o tym mówić publicznie i nikogo nie urazić.

- Wiem. Po prostu wiem, że nie lubisz o tym mówić.

- Chyba żartujesz? Próbowałam tysiąc razy rozmawiać z tobą o moich problemach. O moich wątpliwościach w związku z eksperymentem.

To nie była do końca prawda. Podała mu mocno okrojoną wersję historii z oxymetabulinem. Pomięła fakt, że zmówiła się z Davidem w sprawie Emmy, nie wspomniała o kłamstwach, dzięki którym dostała z powrotem tabletki, o swoich zmiennych zwyczajach żywieniowych. Och, i o jednonocnej przygodzie z Davidem. To też pomięła. Ale o wszystkim innym powiedziała,

- Zawsze słuchałem ze współczuciem - odparł Andy.

- Tak, słuchałeś ze współczuciem, a potem zmieniałeś temat. Zawsze ignorowałeś fakt, że byłam kiedyś gruba.

- O to chodzi? Będziesz sypiała z tyloma mężczyznami, z iloma zdołasz, żeby udowodnić, że już nie jesteś grubą belą?

Słowa wymknęły się, zanim zdołał ugryźć się w język. Zawsze w nim były, tuż pod wierzchnią fasadą Nowego Człowieka. Mógł je nakryć wieloma warstwami dobroci, ale słowa cierpliwie czekały na swoją chwilę, jak niegrzeczne dzieci, które podnoszą rękę w klasie, by w odpowiednim momencie powiedzieć brzydkie słowo.

Ból sparaliżował Marinę. Znów miała jedenaście lat. Dwanaście, trzynaście i po kolei aż do trzydziestu jeden. W miarę jak robiła się starsza, epitety stawały się bardziej subtelne. Ale jej skóra nigdy nie zrobiła się grubsza. „Gruba bela” należała do wyzwisk używanych przez jedenastoletnich łobuziaków podwórkowych. Może dlatego tak ją to zabolalo. Nie była nawet warta czegoś bardziej wyrafinowanego, czegoś, co wymyśliłby dyrektor kreatywny TNSW.

- Marino, przepraszam! Nie chciałem tego powiedzieć. - Chwycił ją łagodnie za ramiona, czując, że jeżeli nie przytuli jej mocno, może już nigdy nie mieć tej szansy.

Wywinęła mu się.

- Chciałeś. Ludzie nie mówią tego, czego nie chcą powiedzieć. Żałujesz tylko, że to się zdarzyło teraz. Wiesz, że to nas zabiło. Że nigdy ci tego nie zapomnę, Tego żałujesz i niczego więcej.

- Nie mów tak! Palnąłem głupstwo i oddałbym wszystko, żeby cofnąć te słowa.

- Słów nie da się cofnąć. Ile razy na ciebie spojrzę, będę je widziała w twoich

oczach, prawdę, której nie jesteś w stanie ukryć.

Andy próbował na gwałt odzyskać panowanie nad sytuacją.

- Źle mnie zrozumiałaś. Powiedziałem to wszystko, żeby cię zranić, bo zazdroścę ci nominacji. Przyznaję! Jestem skończonym draniem. Ale przynajmniej jestem szczery.

Marinie zrobiło się go żal. Nie miał pojęcia, co mówi.

- Andy, nie jestem głupia. Wiem, że jesteś zazdrosny, i rozumiem, dlaczego się na mnie wyładowałeś. Ale chodzi o słowa, jakimi się posłużyłeś. Nie nazwałeś mnie dziwką ani podstępłą żmiją. Powiedziałeś, że jestem gruba.

- Może to pedanteria z mojej strony, lecz jeśli dobrze pamiętam, powiedziałem, że już nie jesteś gruba.

- Dobrze wiesz, co powiedziałeś. Nie baw się ze mną w gierki słowne. Zawsze wygram. Kiedy przycisnęłam cię do muru, kiedy straciłeś panowanie nad sytuacją, wybrałeś taki, a nie inny epitet. Nie ma znaczenia, czy w czasie przeszłym, czy teraźniejszym. To zawsze będzie dla nas problem, broń, której użyjesz przeciwko mnie. I zawsze raniłoby mnie to bardziej, niż mogłabym znieść. - Wzięła głęboki oddech, zanim po raz pierwszy w życiu wypowiedziała te słowa. - Uważam, że będzie najlepiej, jak sobie odpuścimy, nie sądzisz?

Andy podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył Partenon w oddali, jak na pocztówce. Jego majestat nie wywarł na nim wrażenia.

- Bardzo sprytnie, Marino. Widzisz, co zrobiłaś?

- Koniec gry, Andy. Nie pozwolę, żebyś mnie jeszcze kiedyś zranił. Ani ty, ani nikt inny. Nie będę dłużej ofiarą. Nie zasługuję na to.

- Nie, tu wcale nie o to chodzi. Nawet tego nie dostrzegasz, prawda? Jesteś ślepa.

- Andy, jesteś na mnie zły. Powiedz, co ci leży na sercu, może poczujesz się lepiej.

Prychnął.

- A wtedy przeniesiesz swoje rzeczy do pokoju Susie i porozmawiacie sobie jak kobieta z kobietą. „Och, Susie! On jest taki sam jak wszyscy! Jak brzydko się wyraził o mojej tuszy! To takie niesprawiedliwe, że wszystko się zawsze do tego sprowadza”. A ona powie: „Och! Ach!” i przyzna ci rację. Ale tutaj wydarzyło się zupełnie coś innego.

- Doprawdy?

- Tak, Marino. Zachowałem się jak gbur, powiedziałem coś niewybaczalnego. Ale rozstajemy się z innych powodów: niezgodność charakterów, rozbieżne cele, różne wartości. Twój awans, kosztem mnie, wiele mówi o nas obojgu.

- Jakie to ma znaczenie?

- W ostatecznym rozrachunku? Żadne. Ale przyjrzyj się sobie, Marino. Jak zgrabnie sprowadziłaś to do kwestii twojej tuszy.

- Nic podobnego. To ty zacząłeś o tym mówić!

- Odpowiedz mi szczerze na jedno pytanie, jeżeli możesz. Kiedy Paul cię pocałował, kiedy oddałaś mu pocałunek, nie pomyślałaś, co by było, gdybyś nie była związana ze mną?

- Oczywiście, że nie.

Oboje wiedzieli, że kłamie.

- I możesz powiedzieć z absolutną szczerością, że nie jesteś wdzięczna za ten bilet do wolności, jaki ci wręczyłem kilka minut temu?

Nie odpowiedziała od razu. Oskarżał ją o przebiegłość, o coś, o co siebie nie podejrzewała. Ale im dłużej o tym myślała, tym lepiej rozumiała, że on ma rację.

- Więc twierdzisz, że to wszystko moja wina? Że tylko czekałam na pretekst, żeby z tobą zerwać, żebym mogła odejść i zacząć romansować z klientem?

- Twierdzę, że potrafisz radzić sobie z problemem tylko wtedy, gdy jest związany z twoją tuszą. Kiedy pojawiają się inne kwestie, wykręcasz sytuację tak, by je sprowadzić na znajomy teren. Uważam, że zrywamy z sobą, bo chcesz być z kimś innym. Ja zacząłem tę kłótnię. Powiedziałem coś okropnego. Ale nie dlatego odchodzisz. Myślę, że powinnaś się nad tym zastanowić.

Ale nie mogła. Bo on miał rację. Potrafiła stawić czoło tylko tym problemom, które miały związek z tuszą. Inaczej była jak dziecko we mgle. Potrzebowała czasu, by to przemyśleć. Ale czasu nie było, gdyż już się spóźnili na kolację.

David ogarnął wzrokiem pobojuwisko, które do niedawna było jego domem. Wszystko, co nie nadawało się do sprzedania, zostało zniszczone. Czerwona farba barwiła dywany jak krew. Prawdopodobnie sprawcom chodziło o to, by z tym mu się właśnie skojarzyła. Chcieli mu powiedzieć: następnym razem będzie to twoja krew. Wiedział, kto

to zrobił. I dlaczego.

Komputer i akcesoria znikły. Tym się zbytnio nie zmartwił. Należały do Perrico i straty pokryje ubezpieczenie firmy. Ale były inne rzeczy. Papiery, które demaskowały wszystkie jego manipulacje, fałszerstwa wyników badań nad oxymetabulinem. Łudził się, że zostały podarte, ale nie znalazł resztek. Widocznie wandalę zdecydowali, że warto bliżej im się przyjrzeć.

Modlił się, żeby uznano je za bezwartościowe i wyrzucono. Miał dość problemów. Jeżeli te papiery trafią do firmy, zostanie zwolniony. Będzie to koniec jego kariery.

I jak wtedy spłaci gangsterów? Poczł się bardzo, bardzo chory.

Jestem tutaj, Pani Fortuno! Przyjdź i zrób to co zawsze. Proszę!

19

Tak mi przykro - powiedziała po raz piąty. A może piętnasty. Nie pamiętała. Przeszła chwiejnie z łazienki do sypialni i rzuciła się na łóżko bez krzty godności.

- Nie martw się tym - powiedział Paul po raz piąty, a może piętnasty. Siedział obok na łóżku i ocierał jej twarz wilgotnym ręcznikiem. Pachniała perfumami Estée Lauder i wymiocinami. Ta kombinacja była dla niego kwintesencją jej urody i delikatności. Była zbyt chora, by przejmować się tym, jak pachnie.

Kojący dotyk na czole sprawił, że zebrało się jej na płacz. Normalnie starałaby się panować nad sobą i nie być tak bezbrinnie otwarta, ale tej nocy była kompletnie pijana. Więc się rozplakała. Paul przygarnął ją jak dziecko. Gwałtowny ruch wywołał nowy atak nudności.

- Przepraszam - powiedziała z dłonią na ustach. Pobieglą do łazienki i osunęła się na podłogę, opierając głowę o cudownie chłodną porcelanową muszlę.

Już przy pierwszym drinku powinna wiedzieć, że ta noc skończy się dramatycznie. Odkąd odstawiła oxymetabulin, obsesyjnie liczyła kalorie. Starala się ograniczyć do tysiąca dwustu dziennie, wtedy jej waga utrzymywała się w granicach sześćdziesięciu pięciu kilogramów. Było to więcej, niżby sobie życzyła, ale przynajmniej trzymała się tej normy.

Była jednak zawsze głodna, zawsze sobie czegoś odmawiała. Tego dnia prawie nie jadła, jeżeli nie liczyć paru kęsów przy bufecie podczas lunchu. Pierwszy kieliszek wina spłynął gładko, jak truskawkowa galaretka na kinderbalu. Zlokalizował ból i rozpoczął powolny proces znieczulania.

Cierpienie zostało zneutralizowane, a razem z nim jej zahamowania. Chwyliła kolejny kieliszek od kelnera, obrzuciła salę spojrzeniem znawcy, zastanawiając się, gdzie się najlepiej zabawi. Zauważyła Andy'ego opowiadającego coś krzykliwie Eleanor. Powinna się roześmiać, ale straciła poczucie humoru. Dobrze, pomyślała. Jeżeli on rozmawia z Eleanor, to znaczy, że Paul tego nie robi.

Ale nie była jeszcze gotowa na Paula. W głowie jej szumiało od tego, co powiedział Andy, musiała zebrać myśli, zanim zacznie je porządkować. A może się po prostu napije. Tak, to lepszy pomysł. Zawsze łatwiej się myśli po trzech kieliszkach niż po dwóch.

Dopiero po czterech zauważyła Paula i weszła w jego orbitę. Był zachwycony jej widokiem i ani trochę niezrażony tym, że się ubzdryngoliła. W minionym roku zafundowali sobie kilka poważnych sesji pijackich i to nie wpłynęło na jego uczucia do Mariny. Przeciwnie, uważał ją za dobrego kumpla, kogoś, z kim się miło spędza czas, a na dodatek był pod jej fizycznym urokiem. Upijanie się z dobrym przyjacielem to sama przyjemność.

Ale tego wieczoru Marina wspinała się po kręconych schodach pijaństwa do poziomu, gdzie kończy się zabawa, a zaczynają kłopoty. Po nowojorskim dramacie „kwiat czy gwiazdka”, środowisko bulwersował teraz dylemat, czy butelką środka czyszczącego powinna być wysoka i smukła, czy niska i gruba.

- Przyszliście z tym do właściwej osoby! - wykrzyknęła Marina radośnie. - Bardzo dobrze orientuję się w społecznym postrzeganiu rozmiaru, jestem więc za wysoką, smukłą wersją, bezwzględnie smukłą. Nie możemy pozwolić, by wystawiono firmę Sparkle-eze na pośmiewisko, prawda? Macie tyle innych środków czyszczących, które mówią: „Hej, grubasko! Troszkę przedobrzyłaś z anionic surfactants, co? Z czegoś, co ma taki kształt, nigdy nic nie wyciśniesz”. Moim zdaniem, środek czyszczący nie może być za smukły, za tani i za kwiecisty.

W tym momencie inni delegaci zostawili Paula i Marinę samym sobie i odeszli, żeby prowadzić dalej dyskusję w bardziej trzeźwym towarzystwie.

- Powiedziałaś coś nie tak? - zapytała Marina.

- Może powinniśmy gdzieś przysiąść - odparł Paul, łagodnie kierując ją w stronę jadalni, gdzie znalazł dwa wolne miejsca. Marina opadła na krzesło jak szmaciana lalka. Gwałtowny ruch w dół sprawił, że zakreśliło się jej w głowie, i trochę trwało, zanim skupiła wzrok na stole. Przed każdym nakryciem siedział gruby, połyskliwy karczocho.

- Coś nie tak? - zapytał Paul, zaniepokojony jej spojrzeniem. - Nie lubisz karczochów? Każę komuś z kuchni je zabrać, to żaden problem.

Ale Marina przebywała duchem w innym miejscu. W innym czasie. Cofnęła się o dziesięć lat. Był jej pierwszy dzień w TNSW. Rick i Andy zabrali ją na lunch. To była jej pierwsza prawdziwa praca i pierwsza prawdziwa restauracja.

Nie wiedziała, jak się zachować, co zamówić, czego oczekiwać. Każdy czułby się niepewnie w takiej sytuacji, a Marina była dodatkowo obciążona kompleksem swojej tuzszy. Przeczytała menu wiele razy, czekając, aż Rick i Andy pierwsi coś wybiorą. W końcu zamówili karczocho. „Poproszę to samo”, powiedziała ufnie. Nie wiedziała, co zamówili.

Kelner przyniósł trzy najdziwniejsze rośliny, jakie w życiu widziała. Podziękowała mu grzecznie, kiedy postawił przed nią talerzyk. Przy stoliku zapanowała cisza. Nikt nie jadł. Marina stwierdziła, że to idiotyczne, by oczekiwali, że zmówi modlitwę dziękczynną, i wtedy zrozumiała straszną prawdę: czekają, aż ona zacznie. Ale ona nie wiedziała, jak zabrać się do tego czegoś, co przed nią stało. Bała się, że zemdleje. Jestem inteligentną kobietą. Nie pozwolę, by warzywo powaliło mnie na kolana. Jeżeli to jest warzywo.

Z wahaniem wzięła widelec i zaczęła coś mówić, akcentując nim poszczególne słowa. Andy i Rick ani drgnęli. A ona nie wiedziała, gdzie wetknąć widelec. Na dodatek... czy to możliwe? Dostrzegła błysk rozbawienia w ich oczach? Z pewnością nie. To by było zbyt okropne.

I wtedy zauważyła miseczkę do mycia palców i miała tylko nadzieję, że z jej głowy nie wypłynął obłoczek z napisem „Eureka!” Odłożyła widelec, jakby zaznaczając, że

używała go jedynie jako dyrygenckiej pałeczki.

Popatrzyła na jedzenie, udając, że je właśnie dostrzegła. Potem przeniosła wzrok na talerze Andy'ego i Ricka, jak to czasem robią ludzie, którzy zamówili to samo. Ale prawdziwie mistrzowskim posunięciem było dopiero radosne *Bon appétit!* i uniesienie kieliszka z winem. Zaproszenie do rozpoczęcia posiłku, elegancki gest, który poleciałaby sama Panna Kultura.

Rick i Andy całkowicie go zignorowali. Nos Mariny zaczął lśnić, z każdą chwilą robiła się bardziej ożywiona. Jej towarzysze trzymali splecione dłonie przed sobą, łokcie na stole. Wtedy zrozumiała, że wiedzą. I znienawidziła ich za to.

Ale skoro był to rytuał inicjacji, obrządek, przez który musiała przejść, zrobi to. W końcu rozpoczęła. Musnęła liście, czekając na sygnał od mężczyzn, że robi, co należy. Nic. Oderwała liść od łydki i udawała, że chwycił ją atak kaszlu. Dopiero wtedy Rick się zlitował i zaczął jeść.

Na początku swojego związku z Andym zapytała go, czy pamięta tamten lunch i upokorzenie, na jakie ją narazili. Zachichotał. „Zapomniałem. Ależ mieliśmy zabawę! Byłaś całkiem zielona. Musisz przyznać, że to był niezły ubaw”.

Nie śmiała się wtedy i nie śmiała się później, kiedy Andy odegrał jeszcze raz tę scenę, i nie śmiała się tej nocy w Atenach. Płakała, płakała i płakała. Kiedy wpadła w histerię, Paul uznał, że trzeba usunąć karczochy, przyczynę jej cierpienia.

Próbowała mu wyjaśnić, dlaczego jest taka wzburzona, ale historia utonęła w morzu łez. Zaprowadził Marinę do swojego pokoju, bo nie pamiętała numeru własnego. Udało się jej dobrać do fotela, ostatek woli zapanowała nad sobą i nie padła na łóżko. Paul przykucnął obok, gładząc ją po ramieniu, włosach, czole. Wiele razy pocieszał tak swoje siostry i wiedział dokładnie, co i kiedy powiedzieć.

- Tak mi przykro! - zawołała Marina po raz kolejny.

- Ciii... Już dobrze. To nie ma znaczenia. - Otoczył ją ramionami i poczuł, jak się rozluźnia.

- Dlaczego jesteś taki dobry? - zapytała.

Roześmiał się.

- Wcale nie jestem dobry. Tylko wtedy, gdy trzymam w ramionach płaczącą kobie-

tę. Na co dzień jestem taki jak wszyscy mężczyźni - gburowaty, macho i humorzasty.

- Wcale nie. Zawsze jesteś miły. Taki już się urodziłeś. Paul zaczerpnął powietrza otwartymi ustami, udając przerażenie.

- Zaczynam się poważnie martwić. Czytuję czasopisma kobiece w poczekalni u dentysty i wiem, że „dobry” jest określeniem obraźliwym. W dzisiejszych czasach kobiety wolą twardych brutali.

Marina podciągnęła się na oparciach i klapnęła z powrotem.

- Nie ja. Doskonale potrafię sama zadawać sobie ból. Mam długoletnie doświadczenie. Nie potrzebuję mężczyzny, który by mi w tym pomagał. Nie, zdecydowanie wolę przyzwoitych facetów.

- Nie wygląda na to. Zapominasz, że nieźle znam Andy'ego. Nie twierdzę, że jest całkowicie pozbawiony uroku, ale nie zaliczyłbym go do przyzwoitych facetów.

- Tylko pozornie taki jest. To chyba dotyczy nas wszystkich. Zresztą to już nie ma znaczenia. Zerwaliśmy.

Paul zareagował właściwie. Ale Marina nie zauważyłaby żadnej reakcji, nawet gdyby zaczął fikać kozły z radości. Starła się tylko powstrzymać kolejną falę wymiotów, podchodząc do gardła jak wzburzona lawa. Próbowwała głęboko oddychać, opanować nudności. Nie dała rady. Stało się. Zwymiotowała na Paula. Na jego koszulę, spodnie, buty. Gdyby usiadła przy komputerze i zaprogramowała to tak, by wymiociny pokryły niemal całe ubranie Paula, nie mogłaby osiągnąć lepszych rezultatów.

Chwilowe uczucie ulgi i poprawa nastroju po opróżnieniu żołądka natychmiast ustąpiły przed bolesnym przerażeniem. Zwymiotowała na najmilszego człowieka na świecie. Czuła się tak, jakby zwymiotowała na Gary'ego Linekera. I choć nigdy nie śmiała przyznać się przed sobą do słodkich marzeń, że pewnego dnia... no cóż, teraz mogła definitywnie się z nimi pożegnać, razem z „i żyli długo i szczęśliwie”. Wiedziała, że istnieją przyzwoici, tolerancyjni mężczyźni. Była świadkiem, jak Teresa odrzuca jednego z nich. Wiedziała, że Paul jest rarytasem. Ale zdrowy rozsądek mówił, że jej choroba po li-bacji nie nastroi go romantycznie, jeśli w ogóle myślał o niej jako o...

- W porządku?

Wydawało mu się, że przestała oddychać. I faktycznie przestała. Odbywała żałobę

po nadziei, którą dopuściła w końcu do swojej świadomości. I była taka zmęczona. Dźwignęła się z fotela i ruszyła w stronę łóżka, starając się iść możliwie prosto. Padła na materac, jakby ktoś podciął jej nogi.

- W absolutnym porządku. Naprawdę. Jestem tylko trochę zmęczona. Muszę tylko trochę...

Paul upewnił się, że Marina już normalnie oddycha, po czym usiadł na krześle obok łóżka i po prostu na nią patrzył. Był rozczulony i szczęśliwy, że spotkał go przywilej oglądania jej w takim stanie. Cieszył się, że może się nią opiekować, przykrywać, kiedy drży, obmywać twarz, kiedy się poci, koić jej niepokój, kiedy zrywa się z krzykiem. Był szczęśliwy, patrząc, jak śpi, jak uśmiecha się albo krzywi do majaków sennych o własnej, idealnej logice i kompletnie szalonej fabule.

Przebrał się, gdy zapadła w głęboki sen. Kiedy pochodzi się z licznej rodziny, raczej nie jest się wstydliwym. W rodzinnym domu Paula nie było szans na prywatność. Pięcioro dzieci i dwoje rodziców w niewielkim mieszkaniu. Paul był trzecim dzieckiem i bardzo wcześniej postanowił, że będzie czerpał korzyści z przynależności tak do młodszej, jak i starszej trójki.

Każde z dzieci było uzdolnione w innym kierunku. Jedno miało pociąg do nauki, drugie do sportu, trzecie smykałkę artystyczną, czwarte było dobre we wszystkim. Paul świetnie radził sobie z ludźmi; był wszechstronnie utalentowany i dzięki temu mógł robić w życiu, co mu się podobało.

Rodzina miała wspólną namiętność, która chroniła ją i trzymała w kupie. Kochali musicale. Wszystkie zaoszczędzone pieniądze (a nie było ich wiele) wydawali na balkonowe miejsca w teatrach na West Endzie. Wyzebrywali albo pożyczali ścieżki dźwiękowe, żeby je przegrać na porysowane taśmy. Każde z dzieci nauczyło się grać na innym instrumencie, aby mogli dawać recitale. Nawet gdyby bardzo daleko odbili od rodziny, w sensie towarzyskim czy geograficznym, wspólny kręgosłup trzymał ich razem.

Oryginalność tego domu sprawiała, że dzieci były trochę oderwane od rówieśników. Na szczęście chodziły do kościoła, więc w końcu znalazły przyjaciół, którzy nie czuli się zagrożeni ich wspólnotą. Co ważniejsze, to niezwykle wychowanie dało im odwagę bycia innym. Obiecywało solidne, mocne fundamenty miłości, dzięki którym moż-

na być wybrednym w doborze przyjaciół i partnerów. Nie ma potrzeby rozpaczliwie szukać miłości, kiedy ma się ją na co dzień w domu.

Nie, w miłości Paula do Mariny nie było desperacji. Był pewny, że jego uczucie jest prawdziwe. Wyrosło z sympatii i fizycznej atrakcyjności, rozkwitło z małego ziarenka w pnącą roślinę, która będzie się rozrastać niepielegnowana. Analizując je, potrafił się zdobyć na obiektywność. Pamiętał, jak się wstydził swoich uczuć do Mariny, kiedy była gruba. Wybaczył to sobie, pocieszając się myślą, że nikt o tym nie wie, a on sam już się ze sobą rozliczył.

W duchu przyznawał, że coś do niej czuje na długo, zanim schudła. Udało mu się przewyciężyć w sobie stereotyp, że pociąg seksualny do grubej kobiety jest czymś perwersyjnym, a nawet zboczeniem - i to nie oddzielając Mariny od jej ciała. Nie wierzył w to, że osobowość i wygląd zewnętrzny to dwie odrębne całości i należy je oceniać oddzielnie. W jego przekonaniu wygląd zewnętrzny nieodłącznie wiązał się z osobowością.

Kochał isierki humoru w jej oczach. Kochał to, jak zaciska usta, kiedy chce okazać ironię. To, jak macha rękami, kiedy jest zdenerwowana. I jak siada, kiedy jest w spodniach. Kochał to, jak jedząc, przykładła dłoń do brzucha. Kochał to, jak wygląda, jak chodzi, jak mówi, kochał w niej wszystko.

I choć nie mógł powiedzieć, że kocha jej nadwagę, zwłaszcza że ona sama jej nie nawidziła, kochał słabość, o jakiej ta nadwaga świadczyła. Dzięki swoim siostrom posiadał rzadkie u mężczyzn zrozumienie skomplikowanych relacji między kobietą a jedzeniem. Patrzył, jak walczyły z dietami, widział, jak tyły i chudły (choć wahania ich wagi były o wiele mniejsze niż u Mariny) i nauczył się rozumieć, dlaczego kobieta może się sama doprowadzić do stanu chorobliwej otyłości.

Marina bez wątpienia była skrzywiona. Czy teraz, kiedy jej ciało było idealne, to skrzywienie przestało istnieć? Bardzo wątpił, zwłaszcza że upiła się dzisiaj do nieprzytomności. Chciał ją uleczyć, dać jej czułość i wsparcie. Teraz, kiedy Andy zniknął z horyzontu, może powinien wykonać swój ruch.

- Chyba znowu się pochoruję! - jęknęła Marina i pognęła do łazienki, w samą porę.

Paul prześcielił łóżko, żeby było jej wygodniej. Tak, zdecydowanie nadszedł czas działania. Potem patrzył, jak Marina wczolguje się do łóżka i z bolesnym trudem nacięga

na siebie prześcieradło.

Ale nie dzisiaj, pomyślał. Mam być miłym facetem, raz na zawsze.

- Tak mi przykro - powiedziała Susie po raz piąty. A może piętnasty. Nie pamiętała. Przeszła chwiejnie z łazienki do sypialni i rzuciła się na łóżko bez krzty godności.

- Nie przejmuj się - bąknął nieszczercze Duńczyk (a może Szwed?). Chciał, żeby sobie poszła. Szybko wytrzeźwiał, kiedy ta nieszczęsna Angielka zaczęła wymiotować w jego pokoju. Nie był specjalnie zachwycony, że w ogóle przyszła.

Ale nalegała, on był pijany, ona dość zabawna, a jego żona gdzieś daleko.

Nie zdążył jej nawet pocałować, kiedy zrobiła pierwszy, pospieszny wypad do łazienki. Kobięce jęki nad muszlą klozetową nie są najlepszą metodą pobudzenia seksualnego. Nie znał Susie na tyle, by jej współczuć. Sprawiała mu tylko kłopot. Chciał, żeby sobie poszła.

Ona chciała tego samego, ale nie czuła się na siłach, by trafić do własnego pokoju. Nie pamiętała nawet jego numeru, a klucz dała Marinie po awanturze z Andym.

Leżąc w poprzek łóżka Duńczyka, przeklinała swój brak opanowania. Zanim zapadła w ciężki sen, pomyślała jeszcze o teście owulacyjnym, który zostawiła w Londynie. Przypadkiem? Tego nie wiedziała. Nie chciała o tym myśleć. Chciała do Kena.

20

Przeglądałem tę propozycję i nie podoba mi się. David spodziewał się, że przedstawiając raport, napotka lekki opór, ale miał nadzieję, że jego dar przekonywania i urok osobisty zrobią swoje. Przeliczył się, gdyż nigdy nie przyjął do wiadomości, że Geoff Perriam, dyrektor główny Perrico, po prostu go nie lubi. Geoff byłby zwolnił Davida parę lat temu, z powodu jego nonszalanckiego stosunku do badań. Kłopot w tym, że David był zdolny. Rozumował rzeczowo i często rozwiązywał problemy, które wstrzymywały długoterminowe projekty innych zespołów Perrico.

Na kilka dni przed odkryciem oxymetabulinu Geoff zamierzał udzielić Davidowi ostatniego ostrzeżenia w sprawie niedbałych procedur laboratoryjnych i wątpliwych kosztów. Ale oxymetabulin był dzieckiem Davida, bez dwóch zdań. Istniała duża szansa,

że dzięki niemu mała farmaceutyczna firma stanie się w krótkim czasie miliardowym gigantem. Więc postawili na niego, ulegli ekscytacji mediów.

Geoff śledził pilnie przebieg badań. Wiedział, że David chodzi na skróty, ale dopóki nie łamał ściśle określonych wytycznych, dawał mu wolną rękę. Od paru miesięcy docierały do niego rozmaite plotki. Przede wszystkim zaczęto mówić, że jedna z kobiet poddana eksperymentowi jest w ciąży. Poszedł z tym do Davida, który szybko zaprzeczył, wykręcił się jakąś ogólną uwagą o kobietach i ich cyklach miesięczkowych.

Od tamtego czasu Geoff wpadał bez uprzedzenia do laboratorium, uczestniczył w kontrolach wagi i prosił o szczegółowe raporty.

Potem ktoś włamał się do mieszkania Davida. W przypadku każdego innego pracownika Geoff wyraziłby współczucie i wystąpił o odszkodowanie. Ale wszystko, co dotyczyło Davida, wydawało mu się podejrzane. A on sam? Wyraźnie nękały go jakieś kłopoty. I te historie z bankiem. Po co facetowi taki wielki limit debetowy?

Geoff nigdy nie poznał dobrze Davida. Nie chciał go poznawać. Ale widział wyraźnie, że ten człowiek szybko się stacza. Musiał się dowiedzieć dlaczego, chronić interesy firmy.

Jak dotąd nie mógł się doszukać błędu w metodologii Davida. Niepokoił go wprawdzie spadek wagi w obu grupach kobiet, ale przyjął wyjaśnienie Davida o wpływie czynnika psychologicznego. David zapewnił go, że po zestawieniu ostatecznych wyników, już po okresie stabilizacji wagi, rozróżnienie między kobietami na tabletki i na placebo będzie wyraźne.

Ale teraz proponował drastyczną zmianę protokołu badań. Mówił coś o niespodziewanych skutkach emocjonalnych i reakcji na odstawienie leku, która dotyczyła większości kobiet, a tym samym nie mogła być wywołana oxymetabulinem.

Geoff wzruszył ramionami:

- Znasz przepisy. Jeżeli u badanej występują skutki uboczne, natychmiast odstawiasz lek.

- Ale wtedy musiałbym je wszystkie odstawić! Zresztą to nie są skutki uboczne. Gdyby były prawdziwe, występowałyby tylko u kobiet biorących oxymetabulin. Nie, to jest reakcja psychologiczna na odstawienie leku, nie widzę więc żadnego problemu,

można trochę nagiąć protokół tak, żeby uwzględnić ten element.

Chciał przedłużyć program, a potem odstawiać lek stopniowo i w ten sposób rozwiązać niespodziewany problem.

- Rzecz w tym, Davidzie, że powinieneś go przewidzieć.

- To chyba mocno nie fair! - wybełkotał David w podnieceniu. - Taki problem nie wystąpił w żadnym innym programie. Reakcja na odstawienie jest jedną z cech różnicujących grupę placebo i oxymetabulinu. Te kobiety zapewniły mnie, że mają stabilne nawyki żywieniowe i zdrowy stosunek do swojej nadwagi. Skąd mogłem wiedzieć, że test uruchomi jakieś uzależnienia i wszystkie dostaną nerwicy?

Geoff dostrzegł, jaką odrazą napawają Davida jego króliki doświadczalne, i dodał kolejny punkt do długiej listy powodów, dlaczego nie lubi tego człowieka i mu nie ufa.

- To ty przyszedłeś do nas z tym pomysłem. Byłeś przekonany, że ta organizacja, 5F, będzie odpowiedzią na wszystkie wątpliwości. Przeprowadziłeś rozpoznanie i zapewniłeś nas, że masz do czynienia z grupą kobiet, które mają nadwagę, ale jedzą normalnie. Tylko o to prosiliśmy.

- Tylko o to prosiliście?! - wybuchnął David. - Masz pojęcie, jak funkcjonują umysły tych kobiet? Masz pojęcie, jak one jedzą? To są żarłoki, wszystkie, co do jednej. Siedzą w moim gabinecie i recytują ideologię 5F. Dobrze nam z tuszą, jemy, co chcemy, kiedy chcemy, doszliśmy ze sobą do ładu, takie bzdury. Więc im uwierzyłem. Przepraszam, że nie przewidziałem, że mam do czynienia z bandą patologicznych kłamczuch. Bo to są kłamczuchy! Jak tylko pojawił się cień możliwości, że zmienię je w normalne, szczupłe kobiety, wyrzuciły wszystkie zasady za okno i zmieniły się w bandę wdzięczących się nastolatek, które dyskutują o tym, ile kalorii ma plasterek ogórka! Ale one były naszą szansą jedyną szansą znalezienia grupy kobiet, które nie zafałszują wyników, zmieniając tryb życia w trakcie trwania programu. Nikt nie mógł przewidzieć, jak zareagują, i dlatego uważam, że powinniśmy zmienić protokół, dostosować go do nowych okoliczności.

Odchylił się na oparcie krzesła, zadowolony ze sposobu, w jaki przedstawił problem. Geoff był zbulwersowany.

- Jeżeli tak jest rzeczywiście, cały program był stratą czasu i wyniki można wyrzu-

cić do kosza. To oznacza, że wylądujemy z kupą przypadkowych cyfr, wyników, których w żadnym razie nie można przypisać działaniu oxyntetabulinu. Jeżeli nie możemy kategorycznie stwierdzić, że zachowanie badanych było niezmiennie przez cały okres trwania programu, wynik testu jest nieważny.

David nie mógł pohamować zniecierpliwienia.

- Nie słuchałeś mnie! Ich zachowanie było niezmiennie. Było po prostu inne niż przewidywane.

- Teraz już nic nie rozumiem.

- Geoff, nie martw się. Kiedy test się zakończy, wszystko nabierze sensu. Gwarantuję, że tylko grupa na oxymetabulinie zarejestruje utratę wagi, która po odstawieniu leku osiągnie stały poziom.

Geoff nie był przekonany.

- Jak możesz cokolwiek gwarantować? Właśnie powiedziałeś, że wszystkie te kobiety to kłamczuchy i odżywiają się niesystematycznie. Nie rozumiem, skąd pewność, że zdobędziemy wyniki, które wytrzymają konfrontację ze stowarzyszeniem farmaceutów.

David zrobił pewną siebie minę.

- Zaufaj mi, Geoff. Pozwól mi przedłużyć program o parę tygodni, a wszystko się wyjaśni.

Geoff zastanawiał się przez chwilę.

- Przemyślę to i zawiadomię cię o swojej decyzji. David nie był zadowolony.

- Ale ja muszę wiedzieć od razu.

Geoff wstał, podszedł do drzwi i otworzył je przed Davidem.

- Jak już mówiłem, zawiadomię cię o swojej decyzji, David wyszedł niechętnie, nie do końca pewny, czy przekonał szefa. Bardzo się niepokoił. Wszystko zależało od tego, czy zdoła pomyślnie zakończyć badania i uzyskać premię. Udało mu się kupić sześć tygodni spokoju od wierzycieli (legalnych), obiecując spłatę wszystkich długów, kiedy wpłynie premia. Wysłał im (sfalszowany) list od Geoffa Perriama gwarantujący wypłatę premii.

Nie martwił się zbytnio takim rozszerzeniem swojej oszukańczej działalności. Nie miał wyboru. Grożono mu odebraniem mieszkania, eksmisją, ogłoszeniem bankructwa.

Musiał tylko zakończyć badania, osiągnąć pozytywne rezultaty. Wtedy wszystko się doskonale ułoży. Nie widział nic złego w sfałszowaniu listu. Była to improwizacja zrodzona z konieczności.

Po wyjściu Davida Geoff usiadł i zaczął czytać raporty badań, nie ominął ani słowa. Był bardzo, ale to bardzo niezadowolony z odbytej przed chwilą rozmowy. Nie zamierzał pozwolić Davidowi na przedłużenie programu. Chciał wiedzieć, skąd ta pewność, że ostateczne rezultaty będą pozytywne i udowodnią wartość oxymetabulinu ponad wszelką wątpliwość.

Żeby się tego dowiedzieć, musiał uzyskać dostęp do danych komputerowych. Sięgnął po słuchawkę.

- Jane? Tu Geoff Perriam. Mogłabyś zajść do mojego gabinetu? Potrzebuję twojej pomocy, żeby wyciągnąć dane z komputera.

Rick siedział przed komputerem w swoim gabinecie i przeglądał plik chroniony przez podwójne hasło. Plik kornwalijski. Ocalił zdrowe zmysły przez te ostatnie miesiące dzięki temu, że zaczął realizować plany na nowe życie. Tylko dlatego nie pojechał na wybrzeże i nie utopił się w oceanie.

Jego praca dobiegała końca. Znalazł idealne miejsce tuż przy plaży w Perranporth i kupił je za gotówkę. Była to rudera, ale jeżeli się przyłoży, zmieni ją w sklep albo kafejkę z mieszkaniem na piętrze. Tęsknił za fizycznym wysiłkiem, jakiego będzie wymagał remont, oderwaniem się od zmartwień, które odbierały mu chęć życia. Nie myślał szczególnie o Gilly i dzieciach. Wiedział, że postępuje słusznie. Jeżeli nie odejdzie, i to szybko, z pewnością umrze - w takim czy innym sensie.

Oni to w końcu rozumieją.

Teraz musiał tylko powiedzieć Gilly, że odchodzi. Sięgnął po słuchawkę i wykręcił domowy numer. Dzwonił i dzwonił, i dzwonił. W końcu Gilly odebrała, zadyszana biegiem z końca ogrodu. Rick natychmiast się rozłączył, wstydząc się własnej słabości. Moment odwagi minął tak szybko, jak się pojawił. Wkrótce, pomyślał, powiem jej wkrótce.

Andy ponownie odłożył słuchawkę. Do licha! Od dawna zbierał się na odwagę, żeby zadzwonić do Ricka, a teraz linia była zajęta. Andy nie przychodził do firmy od paru

tygodni pod pozorem, że złapał paskudnego wirusa. W rzeczywistości szukał pracy. Czuł, że po ateńskiej zdradzie nie pozostaje mu nic innego.

Nie mógł pracować, mając nad sobą Marinę. Nie sądził, żeby mógł z nią pracować w jakichkolwiek okolicznościach. Mocno przeżył rozstanie. Co gorsza, zaczynał podejrzewać, że sam ją do siebie zraził, ale starał się o tym nie myśleć.

Andy był twardym zawodnikiem. Za kilka tygodni stuknie mu czterdziestka. Chciał porozmawiać z Rickiem, zanim podejmie wielką decyzję. Ale może to dobrze, że Rick rozmawiał z kimś innym. Pewnie próbowałby go namówić, żeby został, a to było bezcelowe.

Rozważył wszystkie za i przeciw i dokonał wyboru.

21

Chyba mam atak serca - wysapała Marina, ciśnięta jak worek ryżu na rower do ćwiczeń.

- Sądzę, że to dobry znak - wyjąkała Teresa, drżąc z wyczerpania.

Zsunęły się z rowerów na podłogę i przez chwilę leżały bezwładnie, odpoczywając przed ćwiczeniami mięśni brzucha.

- Jesteś pewna, że to jest tego warte? - zapytała Marina. Teresa poderwała się do skłonów, zmobilizowana tym objawem słabości.

- Oczywiście! Straciłam kilogram od zeszłego tygodnia. A ty?

- Nie jestem pewna. Boję się ważyć. Nie mogłam przytyć, nie jem więcej niż pięćdziesiąt kalorii dziennie. Ale ubrania wcale nie robią się luźniejsze. A noszę teraz czternastkę! Mam okropne przeczucie, że tabletki zaburzyły mój metabolizm. No wiesz, czyta się o kobietach, które schudły za szybko, ich organizmy uznały, że grozi im śmierć głodowa, więc wszystko, co zjedzą, chomikują pod postacią tłuszczu.

- Bzdury! To naukowo stwierdzone: chudniesz, jeżeli jesz mniej kalorii, niż spalasz.

- Tak, ale cały ten projekt z oxymetabulinem opiera się na założeniu, że można podkręcić tempo spalania, wmówić organizmowi, że jesteś szczupła. Więc może mój or-

ganizm jest na to za mądry. Nie nabierzecie mnie, powie mój metabolizm. Ta pani jest gruba i taka pozostanie! Może nawet zwolni, żeby mnie ukarać za to, że próbowałam go omamić. Mówię ci, że on ma rozum.

Teresa przerwała skłony, doliczywszy do stu.

- A ty masz paranoję. Myślałam, że już to obgadałyśmy. To wszystko sprawa psychiki. Brak nam tabletek i wracamy do starych złych nawyków. Musimy tylko udawać, że nadal je bierzemy, wmówić sobie, że wciąż panujemy nad sytuacją. Wtedy naprawdę tak będzie.

Marina westchnęła.

- Ja nie panuję nad sytuacją. Chyba wpadam w alkoholizm.

Teresa prychnęła.

- Nie bądź śmieszna! Upiłaś się parę razy i tyle. Ja upijam się prawie codziennie i wcale nie uważam, że jestem alkoholiczką.

- Tak, ale ty masz powód, żeby pić. Ja byłam z Andym tylko dwa miesiące. To nie jest grecka tragedia, Nie można tego nawet porównać z twoją sytuacją.

Teresa wstrzymała oddech, koncentrując wszystkie siły na tym, żeby oczami wyobraźni nie widzieć scen ze swojego małżeństwa. Nie pomogło, więc zrozpaczona wróciła do skłonów. Ból, jaki przeszył mięśnie brzucha, skutecznie odwrócił jej uwagę.

- Nic mi nie jest. Rozmawiamy już z Rodem jak cywilizowani ludzie. Co prawda, niezbyt długo. Ale jeżeli uda nam się zamienić trzy zdania, nie płacząc i nie przeklinając, czujemy się jak ludzie dojrzały.

- Tęsknisz za nim?

Teresa narzuciła sobie mordercze tempo ćwiczeń.

- Nie mam czasu. Jestem bardzo, bardzo zajęta. Pływanie z rana, potem praca w biurze, aerobik w porze lunchu, rachunki po południu, siłownia wieczorem. Potem kilka kieliszków wina i padam na łóżko.

Marinę bolało serce, kiedy myślała o samotności Teresy, która przebijiała przez ten morderczy plan dnia.

- Nie musisz spędzać wieczorów samotnie. Prawdę mówiąc, mnie też przydałoby się towarzystwo.

Teresa z trudem utrzymywała tempo, jakie sobie narzuciła.

- Po siłowni jestem zbyt zmęczona, żeby sięgnąć po słuchawkę. Dlatego zaproponowałam, żebyśmy spotkały się tutaj. Odkładam życie towarzyskie do czasu, gdy rozstrzygnę kwestię swojej wagi, raz na zawsze. Wtedy znów zacznę żyć.

- Teresa, przestań! Zabijesz się.

Teresa opadła na podłogę. Przez chwilę się nie odzywały. Teresa próbowała wyrównać oddech, Marina zastanawiała się, co powiedzieć. Nagle Teresa zaczęła płakać. Marina objęła ją szybko i tuliły się do siebie na podłodze, nie zwracając uwagi na ludzi ćwiczących wokół nich. A że oni obsesyjnie myśleli o swoim odbiciu w lustrze, które przetwarzali w pocie czoła, nie czuły się nawet skrępowane.

- Już dobrze, wszystko będzie dobrze, na pewno.

- Nieprawda. Nigdy nie będzie dobrze. Skończyło się. Wszystko zepsułam. A teraz zmarnowałam ostatnią szansę.

- Co się stało? Powiedz mi!

Teresa okręciła obrączkę na palcu. Była za luźna, odkąd zaczęła się odchudzać, ale nie oddała jej do zmniejszenia, bo musiałyby ją zdjąć. A potem musiałyby podjąć decyzję, żeby ją z powrotem włożyć. Sama.

- Ona jest w ciąży. W pierwszej chwili Marina pomyślała, że Teresa ma na myśli Susie, która mówiła wyłącznie o swojej owulacji. Potem przyszedł jej do głowy jeszcze ktoś.

- Chyba nie...?

Teresa smutno pokiwała głową.

- Mary. - Musiała się opanować, żeby nie splunąć. - Boczna uliczka Roda. Ta druga kobieta. Mary.

- Tak mi przykro, Terry. - Nic wiedziała, co jeszcze powiedzieć. Był to od zawsze temat tabu. Na samym początku ich przyjaźni Marina zapytała Teresę, dlaczego nie mają dzieci.

- Och, wiesz, jak to jest. Idziesz do salonu meblowego po nową kanapę i znajdujesz taką, która idealnie pasuje. Jest nowoczesna, wygodna, stylowa i... biała. Więc musisz na miejscu podjąć decyzję.

Marina przypomniała sobie dom Teresy: beżowe wykładziny, białe meble, delikatne szkło i chińska porcelana rozstawiona po całym mieszkaniu na wysokości paroletniego brzdąca. Zawsze chciała spytać, co ważniejsze - macierzyństwo czy wystrój wnętrza, ale instynkt podpowiedział jej, żeby tego nie robić. Nigdy więcej nie powróciły do tematu.

A teraz Teresa siedziała na podłodze, szlochając. Coś musiała powiedzieć.

- Jak się dowiedziałas?

Pracowali w zagraconym biurze. Ostatnio nieczęsto się to zdarzało. Rod starał się umawiać z klientami w czasie, gdy Teresa siedziała w biurze. A Teresa brała pracę do domu. Niestety, musiała obsługiwać telefony, kiedy ich sekretarka miała wolne, i to był właśnie taki dzień.

Zdziwiła się, kiedy zastała go w biurze. Wyraźnie na nią czekał. Podziękowała Bogu za wewnętrzny przymus, który kazał jej dbać o wygląd nawet wtedy, gdy nie spodziewała się nikogo spotkać. Wciągnęła brzuch, zdając sobie sprawę, że jest większy niż tego pamiętnego dnia przed trzema miesiącami, kiedy paradowała przed Rodem w negliżu.

Potem przypomniała sobie jego reakcję i szybko wypuściła powietrze. W końcu uwierzyła, że tego mężczyzny naprawdę nie rusza widok szczupłej kobiety. Zastanawiała się nawet, czy nie wydać brzucha, ale nie potrafiła. Jej wiara nie była taka wielka.

- Cześć, Rod. Nie spodziewałam się ciebie. - Kocham cię. Chcę, żebyś wrócił. Przepraszam, omal mi się nie wymknęło. Nie trzeba się spieszyć.

- Wiem. Wpadłem na chwilę. Żeby pogadać. - Wyglądasz o wiele lepiej. Trochę przytyłaś. Niewiele, ale dość, by nie wyglądać na chorą. Nadal cię kocham, wiesz o tym, ty głupia, głupia babo. Dlaczego nie starasz się odczytać moich myśli? Zresztą po co? Już za późno.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - Boże, mówię jak kierowniczką sklepu obuwniczego.

- Muszę ci coś powiedzieć. Właściwie to nie muszę, raczej uważam, że powinienem... - Nie chcę tego robić. To ją zabije.

I tak cierpi, a ja obrócę nóż w ranie.

- Więc mów! Dlaczego musisz robić ze wszystkiego sprawę? - Co on zamierza

powiedzieć? Wiem, że to nic dobrego. Jest źle, ale czy bardzo źle? Nie chcę tego wiedzieć, cokolwiek to jest, ale jeżeli muszę, lepiej mieć to za sobą.

- Mary jest w ciąży. - No, powiedziałem to. Żałuję, że musiałem. Och, nie! Ona zaraz zemdleje.

- O! - Nic. Nic nie czuję. Tylko ten ostry, przeszywający ból. Doprowadza mnie do szaleństwa. Zemdleję. Wezmę ten nóż do papieru, wbiję mu go w serce, w oczy, w moje serce, moje oczy.

- Tylko tyle mi powiesz? Teresa się ocknęła.

- Och, tak mi przykro. Gratulacje! Tak się cieszę! Kiedy nastąpi to szczęśliwe wydarzenie? Opowiedz mi wszystko. O chwili poczęcia, na przykład. Kiedy to się stało? I gdzie? W naszym łóżku?

- Terry, przestań! Nie rób tego.

- Och, jestem niedobra. Jak ja mogłam być taką egoistką, zepsuć ci radość. Musisz być zachwycony. Przecież zawsze pragnęłaś dzieci. - Przyłożyła palec do policzka, udając, że się zastanawia. - Och, nie, musiałam cię z kimś pomylić. Niemądrze z mojej strony! Nie, ty jesteś ten, który nie chciał mieć dzieci. Nigdy. Za nic w świecie. Niezależnie od tego, jak bardzo ja ich pragnęłam.

- Nie było tak i wiesz o tym.

Teresa chodziła coraz szybciej po pokoju.

- Ale ze mnie kretynka. Mówisz, że tak nie było? Więc powiedz, jak było! Musiałam cię źle zrozumieć. Myślałam, że kiedy mówisz: „Nigdy nie chcę mieć dzieci”, masz na myśli, że nigdy nie chcesz mieć dzieci. Ale chyba nie po raz pierwszy niewłaściwie cię rozumiałam. Wyprowadź mnie, proszę, z błędu.

Rod próbował przytrzymać ją za ramię, pocieszyć. Nic gorszego nie mógł zrobić.

- Nie dotykaj mnie! Dotykałeś jej! Dałeś jej dziecko! Tyle gadania o tym, jak mnie kochałeś przez dziewiętnaście lat, a ja dałam się na to nabrać. Sprawileś, że zaczęłam doszukiwać się winy w sobie, uwierzyłam, że zniszczyłam nasze małżeństwo, bo przeszłam na dietę. A ty kłamałeś. Wcale mnie nie kochałeś.

- Kochałem cię, Terry! Zawsze cię kochałem. Jeszcze cię Kocham.

- Nie dość, żeby dać mi dziecko!

Kolana się pod nią ugięły i osunęła się na podłogę. Spódnica zadarła się, odsłaniając uda, włosy opadły kosmykami na twarz zalaną łzami. Nie dbała o to, jak wygląda. Nie dbała już o nic. Rod przykucnął obok i przytulił ją. Nie miała siły, żeby go odtrącić. Potrzebowała pocieszenia, fizycznej obecności drugiego człowieka, żeby wziąć się w garść, nie załamać się.

Płakali oboje.

W końcu jednak łzy się wyczerpały, cierpienie się wypaliło i znów byli w biurze. Byli dorośli i żadne nie miało śmiertelnej choroby. Chcieli odmienić swoje życie. Chcieli znaleźć się w innym miejscu, ale żadna ludzka moc nie mogła teleportować ich w ten lepszy świat. Musieli przez to przebrnąć.

- Dobrze się czujesz? - Rod pierwszy przerwał milczenie.

Jego głos przywrócił Teresę do życia. Przyglądała ubranie i podeszła szybko do biurka, gdzie trzymała lusterko. Przyjrzała się swojej napuchniętej twarzy i zmierzwionym włosom.

- Boże, jak ja wyglądam! Rod roześmiał się mimo woli.

- Gdyby dom się palił, najpierw pomalowałabyś rzęsy i dopiero potem zaczęłabyś wołać o pomoc. Nigdy się nie zmienisz.

- I tu się mylisz. Zmieniłam się. Myślałam, że w tym tkwi problem. Teraz wygląda na to, że się pomyliłam.

Rod odwrócił ją ku sobie, żeby widziała jego oczy, żeby zrozumiała, że mówi prawdę.

- Mylisz się co do jednego. Zawsze cię kochałem. Czy byłaś gruba, czy chuda, kochałem cię zawsze tak samo. Nadal cię kocham. To twoja niewiara w moją miłość zniszczyła nasze małżeństwo, nic innego. Wiesz, jak ja się czułem, kiedy dzień w dzień oskarżałaś mnie o to, że cię nie kocham, i tak przez całe nasze wspólne życie?

- No to mam dowód. Twój wybór kochanki jest jasnym wyznacznikiem twoich preferencji. Myliłam się. I drogo za to zapłaciłam, prawda? Skończyłam z niczym, podczas gdy ty masz wszystko.

- Nie musi tak być.

Teresa poczuła iskierkę nadziei i nie potrafiła jej zgasić. Nie chciała jej zgasić.

Chodź, rozgość się. Nie było cię przez jakiś czas, chciała powiedzieć. Tak długo żyła beznadziei.

- Co masz na myśli?

Rod przybrał zachęcający wyraz twarzy.

- Spójrz na siebie! Teraz, kiedy zdobyłaś figurę, o jakiej zawsze marzyłaś, jesteś o wiele pewniejsza siebie. Szybko znajdziesz sobie kogoś innego. Jesteś taką uroczą kobietą. Każdy mężczyzna byłby dumny, będąc z tobą.

- Z wyjątkiem ciebie. - Nie mogła tego nie powiedzieć. Nie tak to miało wyglądać. To on miał błagać o wybaczenie, powiedzieć, że nie kocha Mary, nie chce dziecka, że to Teresa ma je urodzić, że zapomną o wszystkim...

- Nie wyszło nam - odparł tak łagodnie, jak tylko potrafił.

- Szkoda, że nie powiedziałaś tego wcześniej. Żebym miała czas rozpocząć to nowe życie. - Gorycz wylewała się z niej jak jad.

Rod próbował ją udobruchać, zażegnać awanturę.

- Cały czas miałem nadzieję, że to się ułoży. Chciałem, żebyśmy byli szczęśliwi. Próbowałem wszystkiego, ale cokolwiek bym zrobił, to nie wystarczało. Ja ci nie wystarczałem.

- Cóż, masz znakomite wyczucie czasu. Dziękuję. Może tego nie wiesz, ale kobiety w moim wieku nie poznają nowych mężczyzn i nie rodzą dzieci. Zapisują się do klubu rozwódek i uczą się robić frędzle.

- Nie bądź niemądra - powiedział ciepło. - Nie jesteś stara.

- A ile lat ma Mary? Rod nie odpowiedział. Oboje wiedzieli, że trzydzieści.

- Trzydzieści i jest w ciąży. - Cisnęła mu te słowa w twarz. - Ale z niej szczęściara:- Znów była bliska łez.

- Jeżeli to cię pocieszy, nie chcę tego dziecka. Nigdy nie chciałem. To był wypadek.

Teresa popatrzyła na niego, jakby był niedorozwinięty.

- Doprawdy? A nie wydaje ci się to dziwne, że ten wypadek zdarzył ci się z nową kochanką, a nie przez dziewiętnaście lat ze mną?

- Jeżeli oskarżasz Mary o to, że zrobiła to celowo, to się mylisz. Powiedziała na-

wet, że zrozumie, jeżeli nie będę chciał mieć z tym dzieckiem nic wspólnego.

- Ale z ciebie głupiec! Oczywiście, że tak powiedziała. Wie, że jesteś za porządnym, żeby wykręcić się od obowiązków. Złapała cię aż miło. Trzy zero dla niej. Sama powinnam to zrobić.

- Więc dlaczego nie zrobiłaś? - odciął się Rod. Pytanie ją zdumiało.

- Co to, u licha, ma znaczyć? Chcesz powiedzieć, że powinnam zająć w ciążę, choć powiedziałeś mi jasno i wyraźnie, że sobie tego nie życzysz?

Rod odwrócił się od niej.

- Sam już nie wiem, co mówię. Może chciałem, żebyś to ty podjęła decyzję. Może gdybyś postawiła mnie przed faktem dokonanym, uwolniłoby mnie to od ogromnej odpowiedzialności, jaką jest podjęcie takiej decyzji. Może to mnie właśnie powstrzymywało: odpowiedzialność.

Teresa gapiła się na niego z otwartymi ustami.

- Nie wierzę własnym uszom. Powinnam zignorować twoje wyraźne życzenie, żeby nie mieć dzieci? Skąd niby miałam to wiedzieć? Spodziewałeś się, że zacznę czytać w twoich myślach i odkryję, że tego właśnie pragniesz?

Rod stanął przed nią, już bez miłości w oczach.

- Przez dziewiętnaście lat oczekiwałaś, że ja będę czytał w twoich myślach i odgadywał każde życzenie. Musiałem się głowić, co dokładnie powiedzieć, żeby rozładować twoje wiecznie zmienne humory. Nie wystarczało ci, że cię kochałem. Że cię akceptowałem. Że cię wspierałem. No, teraz wiesz, jak to jest, kiedy zostajesz niesłusznie oskarżona. Tak, oczekiwałem, że będziesz czytać w moich myślach, i tak, to jest nie fair. Życie jest kurewsko niesprawiedliwe!

W tym momencie skończyło się ich małżeństwo. Kochali się przed paroma minutami, teraz zrozumieli, że ich miłość doszła do punktu, kiedy mogła już tylko obumierać, szybciej lub wolniej. Oboje wierzyli, że miłość zwycięża wszystko i że ona wystarczy. Teraz uświadomili sobie, że czasem miłość może być zasłoną, przez którą ludzie nie dostrzegają podstawowych problemów. Nie mogli ich rozwiązać, kiedy zaprzętało ich całe to kochanie, a teraz, kiedy miłość zrobiła sobie wolne, pomyje wypłynęły na powierzchnię.

A nie wszystkie pomyje da się przefiltrować.

- Kiedy to się stało? - Marina i Teresa siedziały w barku owocowym; zrezygnowały z ćwiczeń na ten dzień (każda obiecała sobie w duchu, że podejmie je w zaciszu własnego mieszkania).

- W zeszłym tygodniu.

- Tereso, dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Zostałaś z tym zupełnie sama. Jakby nie dość było innych problemów.

Przez „inne problemy” Marina rozumiała, jak zawsze, kolejną przeszkodę na drodze do łatwego schudnięcia. Tabletki się skończyły. Komitet wypowiedział się przeciwko zmianom protokołu badań, zakładającym stopniowe odstawienie tabletek.

Tym trudniej było się z tym pogodzić, że jeszcze niedawno David zapewniał, że wkrótce znów je dostaną. Kobiety zareagowały typowo.

Przed podjęciem na nowo walki z rosnącą tuszą postanowiły urządzić sobie ostatnią przed dietą - tfu! zakazane słowo - wyzerkę. W ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin, które poprzedziły informację o tym, że program się zakończył i mają się stawić w klinice na ostateczną kontrolę wagi, przybrały przeciętnie po cztery i pół kilo.

Marinę wydelegowano do Davida, żeby uraczyła go tą wiadomością. Nie był zainteresowany. Dla programu nie miało znaczenia, co się dalej stanie z badanymi (choć z punktu widzenia mediów byłoby niedobrze, gdyby skończyły z taką wagą, z jaką zaczęły). Miał własne kłopoty. Decyzja o zakończeniu badań została mu przekazana w oschłym, krótkim oświadczeniu. Żadnych wyjaśnień, tylko weto. Na domiar złego ta nudna Jane od komputerów zostawiała mu jakieś rozpaczliwe wiadomości na automatycznej sekretarce. Jeszcze z nią nie rozmawiał, ale przeczuwał, co mu powie.

Cokolwiek to było, nie chciał nic wiedzieć.

Mógł myśleć tylko o tym, jak podsumować wyniki i przedstawić je w raporcie w taki sposób, by rozwiązać wątpliwości zwierzchników. Nieźle mu szło. Musiał trochę zmienić liczby, żeby umniejszyć bardziej dramatyczne rezultaty osiągnięte przez grupę placebo. To nie był problem. Perrico nie mogło kwestionować ogólnych wyników. Szefostwo widziało kobiety na własne oczy. Geoff poznał je wszystkie, zachwycał się ich przemianą. David kłamał jak najęty, ale nie musiał kłamać o ogólnej, wymiernej sku-

teczności swojego wynalazku.

Z pewnością to wystarczy, by mu wypłacono premię. Potrzebował jej. Natychmiast. Nie dość, że płacił gangsterom coraz wyższe procenty, to jeszcze był przez nich szantażowany.

Nie wiedział dokładnie, który z bandziorów dobrał się do jego papierów i doszedł do wniosku, że oh coś kombinuje. Ale któryś z nich to zrobił. Dobrze poznali Davida Sandhursta. Pożyczali pieniądze tylko wtedy, gdy byli pewni zwrotu. Wiedzieli o badaniach nad oxymetabulinem i warunkowej premii.

I choć na tym etapie nie mieli zamiaru ujawnić „niedociągnięć” Davida, co udaremniłoby mu spłatę długu, dostrzegali możliwości dalszych zysków.

Nie obchodziło ich, skąd weźmie pieniądze. Kto jak kto, ale oni wiedzieli, że człowiek zdesperowany zawsze je znajdzie. David miał kupić ich milczenie do czasu wypłaty premii. Możliwe, że wtedy ustalą wysokość ostatecznej, jednorazowej wpłaty i zakończą sprawę ku zadowoleniu obu stron.

David wiedział, że to się nigdy nie skończy. Wycisną z niego ostatni grosz, trzymając w szachu groźbą zniszczenia kariery. Ale na razie nie wybiegał myślą tak daleko. Każdy dzień był jak ruchome piaski. Każda noc stawała się błogosławioną ucieczką. Będzie rozwiązywał problemy po kolei. I może wtedy reszta rozwiąże się sama. Jak to było kiedyś. Bardzo, bardzo dawno temu.

Wpadłby prawdopodobnie w panikę, gdyby nie zżerała go nienawiść do kobiet, które w jego przekonaniu doprowadziły do fiaska testu swoimi szachrajstwami i nerwicą. Zamiast je wszystkie zabić, o czym marzył, postanowił skontaktować się z tymi, które brały placebo. Z przyjemnością wyobrażał sobie wyraz ich twarzy, kiedy zrozumieją, jak łatwo wystrychnąć na dudka ich ciała i umysły. Ale będzie im głupio! To będzie małe zwycięstwo, jedyne, na jakie mógł teraz liczyć.

Porzucił już wszelkie względy etyczne. Te kobiety zakpiły sobie z jego badań. Ale nie zniszczą jego pracy. Rozumiał, że oxymetabulin nie otrzyma drugiej szansy. Nieoficjalną drogą dowiedział się, że Amerykanie testują dwa nowe leki. Nie, to się musi udać. On sprawi, że się uda.

Był tak zajęty, że kompletnie zapomniał o telefonie Jane.

Teresie i Marinie przybyło kilka kilogramów i nie były w stanie się ich pozbyć bez farmakologicznej pomocy. W osobistym życiu jednej i drugiej wytworzyła się pustka, która głośno domagała się jedzenia. Rozstanie Mariny z Andym nie odbyło się po przyjacielsku. Andy dowiedział się, że spędziła noc w pokoju Paula, i nie chciał uwierzyć, że była wtedy bliska śmierci. Nie uwierzył również, że Paul spędził tę noc, piorąc poplamione jej wymiocinami ubranie i śpiąc w fotelu, jak jakiś czubek. Niemożliwe.

Był wściekły, że wpadła wprost w ramiona jego rywala, zaledwie kilka godzin po tym, jak wyparła się uczuć do Paula. Dodatkowo rozwścieczył go fakt, że tej samej nocy Eleanor odrzuciła jego awanse. Była jedyną atrakcyjną dziewczyną w TNSW, która nie chciała się z nim przespać, i na myśl, że miała romans z Paulem Jerome'em, Andy szalał z zazdrości.

Napięcie w firmie zelzało, kiedy Marina otrzymała miejsce w radzie. Po zaciętych negocjacjach i dzięki jej interwencji personel poniżej poziomu dyrektorskiego otrzymał skromną świąteczną premię, wypłaconą z dodatkowego budżetu Sparkleeze'a, który uzyskała na konferencji ateńskiej. Stała się tym samym bohaterką dnia. Martwiła ją przeciągająca się nieobecność Andy'ego, ale złożyła to na karb złego humoru. Wiedziała, że nie jest poważnie chory, bo Paul widział go któregoś dnia, jak wychodził dziarsko z domu w garniturze.

Marina cieszyła się nowymi obowiązkami w pracy. Była zbyt zajęta, by myśleć o nocy z Paulem. Odkąd weszła do zarządu i pod nieobecność Andy'ego prowadzenie klienta przejął jeden z jej współpracowników.

Była w ciągłym kontakcie z Paulem. Rozmawiali przez telefon niemal codziennie i Marina zawsze wyglądała na korytarz, kiedy on był w budynku. Żadne z nich nie wiedziało, co zrobić z tym pączkującym romanssem, który zaczął się tamtej nocy w Grecji, przed czterema tygodniami.

Marina była przerażona swoim zachowaniem. Kiedy obudziła się rano w łóżku Paula, ubrana, z włosami zlepionymi wymiocinami, znów ją zemdliło, tym razem ze wstydu. Jego zapewnienia, że wcale nie straciła w jego oczach, bardzo pogorszyły jej samopoczucie. Fakt, że była ubrana, świadczył przynajmniej o tym, że nie zaszło nic nie stosownego. Zresztą wiedziała, że Paul nigdy by nie wykorzystał kobiety w stanie upoje-

nia alkoholowego.

Rozstali się zakłopotani. Marina wróciła do pokoju Susie, gdzie się przeniosła po awanturze z Andym. Susie, jak wiadomo, nie było.

Już do końca konferencji Marina pilnowała, żeby nie zostać z Paulem sam na sam. Nie próbował jej zawstydić, ale jego nienaganne zachowanie okazało się niestrawne dla jej podłamanego ego.

I dlatego w sobotę wieczorem poszła z Teresą na siłownię. Nikt nie czekał na nie w domu, nikt nie czuwał, by nie jadły wieczorem, nikogo nie obchodziło, czy są chude, czy grube. Mimo to Marina zdawała sobie sprawę, że w porównaniu z Teresą miewa się znacznie lepiej.

- Co zrobisz?

- Naprawdę nie wiem. Nie podjęłam w życiu żadnej decyzji bez Roda. Nigdy nawet nie myślałam o moim życiu jako oddzielnej całości. Zawsze byłam częścią duetu. I to zmusiło mnie do myślenia o innych sprawach.

- O dzieciach? - zapytała Marina ostrożnie.

- O dzieciach. Miałam dość czasu, żeby przemyśleć to, co powiedział Rod. Dlatego nie wspomniałam ci o tym wcześniej. Musiałam zdławić w sobie gniew, żeby wydobyć z tego bałaganu jakąś prawdę.

- I jaka jest ta prawda? Teresa zagryzła dolną wargę.

- Że to ja nie chciałam mieć dzieci. Rod ma rację. Gdybym naprawdę chciała urodzić dziecko, zrobiłabym to. Kiedy żyjesz z kimś tyle lat, co ja z Rodem, wiesz, co jest co. Znasz zasady. Wiedziałam, że gdybym zaszła w ciążę, Rod by to zaakceptował. W głębi duszy dobrze o tym wiedziałam. Więc muszę stawić czoło świadomości, że to ja nie chciałam.

- Jeszcze nie jest za późno.

- Dlatego wiem, że tego nie chcę. Rod źle to przyjął. Powinien mi to otwarcie powiedzieć. A może ja to powinnam zrobić. Nie wiem kiedy. Staram się znaleźć ten moment, kiedy powinnam zrozumieć, że nasze małżeństwo nie jest oparte na prawdzie. I nie mogę.

- Myślisz, że to koniec?

- O tak. Definitywnie koniec. Mówiąc to, Teresa nie płakała.

Już niedługo, pomyślał Rick, powiem jej już niedługo. Ból znów pulsował mu w głowie. Nie mógł już tego znieść.

Teraz, postanowił, powiem jej teraz. I jakby bezlitosny Bóg podjął rękawicę, drzwi frontowe się otworzyły i usłyszał szybkie dziewczęce kroki Gilly. Szukała go.

- Rick, kochanie! To ja. Gdzie jesteś? Mam wspaniałą nowinę!

- Jestem w gabinecie, Gilly. Chodź do mnie. Musimy porozmawiać.

22

Dopiero w grudniu kobiety zebrały się na odwagę, żeby wrócić do 5F. Króliki doświadczalne Perrico utrzymywały z sobą kontakt przez te ostatnie tygodnie. Ich rozpacz narastała, w miarę jak przybierały na wadze, mimo że ze wszystkich sił walczyły o to, by panować nad jedzeniem.

To Marina wypowiedziała głośno oczywistą prawdę. - Nie rozumiecie? Na tym właśnie polega nasz błąd. Ile razy Gail nam to tłumaczyła? Miała całkowitą rację. Jak tylko podejmujemy próbę kontrolowania jedzenia, ono zaczyna kontrolować nas. To nie jest coś, z czym należy walczyć jak ze złym nałogiem.

Panie westchnęły, słysząc tę starą śpiewkę.

- Skąd my to znamy, Marino. Ładne słowa, ale co one nam dadzą? - powiedziała któraś w imieniu wszystkich.

- Nie pamiętacie, jak to było? Kiedy byliśmy w 5F, kiedy wyznawałyśmy bez zastrzeżeń jej filozofię, nasza waga pozostawała stała. Czy nie tak było?

Przyznały niechętnie, że faktycznie tak.

- Prawda, trochę przytyłyśmy - ciągnęła Marina - ale jesteśmy o wiele szczuplejsze niż w chwili, gdy przystąpiłyśmy do programu. Pewnie nie wrócimy do tej wymarzonej wagi, lecz może uda się nam zatrzymać nieuchronny powrót do stanu wyjściowego.

Musiały przyznać, że to ma sens. Gdyby mogły wrócić do stanu umysłów z czasów 5F, z pewnością utrzymałyby swoją obecną wagę. Było to lepsze niż nic, bez dwóch zdań.

Wchodząc grupą do budynku, zamierzały przedstawić swój punkt widzenia Gail. Wybrały ten wieczór, ponieważ był to dzień otwarty 5F. Nie podawano wtedy jedzenia, mogły więc uniknąć potencjalnego konfliktu. I nie trzeba było uprzedzać Gail o swoim przybyciu. Nie chciały dać jej okazji, żeby odmówiła im wstępu.

Miały rację, bojąc się jej reakcji. Gail z przyjemnością pokazałaby im drzwi, gdyby nie obecność mediów. Wyniki badań nad oxymetabulinem miały zostać ogłoszone szóstego stycznia i grupa 5F nie szczędziła już teraz krytycznych uwag co do skuteczności leku.

W rezultacie Gail stała się niemal osobistością. Marina szukała w jej twarzy, w postaci zmian wywołanych uwagą świata, ale niczego takiego nie znalazła. Gail wyglądała dokładnie tak samo jak kiedyś. Wydawała się szczęśliwa, jak zawsze, była wielka, ale nie większa niż przedtem, i równie elokwentna. Jej uśmiech zgasł, kiedy zobaczyła grupkę odchudzonych kobiet kręcących się nerwowo przy drzwiach. Kamery powędrowały za jej spojrzeniem. Wszyscy zauważyli, że radosny nastrój na sali przygasł.

Gail ruszyła w ich stronę, trzymając nerwy na wodzy. Podeszła bliźutko do Mariny, żeby dziennikarze nie słyszeli jej słów. Z trudem nadażał i za tą dynamiczną kobietą.

- Co wy tu robicie? Nie jesteście tu mile widziane.

- Gail, Przyszliśmy, bo potrzebujemy pomocy. Wiemy już, że miałaś całkowitą rację. Przyznaję. Ty miałaś rację, my się myliłyśmy. Powiem to dziennikarzom, jeżeli chcesz.

Gail odwróciła twarz w ten sposób, że patrzyła teraz na Marinę kątem oka.

- Już to kiedyś słyszałam, pamiętasz? Po tym, jak oddałaś się w nasze ręce po swoim tak zwanym kryzysie nowojorskim. „Och, Gail, to było okropne! Nie mogłam jeść, chociaż chciałam! Tylko ty możesz mi pomóc opanować emocje, żebym mogła rozwiązać mój problem!” Pamiętasz?

Marina pamiętała i skuliła się pod złośliwą, ale udaną parodią własnego zachowania. Gail jeszcze nie skończyła.

- Więc ci pomogłyśmy. Przegadałyśmy to z tobą, okazałyśmy współczucie i zrozumienie. Z końcem wieczoru odzyskałaś coś w rodzaju spokoju ducha. Czy to się zgadza?

Zgadzało się.

- I co wtedy zrobiłaś? Wzięłaś swoje tabletki, zabrałaś się ostro za gimnastykę, żeby stać się Królową Odchudzania, i więcej się nie pokazałaś. Rozwiązałyśmy twój problem, wypełniłyśmy lukę potrzeb emocjonalnych, której nie mogły zapełnić leki, żebyś mogła kontynuować swoją misję w Perrico. A teraz wracasz? I spodziewasz się, że rzucimy wszystko i pomożemy ci pozostać w rozmiarze czternastym? Spróbuj z Kontrolerkami Tuszy!

Odeszła, nie dbając o to, że ją fotografują i że może wypaść niekorzystnie. Marina ruszyła za nią. Chwyciła Gail za ramię i zmusiła ją, by wysłuchała tego, co ona ma do powiedzenia.

- Nie pozwoliłaś mi skończyć. Program jest zamknięty. Dałyśmy mu szansę, bo chciałyśmy, żeby się udało. Wszystko, co mówiłaś, jest prawdą. Leki niczego nie załatwiły. To się stało zbyt szybko. Schudłyśmy za szybko na to, by oswoić się z nowymi warunkami. Nasze umysły pozostały grube. Wołały; Hej, grubaski! Co się dzieje? Wyobrażacie sobie, że kim jesteście w tych obcisłych dzinsach?

Gail naskoczyła na Marinę, rozwścieczona jej ignorancją.

- Jak mądra kobieta może być taka głupia? Byłaś gruba z jakiegoś powodu. I nie dlatego, że lubisz jeść, choć może tak to sobie tłumaczysz. Chciałaś być gruba. Podświadomie. To twój wybór. Potrzebowałaś tego. Biorąc tabletki, usunęłaś warstwę ochronną, która do czegoś ci służyła. Ale przyczyna nie została usunięta. Ciągłe w tobie tkwi. Inaczej byś tutaj nie przyszła. To tak jakbyś zażyła aspirynę na krwotok wewnętrzny. I tak umrzesz, tyle że będzie mniej bolało. Ale jeżeli ustalisz przyczynę tego krwotoku i go zahamujesz... - Uniosła rękę. Nie miała już nic więcej do powiedzenia.

Marina skinęła głową. Wiedziała to wszystko. Nie rozumiała, dlaczego postanowiła być gruba, lecz w końcu była gotowa się tego dowiedzieć, stawić czoło samej sobie.

- Gail, potrzebuję twojej pomocy. Proszę, pomóż mi. Wiem, że mnie nienawidzisz za to, że tak szybko dałam za wygraną, ale jesteś jedyną osobą, która może mnie z tego wyciągnąć.

Gail zastanawiała się przez chwilę i poddała się, tak jak kiedyś. Poddała się, bo w przeciwieństwie do Davida i firm farmaceutycznych, nastawionych na to, by dorobić się

na nieszczęsnych grubych kobietach, ona się o nie troszczyła.

- Za kilka minut wygłoszę przemówienie. Zajmijcie miejsca, bo za chwilę ich nie będzie. Mamy dzisiaj komplet.

Stała przed prawie dwuosobowym zgromadzeniem bez notatek, bez wahania. Przedstawiła program organizacji i jej cele, po czym przeszła do spraw bardziej osobistych.

- Wiem, co myślicie, bo kiedyś myślałam dokładnie tak samo. Myślicie, że to wszystko brzmi pięknie, ale nigdy nie nadejdzie dzień, kiedy wyzwolicie się z kajdan jedzenia. Że nigdy nie będziecie mogły jeść, nie licząc kalorii na wewnętrznych kalkulatorze. I wiem, czego chcecie, gdyż ja również tego pragnęłam. Chcecie być szczupłe.

Salę obiegł szmer protestów.

- Nie, nie zaprzeczajcie! Tego pragniecie lub pragnęłyście. Ale musicie zadać sobie pytanie, dlaczego chcecie być szczupłe. Czy chcecie tego dla siebie? Czy brzydzicie się własnego ciała? Nie sądzę. Chcecie być szczupłe, bo powiedziano wam, że powinnyście tego chcieć. Grubych dziewcząt nikt nie wybiera. Nie robią tego dziennikarze, kapitanowie drużyn koszykarskich, członkowie klubu rugby. Wybiera się szczupłe. To od najmłodszych lat daje ci do zrozumienia społeczeństwo. Więc dlaczego pozostajesz gruba? Ponieważ nie potrafisz inaczej. Tylko ty wiesz, dlaczego prowadzisz tryb życia, który cię unieszczęśliwia, ale mam pewną teorię, może ci się wydać znajoma. Uważam, że wykluczyłaś się ze społeczeństwa, bo tym światem rządzą zbyt twarde, zbyt bezwzględne prawa. Ile z was zarzuciło uprawianie sportu po skończeniu szkoły, bo nie byliście w tym dobre?

Odezwało się wiele głosów.

- No właśnie. Nie lubiłaś sportu? Oczywiście, że lubiłaś. Wszystkie dzieci lubią gry, bieganie w słońcu, chcą przynależeć do grupy. Więc dlaczego z tego zrezygnowałaś? Bo zawsze przegrywałaś, sprawiając zawód sobie i swojej drużynie, i w rezultacie ponosiłaś konsekwencje. Nikt nie lubi nieudaczników. Nikt nie lubi być nieudacznikiem.

Bardzo wcześnie poznałaś przykry smak przegranej. Więc wprowadziłaś w życie polisę ubezpieczeniową, żeby to się już nigdy nie powtórzyło. Wystawiłaś sobie ogólne usprawiedliwienie na wszystkie życiowe gry. Przykro mi, mówiłaś innym zawodnikom,

nie mogę dzisiaj grać, jestem za gruba. Nie mogę tańczyć, jestem za gruba. Nie mogę starać się o tę pracę, jestem za gruba. Nie mogę żyć, jestem za gruba.

Ale nie uważałaś, że to fair, prawda? Że możesz tylko wyglądać przez okno, patrzeć, jak inne dzieci biegają, bawią się. Nie masz odwagi wyjść do nich. Nie możesz. Boisz się, że cię wyśmieją. Obrzucają wyzwiskami. Więc marzysz o tym, żeby świat się zmienił. Tak, to by było najlepsze. Ja zostanę, jaka jestem, a wszyscy inni niech się zmieniają, dopasują do moich realiów.

Wtedy dowiadujesz się o 5F. Hej, mówisz sobie, to jest to! To jest rozwiązanie. Oni wszystko zmieniają. Zmieniają mnie, a jeśli nie mnie, to świat; tak czy owak, nic na tym nie tracę.

Tak nie będzie. Nie zmienię was. Same musicie to zrobić. Same musicie stawić czoło swoim demonom, mieć odwagę je przegonić. To nie ma nic wspólnego z jedzeniem, tylko z tym, dlaczego wybieracie jedzenie. I nie zmienimy świata. Oczywiście, że nie. Widzicie tych wszystkich dziennikarzy, którzy robią notatki. Wrócą pędem do swoich redakcji, napiszą politycznie właściwy artykuł o tym, że grube jest dobre, chude nie. Zrobią jeden pokaz mody z kobietami w legginsach w rozmiarze szesnastym, a zdjęcia jeszcze wyretuszują, żeby chronić wrażliwość odbiorców. Ale kiedy będziecie szły ulicą, ci sami odbiorcy będą się nad wami litowali.

Nie, nie zmienimy świata. Możemy tylko pokazać, jaki jest okrutny. Pomóc sobie nawzajem. Ale prawdziwą bitwę stoczycie same. Każdy gruby człowiek musi walczyć ze swoim lękiem, a każdy szczupły ze swoimi uprzedzeniami.

Marina nagle zrozumiała i aż przestała oddychać. Miała wrażenie, że Gail zwraca się do niej. Ale kiedy się rozejrzała, zobaczyła urzeczone twarze kobiet, które chyba też czuły się wyróżnione. Świadomość, że jej najgłębsze cierpienie nie było niczym wyjątkowym, złożonym, przyniosła zarazem ulgę i rozczarowanie. Wydało się jej głupie, że poświęciła życie, by rozwiązać raczej mało splełany węzeł, i pocieszała się myślą, że nie jest sama w swojej głupocie.

Kiedy wybuchnęły brawa, Marina podsumowała swoje życie, przebiegła myślą upokorzenia i zawody, oszołomiona prostotą tego, co nią powodowało. Potem Gail poprosiła o pytania. Jak zwykle jej potężna osobowość i intelekt onieśmieliły audytorium i

nikt się nie kwapił. Marinie dodało odwagi nagłe zrozumienie swoich słabości. Podniosła rękę. Gail skinęła głową z lekką obawą.

- Gail, mam pytanie. Jest oczywiste, że rozumiałaś powody, dla których wiele kobiet wybiera tuszę. Zakładam, że zaliczasz siebie do tej grupy.

Gail znów skinęła na znak, że właśnie tak się sprawy mają.

- Wobec tego - ciągnęła Marina - dlaczego ta wiedza cię nie zmieniła? Przecież już nie boisz się życia. Nikt nie może ci zarzucić, że jesteś tylko obserwatorem. Więc dlaczego nie stałaś się automatycznie szczupłą?

Gail westchnęła.

- Jesteś dla mnie wielkim rozczarowaniem, Marino. Po tej próbie, nieudanej próbie, jaką podjęłaś, żeby obejść swój emocjonalny kręgosłup i zniszczyć niewinną tuszę, która tylko wykonywała polecenia twojej podświadomości, nadal uważasz, że chodzi o to, by być szczupłą.

Marina się najeżyła.

- Wcale tak nie uważam. Moje pytanie jest o wiele prostsze: skoro nie musisz już być gruba, dlaczego jesteś?

Pytanie zabrzmiało o wiele bardziej napastliwie, niż zamierzała. Ale było całkowicie uzasadnione i widownia aż się pochyliła w oczekiwaniu na odpowiedź. Gail powiodła wzrokiem po twarzach zebranych, szukając tej jednej jedynej, twarzy kogoś, kto by rozumiał jej stanowisko bez konieczności ubierania go w słowa.

- Dziwi mnie, że muszę to wyjaśniać członkiniom 5F. Ale jeszcze bardziej dziwi mnie, że wy, które poświęciłyście lata na dietetyczne zmagania, nadal nie pojęłyście fizjologicznych praw rządzących naszymi ciałami. Jestem nadal gruba, bo nie chcę przejść na dietę. Nie, już się nie obawiam świata. Otworzyłam sobie do niego drzwi, przystąpiłam do wszystkich klubów i zespołów. Kiedy mnie odtrącały, zmuszałam je, żeby mnie zaakceptowały wbrew swojej woli. Zaakceptowałam siebie, akceptuję siebie. Jaki byłby sens w tym, żeby przechodzić ten bolesny proces, gdybym po jego zakończeniu musiała się całkowicie zmienić? Równie dobrze mogłabym od razu przejść na dietę, zdobyć sobie prawo przynależenia do klubu poprzez przestrzeganie reguł członkostwa.

Marina była skonsternowana. Gail czytała w jej myślach.

- Tak, Marino, chcę powiedzieć, że dobrze mi z moją tuszą. Jestem gruba z wyboru. Z wyboru! To mi nie przeszkadza. Naprawdę patrzę na siebie codziennie w lustrze i umacniam się w przekonaniu, że chcę nadal być tą osobą. Widzę, że mi nie wierzysz.

- Po prostu trudno mi uwierzyć, że pozostajesz przy swojej wadze, nie jedząc więcej, niż powinnaś.

- Głupia jesteś? Oczywiście, że jem więcej, niż powinnam! Do licha, jem, na co mam ochotę. Bo to nie ma dla mnie znaczenia. Jedzenie ma znaczenie tylko wtedy, gdy pilnujesz swojej wagi. A moja waga jest, jaka jest. Gdybym chciała się odchudzić, musiałabym się ograniczać. Dzięki temu się chudnie. To chyba wiesz, prawda?

Sarkazm w jej głosie wywołał rumieniec na twarzy Mariny. Przypomniała sobie teorię Emmy, że Gail boi się być szczupłą, ale przestała w to wierzyć. Nagle tak bardzo pozazdrościła Gail, że to ją przeraziło i natchnęło zarazem. Taka chciała być. Nie bać się życia. Nie bać się jedzenia. Nie bać się własnego ciała. Miała ochotę podskoczyć, wyrzucić w górę ręce, jakby wstąpił w nią Duch Święty. Chciała ucałować Gail, stanąć u jej boku...

I kiedy tak to przeżywała, otworzyły się drzwi. Marina odwróciła się, żeby zobaczyć, kto przyszedł pod sarn koniec spotkania. Z tej odległości była to jeszcze jedna gruba kobieta, przygarbiona, jakby chciała uniknąć ludzkich spojrzeń. Dopiero kiedy podeszła bliżej, szukając wolnego miejsca, Marina rozpoznała Emmę.

Godzinę później Gail, Marina i Emma znalazły się razem w pubie. Długo namawiały Gail, żeby z nimi poszła. Marina podejrzewała, że byłoby to jeszcze trudniejsze, gdyby Emma straciła tyle kilogramów, ile ostatecznie przybrała.

Była radosna i ożywiona. Przesadnie. Dziwnie.

- Świetnie wyglądasz, Marino. Ile schudłaś?

Marina uświadomiła sobie, że pasek od spódnicy wrzyna jej się w ciało. Wciągnęła brzuch, żeby sobie ulżyć.

- Och, nie wiem. Nie ważyłam się od ostatniej sesji w Perrico. Trochę przytyłam od czasu odstawienia tabletek. Pewnie ważę około siedemdziesięciu kilo.

- Ja też trochę przytyłam po programie.

Gail i Marina wymieniły spojrzenia. Obie wiedziały, że Emma nie była w Perrico

od wielu miesięcy. Obie były zaniepokojone zmianą w jej wyglądzie i zachowaniu. Marina uznała, że Gail powinna sama poprowadzić dalej tę rozmowę. Lepiej znała Emmę i było mniej prawdopodobne, że powie coś, co ją dotknie.

- Gdzie się podziewałaś cały ten czas, Em? - zapytała Gail łagodnie. - Martwiłyśmy się. Ja się martwiłam. Bałam się, że masz kłopoty.

Emma roześmiała się tak głośno, że obie podskoczyły.

- Głupstwo! Nie ma się czym martwić. Miałam reakcję na te tabletki, i tyle. Trochę za dużo schudłam i niespecjalnie się czułam.

- I co zrobiłaś? - zapytała Gail.

- Pojechałam do domu.

- Do jakiego domu?

Emma znów się roześmiała i był to niepokojący śmiech, całkowicie pozbawiony wesołości.

- Niemądra jesteś! Do normalnego domu. Dom! Mama i tata, i reszta. Tak się cieszyli, że przyjechałam.

Pochłaniała kieliszek za kieliszkiem, ale trudno było powiedzieć, jaki to ma na nią wpływ, bo zdradzała objawy podniecenia, zanim zaczęła pić. Marina nie chciała nadużywać zaufania Gail, przyznać, że zna trudną sytuację domową Emmy, uznała więc, że lepiej udawać, że nic nie wie.

- To miło. Jesteście ze sobą blisko?

Gail rzuciła jej groźne spojrzenie, zirytowana tym, że ciągnie drażliwy temat, ale Marina ją zignorowała. Z Emmą działo się coś bardzo złego, potrzebowała pomocy. Ich obowiązkiem było pomóc się jej otworzyć, posłużyć jako tablice rezonansowe dla jej kłopotów. Zdawała się nie mieć nic przeciwko tej rozmowie.

- Bardzo blisko. Są ze mnie naprawdę dumni. Nie rozumieją wprawdzie, co robię, ale wysyłam im kopie wszystkich moich artykułów i jeżdżę w odwiedziny, jak tylko mam po temu okazję. Dawno nie byłam, więc postanowiłam wpaść do domu, pozwolić mamie, żeby się mną trochę zaopiekowała, jak wtedy, gdy byłam mała.

Marina chciała zapłakać, chciała przytulić tę biedną dziewczynę, błagać, by przestała udawać. Ale nie mogła.

- To miłe. I zaopiekowała się? - spytała, mając nadzieję, że ci okropni rodzice byli tak poruszeni widokiem swojej boleśnie chudej córki, że pielęgowali ją z miłością, której tak wyraźnie szukała. Znów ten śmiech. Coraz głośniejszy, bardziej piskliwy i przerażający.

Emma rozłożyła ramiona, ukazując swoje pulchne ciało.

- A jak myślisz? Oczywiście, że tak! Trzeba mi było tylko kilku dobrych domowych posiłków. Zapomniałam, jak lubię kuchnię mamy. Siadaliśmy wszyscy do stołu, jak za dawnych dobrych czasów. Oczywiście, oni mają już mężów i żony. I wiecie co?! Zostałam ciocią. Zapomnieli mnie zawiadomić, pewnie byli zbyt zajęci.

Gail łagodnie ujęła jej rękę. Emma natychmiast cofnęła dłoń, udając, że musi strzepnąć nieistniejący pyłek z żakietu.

- Naprawdę się cieszę, Emmo. Dobrze wyglądasz. Jak ci idzie pisanie? Ostatnio nie widywałam twoich artykułów. W każdym razie nie było ich tam gdzie zwykle.

- Skoncentrowałam się na temacie oxymetabulinu. Nie mam czasu na drobiazgi. To będzie przełom w mojej karierze. Nawet BBC się mną interesuje. Chcą zrobić dokument. Byli bardzo podekscytowani, kiedy się dowiedzieli, że byłam królikiem doświadczalnym!

- A powiedziałaś im, że wypadłaś z programu? - zapytała Marina z niepokojem.

Emma spojrzała na zegarek i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

- Słucham? Co mówiłaś? A tak, z pewnością, coś im o tym napomknęłam. Zresztą to nieistotne. Chcieli ode mnie tylko jednej rzeczy i to nie jest żaden problem. Przeciwnie, to nawet zabawne. Całkiem uzasadnione. Rozumiem doskonale ich punkt widzenia.

Gail serce podeszło do gardła.

- Czego oni chcą? - zapytała. Emma uśmiechnęła się radośnie.

- Tylko żebym trochę schudła.

Słowa zawisły między nimi, brzemienne znaczeniem, podczas gdy Emma grzebała w torebce, żeby zająć czymś drżące ręce.

- Och, Emmo! - powiedziała Gail ze smutkiem.

- Nie, to naprawdę żaden problem. Spytaj Marinę. Powie ci, jak szybko wyszczuplałam podczas tego programu. A jestem pewna, że brałam placebo, bo wcale nie czułam

się jak po lekach. To mi zajmie tylko parę tygodni. I trzeba spojrzeć na to z ich punktu widzenia. W ten sposób ta historia jest o wiele bardziej interesująca. Już prosili mnie o fotografie z czasów, gdy byłam najgrubsza. Wszyscy uwielbiają te porównania „przed i po”.

- Ale Emmo, jeżeli brałaś placebo, powinnaś raczej wykazać, że nie straciłaś na wadze. O to właśnie chodziło w całym tym programie. - Marina starała się przemówić Emmie do rozsądku, ale ona już nie chciała słuchać.

- Kiedy ja schudłam! Widziałaś mnie. Byłam szczupła, prawda? David powiedział, że schudłam najszybciej i najwięcej ze wszystkich - dodała z dumą. - Zresztą już się zdecydowałam. Koniec z maminy smalcem.

Oczami wyobraźni Marina ujrzała obraz złośliwej kobiety, która pakuje smalec do i tak nieapetycznego sosu, żeby ukarać córkę za jej odmienność.

- Wracam do diety i gimnastyki. Schudnę do pięćdziesięciu pięciu kilogramów i basta. Żadnych szaleństw. Nie martw się, nie zrobię nic głupiego.

- Więc czyje ono jest? - zapytała Marina.

Susie zrobiła zaszokowaną minę. Nigdy nie rozmawiały o weekendzie w Atenach.

- Kena, oczywiście. W Atenach nic się nie wydarzyło. Okazało się, że jadąc tam, już byłam w ciąży! Zabawne, prawda? Pewnie dlatego zachowywałam się jak szalona.

Marina zagryzła wargę. Trzeba jej tylko wyjaśnienia każdego szaleństwa w życiu Susie, żeby świat nabrał sensu. Zdławiła sarkazm i uścisnęła Susie, składając jej gratulacje. Odetchnęła z ulgą, uszczęśliwiona szczęściem przyjaciółki.

Ken był zachwycony ciążą, zwłaszcza dlatego, że Susie była zachwycona. Złożył zwariowane humory żony na karb instynktu macierzyńskiego, którego nie mogła natchmiast zaspokoić. Zaakceptował fakt, że będą mieli jeszcze jedno dziecko. Wszystko było lepsze niż mieszkanie pod jednym dachem z wiedźmą.

Susie zaczęła grzebać w torbach, które rozstawiła wokół swoich stóp. Jak zwykle nosiła je ze sobą.

- Spójrz na to, Mućka!

W torbach były ubrania ciążowe i ani jednej rzeczy dla Kena i dzieci. I choć Marina ucieszyła się, że przyjaciółka poświęca sobie czas i pieniądze, nie była pewna, czy jest

to najzdrowszy przejaw samouświadomienia.

Susie szybko zrzuciła legginsy i obszerną bluzkę, pod którą ukrywała przyrastające kilogramy, i włożyła markową sukienkę ciążową. W ciąży najlepsze było to, że automatycznie usprawiedliwiała tuszę. Susie defilowała z brzuchem wypiętym dumnie, choć w ciąży była ledwie kilka tygodni. Chciała, żeby ludzie zatrzymywali ją na ulicy i mówili: „Boże, Susie, ale ty przytyłaś!” Śmiałyby się z ich pomyłki. „O tak, przytyłam, bo jestem w ciąży”, powiedziałyby. A oni by przepaszali za swój straszny błąd i rozplęwali się nad jej stanem. Tak, najbliższe miesiące zapowiadały się bardzo przyjemnie.

A potem - karmienie piersią!

- A jak ty się czujesz, Mućka? Czy mi się wydaje, czy ty też masz dla mnie jakąś rewelację?

Marina dopiero po chwili zrozumiała, do czego pije Susie. Zaczerwieniła się z gniewu i frustracji.

- Nie jestem w ciąży, jeżeli o to pytasz. - Obronnym ruchem przyłożyła dłonie do brzucha. Był większy niż przed paroma miesiącami, ale wcale nie taki ogromny. - Trochę przytyłam od zakończenia badań, jak my wszystkie. Susie była przerażona. Ale gafę popęłniła!

- Boże, przepraszam! Musisz być zdruzgotana! Tyle męki i wracasz do punktu wyjścia. I to ma być cudowny lek? Po co było to wszystko?

- No cóż, poznali właściwości leku. Taki był cel programu. Nie żałuję, że wzięłam w nim udział. Nadal jestem o tonę szczuplejsza niż kiedyś. I sporo się dowiedziałam. O sobie. Byłam gruba i byłam szczupła. Po raz pierwszy w życiu mogę świadomie zdecydować, jaką osobą w sensie fizycznym chcę być. I sporo już wiem o innych.

- Mówisz o tym całym Andym? Paskudny skutek uboczny, którego nie przewidzieli! Gdybyś nie schudła, nie musiałabyś zadawać się z tym czubkiem.

Marina uniosła brwi, rozbawiona takim ujęciem sprawy.

- Nie było tak źle, Susie. Z Andym przeżyłam piękne chwile. Okazał się po prostu trochę... zakrecony, jak my wszyscy. Zresztą nie był jedynym czubkiem.

- Co masz na myśli? A, Mućka! Nie powiedziałaś mi! Kim był ten drugi?

- David Sandhurst - wyznała Marina ze złośliwą przyjemnością. Nie mogła przewi-

dzieć reakcji, jaką wywoła. Susie zbladła i zaczęła dyszeć.

- Dobrze się czujesz, Susie? Co się stało? Coś z dzieckiem?

- Spałaś z Davidem? - zapytała Susie słabo. - Kiedy? Marina wzruszyła ramionami.

- Właściwie nie pamiętam. To był tylko jeden raz.

- Kiedy? - naciskała Susie. Robiła małe dziurki w papierowej torbie, wybijając stopą jakiś rytm.

Marina ściągnęła brwi. Uznała, że Susie ma zaburzenia hormonalne, które powodują tak dziwne zachowanie.

- Daj mi się zastanowić. Byłam z nim w łóżku, kiedy do mnie zadzwoniłaś, wtedy o świcie, pamiętasz?

Susie pamiętała. Spędziła straszną noc, patrząc, jak wskazówki zegara posuwają się wolniutko, torturowana własnym ciałem, które ciężko jej było dźwigać, nawet wtedy gdy siedziała, umęczona myślą, że David porzucił ją dla kogoś szczuplejszego i piękniejszego. Nawet w tym nastroju samoudręki nie podejrzewała ani przez chwilę, że tym kimś będzie jej najlepsza przyjaciółka. Jej pękata, nieciekawa, najlepsza przyjaciółka, dzięki której wyglądała jeszcze szczuplej, jeszcze piękniej. Tak było od początku ich znajomości. Susie nigdy się do tego nie przyznała nawet przed sobą, ale ta prawda zawsze była tuż, nadając kształt ich przyjaźni.

Wstydziła się, że tak czuje, usprawiedliwiła się też zaraz tym, że większość kobiecych przyjaźni ma podobnie chwiejne fundamenty, których lepiej nie tykać. W każdej parze jedno jest zawsze lepsze od drugiego.

Nie zmieniło to jej uczuć do Mariny. Nie wybrała świadomie przyjaciółki, która byłaby mniej atrakcyjna od niej, prawda? Tak się po prostu złożyło. A nawet jeżeli zrobiła to celowo, nie mogło to wymazać dziesiątków lat znajomości i tego wszystkiego, co nawzajem w siebie zainwestowały. Równowaga ustaliła się sama i musiała być właściwa, skoro utrzymała się przez tyle lat.

W każdym razie teraz czuła się tą pokrzywdzoną.

- Susie, powiedz coś! Co się stało? - pytała zaniepokojona Marina.

- Powiem ci, co się stało. David był moim kochankiem.

Oznajmiła to zupełnie beznamiętnie. Werble nie były potrzebne, fakty okazały się

wystarczająco dramatyczne. Marina wrzuciła nową informację do mentalnego komputera, który uruchomiła niedawno, żeby przetwarzać coraz to nowe rewelacje, spadające na nią niemal codziennie.

Nie zdołała się opanować. Szeroki, wszechogarniający uśmiech rozjaśnił jej twarz, aż przymknęła oczy z uciechy. Uśmiech przeszedł w śmiech, dwuznaczny śmieszek, którego nie miała w swoim repertuarze komunikacyjnym rok wcześniej.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego! - wykrzyknęła Susie z goryczą. - Złamał mi serce. I sama ci go przedstawiłam!

Marina nie mogła powiedzieć Susie, co ją tak bawi. Nie nauczyła się jeszcze okrucieństwa, choć Susie być może zasłużyła na emocjonalnego klapsa. Dosyć nadokuczała Marinie przez te lata, co z tego, że nieświadomie. Marina była zachwycona tym aktem dziejowej sprawiedliwości, jakim się okazała jej jednonocna przygoda seksualna z kochankiem Susie.

Od czasu gdy skończyły dziesięć lat, reguły ich przyjaźni były ściśle określone i przestrzegane. Susie mogła zazdrościć Marinie jej zawodowych sukcesów, ale nie były to sukcesy, których sama by pragnęła. Tak czy inaczej, Marina była zdziwiona, że Susie mogła zazdrościć jej czegokolwiek. W każdej innej sferze jednakże to Susie miała przewagę.

Bo mimo udręk, jakich przysparzał Susie mąż, dzieci i wszystkie sukcesy towarzyskie, w oczach Mariny przyjaciółka była zawsze uosobieniem kobiecego ideału.

W jej przekonaniu Susie wygrała maraton, ona bieg z łyżką i jajkiem.

Ale teraz Marina zepchnęła Susie z podium raz na zawsze. Miały wspólnego kochanka. Co więcej, jak przyszło co do czego, ów kochanek wybrał Marinę, odrzucając Susie. Połączone problemem tuszy, który Marina przekazała Susie jak znicz olimpijski, teraz miały dokonać całkowitego przewartościowania swojego związku. Marina wątpiła, czy ich przyjaźń by to przetrwała, gdyby nie ciąża Susie.

Ale Susie była w ciąży i miała spaczoną perspektywę.

- Wybaczam ci, Mućka. Mimo że zachowałeś się podle. Szalona Susie.

- Dziękuję - odparła rozbawiona Marina, starając się, żeby w jej głosie zabrzmiała wdzięczność.

Łatwo być wielkodusznym. Miłość ma to do siebie.

23

Chodzi ci o randkę? - Poczwała się bardzo odważna, gdy zadała to pytanie. W końcu gdyby się myliła, wyszłaby naprawdę na idiotkę.

Paul wyglądał na zdesperowanego. - Jasne, że mówię o randce. O co innego miałyby mi chodzić?!

Marina zaczerwieniła się. Paul pojawił się w jej biurze nieoczekiwanie. Oczywiście, nie wiedziała, że cały dzień zbierał się na odwagę, żeby się z nią umówić. Kilkanaście razy sięgał po telefon. Dotarł nawet pod gmach TNSW, ale nie wytrzymał i kazał taksówkarzowi zawrócić.

- Bo mi się zdawało, że powiedziałeś, że chodzisz na musicale sam albo tylko z rodziną.

Paul, już pewny siebie i podniecony sukcesem, wycelował w nią palec.

- Tego to ja nie mówiłem. Ja powiedziałem, że wolałbym się wybrać do teatru sam niż z kimś, kto się na tym nie zna. Jeśli poszedłbym z kimś, musiałby to być ktoś szczególny, a jak na razie nie znalazłem zbyt wielu szczególnych ktosów w moim życiu.

Teraz Marina zrozumiała, jak to jest, kiedy ma się piętnaście lat i ucieka w młodsze marzenia. Były ciepłe, rzeczywiste i niepokojące, wzbogacone głębokim i prawdziwym uczuciem, jakie rozwinęło się między nimi w ciągu tego ostatniego, pełnego wydarzeń roku. Stała się „kimś szczególnym”. Do Gwiazdki pozostał już tylko tydzień i po raz pierwszy te święta będzie obchodzić w absolutnie nowej sytuacji.

Może kupi jej jedną z tych wielkich kart z napisem „Wesołych Świąt Dla Kogoś Szczególnego”, które - jak widziała - szczęśliwi ludzie kupują w kioskach. Może dostanie od niego prawdziwy prezent, wybrany z wielką pieczołowitością, taki, jakie kupuje się dla „kogoś szczególnego”. Jeszcze bardziej wzruszyło ją to, że i ona kupi coś dla niego. Bo z całą pewnością on będzie dla niej również „kimś szczególnym”.

- Ty płaczesz? - Przyklęknął obok jej krzesła, zupełnie jak tamtego wieczoru w Grecji, kiedy zachorowała w jego pokoju.

Pytanie ją zaskoczyło. Dotknęła palcami twarzy, sprawdzając, czy rzeczywiście płacze. On zrobił to samo w tej samej chwili i ich palce razem znalazły kropelkę, która toczyła się po jej policzku, nabrzmiała szczęściem.

- Przepraszam - szepnęła, zawstydzona, że nie potrafi ukryć emocji.

- Byleby to były łyzy szczęścia, a nie żalu - powiedział Paul. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i delikatnie wytarł jej twarz.

- To szczęście... Myślałam o Bożym Narodzeniu.

- A dokładniej? Marina spojrzała na niego.

- Że ośmielam się myśleć, że to będą szczęśliwe święta.

Paul wybiegł myślą dalej w przyszłość niż do świąt. Znacznie dalej.

- Obiecuję ci, że będą szczęśliwe.

I rzeczywiście były. Firma praktycznie zamknęła się na dwa tygodnie. Paul i Marina spędzili ten czas razem, z wyjątkiem pierwszego dnia świąt.

Nawet Boże Narodzenie z rodzicami okazało się szczęśliwszym wydarzeniem niż kiedykolwiek przedtem. Zniknęło napięcie między Nancy i Donaldem i między nimi a Mariną. Nie brakowało chwil milczenia, ale były one normalnymi w każdej rodzinie przerwami, podczas których jej członkowie starają się odnowić łączące ich więzy.

- Bardzo miłe święta - powiedział Donald po kolacji. - Naprawdę mi się podobały.

Zarówno Marinę, jak i Nancy zaszokowało to oświadczenie. Zabrzmiało jak szekspirowski monolog. Donald był teraz jakiś inny.

- To jest pierwsze Boże Narodzenie - ośmieliła się powiedzieć Marina - bez żadnych docinków i przykrości. Z niczyjej strony - dodała, biorąc na siebie część odpowiedzialności za przeszłość.

Nancy nie oderwała wzroku od szydełkowej robótki.

- Teraz jest inaczej. Przedtem baliśmy się powiedzieć lub zrobić coś, co mogłoby nasunąć myśl o... no wiesz... Byłaś taka drażliwa. Baliśmy się ciebie zdenerwować.

Marina przebiegła w myśli wszystkie Gwiazdki i dostrzegła prawdę w słowach Nancy. Nie znosiła świątecznych kolacji, bo musiała liczyć każdy kęs, żeby pozbawić matkę amunicji, którą strzelała do niej podczas tradycyjnej powigilijnej kłótni. Zabraniała sobie wszystkiego, a to sprawiało, że była niezadowolona i zła. Albo w każdej

chwili milczenia dopatrywała się oskarżenia, na które musiała odpowiedzieć atakiem. „Nie patrz tak na mnie!”, zaczynała typowo. Następne salwy mogły brzmieć różnie, ale zakończenie było znowu typowe. Marina: „To nie moja wina, że jestem gruba!” A Nancy: „W takim razie czyja?”

Te święta były inne. Ale tylko jedna postać zmieniła się w tej scenie. I Marina musiała przyznać, że ponosi odpowiedzialność za większość kłótni z minionych lat. Doszło do tego, że uważała dom rodzinny za ring, na którym musi zadać pierwszy cios. I ostatni. Zastanowiła się głęboko, a potem podjęła myśl, którą rzuciła matka:

- Nie powiedziałaś, że przytyłam.

Ojciec zerwał się od stołu - poszuka rękawic ogrodowych i schroni się w szopie.

- Nie odchodź, tato. Proszę! Nie zrobię sceny. Ja chcę oczyścić atmosferę.

Donald przysiadł niechętnie. Włączył telewizor, ale ustępując pod krytycznym spojrzeniem żony, przyciszył głos i uruchomił napisy dialogowe, z nadzieją, że chociaż w ten sposób oszczędzi sobie udziału w rozmowie.

Nancy wzięła głęboki oddech i odpowiedziała:

- Oczywiście, zauważyłam, że przytyłaś trochę od naszego ostatniego spotkania. Ale żeby być szczerą, poczułam ulgę. Byłaś zbyt szczupła, sama wiesz. A jak ci przedtem mówiłam, zrozumiałam, że twoja waga jest twoją osobistą sprawą, czymś, o czym decydujesz sama, co muszę zaakceptować, a nie potępiać.

Jak na Nancy było to niezwykle długie przemówienie. Marina poczuła wdzięczność. Zrewanżowała się matce, wyznając:

- Nie byłam wtedy szczerą. Chodzi o to, jak straciłam tę całą nadwagę.

Opowiedziała rodzicom o przejściach z oxymetabulinem. Niczego nie ukryła (poza flirtem z uczonym, który wynalazł ten specyfik, w końcu to są rodzice!). Nawet Donalda tak pochłonęła ta opowieść o zepsuciu moralnym i praniu mózgu, że zapomniał o telewizji. Rozczarował go tylko całkowity brak seksu w tej historii. To by dopiero dodało emocji niezbędnych w porządnym serialu.

Nancy stała się opiekuńczą, oburzoną matką, gotową pójść do boju, aby pomścić krzywdy wyrządzone córce.

- Mamo, nie przejmuj się tak! To już skończone! Już nie tęsknię za tymi pigułkami.

Ja nawet nie wiem, czy przyjmowałam specyfik, czy placebo, więc to wszystko mogło się dzieć tylko w mojej głowie. Nieważne, nic mnie to teraz nie obchodzi. Powiedziałam wam ostatnio, że dokonałam tego, ponieważ poddałam się zaleceniom 5F. Ale to nieprawda.

- Domyśliłam się, kiedy zobaczyłam, jak zeszczuplałaś w ciągu jednego miesiąca.

- Teraz jest inaczej. Naprawdę poukładałam sobie wszystko w głowie. Naprawdę nie mam już z tym żadnych problemów.

Nancy spojrzała bacznie na córkę i wtedy to zobaczyła: światło jaśniejące gdzieś spod skóry Mariny i niegrubego ciała na kościach.

- Mężczyzna! - Zabrzmiało to jak stwierdzenie, nie jak pytanie.

Reakcja zaskoczonej Mariny tylko je potwierdziła. Nancy zadrżała, kiedy odkryła tę nową sferę w życiu córki. Poczula się jak matka, jak prawdziwa matka, po raz pierwszy od czasu, gdy Marina była jeszcze małą dziewczynką.

Marina nie mogła się powstrzymać, chciała wyznać wszystko.

- Och, mamo! On jest cudowny! Ma na imię Paul. Polubisz go, wiem o tym. Jest taki... miły. I uwielbia musicale. I ty też go polubisz, tato! Też lubi pracować w ogródku. Ma tylko balkon, ale naprawdę się nim zajmuje... - Przerwała. - O co chodzi? - spytała, zastanawiając się, dlaczego rodzice patrzą na nią tak dziwnie.

- Nigdy cię takiej nie widzieliśmy - wyznała Nancy.

- Jakiej?

Donald znalazł właściwe słowo:

- Szczęśliwej.

- Założę się, że im powiedziałaś, że jestem miły - mruczał Paul.

Marina całowała jego oczy.

- Oczywiście! Tak się mówi rodzicom. Obowiązkowo. A co innego miałam powiedzieć?

Paul wypuścił ją z objęć i całował od koniuszków palców po szyję.

- Że jestem najwspanialszym kochankiem, jakiego kiedykolwiek miałaś. Że przy mnie jęczysz z rozkoszy. Że kocham się z tobą w każdym pokoju. To im miałaś powiedzieć.

Marina zamknęła oczy i poddała się rozkosznemu uczuciu. Nie było chyba minuty, w której nie doznawałaby radości, jaką Paul jej dawał. Nauczył ją traktować ciało jako źródło szczęścia, a nie narzędzie, tortur. Pozbyła się wszelkich uprzedzeń w miłości, bo jeśli ten wspaniały mężczyzna kochał każdy milimetr jej ciała, to mogła je kochać i ona.

Kochała Paula, była tego pewna. Zawsze zastanawiała się, skąd wiadomo, że się kogoś naprawdę kocha. Po prostu się wie, twierdzili doświadczeni. I to jest prawda! - chciała krzyknąć. Po prostu się wie. Ja wiem!

Pozbyła się również innych zahamowań. W Wigilię wybrali się do supermarketu i wydali prawie sto funtów na jedzenie. Kupowali wszystko, na co tylko mieli ochotę. Marina złapała ciastka, szynkę i cholernie drogie wiśnie, Paul dorzucił belgijskie czekoladki, wędzonego łososa i colę, i szampana.

Nie jedli porządnych posiłków. Traktowali jedzenie jako niegodne uwagi wobec tak poważnych zajęć jak życie i miłość. W styczniu Marina zrobiła podsumowanie świątecznego sezonu i dokonała zaskakującego odkrycia: przybrała na wadze. Jak wszyscy normalni ludzie podczas świąt! Ale nie miało to żadnego znaczenia.

W sylwestrowy wieczór Paul poprosił ją o rękę.

- Dlaczego się tak długo namyślałeś? - zapytała.

- Szczęśliwego Nowego Roku, kochanie!

- Szczęśliwego Nowego Roku, Gilly!

Rick i Gilly tręcili się kieliszkami. Gilly uparła się, żeby Rick pił szampana. To, że ona nie mogła pić, nie oznaczało, że nie powinni się cieszyć. Zwłaszcza że rzeczywiście mieli powód do radości.

- Jeszcze nie mogę zapomnieć twojej miny, gdy ci powiedziałam - po raz setny powtarzała uszczęśliwiona Gilly.

Rick uśmiechał się, mając nadzieję, że nie zawodzą go mięśnie twarzy.

- Tak jest! To ci niespodzianka!

- Popatrz! Tyle lat po Lornie! Ci lekarze nie mają pojęcia, o czym mówią. Nigdy, też coś! Czyż to nie cudowne?! Tym razem będziemy mieli tak wiele do dania. Ja zrezygnuję ze studiów i stanę się prawdziwą mamusią na pełnym etacie. A ty mógłbyś pomyśleć o przejściu na pół etatu. Sam mówiłeś, że czasami ta robota cię wykańcza. A prze-

cież nie potrzeba nam więcej pieniędzy. Jesteś szczęśliwy, prawda? Powiedz!

- No jasne! - Rick wziął Gilly w ramiona i przytulił ją mocno, żeby nie dostrzegła wyrazu jego oczu.

Odtwarzał w pamięci chyba już setny raz moment siły, jaką miał w sobie, gdy jedynym palcem wyrzucił do śmieci folder Kornwalii z ekranu komputera. Lecz nie znajdował niczego podniosłego w nowej sytuacji: musi stawić czoło tej niechcianej odpowiedzialności. Nie miał żadnego wyboru, nie musiał niczego rozstrzygać. Gilly właśnie przedstawiła mu wizję osiemnastu lat jego nowej przyszłości. Mógł się z tym tylko pogodzić.

Oczywiście, mógł wybrać wiele innych rozwiązań. Zawsze mógł uciec. Skądże, nie mógł. Zapraǳnął być facetem, który nie odczuwa ciężaru moralnej odpowiedzialności. Ale nie był.

Mógł się zabić. Ale byłby to melodramatyczny krok, sugerujący, że w jego emocjach dzieje się coś wyjątkowego, coś szczególnego i żadna istota ludzka nie jest w stanie tego udźwignąć. A po bożonarodzeniowej introspekcji, podsycanej alkoholem, zrozumiał, że jego największą tragedią jest jego zwyczajność.

Jego nieszczęście było tylko ludzkim losem. Jego cierpienie to ból, który każdy musi znośić. Wada? - wygórowane oczekiwania. A kara? Będzie musiał przebrnąć przez to wszystko jak każdy, zadowolić się tym, co ma, pogrzebać marzenia i podsumować, co zdobył.

Czy odczuwał ból ostrzej niż inni? Skąd ma to wiedzieć?! Zaśmiał się gorzko do siebie. Może inni również grzebali swoje uczucia tak głęboko i skutecznie jak on. Może taka jest reguła, jedyny sposób, żeby przetrwać...

On przetrwa. Bo taki już jest. Choć nie miał najmniejszego pojęcia, jak wytrzyma następnych osiemnaście dni, nie mówiąc już o osiemnastu latach.

I wtedy olśniła go myśl. Miał jeszcze domek w Kornwalii. Już spłacony. Całkowicie realny. Jeszcze był, nie znikał. Na razie on też nie zniknie. Ale będzie nadal marzyć. I planować. I marzyć.

Andy spędził Nowy Rok na pakowaniu. Jego nominacja została potwierdzoną, firma chciała go mieć jak najszybciej. Gdy w końcu się zdecydował, stwierdził, że nowa

perspektywa pociąga go coraz bardziej. Owszem, wiedział, co wszyscy będą mówili. Kilka lat wcześniej sam by sobie to powtarzał. Może nawet kilka miesięcy temu.

Duża ryba w małym stawie.

Lecz gdy tylko wpadł na ten pomysł, wszystko stało się jasne i słuszne. Wejść do mniejszej agencji. Zainwestuj w nią trochę własnej forsy. Zasiądź od razu w zarządzie. Zaangażuj się. Bądź kimś. Zdobądź nazwisko. Wystartuj od nowa. Zmień się.

Pogodził się z myślą, że nie będzie mógł rywalizować z Rickiem w nieskończoność. Nie byli tacy sami. Nigdy nie byli. Więc zbuduje swoją karierę gdzie indziej. Pewnie mniej błyskotliwą niż Rick. Znajdzie kobietę, którą pokocha i z którą zwiąże się na stałe. Pewnie też nie tak doskonałą jak Gilly.

Zastanowił się, czy Rick odczuje jego brak. I czy jemu brakować będzie Ricka. Obiecali sobie, oczywiście, że nie stracą ze sobą kontaktu. Ale stanie się inaczej. Andy roześmiał się, wyobrażając sobie Ricka, który wyjeżdża z Londynu, aby z nim spędzić weekend. Ricka, tego zatwardziałego mieszczucha! Z alergią na świeże powietrze, na ciszę! Nie, nie zdobędzie się na podróż do nowego domu Andy'ego.

Tego dnia Andy świadomie odegnał uczucie zazdrości, a wicher wyzwolenia, który zatargał jego duszą, przyniósł zapierające dech w piersi podniecenie.

Jutro będzie już dyrektorem małej, lecz ambitnej agencji reklamowej. W Truro.

Truro, w Kornwalii.

24

Pogrzeby nie należą do pogodnych ceremonii, ale wokół pogrzebu Emmy była szczególnie ciężka atmosfera, gęstniejąca w miarę, jak ujawniały się nowe okoliczności tragedii.

Marina, Teresa i Gail siedziały razem. Przyszło też kilka innych uczestniczek 5F, co trochę powiększyło orszak pogrzebowy. Pojawiło się też kilku redaktorów, ale razem było nie więcej niż dwudziestu żałobników - smutne podsumowanie pełnego zawodowych sukcesów życia młodej kobiety.

Być może ludzie zareagowali tak na samobójstwo. To śmierć ma wybrać ciebie, nie

ty ją. I chociaż Emma wybrała sobie pewną metodę samobójstwa (pigułki i żyły przecięte w nadgarstku w wynajętym pokoju w Boże Narodzenie), można było wyczuć podejrzenie, że całe to nieszczęście służyło przede wszystkim zwróceniu na siebie uwagi i dlatego powinno zostać zignorowane, jak złe zachowanie niemowlaka.

Jak podczas większości pogrzebów i tym razem nikt nie znał obowiązujących reguł. Niezręcznością wydawało się rozpoczynanie rozmowy towarzyskiej z zupełnie obcymi ludźmi, którzy akurat mogli szaleć z bólu po stracie najbliższego członka rodziny. Na szczęście rodziny Emmy nie obchodziły żadne zasady.

Jej rodzice przyszli z czworgiem swoich dzieci. Widać było, że czują się niezręcznie w garniturach i sukniach, najwyraźniej pożyczonych od znajomych, niższych o piętnaście centymetrów. Ich żałoba zdawała się powierzchowna. Wyglądali, jakby zwlekli się z łóżek po balandze trwającej do rana, narzucili obce ciuchy, zobaczyli, jak im w nich śmiesznie, i w ogóle przestali uczestniczyć w żałobnej ceremonii.

Gail stwierdziła, że są dokładnie tacy, jak mówiła Emma. No, ale ona była pisarką, dobrą pisarką. Umiała przekazywać swoje myśli. Dlaczego jednak milczała, gdy naprawdę potrzebowała słuchacza? Gail doznała wstrząsu, kiedy wyobraziła sobie przyjaciółkę umierającą w samotności, powoli, tak bardzo powoli, podczas gdy reszta świata bawiła się fajerwerkami, śmiała się z głupich dowcipów i oglądała komedie. Przez chwilę zastanawiała się - nienormalne - czy Emma coś przedtem zjadła.

Po nabożeństwie rodzice Emmy przedstawili się przyjaciółom córki. Podawali ręce zamaszyście, jakby pieczętowali sprzedaż używanego samochodu.

- Jesteśmy Jack i Ruby Lamming. I co? Robiliście w prasie razem z naszą Em?

Przez chwilę kobiety zastanawiały się, kim w ogóle są ci ludzie. Upłynęło trochę czasu, zanim zrozumiały, że Emma musiała zmienić nazwisko na Lamington. Jeszcze jedna przemiana, pomyślały gorzko. Gail jak zawsze pierwsza zapanowała nad sytuacją.

- Jestem Gail Bathurst. A to Marina i Teresa. Bardzo przyjaźniłyśmy się z Emmą. Przykro nam, że ją utraciliście.

- Dziękuję, kochana! - Jack Lamming ciepło uściskał jej dłoń. - Ale szczerze mówiąc, zbytnio nas to nie zaskoczyło. Zawsze była dziwna. Nigdy nie mogliśmy jej zrozumieć. Idziecie z nami na drinka?

I w ten niezbyt wyszukany sposób w najbliższym pubie zorganizowała się stypa. Marina powiedziała Teresie, żeby poszła z nimi, ona dołączy później.

Nie wiedziała, dlaczego chciała zostać trochę dłużej w kościele. Ani dlaczego chciała zostać tu sama. Właściwie w nic za bardzo nie wierzyła. I czuła, że każda jej modlitwa byłaby obłudą. O co miałyby się modlić? Za późno, by modlić się za Emmę, a reszta z grupy na pewno przetrwa. Czy w ogóle wolno się modlić o życie lepsze niż tylko przetrwanie?

Wyszła z kościoła po dziesięciu minutach. Nigdy nie powiedziała nikomu, czego tam doznała. Bo i nie było o czym gadać. Żadnej wizji. Żadnej boskiej interwencji. Tylko cudowne uświadomienie sobie, że znalazła dla siebie szansę na coś większego, bardziej znaczącego, wartościowszego. Poczwała, że nadzieja istnieje, że istnieje zbawienie dla nich wszystkich.

Choć jeszcze wiele czasu upłynie, zanim może wyznawać będzie wiarę i podejmie związane z tym zobowiązania, tego dnia dostrzegła, że drzwi nieznacznie się przed nią uchyliły. I po raz pierwszy w całym swoim życiu Marina doznała spokoju.

Lammingowie przytrzymali drzwi pubu, puszczając kobiety przodem. Teresa, zawsze pierwsza w promowaniu dobrych manier, podziękowała ciepło Jackowi.

- Zamów dla mnie kufel piwa z whisky, kochanie, a dla żony i dzieciaków po piwku! - zawołał za nią.

Zrozumiała, że został przy drzwiach, żeby nie płacić za kolejkę.

- Facet nie sięgnie do kieszeni nawet na pogrzebie córki - syknęła teatralnym szepcem, gdy Marina stanęła przy niej.

- Ciii... Usłyszysz cię!

- A co mnie to obchodzi?! To wstrętne!

- Terry, popatrz na nich! Oni wszyscy razem nie mają jednego pensa. A nas na to stać.

- Może ciebie. Ja muszę zacząć pilnować swojej forsy. Rod wycofuje się ze spółki. Chce mi odsprzedać swoje udziały, żeby zafundować sobie dom, Dziewicę Marię i przyszłego dziedzica.

Marina spojrzała na przyjaciółkę zaszokowana. Coś zbyt często jej się to zdarzało

w czasie tak krótkiej znajomości.

- Tak mi przykro, Terry! To się nigdy nie skończy, prawda? Co masz zamiar zrobić?

Teresa duszkiem wypła drinka i poprosiła barmana o powtórkę.

- Wezmę kredyt z banku, znajdę nowego sprzedawcę, dopilnuję, żeby interes się kręcił, jakoś przetrwam.

Marina nie wiedziała, jak wyrazić współczucie. Ścisnęła rękę Teresy i wybełkotała coś na pocieszenie. Teresa wyswobodziła rękę.

- Dzięki i w ogóle... Ale dziś myślmymy o Emmie. Ja jeszcze żyję.

Wzniosły toast za Emmę, życząc jej wiecznego spoczynku, a potem wróciły do jej rodziny, która już się niecierpliwiła. To było kosztowne popołudnie. Marina podała swoją kartę kredytową szefowi pubu, biorąc wszystkie wydatki na siebie.

Rozmowa kulała, zanim drinki złagodziły napięcie. I wtedy Gail ujawniła najsmutniejszą prawdę. Nie mając istotniejszego tematu, wokół którego można by rozwinąć konwersację, napomknęła o ostatniej podróży Emmy do domu.

- Dobrze, że chociaż byliście razem na krótko przed jej śmiercią. To musi być dla was wielka pociecha.

Jack i Ruby popatrzyli po sobie zaskoczeni.

- Nie wiem, o czym pani mówi. Nie widzieliśmy jej od jakichś pięciu lat. Owszem, zawsze coś nam przysyłała, takie tam prezenty albo to, co napisała, choć nic z tego nie rozumieliśmy, ale nigdy nas nie odwiedzała. Byliśmy dla niej za nisko, no wiecie.

Reszta rodziny potwierdziła to zgodnym pomrukiem. Najwyraźniej był to temat regularnych dyskusji w ich rodzinnym kręgu.

Gail, Marina i Teresa w milczeniu przeżywały tę wiadomość. I pytanie: dokąd w takim razie uciekała Emma w te tygodnie, które rzekomo spędzała u rodziny, doświadczając gościnności w stylu *Domku na prerii*. Gdziekolwiek by była, musiała cały ten czas się objadać, bo tyła okropnie. Dowiedziały się także od znajomych z jej redakcji, że z tych wyjazdów nie przywoziła żadnych nowych materiałów. Zawaliła parę terminów i w praktyce została wyeliminowana z nasyconego rywalizacją światka niezależnego dziennikarstwa, który nie tolerował nierzetelności.

Siedziały tak, myśląc o tym, co powiedziała Emma podczas ostatniego spotkania grupy 5F. Przeoczyły wszystkie sygnały. A to była jej ostatnia próba wołania o pomoc. Albo o wsparcie.

O cokolwiek. Oczekiwała czegoś od przyjaciółek, lecz one tragicznie ją zawiodły. Ciągłe wisieć będzie nad nimi klątwa. Poczuły lekką pretensję do Emmy za to, że zostawiła je naznaczone wiecznym poczuciem winy.

Nie zostawiła listu. Był to znak gorzkiej, totalnej desperacji. Nie miała nic do powiedzenia, żadnego przesłania. Oderwała się bezwzględnie od życia i od wszystkiego, co było z nim związane. Po prostu podjęła decyzję, że przestaje istnieć. Nie będzie się zajmować żadnymi sprawami czekającymi na załatwienie. Istniała tylko jedna sprawa, i ta dotyczyła wyłącznie jej. Tylko jej.

David Sandhurst przeczytał wiadomość o samobójstwie Emmy w gazecie, trzeciego stycznia, gdy leciał nad Atlantykiem. Głupia krowa, pomyślał. Chciał jej pożałować, aby czuć się po ludzku. Ale nie mógł. Resztki żalu zachował dla siebie.

I pograżał się w nim bez reszty.

Przynajmniej nie można go winić za tę śmierć. Emma nie dostawała oxymetabulinu. Nie potrzebowała go. Była tak zwariowana, że jej organizm sam z siebie produkował substancje zmieniające pracę mózgu. Tyle że nikt się o tym nie dowie. Nim wyjechał z kraju, wymazał wszystkie dane z komputera.

Zawsze jednak było możliwe, że szantażujące go rekiny spróbują coś wycisnąć z papierów, które mu skradziono. Ale to nie miało już znaczenia. Jego kariera dobiegła końca. Badanie zostało zdyskredytowane. Nic więcej nie da się zrobić w tej smutnej sytuacji.

Musiał działać szybko. Jane w końcu odnalazła go w jego domu w Nowy Rok. Pierwszy raz w życiu spędzał sylwestra samotnie. Nie prowadził już wówczas żadnego życia towarzyskiego. Każdą minutę poświęcał na szukanie pieniędzy, spłacał długi, unikał tych, którzy próbowali wydobyć z niego forszę. Taki to był czas. Czas na cud. Tylko na to mógł teraz liczyć.

Za czterdzieści osiem godzin wierzyciele otoczą go, domagając się zwrotu pieniędzy. Żaden z nich nie powiedział „bo jeśli nie, to...”, ale niczego innego nie mógł się

spodziewać. Do tego momentu jego premia musi się znaleźć w banku. Musi tam wpłynąć, nie potrafił myśleć o innym scenariuszu wydarzeń. Parę dni później zaleje go potop listów i wezwań od jego wszystkich wierzycieli, a zaraz po nim napłyną nakazy sądowe.

Mógł tylko czekać. Nic nie mógł już zrobić z danymi dotyczącymi oxymetabulinu. Sprawozdanie zostało zakończone i przedłożone. Staął na głowie i została mu tylko nadzieja że to wystarczy.

Czy rzeczywiście myślał w tej sytuacji, że ma jakąś szansę? Tak. Musiał. To była jego ostatnia, jego jedyna nadzieja. Czyż nie urodził się w czepku?

Tak więc kiedy zadzwonił telefon, podniósł słuchawkę, nastawiony optymistycznie. Może właśnie nadchodził mocno spóźniony szczęśliwy przełom?

- Ty skurwysynu... - zaczął głos w słuchawce.

Niewiele to pomogło w zidentyfikowaniu rozmówcy. Większość kobiet, jakie znał, pewnie pozdrowiłaby go w ten sposób, gdyby tylko mogły się z nim skontaktować. Spróbował dowiedzieć się czegoś więcej.

- Szczęśliwego Nowego Roku i dla ciebie. W czym mogę pomóc?

- W tej sprawie to ja mogłabym ci pomóc. Niewiele, ale to i tak znacznie więcej, niż zasługujesz. Geoff Perriam ma na ciebie chrapkę. Prawie wylali mnie z roboty przez ciebie.

To była Jane. W kilku zdaniach oznajmiła mu, że jego kariera dobiegła końca. Su-ka.

- Co się stało?

- A jak myślisz? Dał mi dostęp do plików, którymi się tak strasznie interesowałeś. I zauważył, że wchodziłeś do danych z badań, z których zostałeś absolutnie wykluczony. Nie pamiętam, żebyś mi o tym wspomniał.

- Co dokładnie on wie? - David zaczynał tracić panowanie nad sobą.

- Powiedziałam ci: wszystko! - wrzasnęła Jane. - Wie, że zmieniłeś liczby. Wie, że wprowadziłeś te zmiany ze swojego mieszkania. Nie możesz zaprzeczyć. W tej chwili zastanawia się, czy nie da ci się udowodnić złamania prawa. Ale tak czy inaczej wpadłeś w niezłe tarapaty. A mnie to cholernie cieszy. Szczęśliwego Nowego Roku! - I trzasnęła słuchawką.

Koniec. To jest koniec wszystkiego. Jego czas minął. Fortuna znalazła kogoś innego, komu zapewni powodzenie i kogo potem zrukuje. Nie będzie premii. Nie będzie niczego. Nie będzie żadnego wyjścia z tej sytuacji.

Szybko podsumował swoje życie, jego plusy i minusy. Nie zajęło mu to wiele czasu. Po stronie minusów były długi. Niemożliwe do uregulowania, niebezpieczne w szponach krwiożerczych wierzycieli. Po stronie plusów jedyną wartością była formuła oxymetabulinu. David był przeświadczony, że może mu przynieść fortunę. Któregoś dnia. Gdzieś. Pigułka działała. Czemu świat tego nie widzi? Wynalazł coś, co mogło przynieść szczęście milionom, ale biurokracja spiskowała przeciwko niemu, nie pozwalała mu wejść z tym na globalny rynek.

Niech się wypchają! Zabiera zabawki i idzie się bawić do innej piaskownicy. Nic im nie zostawi. Nauczył się na własnych błędach i następnym razem zadba o to, aby badania zapracowały na niego, będzie bogatszy o wiedzę, że nie ma czegoś takiego jak kobieta, która kontroluje swój stosunek do jedzenia. A gdyby taka kobieta istniała, nie byłaby użyteczna dla oxymetabulinu, byłaby złym obiektem do przeprowadzania testów.

Ale on odkrył sposób, jak zapewnić sukces swojemu projektowi i nie dać się złapać. Wymyślił już nazwisko, pod którym rozpocznie nowe życie w Ameryce Południowej: David Thynne. Tak, pomyślał, kobietom się spodoba. One wszystkie są przesądne. Większość z nich.

Zacnie jeszcze raz. Może wreszcie we własnym laboratorium. Mógłby pożyczyć pieniądze, żeby tylko wystartować.

Zanim opuścił kraj, zrobił jeszcze coś, dla własnej satysfakcji. Tamte kobiety zrujnowały jego karierę przez swoje obżarstwo.

Chciał, żeby się dowiedziały, jakie były głupie. Wysłał więc krótką notatkę do wszystkich, które w jego badaniach dostawały placebo. Nie zastanowił się, że w istocie sprawia im wspaniały prezent, dar zaufania w zdolność wpływu na swój organizm, podczas gdy one sądziły, że są zbyt słabe, aby osiągnąć cel bez pomocy medycznej.

Czwartego stycznia Marina wróciła do siebie. Właściwie mieszkała już z Paulem i chciała tylko zabrać ciuszki i inne osobiste drobiazgi. Wyjęła ze skrzynki pocztę, składającą się głównie z życzeń noworocznych od osób, które zapomniały przesłać kartki na

Boże Narodzenie i zostały zaskoczone jej życzeniami.

Postanowiła, że otworzą je razem z Paulem i uśmieją się, wyobrażając sobie wigilijne kłótnie: „Myślałam, że posłałeś jej życzenia”. „Ona jest przecież twoją przyjaciółką, nie moją”. „W takim razie musisz pojechać i wrzucić życzenia do jej skrzynki”. „Nie możemy tego zrobić, ona się domyśli, że to reakcja na jej kartkę”. „No to przyklej znaczek i pomaż go tuszem, żeby wyglądał na ostemplowany”. Wiele kieliszków sherry zostało wychylonych w rozpaczy, dopóki ktoś nie wysłał kogoś w poszukiwaniu kiosku z kartkami noworocznymi.

Bawiąc się tymi myślami, zauważyła wśród kartek zwykłą kopertę. Najpierw wydała się pusta, ale po otwarciu znalazła w niej złożoną kartkę. Rozwinęła ją. Przeczytała nagłówek: Z BIURA DAVIDA SANDHURSTA. Poniżej czyjaś ręka nagryzmoła kilka słów: Brałaś placebo, kretynko!

Minęło ze dwadzieścia minut, zanim się otrząsnęła i stwierdziła, że siedzi na podłodze i wciąż gapi się na tę kartkę. Trzy słowa, które zmieniły jej życie. Które ją zmieniły. Była znów kimś innym. Była kimś, kto mógł odchudzić się zupełnie sam, siłą własnej woli. Była kimś, kto mógł ponownie przybrać na wadze, ale mógł ją zrzucić, kiedy tylko tego zapragnie.

Sama obietnica zawarta w oxymetabulinie okazała się najskuteczniejszym lekiem.

Dziękuję, dziękuję, dziękuję, wyszeptała pod adresem Davida. Zastanowiła się, kto jeszcze mógł należeć do grupy przyjmującej placebo. Pomyślała o Teresie. Teresa była przekonana, że dostaje placebo. Czyż nie byłoby fantastyczne, gdyby okazało się, że ona też otrzymała taki liścik? Byłby to dla niej potężny bodziec. Zerwała się i podbiegła do telefonu.

- Cześć, Terry! Tu Marina. Ja tylko na chwilę. Czy znalazłeś coś w swojej poczcie?

- Zabawne, że o tym mówisz. Dostałam list od prawników Roda, wezwanie podatkowe. I nie otworzyłam jeszcze tysiąca listów adresowanych do Roda i do mnie od tych, którzy nie słyszeli, że się rozchodzimy. Czy o to mnie pytasz?

A więc Teresa nie brała placebo, choć jest o tym przekonana. To będzie bodziec, który zachęci ją do poddania się kolejnej diecie, potem jeszcze jednej, i jeszcze... Zyskała przekonanie, że ma w sobie siłę zdolną kontrolować jedzenie. Potrafi dać sobie radę z

każdą następną porażką, bo wie, że zawsze może zwyciężyć kolejnym razem.

Marina nie miała prawa pozbawiać jej tego przekonania.

- Nie. Chciałam się dowiedzieć, czy ty też dostałaś list z łańcuszka. Taka głupota, te listy. - Skłamała. Tak było najlepiej.

- Głupota! Wrzuć go po prostu do śmieci. Ja tak robię. I nie myśl o tym więcej.

I Marina tak właśnie postąpiła.

25

Co mówisz? Żle cię słyszę. Czy dzieciaki nigdy nie przestają wrzeszczeć?! - Teresa zatkała uszy palcami. Marina żartobliwie klepnęła ją w ramię i poprowadziła do ogrodu. Było zimne, grudniowe popołudnie i żeby nie zmarznąć, musiały energicznie spacerować.

- No i jak ci idzie, Terry?

- Dostaliśmy rozwód w środę. Jestem wolną kobietą. Hip, hip, hurra! Dlaczego jednak nie czuję się wolna?!

- Trzeba czasu. Wiesz o tym.

- Prawdę mówiąc - Teresa nagle się zawstydziła - byłam wczoraj na randce.

Marina obróciła się na pięcie i zajrzała w oczy przyjaciółce.

- I nic mi nie powiedziałaś? To fantastyczne! Z kim? Jak poszło? Musisz mi wszystko opowiedzieć.

Teresa wsunęła rękę pod ramię Mariny i pociągnęła ją do przodu.

- Nie podniecaj się. Właściwie to była klęska. Umówiłam się z dostawcą, którego spotkałam na przyjęciu w tamtym miesiącu, wiesz, opowiadałam ci. Kłamie: to nie była zupełna klęska. Ale nic wielkiego się nie zdarzyło.

- Zobaczysz się z nim jeszcze?

- Nie wiem. Może...

- Może! - pisnęła Marina. - To jest przecież cudowne! Sześć miesięcy temu zaklinałaś się, że nigdy nie pójdziesz na randkę z żadnym facetem. A teraz mówisz: „może”!

- Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że on woli kobiety o pełniejszych

kształtach. Tak powiedział.

Marina rzuciła okiem na przyjaciółkę, sprawdzając, jak to przyjęła. To był wciąż drażliwy temat. Teresa przybrała na wadze tyle, ile straciła, biorąc oxymetabulin, a nawet trochę więcej. Nadal wyglądała świetnie i dobrze znosiła swoją wagę, ale nie była do końca zadowolona z tej sytuacji.

- Uwierzyłam mu. - Słaby uśmiech pojawiła się na jej twarzy. - Uwierzyłam mu tak, jak nigdy nie mogłam uwierzyć Rodowi.

- Och, Terry! Taka jestem szczęśliwa. To wspaniały przełom. Teraz, kiedy już zaakceptowałam, że możesz być pociągająca dla mężczyzny, musisz się czuć bardzo pewna siebie.

- Ale ja będę niemożliwa we współżyciu! Skończę jak Susie, będę wyszukiwała wyłącznie kobiety brzydsze ode mnie, aby na ich tle moja oszałamiająca uroda jeszcze bardziej jaśniała.

- Ciii!... Bo usłyszysz - szepnęła Marina, spoglądając nerwowo na dom.

- A gdzie tam! Widziałam, jak się wybierała z torebką do twojej łazienki gościnnej. Wiemy, co to oznacza. Nie ujrzymy jej przez najbliższe pół godziny.

Wybuchły śmiechem. Lecz nagle Marina w panice zakryła dłonią usta.

- O Boże! Polecę ukryć sos serowy na wypadek, gdyby zechciała dodać do niego własne przyprawy.

Teresa skrzywiła się z niesmakiem.

- Może być niedobrze. Załatw sprawę, bo inaczej stracę apetyt, a przecież nie mogę zeszczupłeć i zawieść swojego wielbiciela.

- Marina! Jesteś tu potrzebna! - zawołał Paul z domu.

- Przepraszam - powiedziała do przyjaciółki.

- Nic nie szkodzi - wybaczyła jej Teresa.

Wróciły do domu, gdzie Paul czekał na nie z wrzeszczącym dzieckiem, którego w żaden sposób nie mógł uspokoić. Sprawnym, wyćwiczonym ruchem Marina wzięła niemowlę i przytuliła jego otwarte usta do piersi. Opadła na sofę obok przyjaciółki.

- Musisz przyznać, że Susie miała rację. Karmienie piersią odchudzi cię na patyk.

Marina nie spuszczała wzroku z pięknej twarzyczki.

- Nie wiem, ile teraz ważę. Prawie nie śpię, mogę usiąść tylko do karmienia, więc nic dziwnego, że trochę straciłam na wadze. Ale wiesz co? Nic mnie to nie obchodzi.

Teresa z podziwem popatrzyła na rozanieloną twarz przyjaciółki.

- Wierzę ci. Zazdroszczę ci, jak cholera, ale ci wierzę. Och, zapomniałam zapytać.

Widziałaś Gail wczoraj wieczorem w telewizorze?

- Tak! - Oczy Mariny się rozszerzyły. - Nie mogłam uwierzyć. Wyglądała fantastycznie, prawda? Taka silna, pełna życia...

- Robi wrażenie, co? Cały dokument BBC poświęcony tylko jej. Świetnie wypadła.

- Zasluguje na to. Zrobiła wiele dobrego dla kobiet. Sama bardzo dużo jej zawdzięczam.

- Jak my wszystkie. Podziękowałaś jej?

- Tak. Spotkałam ją na konferencji prasowej w Perrico. Trochę się zawiodłam. „Żadnych ostatecznych rezultatów, badania trwają nadal”, itepe. Ona też była rozczarowana. Planowała widowiskowe przerwanie prezentacji, a tutaj się okazało, że nie ma żadnej prezentacji. Tak czy siak, powiedziałam jej, jak dzięki niej zmieniło się moje życie, nasze życie. Chyba była zadowolona, ale z nią nigdy nie wiadomo.

- Bo ona nie robi tego dla nagrody. Ona naprawdę wierzy w to, co robi.

- Śmieszne, nie? - Marina zapatrzyła się w zamgloną dal.

- Co znowu jest takie śmieszne?

- Gail jest prawdopodobnie spośród nas najszczęśliwsza. Jest zadowolona z siebie. Żyje uczciwie wobec siebie i wobec innych. To zwyciężczyni. Zawsze taka była.

- Więc dlaczego jej nie słuchałyśmy? - zastanowiła się Teresa. - Czemu tak naprawdę jej nie słuchałyśmy?

- Ludzie nie lubią słuchać. To zasadnicza cecha nas wszystkich. A raczej słuchają, ale potem robią, co chcą, bez względu na to, jak niszczące może być takie postępowanie.

Teresa pogładziła główkę dziecka.

- To niezbyt dobrze wróży twojemu macierzyństwu. Jak sobie dasz radę, gdy Sarah nie będzie chciała cię słuchać i uczyć się od ciebie?

Marina przytuliła córeczkę do piersi.

- Sarah będzie wyjątkiem. Codziennie będziemy mówili jej, że jest piękna. Nigdy

w tym domu nie usłyszysz słowa „dieta”. Już ja tego dopilnuję.

Przez chwilę siedziały w ciszy, słuchając łakomego pomrukiwania dziecka. Teresa przerwała milczenie:

- To było trochę dziwaczne, ta sprawa z Perrico, nie sądzisz? I ni stąd, ni zowąd to całe zniknięcie Davida...

Marina skoncentrowała całą uwagę na córeczce.

- Może... Przestało mnie to interesować. Nie mogę uwierzyć, że kiedyś to było najważniejsze w moim życiu.

- Ani ja.

Marina spojrzała na nią lekko sceptycznie. Teresa uniosła dłoń obronnym gestem.

- Zgoda, zgoda... Troszeczkę kłamię. Nie mówię, że nie wezmę innej pigułki, jeśli się pojawi. Lecz następnym razem nie przeszkodzi mi to w życiu.

- Więc czegoś się nauczyłaś. To była lekcja.

- Jasne, zawsze się można czegoś nauczyć. Ale chcę cię o coś zapytać.

- Pytaj!

- Nie myśl, że ci nie ufam, ale czy możesz mi powiedzieć, jakie potrawy w bufecie nie zawierają mleka?

KONIEC